Oriens

DWUMIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU

STYCZEŃ-LUTY 1939

TREŚĆ ZESZYTU:

WYDAJE MISJA WSCHODNIA O. O. JEZUITÓW W POLSCE
REDAGUJE KS. JAN URBAN T. J.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 61
KONTO P. K. O. NR. 15.293

ORIENS

DWUMIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU
WYDAWANY PRZEZ MISJĘ WSCHODNIĄ OO. JEZUITÓW W POLSCE

Rocznik 7 | Warszawa 1 lutego 1939 r. | Zeszyt 1

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 8.— | CENA POJEDYŃCZEGO ZESZYTU ZŁ 1.50

JEDNOŚĆ I POWSZECHNOŚĆ

Wierzę w jeden święty powszechny i apostolski Kościół. W czterech określnikach, recytowanych w nicejsko-carogrodzkim symbolu wiary, zawarte jest wszystko, co o naturze, celu, pochodzeniu i rozciągłości Kościoła Chrystusowego sądzić i co wiarą naszą w Kościele mamy stwierdzać. Wyznajemy, że Kościół, ciało mistyczne Chrystusa, jest tylko jeden, że uświęca swe członki bez względu na ich zamieszkanie i pochodzenie, że jest zawsze ten sam, od apostołów począwszy aż do końca świata.

Dwa z wymienionych czterech określników, przy bliższym zestawieniu, mogą się komuś wydać trudnymi do pogodzenia. Jest to j e d n o ś ć i p o w s z e c h n o ś ć Kościoła.

Gdy wymieniamy jedność Kościoła, nie zadawalamy się stwierdzeniem, że jest on j e d y n y w swoim rodzaju, ale nadto wypowiadamy przekonanie, że jest on tak wewnętrznie z j e d n o c z o n y, tak s p o i s t y w swojej istocie, że nie da podzielić się na kilka równorzędnych, pełnoprawnych a niezależnych jeden od drugiego organizmów.

Lecz tutaj nasuwa się właśnie pytanie: czy taka jedność Kościoła da się utrzymać wobec jego p o w s z e c h n o ś c i, to jest jego przeznaczenia dla wszystkich narodów, kultur i ras ludzkich na całej kuli ziemskiej? Bo znowu, kiedy mówimy „powszechność“, to mamy na myśli nie samą abstrakcyjną geograficzną rozciągłość, ale również zdolność Kościoła do p r z y s t o s o w a n i a się do całej rozmaitości języków świata, do przeróżnych charakterów rasowych, rozlicznych stopni i form cywilizacyjnych, do różnych ustrojów politycznych. Nic bowiem nie tracąc ze swojej boskiej treści, chrześcijaństwo jest zdolne wchłonąć w siebie wszystko to z naturalnego podłoża ludzkości, i ze swą nadprzyrodzoną treścią zespolić, cokolwiek w ludzkości znajdzie prawdziwego, dobrego i pięknego. Albo lepiej mówiąc, chrześcijaństwo ma tę właściwość, że swoją nadprzyrodzoną treść potrafi zaszczepić na każdej naturalnie dobrej glebie ludzkiej. Ale czy taka przystosowalność chrześcijaństwa nie wytworzy takiej rozmaitości form, że stanie się niebezpieczeństwem dla jedności samegoż organizmu Kościoła? Słowem, czy jedność i powszechność nie grożą sobie wzajemnie, czy nie są pojęciami poniekąd przeciwstawnymi?

W istocie patrzymy na chrześcijaństwo rozdzielone, na liczne autokefalie wschodnie, na babilońskie zamieszanie sekt protestanckich. Przyczynę takiego rozbicia upatru-

jemy w dowolności rozumienia różnych punktów nauki objawionej. Ale nie ulega wątpliwości, że także różnice charakterów i kultur narodowych przyczyniły się do wytworzenia tych smutnych podziałów. A rezultat stąd taki, że samo pojęcie Kościoła przez wielu jest fałszowane. Zamiast jednego żywego organizmu, „ciała Chrystusa", każą nam zadowolić się pojęciem abstrakcyjnym, „rodzajowym", skupiającym jakoby pod sobą różne gatunki kościołów i poszczególne kościoły. Czy o takiej jedności myślał Chrystus, kiedy modlił się do Ojca: aby wszyscy byli jedno, jak Ty, Ojcze, we mnie, a ja w Tobie, aby i oni w nas jedno byli? *Czy jedność Ojca, Syna i Ducha jest w Trójcy tylko jednością logiczną, abstrakcyjną?*

Atoli Chrystus, ustanawiając swój Kościół dla powszechności ras i narodów wszelakich, nie zaniedbał też środka, mającego utrzymywać tę powszechność w jedności rzeczywistej. Zbudował swój Kościół na Opoce-Piotrze i Piotrowi polecił utwierdzać braci. Stolica Piotra to symbol, ale nie tylko symbol lecz i czynnik, utrzymujący w Kościele jedność. Znamy powiedzenie św. Augustyna: w rzeczach koniecznych jedność, w wątpliwych wolność, we wszystkim miłość. *Tak, ale właśnie potrzeba żywego kryterium dla rozróżniania rzeczy koniecznych w Kościele od rzeczy wątpliwej konieczności, powiedzielibyśmy obojętnych dla prawdziwego kultu Bożego. I wtedy dopiero, kiedy się na takie kryterium zgodzimy, będzie mogła zapanować powszechna miłość. Takim kryterium jest głos Piotra w jego następcach, jest powszechne nauczycielstwo papieży.*

Powie kto, że jednak papieże nie zapobiegli podziałom chrześcijaństwa? Tak, ale niepowodzenie ich w tym nie jest większe, niż w ogóle niepowodzenie łaski Bożej w dziele zbawiania ludzi. Jak łaska, tak jej najwyżsi ziemscy szafarze mają do czynienia z wolną wolą, która dar Boży może odrzucić. Wielu nie doceniło znaczenia Stolicy Piotrowej dla jedności chrześcijaństwa, inni nad jedność postawili swoje partykularne zapatrywania i lokalne interesy. Jedni i drudzy sprzeniewierzyli się samej zasadzie jedności.

Ale owe schizmy nie zburzyły doszczętnie jedności Kościoła, a Stolica Piotrowa nie utraciła przez nie znaczenia ośrodka tej jedności. Ktokolwiek jest ważnie ochrzczony, nie może zmazać z duszy charakteru przynależności do Kościoła Chrystusowego, tego Kościoła, w którym papież jest nauczycielem najwyższym, bo innego Chrystusowego Kościoła nie ma i być nie może. A owe „kościoły" partykularne, które nie chcą uznać w Rzymie ośrodka jedności, można przyrównać do błędnych komet, wypadłych z właściwej orbity, ale niezdolnych do zerwania wszelkiego związku z ośrodkiem ciążenia. Zwracają się przecież do Chrystusa, ale przed Chrystusem stoi Piotr, któremu Zbawca porucza wszystkie owce swoje. Powrócić do katolickiej jedności — to nie oznacza dla tych „odłączonych" sklejania ich Kościoła z Kościołem innym, lecz uświadomienie sobie, gdzie jest centrum jedności kościelnej i wyciągnięcie z takiego uświadomienia praktycznej konsekwencji.

Powróćmy jeszcze do stosunku jedności i powszechności Kościoła. Czy jedność taka, jak ją pojmują katolicy, nie szkodzi wyżej opisanej powszechności Kościoła? Czy jeden człowiek, choćby najrozleglejszych horyzontów myśli i najszerszego serca, będzie zdolny posiadać zrozumienie dla uprawnionych różnic kulturalnych, czy różne rasy i narody nie będą narażone dla ideału jedności na utratę swego duchowego oblicza?

Zamiast dowodzenia a priori *możemy zapytać historii. Jakie zrozumienie okazało dla rozmaitości kultur prawosławie wschodnie po odwróceniu się od rzymskiego cen-*

trum jedności? Właściwa ekspansja wschodniego chrześcijaństwa datuje się z przed schizmy. Potem zasklepiło się ono w narodach, w których wcześniej już zaistniało, i straciło zdolność dynamiczną do zdobywania innych terenów i innych kultur. Wypadki takie, jak misja japońska czy eskimoska cerkwi rosyjskiej, to wyjątki, które potwierdzają regułę. Prawosławie straciło nawet zrozumienie dla tych form obrządkowych, które się wcześniej wytworzyły. Obrządek, który w rzymskiej jedności jest tylko jednym z wielu, bizantyjski, uznało za jedyny obrządek „prawosławny" i z prawowiernością go utożsamiło. Dopiero w latach ostatnich poczęło czynić nieudałe próby stworzenia prawosławnego obrządku zachodniego. Natomiast katolicyzm, jakkolwiek z jednego centrum kierowany, jakże jest elastyczny w swoich obrządkowych, kulturalnych, estetycznych formach! Nie zawsze może w jednakowym stopniu realizował on swoją zdolność akomodacji do różnych lokalnych potrzeb i warunków, lecz tę zdolność pojmuje coraz głębiej i urzeczywistnia po całym świecie coraz pełniej. Teologowie katoliccy coraz bardziej zwracają uwagę na istotę katolicyzmu, jako syntezy różnorodności zewnętrznych form kultur ludzkich, przyoblekających jedną daną przez Boga nadprzyrodzoną prawdę. A Stolica św. coraz silniej podkreśla obowiązek swych misjonarzy szanowania wszystkich wartości, jakie zastają u ewangelizowanych narodów a jakie dadzą się pogodzić z istotą chrześcijaństwa. Ale ta właśnie powszechność i różnorodność form, w jakich chrześcijaństwo może się urzeczywistniać, domaga się, by ów czynnik jednoczący i łączący w Kościele był tym silniejszy, by łączność wszystkich narodów z nim była ściślejszą, bo inaczej różnorodność prowadziła by do rozbicia jedności.

Rzym leży w Italii i jest stolicą tego królestwa. Ale można powiedzieć, że jest on najmniej włoskim ze wszystkich włoskich miast. On, jako ośrodek chrześcijaństwa, jest prawdziwą Kosmopolis. *W tym mieście każdy czuje się, jak u siebie w domu. Bo każdy znajduje tam coś ze swej duszy. Prawie każdy naród posiada tam świątynię, w której rozbrzmiewa jego język, utrzymują się jego ulubione ceremonie i zwyczaje. I wszyscy znajdują zrozumienie dla siebie u wspólnego Ojca. A spotykając się w wspólnym domu, uczą się także rozumieć się wzajemnie i miłować się w Chrystusie. Jedność rzymska nie tylko nie przekreśla rozmaitości i powszechności, ale ich się domaga. Rzym jest centrum, ale nie byłby nim, gdyby z niego nie rozchodziły się promienie ku wszystkim punktom peryferii, tak rozmaitej.*

Związek ze Stolicą Piotrową jest także znamieniem pełnej przynależności do Kościoła. Na różnych terenach sprzeczności polityczne i inne mogą wywoływać tarcia między lokalnymi grupami katolików; dopóki jednak trzymają te grupy z Rzymem, są pewne swej katolickości. Jedna drugiej nie może wykluczyć z Kościoła. Inaczej dzieje się gdzie indziej, gdzie „autokefaliczne kościoły" zrywają między sobą stosunki, wyklinają się, ogłaszając chwilowego przeciwnika za pozbawionego łaski Bożej, gdzie pierwszy trzyma z drugim, ale nie z trzecim i czwartym, którzy jednak trzymają z drugim itd., niczem owe trójkąty i czworoboki w nowoczesnych małżeństwach. W katolicyzmie kto pozostaje w jedności z Rzymem, pozostaje tym samym w jedności ze wszystkimi Kościołami, które są w jedności z nim.

Streszczamy się. Nie szkodzi jedności powszechność, jeśli składające się na nią rozmaite człony pozostają w związku z jedności ośrodkiem, jedność zaś nie tłumi rozmaitości, bo jest jednością żywego, rozwijającego się wciąż organizmu, mistycznego ciała Chrystusa.

Ks. Jan Urban

DZIEŁO JÓZEFA SIEMASZKI

W roku bieżącym przypada setna rocznica kasaty unii w krajach tzw. „zabranych“, czyli w zachodnich prowincjach imperium rosyjskiego poza terytorium „kongresowego Królestwa Polskiego“. W roku, w którym obchodzimy 500-letni jubileusz Soboru Florenckiego, na którym dokonało się wiekopomne dzieło połączenia Kościoła greckiego z łacińskim, przypadł nam „jubileusz“ inny: stulecie ruiny wielkiej części zjednoczenia kościelnego pod berłem rosyjskich carów. Temu smutnemu zdarzeniu musimy, chociaż z przykrością, poświęcić nieco historycznych wspomnień.

Do jakiej daty przywiązać kasatę unii w r. 1839?

Wprowadzenie do synodu petersburskiego głównego sprawcy kasaty unii, biskupa Józefa Siemaszki, już jako arcybiskupa prawosławnego, ucałowanie się z nim metropolitów prawosławnych i wspólne odśpiewanie hymnu dziękczynnego za *wozsojedinienie* — ponowne zjednoczenie unitów z cerkwią panującą nastąpiło 30 marca starego stylu 1839 r. Ale sama cerkiew uważała za ważniejszą inną datę, mianowicie 25 marca, kiedy to Mikołaj I na przedstawieniu Świątobl. Synodu z dnia 23 marca w sprawie przyjęcia unitów na łono prawosławia położył rezolucję: *Błagodariu Boga i prynimaju* — „Dziękuję Bogu i przyjmuję“. Zepewne autokrator Rosji poczuł w tej chwili swą godność „głowy cerkwi“ (według określenia jego ojca Pawła) i on, a nie przedstawiciele hierarchii, dokonał też formalnego przeistoczenia wiernych Kościoła katolickiego w członków cerkwi, której sam był głową. Decydującym momentem w tym cudzie było jego słowo: *prynimaju*. Wybity na pamiątkę *wozsojedinienia* medal nosi też tę datę: 25 marca, dzień Zwiastowania Najśw. M. Panny. W tym też dniu obchodzono później rocznice i jubileusze (naprz. w 1889 r. 50-lecia) radosnego dla prawosławia zdarzenia. Tylko dla szerszych mas ludowych wybrano na ten cel dzień inny, ruchomy dzień, mianowicie czwartek, w którym Kościół katolicki obchodzi święto „Bożego Ciała“, święcone niegdyś i przez unitów. Jakieś resztki tego popularnego święta pozostawiono ludowi, wkładając w nie tylko nową treść: zamiast szczególnej czci Eucharystii poczęto wspominać akt zerwania z tym Kościołem, który to święto ustanowił i rozszerzył.

My za decydującą datę w tej burzycielskiej robocie wolimy przyjąć dzień 12 lutego st. st., według nowego kalendarza wówczas — 24 lutego. Chcemy mówić o „dziele“ nie tyle Mikołaja, ile Siemaszki, a właśnie już w owym dniu Siemaszko z swymi kolegami zerwał publicznie z Kościołem katolickim aktem, podpisanym w Połocku, zjednoczenia z prawosławiem i celebrą w katedrze św. Zofii, kiedy po raz pierwszy, zamiast imienia papieża, głośno wymienił w liturgii „najświętszy synod prawosławny“ i patriarchów wschodnich. 12 (24) lutego w tym roku my, katolicy, wspomnimy smutny czyn apostazji, który taką zadał ranę Kościołowi katolickiemu.

Kasatę unii w r. 1839 nazywamy „dziełem Siemaszki“, chociaż brało w nim udział tylu innych cerkiewnych i politycznych działaczy i chociaż ono było uwieńczeniem planu, powziętego przez Rosję od chwili rozbiorów Polski. Zamiar zniszczenia unii był stary i w wielkiej części już przez Katarzynę II zrealizowany, ale kasata z r. 1839 odbyła się według innego niż dawniej planu, a plan ten opracował w szczegółach i wprowadzał w życie Józef Siemaszko.

Przyjrzyjmy się osobie działacza i metodzie jego roboty.

Biskup Józef Siemaszko w chwili odstępstwa od unii liczył 40 lat. Pochodził z rodziny ukraińskiej, należącej do „duchownego stanu“, która wydała wielu księży unickich. Urodził się 25 grudnia 1798 r. w Kijowszczyźnie, we wsi Pawłówce (pow. lipowiecki), w której parafia unicka przechodziła z ojca na syna w jego rodzie. W chwili jednak przyjścia jego na świat cerkiew, odebraną unitom, dzierżył już duchowny dyzunicki. Dziadek noworodka i kilku stryjów, którzy wytrwali przy unii, byli kapłanami „bez miejsca“ i musieli szukać przytułku, jako altaryści i wikariusze, przy kościołach łacińskich, w których zajmowali się także obsługą duchowną pozostałych unitów. Jeden z tych stryjów ochrzcił swego krewniaka w kościele, przy którym pracował, dając mu

imię Józef. Ojciec jego, także Józef, prowadził gospodarstwo rolne, ale i on został księdzem unickim, kiedy synowi było już 11 lat, lecz musiał także zadowolić się obsługiwaniem „altarii“ w kościele łacińskim, którą dla siebie sam ufundował.

Mimo, że kapłaństwo w obrządku unickim nie obiecywało kariery życiowej, Józef Siemaszko (starszy) dla swojego syna Józefa i młodszego syna Jana obrał zawód duchowny, córki niektóre powydawał też za przyszłych księży.

Do jakiej narodowości zaliczała się owa księżowska dynastia Siemaszków? Może byłoby anachronizmem rozwiązywać tę kwestię według dzisiejszych pojęć i kryteriów. Nasz grabarz unii w swoich Pamiętnikach [1]) zapisuje, że w domu jego rodziców używano wyłącznie języka ukraińskiego, nazywanego przezeń „małorosijskoje narieczie“ i że matka jego nie umiała nawet mówić po polsku. Czy czuli się Siemaszkowie Ukraińcami w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, w poczuciu odrębności i przeciwstawności i do Rosjan i do Polaków? Zdaje się, że przed nimi wcale nie stawało to pytanie. Jako wierni unici duchowo czuli się bliższymi Polakom, niż „schizmatyckim“ Rosjanom, języka rosyjskiego prawie nie znali, natomiast w stosunkach z szerszym światem, a nawet między sobą, pisząc listy, używali tylko polskiego. Poza tym czuć musieli jakąś odrębność swoją w porównaniu z łacinnikami, których obrządek uważany był za „wiarę pańską“, podczas gdy oni, przedstawiciele i słudzy „wiary chłopskiej“, siedząc u „panów“ na komornem, traktowani byli jakby katolicy niższej kategorii. O sobie samym autor Pamiętników świadczy, że przykro odczuwał tę niższość unitów, że do Polaków czuł niechęć, nie lubił jeździć do kościoła, do którego w braku cerkwi unickiej wozili go rodzice, natomiast pociągała go cerkiew prawosławna z jej nabożeństwami, pomimo, że z niej niedawno została usunięta jego rodzina. Do szkoły poszedł polskiej, w Niemierowie, i po polsku dobrze się nauczył.

Po ukończeniu tego gimnazjum Józef Siemaszko został przyjęty w szeregi kleryków unickich diecezji łuckiej i na naukę

[1]) Zapiski Iosifa mitropolita litowskago, wydane w 3 tomach przez Imp. Akademię Nauk w Petersburgu w r. 1883 są głównym źródłem dla biografów Siemaszki.

teologii wysłany przez biskupa Martusewicza do Wilna, do seminarium głównego, w którym dwie trzecie alumnów stanowili łacinnicy, a jedną trzecią unici. Wykładów słuchano na wydziale teologicznym, ale w samym gmachu seminaryjskim, na niektóre tylko przedmioty świeckie alumni uczęszczali do sal uniwersyteckich, mało się jednak stykając z kolegami świeckimi. [1]) Na uniwersytecie i w seminarium panował duch szczerze polski, w wykładach używano języka łacińskiego i polskiego, rosyjski miał zaledwie jakiegoś jednego niedołężnego profesora. Siemaszko wspomina, że się przejął ideologią polską, zachwycał się Konstytucją 3 Maja, ale że to było tylko chwilowe, duszą bowiem lgnął do Rosji i ukradkiem książki rosyjskie czytał.

Po czterech latach pobytu opuścił Siemaszko to seminarium w r. 1820, wywożąc dyplom magistra teologii. Za młody do święceń kapłańskich, został przez biskupa Martusewicza wyświęcony na diakona i zatrudniony w konsystorzu. Nie żeniąc się, został kapłanem w końcu roku 1821, mając lat 23. Martusewicz był wprost rozkochany w swoim zdolnym urzędniku, który z miejsca zawojował też cały konsystorz. Dlatego szybko go posuwał po szczeblach kariery duchownej, zrobił kanonikiem i już w 1822 r. wysłał do Petersburga na asesora Kolegium katolickiego od diecezji łuckiej. Magistratura ta niekanoniczna, utworzona samowolą carską, miała zastępować dla katolików w Rosji poniekąd władzę papieską. Dzieliła się na dwa departamenty: łaciński i unicki, każdy pod prezydencją swego metropolity (Siestrzeńcewicza i Bułhaka), niekiedy schodzące się na narady wspólne w sprawach mieszanych. Ukazy Kolegium, wydawane imieniem cesarskim, miały znaczenie obowiązujące poszczególnych biskupów. W tym to Kolegium, mianowicie w jego unickiej części, 24-letni asesor łucki wysunął się na czoło swych kolegów i zawojował nawet starego metropolitę Bułhaka, który zaufał jego sprytowi i czystości intencyj.

Jak ten młody dygnitarz pojmował swoje służenie cerkwi unickiej? Przede wszystkim nie myślał wcale bronić dogmatycznych podstaw unii. Pod tym wzglę-

[1]) Na te same lata przypada pobyt A. Mickiewicza na uniwersytecie wileńskim.

dem odrodził się on zupełnie od starszej generacji Siemaszków. Z uniwersytetu wileńskiego nie wyniósł on wcale przywiązania do Kościoła katolickiego, lecz odwrotnie uprzedzenia i niechęć do niego, które wszakże umiał zręcznie ukrywać przed swoim biskupem, przed metropolitą Bułhakiem, nawet przed własnym ojcem. Źródłem tych niechęci — jeśli wierzyć Pamiętnikom — był duch józefinizmu, jaki panował wśród ówczesnych profesorów teologii katolickiej. Siemaszko z lubością słuchał, jak jego profesorowie, ks. Kłągiewicz (późniejszy biskup wileński), albo kanonista Capelli wywłóczyli różne „nadużycia rzymskiego Kościoła", podkopując przez to samo wiarę w prymat papieski. Katolicyzm brano raczej ze strony politycznej, widząc w nim ostoję polskości i Siemaszko uważa, że Opatrzność mu zesłała w poglądach takich profesorów, jak Capelli i Kłągiewicz, antydotum przeciwko niebezpieczeństwu zarażenia się polskim duchem. Nie mając katolickich przekonań, obronę cerkwi unickiej, do której w charakterze członka Kolegium był powołany, rozumiał nie jako obronę jedności z Rzymem, ale jako obronę swej cerkwi przed „zakusami" ze strony Rzymu, przed latynizmem, polonizacją, wreszcie jako burzenie zapory, oddzielającej tę cerkiew od narodu rosyjskiego z jego urzędowym prawosławiem.

Rychło doszedł do przekonania, że takie było jego powołanie. W Petersburgu pociągały go cerkwie prawosławne z ich wspaniałą liturgią, której przeciwstawiał swój unicki obrządek, pozostawiony w ubóstwie i opuszczeniu i skażony wielu łacińskimi naleciałościami. Lgnął duszą do Rosji, do jej literatury, a bolał nad tym, że unia spolszczyła się i służy polskim interesom. Wszak nawet w samym Kolegium zastał jeszcze po części język polski, po polsku musiał rozmawiać z innymi kapłanami unickimi, z metropolitą, który po rosyjsku ledwo co rozumiał, listy od własnego ojca otrzymywał pisane po polsku, zresztą czuł, że i sam nie umie się wypisać dobrze a tym mniej wysłowić się gładko i poprawnie w swojej „ojczystej mowie" rosyjskiej. Zadaniem jego życia miało być zmienienie tego stanu rzeczy: rusyfikacja cerkwi unickiej, uwolnienie jej z pod wpływów polskich i stopniowe doprowadzenie jej do zlania się z prawosławiem. Jak widać z jego papierów, resztki wiary katolickiej ulotniły się z jego duszy już w r. 1826; wtedy nawet czuł fałszywość swego położenia i jakiś czas myślał o publicznym przyjęciu prawosławia i zostaniu mnichem.

Niedługo wszakże trwały te wahania. W roku 1827 Siemaszko zetknął się w swych służbowych stosunkach z wyższym urzędnikiem Kartaszewskim, któremu wygadał się z tym, co myślał o unii i o prawosławiu. Kartaszewski poradził mu, aby swoje myśli skreślił na piśmie. Siemaszko w tenże dzień zabrał się do pracy i w ten sposób powstał ów słynny jego memoriał *(Zapiska)* z dn. 5 listopada 1827 r., który miał się stać na szereg lat programem całej polityki rządu rosyjskiego względem resztek unii. „Zapiskę" przedstawiono Mikołajowi I, który był nią zachwycony. W kilka dni później zaproszono Siemaszkę do ministra Szyszkowa, który mu odczytał bilecik cesarski z wyrażeniem zadowolenia monarszego, że „znaleźliśmy takie narzędzie". Odtąd o prywatnym przyłączeniu się Siemaszki do prawosławia nie miało być mowy, miał on bowiem, jako unita, prowadzić swoją cerkiew do masowego połączenia z religią panującą. Odtąd, już z aprobatą i przy poparciu samego cesarza, miał on przez szereg lat prowadzić cerkiew unicką do zguby pod maską obrony jej praw i podnoszenia jej poziomu. Jeżeli niekiedy zarządzenia władz, albo gorliwość poszczególnych działaczy prawosławnych krzyżowały się z planami Siemaszki, wtedy groził on, że porzuci całą sprawę i sam przejdzie na prawosławie — i wówczas cofano się przed groźbą i dalej stosowano się do jego wskazówek.

Na czym polegała oryginalność planów Siemaszki?

Przede wszystkim wychodził on z założenia szkodliwości nawracania unitów na prawosławie przez duchowieństwo prawosławne przy pomocy władz świeckich. Tak postępowano za Katarzyny II, kiedy to od cerkwi unickich usuwano setkami księży wiernych unii, na ich miejsca osadzano sprowadzanych skąd inąd duchownych, ludowi kazano przyjmować wiarę cesarską, a gdy natrafiano na opór ludu, „wysyłano oddziały wojskowe z armatami". „Nawrócono" w ten sposób wówczas dwa miliony unitów, ale reszta, prawie drugie tyle, tym bardziej przywiązała się do unii i zbliżyła się do Kościoła ła-

cińskiego a dziesiątki tysięcy wprost na ten obrządek przeszło, by ratować wiarę. Księża dla lepszego zebezpieczenia się przed schizmą latynizowali się i polszczyli coraz bardziej. Siemaszko taki system nawracania potępia. Według niego, unikając cząstkowych nawracań, należy pracować nad całością cerkwi unickiej, powoli ale stale przygotowując ją, by w swoim czasie, jak owoc dojrzały, padła w objęcia prawosławia. Dlatego gniewają go cząstkowe nawrócenia, podejmowane to tu to tam przez biskupów prawosławnych i gubernatorów, nawrócenia, siejące popłoch i napędzające unitów w objęcia Polaków, łacinników.

Według Siemaszki nie należy poruszać zagadnień dogmatycznych, trudnych dla ludu, a które od razu zdradzałyby cel końcowy, do którego akcja nad unią ma zmierzać. Natomiast należy zbliżać Kościół unicki do prawosławia przez całkowite upodobnienie obrzędów. Oczyszczenie obrządku unickiego z łacińskich naleciałości pójdzie tym łatwiej, że będzie się można powoływać nawet na wolę papieży, którzy niejednokrotnie wypowiadali się za utrzymaniem obrzędów wschodnich w ich czystości. Takiej reformie nie będzie można nic zarzucić ze stanowiska prawowierności katolickiej, a kiedy lud do nowych porządków w cerkwi unickiej przywyknie, będzie gotów do prawosławia, w którym będzie widział te same obrzędy.

Aby ten cel osiągnąć, trzeba wyzwolić cerkiew spod wpływów łacińskich, zabraniając unitom odprawiać mszy w kościołach, a łacinnikom w cerkwiach, nie pozwalając księżom polskim chrzcić unickich dzieci, wychowując w seminariach unickich nowe pokolenie księży w duchu rosyjskim, rugując język polski z cerkwi, z urzędowania i stosunków towarzyskich i zastępując go rosyjskim. Cerkiew unicką należy lepiej, niż dotąd było, uposażyć materialnie, na dowód większej dla niej życzliwości ze strony cesarskiego rządu, niż jakiej doznawała ze strony łacinników i panów polskich. Tym ostatnim odjąć prawo patronatu, by duchowieństwo unickie usunąć spod ich wpływów. Żadnego z tych zarządzeń nie będzie można zaczepić ze stanowiska dogmatu katolickiego, oskarżać o schizmatyckie tendencje.

Realizację zaaprobowanego przez cesarza planu powierzono jego autorowi. Żeby podnieść jego autorytet, Mikołaj mianuje Siemaszkę 1829 r. biskupem i przeznacza na sufragana dla starego Martusewicza, przeniesionego z Łucka do Połocka. Ale to tylko tytuł, bo Siemaszko ma nadal rezydować w stolicy i kierować zamierzonymi reformami za pośrednictwem Kolegium unickiego, zupełnie już oddzielonego od łacińskiego departamentu i usamodzielnionego.

Ponieważ w stolicy nie ma jeszcze publicznej cerkwi unickiej, przeto Siemaszko „ku wielkiej swej przykrości“ otrzymuje sakrę biskupią w łacińskim kościele św. Katarzyny z rąk metropolity Bułhaka, w asyście swego ordynariusza Martusewicza i łacińskiego biskupa sufragana Gedrojcia. Przyznaje się w Pamiętnikach, że udało mu się przed konsekracją zmienić nieco rotę przysięgi, zapewne połykając niepostrzeżenie obietnicę wierności papieżowi.

W najbliższych latach umiera kilku starych biskupów, do unii przywiązanych. Na ich miejsce Siemaszko wprowadza swoich kompanów z wileńskiego seminarium: Antoniego Zubkę i Wasyla Łużyńskiego. Żeby zmniejszyć liczbę przeszkód w akcji, zredukowano liczbę diecezyj do dwuch: litewskiej z ośrodkiem w Żyrowicach i białoruskiej z siedzibą w Połocku, ale pasterze jej, arcyb. połocki Bułhak i Siemaszko, od r. 1833 biskup litewski, rezydują obaj w stolicy, w diecezjach zastępując się sufraganami Łużyńskim i Zubką. W r. 1838 umiera ostatni starej daty biskup, metropolita Bułhak, a Łużyński otrzymuje po nim Połock. Cały episkopat „unicki“ składa się już tylko z trzech jednomyślnych kompanów. Trzeba jeszcze dodać, że Zubko i Łużyński przed swoją konsekracją dali Siemaszce na piśmie deklarację, że gotowi będą przyjąć prawosławie, kiedy sprawa dojrzeje.

Dojrzewała ona pod kierunkiem Siemaszki przez lat jedenaście. Spod jego pióra sypały się różne projekty, składane rządowi, zwykle bez wiedzy metropolity. Projekty te otrzymywały aprobatę najwyższą i realizowane były przez ukazy carskie, lub przez zarządzenia Kolegium unickiego, w którym Siemaszko umiał uzasadniać konieczność i zbawienność zamierzonych reform. Zreformowano nauczanie w seminariach duchownych, wprowadzając podręczniki rosyjskie. Oczyszczono obrzędy, usuwając z cerkwi organy, dzwonki, polskie śpiewy i modlitwy, bu-

dując ikonostasy. Już w r. 1834 rozesłano mszały druku moskiewskiego, a stare poczajowskie, wileńskie czy supraślskie wycofywano z cerkwi i palono. Księży, którzy się tym reformom opierali, a takich były setki, wywoływano przed osobne komisje, uczono ich nowych obrzędów, a nieposłusznych degradowano na diaków, zsyłano do klasztorów na roboty służebne, ostatecznie nawet deportowano do monasterów prawosławnych w głębi Rosji. Wszystkiego tego dopuszczała się formalnie nie władza świecka, ale władza duchowna, „unicka“. Nic dziwnego, że księża, obarczeni rodzinami, ulegali i wreszcie na reformy się zgadzali, tłumacząc sobie, że nie rozchodzi się jeszcze o zdradę wiary, lecz o reformy liturgiczne. Tak też uspakajano zaniepokojony lud. Najmniej podatnym elementem byli zakonnicy Bazylianie, więc żeby opór ich zniweczyć, zredukowano liczbę ich klasztorów, zniesiono urząd prowincjalski i poddano ich pod jurysdykcję biskupów; zakonnikom pochodzenia polskiego, a takich było coś około połowy, pozwolono powrócić do rodzimego obrządku i powstępować do zakonów łacińskich; nowicjuszów przyjmowano z doborem i kształcono razem z klerykami świeckimi; dobra zakonne obracano na lepsze uposażenie księży świeckich, by tym sposobem pozyskać ich dla dalszych zamiarów.

Siemaszko osobiście dopilnowywał wszystkich tych reform, udając się kilkakrotnie w teren, zwołując przed swoje oblicze prawie wszystkich księży, jednych wynagradzając za powolność rozporządzeniom duchownej władzy, drugich niemiłosiernie karząc za nieposłuszeństwo. Ci nieposłuszni, pozbawieni kawałka chleba dla siebie, swych żon i dzieci, nie mogąc się uciec pod niczyją opiekę, bo i klerowi łacińskiemu zabroniono wtrącać się do spraw „unickich“, miękli ostatecznie, na wszystko zrezygnowani. W ten czy inny sposób pozyskanych księży Siemaszko wtajemniczał, każdego osobno, w dalsze plany swoje i rządu i podsuwał do podpisu deklarację, że gotowi będą przyjąć w stosownej chwili prawosławie. Wielu dawało swe podpisy w nadziei, że może tej chwili nie doczekają. Obawy buntu ze strony wiernych uspakajał Siemaszko zapewnieniem, że nawet po odstąpieniu od unii księża będą mogli golić swe brody i nosić sutanny, by lud nawet nie zauważył zmiany religii. Do początku 1839 r. takich deklaracyj nazbierał Siemaszko przeszło 1300. Resztę księży chciał zaskoczyć już faktem dokonanym.

Pod koniec 1838 r. Siemaszko uważał przygotowania za ukończone. Czas było zrobić krok ostateczny, zrzucając maskę. Ostatnia, z jaką się liczył, przeszkoda w osobie metropolity Bułhaka, „fanatycznego Rzymianina“, ustąpiła przez jego śmierć. Mikołaj i ober-prokurator synodu Protasow zaakceptowali plan Siemaszki. Należało połączenie unii z prawosławiem „oformić“ jakimś uroczystym aktem. Siemaszko przekonał władze, że do tego nie potrzeba żądać od wiernych żadnego wyznania wiary prawosławnej, ani dokonywać nad nimi jakichś rekoncyliacyjnych obrzędów. Zbytecznym także byłoby żądać tego od poszczególnych kapłanów. Wielu z nich już dało w tajemnicy zgodę na przyłączenie do prawosławia. Wystarczy teraz, że episkopat unicki i wybitniejsi kapłani stwierdzą w imieniu całej cerkwi unickiej zerwanie z Rzymem i podporządkowanie się pod władzę najświętszego synodu. Unia przez to samo przestanie istnieć, a duchowni, którzy dotąd deklaracji nie dali, zostaną postawieni w położenie przymusowe pogodzenia się z faktem.

Tak też uczyniono. Właśnie owego 12 lutego (24 według nowego stylu) 1839 r. został sporządzony ów akt „soborny“ w Połocku, o którym mówiliśmy na początku, podpisany, oprócz trzech biskupów, przez 21 dygnitarzy konsystorskich i profesorów obu diecezyj. Trzeba tu dodać, że połowa podpisanych, mianowicie protojereje i profesorowie z Żyrowic, nie byli wtedy wcale w Połocku na rzekomym soborze, tylko podpisy dali wcześniej na przygotowanym już akcie. Biskupi od siebie wystosowali też najpoddańniejszą suplikę do cesarza, by ich raczył przyjąć do cerkwi prawosławnej. Dalsze akty już są znane nam: sesja synodu 23 marca, cesarskie *prynimaju* 25 marca i ucałowanie się z dawnymi prawosławnymi w synodzie 30 marca. Siemaszko, pozostawiony na katedrze wileńskiej, został podniesiony do godności arcybiskupa i obdarowany dodatkową pensją, Zubko niebawem pójdzie na katedrę mińską, a Łużyński długie lata będzie rządził w Połocku.

W diecezjach akt *wozsojedinienia* nie wszędzie ogłoszono ludowi równocześnie;

zależało to od stanu przygotowania umysłów. Księżom rzeczywiście pozwolono dalej golić się i nosić sutanny, nawet sam Siemaszko zapuścił zarost dopiero w trzy lata po apostazji. Księża zapuszczali brody i przebierali się w riasy stopniowo, za pozwoleniem swych biskupów, co było już uważane jako nagroda za gorliwość w utrwalaniu prawosławia. Księża, którzy nie dali deklaracyj na odstępstwo, o ile się nie pogodzili z faktem dokonanym, zostali usunięci i poosadzani w klasztorach; niektórym tylko w drodze łaski pozwolono zamieszkać prywatnie, ale bez możności celebrowania lub spowiadania się u katolickich kapłanów. Po klasztorach męskich i żeńskich jeszcze długie lata miano kłopoty z „upartymi“ unitami, ale nic sobie z tego nie robiono. Unia już legalnie nie istniała, a łacińskiemu klerowi przecięto wszelką możność dostępu do *uporstwujuszczych*. Umierali też bez sakramentów.

Medal, wybity na pamiątkę połączenia unitów z prawosławiem, miał napis: *Ottorgnutyje nasiliem, wozsojedinieny lubowju* — „oderwanych gwałtem połączyła znowu miłość“. Swoiste pojmowanie miłości działaczy „wozsojedinienia“ napiętnował papież Grzegorz XVI w alokucji do kardynałów 22 lipca 1842 r., poczym została ogłoszona przez Watykan „biała księga“ dokumentów, dowodzących co Stolica św. czyniła, by zagrożoną część owczarni Chrystusowej zachować przy jedności katolickiej.

Po dokonanym odstępstwie Siemaszko żył jeszcze blisko lat trzydzieści, jako arcybiskup, potem metropolita „litewski i wileński“. Umacniał swoje dzieło. Podawał rządowi różne projekty walki z Kościołem łacińskim. Triumfował po nieudanym powstaniu styczniowym, utopionym na Litwie we krwi przez Murawiewa. Poszedł na sąd Boży 23 listopada st. st. 1868 r. Według jego planów i jego metodą dokonano zniszczenia w 1875 r. ostatniej pod carskim panowaniem diecezji unickiej — chełmskiej.

Unia u wielu poszła w zapomnienie, kraj cały uległ rusyfikacji. Ale nie całkowicie. Kiedy w r. 1905 wyszedł wymuszony tolerancyjny ukaz Mikołaja II, kilkadziesiąt tysięcy potomków owych, „przyjętych“ miłościwie przez Mikołaja I na łono prawosławia unitów powróciło do wiary swych ojców, już w obrządku łacińskim. Więcej jeszcze powróciło ich na Podlasiu i Chełmszczyźnie.

Politycznie — kolos rosyjski legł w gruzy. Powstała Polska, którą Siemaszko tak serdecznie nienawidził. Jego katedra w Wilnie, przerobiona z jezuickiego kościoła św. Kazimierza, powróciła do prawych swych właścicieli. Józef Siemaszko, umierając, może cieszył się, że zostawia „iście rosyjską“ owczarnię, lecz oto w 70 lat po jego zgonie przybywa do Wilna inny Siemaszko, biskup prawosławny Mateusz, uważający się za Polaka i witający wiernych — po polsku! Czy to ekspiacja grzechów Siemaszki I-ego przez potomka tej samej dynastii? Jeżeli tak, to sądzimy, że ekspiacja ta nie jest pełna i nie od najlepszego końca zaczęta. Prawosławie w Polsce winno odbyć całą drogę, którą przebył Józef Siemaszko, tylko w kierunku odwrotnym.

Ks. J. Urban.

ŚWIĘTA GÓRA ATHOS

(Dokończenie)

Przestąpmy na chwilę gościnne progi jednego z monasterów i przypatrzmy mu się od wewnątrz. Życie duchowe każdego monasteru czy skitu ogniskuje się przy świątyni zwanej *katolikon*, wzniesionej zresztą prawie z zasady w pośrodku budynku. Oprócz cerkwi głównej w monasterach znajdują się pomniejsze kaplice. Posiadają je nawet małe osiedla. Liczba cerkwi i kaplic w obrębie całego Athosu sięga do tysiąca.

Głuchy dźwięk, wywołany uderzeniem młotka w drewnianą lub metalową deskę zwaną *symandra*, zastępującą dzwonek, w ciszy nocnej spędza sen z powiek mnichów, a w czasie pracy dziennej odrywa ich od zajęć i gromadzi na liturgię. Przyznać należy, że liturgia wschodnia dobrze wykonana zdolna jest wywołać bardzo

głębokie przeżycia religijne. Jej zasadniczą jednostką składową są tzw. ektenie, przypominające nasze litanie. Dla wiernych wystarczy znać kilka formuł odpowiedzi w rodzaju: „Panie, zmiłuj się nad nami“, czy „Racz nam dać Panie“, by móc sobie zapewnić żywy współudział w odprawianym nabożeństwie. W liturgii wschodniej do dzisiaj zachował się silnie uwydatniony charakter społeczny, jako modlitwy niejednostkowej lecz zbiorowej, jako modlitwy Kościoła. Najbardziej wymownym przejawem tego jest odprawianie jednej wspólnej ofiary eucharystycznej przez kilku kapłanów równocześnie. Wytwarza ona wtedy między uczestnikami świadomość i poczucie głębokiej solidarności, wzajemnej przynależności wszystkich skarbów, z łaski płynących w Chrystusie Panu.

Przez tych kilka uwag, dotyczących liturgii wschodniej, pragnąłem zaznaczyć, że niesłuszne są uprzedzenia zakorzenione w społeczeństwie polskim. Na szczęście rozwijający się coraz to żywiej ruch liturgiczny poczyna wywoływać niejedną zmianę poglądów na tę sprawę tak doniosłą. Albowiem tylko przez ukochanie głębokie tego co własne, naszej liturgii łacińskiej, można wyrobić szacunek i uznanie należyte dla liturgii wschodniej, która przecież swym pochodzeniem sięga czasów apostolskich, która niezależnie od tego, kto ją sprawuje, pozostaje zawsze własnością Kościoła katolickiego, której wartość duchowa i wychowawcza ma za sobą zasadniczą rękojmię Stolicy Apostolskiej.

Dla powierzchownych choćby znawców chrześcijańskiego Wschodu nie będzie rzeczą dziwną stwierdzenie, że na Athosie najpiękniejszym wykonaniem liturgii wyróżniają się klasztory rosyjskie. Zresztą w ogóle cechuje je przy krótkim nawet zetknięciu widoczny wyższy poziom życia w porównaniu z klasztorami greckimi. Wymagania ascetyczne są tu bardziej surowe, karność zakonna ściślej przestrzegana, więcej troski o ład i porządek, co do pewnego stopnia można również uważać za ślady dawnej przedwojennej zamożności.

Nie bez pewnej przykrości wypada podkreślić, że na Athosie, podobnie jak i w ogóle na odłączonym Wschodzie, praktyki eucharystyczne, szczególnie zaś częsta komunia św. nie znajdują należytego uwzględnienia. Na tym tle na Athosie wywiązał się w wieku XVIII znamienny spór jak często wolno mnichom przystępować do Stołu Pańskiego i jakie obowiązuje doń przygotowanie. Wielu było bardzo przeciwnych częstej Komunii św., przejaskrawiając konieczność spowiedzi i szczególnych praktyk pokutnych przed jej przyjęciem. Patriarchat konstantynopolitański, wbrew stanowisku zajętemu przy tej sposobności przez arcybiskupa Koryntu, raczej był po stronie rygorystów. Sprawa została rozstrzygnięta ostatecznie w ten sposób, że Komunię św. można przyjmować co najwyżej raz na tydzień w niedzielę.

Natomiast w pobożności Athosu bardzo poważne miejsce zajmuje myślne czy ustne recytowanie „modlitwy Jezusowej“ oraz wybijanie pokłonów. Praktyka pokutna pokłonów, wymagająca niewątpliwie dużego wysiłku fizycznego, jest dostosowana w obowiązujących przepisach do stopnia zajmowanego przez mnicha w społeczności klasztornej. Mnisi o pełnych najwyższych ślubach zakonnych mają obowiązek wykonania 1200 pokłonów dziennie, inna grupa pośrednia — 600, mnisi o ślubach prostych — 300, wreszcie nowicjusze rozpoczynają od 100 pokłonów.

Jeśli chodzi o modlitwę osobistą, najbardziej rozpowszechnioną i ulubioną formą są słowa: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym“. Praktyka tej modlitwy jest ujęta w cały zespół okoliczności drugorzędnych, przez mnichów bardzo wysoko cenionych, częstokroć rażąco przejaskrawionych. Mianowicie, mnich przy tej modlitwie przyjmuje szczególną postawę siedzącą, z brodą opuszczoną możliwie głęboko, z oczyma utkwionymi w jeden punkt własnego ciała. Przy wymawianiu słów modlitwy obowiązuje również odpowiednie opanowanie i ułożenie rytmu oddechowego. Początkujący szepcą tę modlitwę ustami, zaprawieni powtarzają ją myślnie, stawiają sobie przy tym za cel całkowite pogrążenie się w milczeniu, w zapomnieniu o świecie, by wreszcie po wielu latach dojść do oglądania „światła wewnętrznego“, zwanego szumnie światłem Taboru. Niestety opisana forma modlitwy dość szybko została wynaturzoną zarówno przez niewłaściwe ekstrawagancje w ułożeniu postawy zewnętrznej, jak i w teoretycznych opracowaniach, zwłaszcza dotyczących światła Taboru. Mnisi, oddający się tej przejaskrawionej formie ascezy, zostali nazwani *hezychastami,* a cały ich kierunek *hezychia-*

nizmem. Na tym tle społecznością Athosu w wieku XIV wstrząsała bardzo gorąca walka ideowa. Pomijając zewnętrzne praktyki, u podstaw walki leżał błędny pogląd hezychastów, którzy światło Taboru poczęli utożsamiać z przymiotami Boga. W celu uzasadnienia takiej koncepcji utrzymywano, że Bóg jest kosmosem czy organizmem bardzo wielu energij i przymiotów, co ostatecznie musiało prowadzić do przekreślenia artykułu wiary o przysługującej Bogu prostocie.

Głównym wyrazicielem poglądów hezychiańskich był bardzo zdolny mnich, następnie metropolita Tessalonik, Grzegorz Palamas. Na czele liczebnie szczuplejszej grupy mnichów przeciwnych hezychianizmowi stanął mnich Barlaam rodem z Kalabrii, obeznany z nauką i ascetyczną kulturą łacińską, posiadający również znajomość scholastyki. Spór, prowadzony w atmosferze wielkiej zaciętości, przechodził bardzo różnorodne koleje. Zwycięstwo ideowe zdawało się przechylać raz na jedną, raz na drugą stronę. Ostatecznie jednak zostało ono w rękach hezychastów. Przeciwnicy głoszonych przez nich zasad ascetycznych zostali potępieni na synodzie w Konstantynopolu. Nad życiem duchowym Athosu zawisła oćma ekscentrycznych praktyk i jałowych w zasadzie wysiłków.

Wybitny znawca psychologii religijnej, prof. Jerzy Wunderle, czyni spostrzeżenie, że klęska ideowa Barlaama i opanowanie Athosu przez hezychianizm oznacza w gruncie rzeczy odtrącenie myśli scholastycznej i łacińskiej kultury duchowej.

Po raz wtóry wpływy zachodnie zakołatały do bram Athosu w wieku XVIII. Tym razem jednak nie w postaci zdrowej nauki, lecz pod hasłami, które mogły się stać niebezpieczne. Ich wyrazicielem był Eugeniusz Bułgarys, jeden z największych uczonych Grecji nowożytnej, niestety osobisty przyjaciel Woltera, hołdujący w pewnej mierze poglądom racjonalistycznym. Z inicjatywy monasteru Watopedi, który zawsze wyróżniał się pragnieniem postępu, w pobliżu jego murów powstał zakład naukowy, nazwany nie bez pewnej pretensjonalności Akademią Athońską. Na jej rektora został powołany Eugeniusz Bułgarys. Po okresie stosunkowo krótkiego rozwoju gwałtowny sprzeciw mnichów przeciwko Akademii zmusił Bułgarysa do zrzeczenia się zajmowanego stanowiska. Z zakładu zaś pozostały tylko opustoszałe mury.

Byłoby jednak błędem w postawie zajętej przez mnichów względem Akademii i działalności Bułgarysa dopatrywać się odruchu troski o prawowierność doktryny. Niestety, w zwycięstwie odniesionym przez mnichów zarówno w walce z Barlaamem, jak i w sprzeciwie względem Eugeniusza, czynnikiem decydującym była ich odraza do wszelkiej nauki, nawet teologicznej.

W późniejszych okresach na Athosie istniała zaledwie szkoła elementarna. Ostatnio zaś przed ośmioma laty założono rodzaj liceum przy skicie św. Andrzeja. Przy zakładzie był internat dla kształcącej się grupy. Obecnie ze względu na brak środków materialnych internat zamknięto.

Przy sposobności warto postawić pytanie, skąd monastery i mnisi czerpią środki na swe utrzymanie? Częściowym źródłem dochodów były różnego rodzaju dobra nieruchome zwane *metochionami,* które na podstawie darowizny monastery posiadały poza obrębem Athosu. W okresie przedwojennym były one rozsiane na całej przestrzeni półwyspu bałkańskiego i po rozległych obszarach Rosji zwłaszcza południowej. Po wojnie wszystkie metochiony również w Grecji uległy kasacie. Zarząd dóbr sprawowali zwykle mnisi, wyznaczeni na ten cel spośród społeczności Athosu. Nadto monasterom udzielano wielokrotnie zezwolenia na zbieranie jałmużny w różnych krajach. Łącznie ze znaną skądinąd ruchliwością mnichów, zwłaszcza bardziej wykształconych, którzy bynajmniej nie zobowiązywali się do stałego przebywania na Athosie, a raczej dość często zmieniali miejsce swego pobytu, są to wszystko czynniki, które do pewnego stopnia wyjaśniają ogromny wpływ, jaki Athos zdołał sobie zapewnić na całym chrześcijańskim Wschodzie.

W dziedzinie praktycznych poglądów co do prawa własności osobistej Athos przechodził przez znamienną przemianę, która się odbiła na całym życiu Góry Świętej. Mianowicie, między wiekiem XV a XVIII wszystkie monastery przechodzą stopniowo od zasad cenobitycznych do idiorytmizmu. Co oznaczają te pojęcia? W klasztorach opartych na życiu wspólnym przestrzegano bezwzględnego ubóstwa ze strony pojedynczych zakonników. Dochody, które wpływały na ręce mni-

chów, były własnością monasteru. Napływały one czy to drogą ofiar składanych przez pielgrzymów, czy też z rozsprzedaży w Karyesie przedmiotów i pamiątek wyrabianych w wielkiej ilości. Mnisi mieli zapewnione całkowite utrzymanie, ubranie, opiekę w razie choroby i na starość. Węzły solidarności, zadzierzgnięte przez zbiorowe modły, pogłębiały się znacznie przez wspólne spożywanie posiłków w refektarzu oraz przez podleganie wspólnej władzy, spoczywającej w rękach igumena. Słowem w tym systemie monaster stanowił jednolitą komórkę o charakterze całości organicznej. Natomiast, jak wskazuje sama nazwa, przy systemie idiorytmicznym mnich ma prawo dysponować uzyskanymi pieniędzmi w sposób zgoła dowolny. Źródłem dochodów zazwyczaj bywa praktykowanie rzemiosła lub też inny zawód użyteczności ogólnej, np. znajomość lecznictwa. Zebrane zasoby mnich może przesyłać rodzinie bliższej czy dalszej, może też nabywać na własność poza obrębem Athosu różnego rodzaju przedmioty.

Konkretnie biorąc sytuacja układała się w ten sposób, że mnich bardziej zamożny, czy bardziej wykształcony grupuje przy sobie czterech, pięciu innych, tworząc z nich drobną, samowystarczalną komórkę. Jej założyciel zostaje przełożonym *(proestos)* i on reguluje wszelkie zobowiązania względem monasteru. Natomiast zaangażowani przezeń mnisi są jakgdyby współdomownikami tej małej rodzinki zakonnej. Faktycznie jednak nie brak tutaj pewnych cech stosunku pracodawcy do najemników. W ramach grupy własność zasadniczo przysługuje przełożonemu. On zato bierze na siebie troskę zaspokajania potrzeb swych współtowarzyszy. W rękach przełożonego spoczywa nawet prawo przyjmowania i kształcenia kandydatów. Ze śmiercią przełożonego mnisi z nim związani odzyskują niezależność i mogą przystąpić do nowego układu grupowego. Dla przykładu zaznaczę, że słynny monaster Iwiron liczył zwykle 12 do 15 takich grupek.

Następstwa podobnego ustroju dają się odczuwać dotkliwie w wielu dziedzinach. A więc następuje rozluźnienie więzów pomiędzy członkami monasteru. Albowiem każda grupka korzysta z własnego refektarza. W niektórych wypadkach dochodzi nawet do zapoznania praktyki wspólnej modlitwy w katolikonie. Zwierzchnictwo nad monasterem idiorytmicznym sprawuje rada *(geruzia)*, w skład której wchodzą przełożeni poszczególnych grup. Rada wybiera spośród swych członków tzw. *proistamenosa*, który spełnia w ciągu roku obowiązki kierownicze i nadzorcze nad całością spraw monasteru. Właściwej jednak władzy nie posiada.

Zrozumiałe, że ustrój idiorytmiczny musiał bardzo ujemnie zaciążyć na poziomie wewnętrznego życia w monasterach. Patriarchat konstantynopolitański odmawiał aprobaty tak daleko sięgającym innowacjom. Wreszcie nie mogąc patrzeć obojętnie na przejawy rozkładu, wystąpił z inicjatywą reformy, mającej na celu przywrócenie dawnych zasad cenobitycznych. Za reformą opowiedziało się 11 monasterów. Niestety, wśród tych, które nadal trzymają się idiorytmizmu, pozostały cztery najstarsze i najświetniejsze: Ławra, Watopedi, Iwiron i Hiliandari.

Przy drodze, wiodącej z Ławry do monasteru Karakalla, sterczą samotne ruiny. Muszą one nas zainteresować w sposób szczególny. Są one bowiem świadectwem żywych stosunków, które rzeczpospolitę mnichów wschodnich łączyły w zaraniu jej dziejów z łacińskim Zachodem. Ruiny wspomniane są resztkami murów po benedyktyńskim klasztorze łacińskim, założonym na Athosie za życia św. Atanazego przez Leona, brata Pandulfa, księcia Kapui. Nazwa klasztoru wskazuje wyraźnie pochodzenie łacińskich zakonników. Jej oryginalne, dawne brzmienie *ton Amalfinon* podkreśla, że miejscem skąd przybyli na Górę Świętą było Amalfi, miejscowość położona na południowo-zachodnim krańcu Italii. Początkowo po przybyciu na Athos, brat Leon i jego sześciu towarzyszy korzystali z gościny w Iwironie, a następnie założyli własne osiedle.

Kroniki Monte Cassino, macierzy ruchu benedyktyńskiego, wspominają, że jeden z opatów, Jan z Benewentu, jako mnich po swym pobycie w Jerozolimie i na Synaju spędził cztery lata na Athosie (ok. 997 r.). Dokument z 1045 r. upoważnia mnichów łacińskich do posiadania statku na własne potrzeby. Podpisy opatów amalfitańskich figurują na aktach jeszcze w drugiej połowie wieku XII.

Po zajęciu półwyspu przez krzyżowców czwartej wyprawy papież Innocenty III wziął Athos pod protektorat Stolicy Apo-

stolskiej. Pomimo to okres podlegania łacinnikom w historii Athosu zapisał się bardzo smutnymi faktami. Brak należnego szacunku dla świątyń, relikwii, sprzętów kościelnych musiał zmrozić życzliwość mnichów dla Zachodu. A jednak wśród podpisów na dekrecie unijnym Soboru Florenckiego figurują imiona pięciu przedstawicieli Athosu. Pod koniec wieku XVI niektóre monastery korzystały z prawa kwestowania na łacińskim Zachodzie.

Około 1635 roku w Karyes została otworzona szkoła katolicka z ramienia Propagandy przez Mikołaja Rossi. Wobec nacisku podatkowego Porty szkoła w pięć lat później została przeniesiona do Salonik, których metropolita, Atanazy Patellaros, był życzliwym dla katolicyzmu. Nawet Rada Naczelna zaproponowała w tym czasie Propagandzie Wiary jeden kelion na Athosie pod warunkiem, że otrzyma dla siebie kościół w Rzymie, który by był obsługiwany przez mnichów z Athosu. Przysługi, wyświadczone Wielkiej Ławrze przez o. Izaaka d'Aultry T. J., skłoniły mnichów do propozycji, by jezuici rezydowali stale na półwyspie i wyrabiali ojców duchownych (starców) dla monasterów. Zdaje się jednak, że na wymienione fakty należy patrzeć jako na odruchy raczej sporadyczne. W ostatnich stuleciach Athos stał się najbardziej odpornym bastionem prawosławia.

Turysta nawet bardzo życzliwy dla Wschodu zmuszony jest stwierdzić fakt, że blask Athosu gaśnie. Kurczy się stan liczbowy monasterów. Ich ściany poczynają się rysować, a nie ma komu zacierać powstających szczelin. Athos, który w okresie przedwojennym, w latach wielkiego rozkwitu liczył 10.000 mnichów, obecnie posiada ich mniej niż połowę tej cyfry. Spadek powołań zwłaszcza dotkliwie daje się odczuwać klasztorom rosyjskim. U św. Pantelejmona przed wojną mieściło się około 3.000 mnichów. Obecnie przebywa ich co najwyżej 350. Podobnie u św. Andrzeja liczba mnichów z jakich 500 spadła do 80. Dom rosyjskiego antyprosopa w Karyesie, poprzednio przeznaczony na 15 osób i zwykle wypełniony po brzegi, obecnie zajmują tylko gospodarz i jeden mnich, który mu usługuje. W monasterach greckich stan liczbowy jest mniej katastrofalny, lecz i w nich sytuacja jest dosyć trudna.

* * *

W pamięci mej budzą się wspomnienia nocy, spędzonej w rosyjskim monasterze św. Pantelejmona. Klasztor położony nad samym brzegiem morza. Budynki tarasami idą stopniowo ku górze. W dzień zdaleka przyciągają bielą swych ścian. O tej porze — późnej, dochodzi bowiem północ — klasztor tętni życiem. Po werandach i korytarzach przesuwają się cienie mnichów, śpieszących ku przybytkowi Bożemu. Trafiliśmy na wigilię uroczystości św. Jana Chrzciciela. Wielkie święto. Niedawno rozkołysały się dzwony i dzwonki cerkiewne znaną dobrze z lat dziecięcych, wówczas nawet dziecku niemiłą, melodią. A teraz zapadła cisza nocy lipcowej. Księżyc wzbił się na sam szczyt ciemnego sklepienia niebios. Promienie srebrzystą poświatą układają się na tafli wodnej daleko, daleko. Stoję oparty o framugę okna. Do mych uszu poczyna dochodzić rzewny śpiew psalmu, potem *ektenie*. Płyną głosy to mocniej to słabiej, a wraz z nimi płynie moja myśl: czym jest ten zakątek ziemi? Czy światło, które zeń płynęło w ciągu wieków ostatnich na odłączony Wschód chrześcijański, nie jest jako ten blask księżycowy, migotliwy, czarem przepojony, a jednak... tylko księżycowy? I bezwiednie nasuwa się w ślad za tą myślą pytanie, czy ta Święta Góra ocknie się jeszcze kiedykolwiek w pełnym słońcu katolickiej prawdy? Czy życie Athosu odnowi się w dawnej jedności kościelnej, której symbolem były, są i pozostaną czcigodne postacie patriarchów Góry Świętej: Atanazego, Eutymiusza, Sawy i Stefana? Czy wrócą te stosunki między chrześcijańskim Wschodem a Zachodem, gdy to wielki eremita, św. Piotr z Athosu, przyjmował habit zakonny z rąk papieża Agatona?

Ks. Ant. Pawłowski.

DUCH PRZEDPOŚCIA W KOŚCIELE WSCHODNIM

Okres wielkiego postu, poprzedzający uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, od zarania starożytności chrześcijańskiej był zawsze w wielkiej czci i poszanowaniu w całym Kościele, tak Zachodnim jako i Wschodnim. Jednak Kościół wschodni, bardziej konserwatywny w swych zwyczajach, kładł wielki też nacisk na specjalne i godne przygotowanie się do właściwego w. postu i to starał się swym wyznawcom uwypuklić i na każdym kroku zaakcentować.

Okres czasu, poprzedzający wielki post, jest okresem przygotowawczym — trzytygodniowym. Te trzy tygodnie powinny usposobić i przygotować duszę człowieka do jej właściwego i zasadniczego celu, przez środki zbawiennych rad i upomnień, w jakie obfitują nabożeństwa tego okresu, oraz ciało — przy pomocy środków, które stopniowo wprowadzają różnego rodzaju umartwienia i ograniczenia w życiu codziennym, aby wreszcie rozpocząć ścisły post przedwielkanocny.

Okres przygotowawczy czyli trzytygodniowy rozpoczyna się od niedzieli zwanej przez Kościół wschodni „Niedzielą Celnika i Faryzeusza“, a jest to niedziela, poprzedzająca Siedemdziesiątnicę-Starozapustną. Zatem tą przepiękną przypowieścią o Celniku i Faryzeuszu Kościół wschodni rozpoczyna przygotowanie do w. postu. Druga Niedziela, „Marnotrawnego Syna“, zwana inaczej Siedemdziesiątnicą *(Septuagesima)*, Starozapustną, rozpoczyna się przypowieścią Chrystusa o Marnotrawnym Synu, w której Kościół stara się uwypuklić radość ojca z odnalezienia się zaginionego syna i zachęca wiernych do otwarcia serc swych przed Panem, ufając bezgranicznie miłosierdziu Jego. Trzeci tydzień rozpoczyna się Niedzielą o „Strasznym Sądzie“, jest to niedziela Mięsopustna *(Sexagesima)*. Wreszcie wypędzenie „Adama i Ewy z Raju“ przypomina nam Niedziela Seropustna *(Quinquagesima)*, Zapustna, która też kończy cały okres przygotowawczy do w. postu. Niedziela Seropustna, zwana jest jeszcze Niedzielą Darowania (Przebaczenia), albowiem Ewangelia tejże mówi o darowaniu i przebaczeniu uraz bliźnim.

W poniedziałek po Niedzieli Seropustnej rozpoczyna się w Kościele wschodnim już wielki post, który obowiązuje wszystkich wiernych, jednak zasadniczo Kościół rozpoczął go już nieszporami Niedzieli Seropustnej.

Na pierwszy rzut oka zdawać się może, że te trzy tygodnie zawierają w sobie cztery niedziele (niedziela w pojęciu dnia), jednak Niedziela Celnika i Faryzeusza nie należy do pierwszego tygodnia przygotowawczego, ale rozpoczyna go właściwie dopiero poniedziałek po tejże niedzieli; mimo to Kościół wschodni, ze względu na charakter i znaczenie przypowieści o Faryzeuszu i Celniku, kieruje główną swą uwagę na pierwsze trzy niedziele, a czwarta jest uzupełnieniem całego cyklu. Dlatego i Niceforus Kallistus pisze:

Te trzy wspomnienia: o Celniku i Faryzeuszu, Marnotrawnym Synu i drugim przyjściu Chrystusa Pana, są wyidealizowane przez Ojców świętych jako krótkie ćwiczenie i pewne dalsze przygotowanie do tych wielkich zdarzeń, jakie czekają każdego wyznawcę Chrystusowego. Stąd się czerpie usposobienie i gotowość ducha do walki w okresie w. postu ze złymi i szkodliwymi nawykami.

Pierwsza przypowieść o Celniku i Faryzeuszu jest przypowieścią ponad wszystkie inne i od niej swą nazwę bierze ten tydzień. I rzeczywiście, jak dowódcy udający się na wojnę dają rozkazy, jak i w jakim czasie należy wojnę rozpoczynać, robią przegląd żołnierzy i broni, trzymają wszystko w żelaznej karności, usuwają wszelkie przeszkody w natarciu, rozmyślając nad strategią i tyle razy najpierw wzniecają zapał i ducha męstwa w żołnierzach przez swe mowy, pełne przykładów w ofiarne poświęcenia ich przodków, usuwając tym samym bojaźń, tchórzostwo i zwątpienie, tak i Ojcowie święci przygotowują wiernych wyznawców do walki, która jest koniecznością, jeżeli mamy oczyścić dusze swe z różnych naleciałości i niewłaściwości życia, które z biegiem czasu do nas przylgnęły. Owszem, coś więcej jeszcze, mamy zdobyć cnotę, której nie mamy i tak uzbrojeni powinniśmy być gotowi do spełnienia swego obowiązku, gotowi do przetrzymania próby w. postu.

Dlatego pierwszą bronią w zdobyciu cnoty, będzie pokuta i pokora. Ojcowie święci wykładając Ewangelię św. o Celniku i Faryzeuszu wskazują: 1) na modlitwę Faryzeusza, aby przez to samo potępić pychę i zbytnie mniemanie o sobie; 2) na modlitwę Celnika, aby wywyższyć i podnieść znaczenie pokory i pokuty w oczach Bożych. [1])

W modlitwach i pieśniach okresu wielkopostnego Ojcowie święci po krótce wyłożyli myśli o stworzeniu świata i człowieka, błogosławionym stanie pierwszych naszych rodziców, upadku i wygnaniu z raju, przyjściu na świat Syna Bożego, Jezusa Chrystusa dla

[1]) N. Kallistus, Synaxarium, w wydaniu weneckim Triodionu.

zbawienia rodzaju ludzkiego, aby tymi wspomnieniami zobrazować początek grzechu i usposobić nas do żalu za grzechy, do pokuty, do postu.

Ponieważ źródłem grzechów i zasadniczą przeszkodą w pokucie jest pycha, zaufanie samemu sobie, że się jest sprawiedliwym, z pogardą dla bliźnich, dlatego Kościół wschodni przed rozpoczęciem w. postu wyjaśnia przypowieść o celniku i faryzeuszu, że każdy kto się wywyższa, będzie uniżon, a kto się uniża, będzie wywyższon. Nie w innym, tylko w tym celu, aby wzbudzić wstręt u wiernych do czynów faryzeusza, przechwalającego się ze swego postu — Kościół wschodni we środę i piątek po niedzieli celnika i faryzeusza pozwala wiernym spróbować mięsa, a zakonnikom sera i jaj. [1])

W łączności z przypowieścią Chrystusa Pana o celniku i faryzeuszu, nabożeństwa pierwszego tygodnia przygotowawczego są przepełnione rozważaniami i modlitwami na powyższy temat, podając wiernym motywy zastanowienia się nad życiem swym. Siła i obrazowość tych modlitw jest bardzo duża, oto dla przykładu mały urywek:

Panie Wszechmogący, wiem co mogą sprawić łzy: one od bram śmierci wybawiły Ezechiasza, one od ciężkich win uwolniły jawnogrzesznicę; one też usprawiedliwiły w oczach Twoich celnika, a wśród nich okaż miłosierdzie i mnie, o co Cię bardzo proszę. Oczy moje ciężarem win są przygniecione i nie mogę ich podnieść, aby móc popatrzeć na niebo; lecz Ty, Zbawicielu, racz udzielić mi łaski żalu, jak nie poskąpiłeś jej celnikowi i okaż mi swe miłosierdzie. [2])

Modlitwa jest też nauką praktyczną dobrego postępowania, dlatego nie wiadomo, co więcej należy w modlitwie podziwiać: czy świętość i wielkość, czy słodkość i delikatność uczucia, które jak wonny balsam unosi się do tronu Najwyższego. Strona dydaktyczna prawie zawsze ma pierwszeństwo przed błagalną, która obudza w człowieku uczucia najdelikatniejsze, która dotyka najbardziej czułych strun serca.

Wiedzieć powinniście, że nagrodą pokory będzie wywyższenie, a pychy fatalny upadek; naśladuj dobre usposobienie celnika i znienawidź złe faryzeusza. Pycha burzy wszelkie dobro, pokora usuwa każde zło: roztropnie postępuj w życiu, pogardzając każdą pyszną czynnością. [3])

Powyższe rozważania moralne uzupełnia przykład samego Zbawiciela, który nie zadowolił się tylko przypowieścią nam pozostawioną, ale wskazał drogę do zdobycia cnoty pokory, stawiając siebie samego za przykład. O tym właśnie wspomina jedna z modlitw tego tygodnia w słowach pełnych namaszczenia:

Jedną z najpiękniejszych dróg do chwały wskazałem ci na pokorę Słowa, wyniszczonego aż do ostateczności i przyjmującego postać sługi; każdy naśladowca będzie wywyższony. Aby się wznieść do chwały Bożej, Chrystus Pan wskazuje ci na pokorę, myjąc nogi swych uczniów. Naśladujmy Zbawiciela i idźmy za Jego pokorą, jeżeli pragniemy posiąść radość wieczną i cieszyć się na ziemi z żyjącymi. [1])

A teraz niedziela druga, zwana Syna Marnotrawnego. Trudno znaleźć w innym obrządku coś tak logicznie sharmonizowanego, jak ten okres w obrz. wschodnim.

Każdy grzesznik, poważnie zastanawiający się nad swymi grzechami, może i powinien dostrzec, jak dalece obraził Boga, dlatego, aby wierni nie wpadali w rozpacz na widok swych przewinień, Kościół wschodni stawia im przed oczy powyższą przypowieść pouczając, że Bóg jest miłosierny dla wszystkich, że Aniołowie cieszą się i z jednego grzesznika pokutującego, że nic nie może stanąć na przeszkodzie powrotowi grzesznika do Boga! Przypowieść o Synu Marnotrawnym jest jakby logicznym wnioskiem z przypowieści o Celniku i Faryzeuszu; jest praktycznym adresem wręczonym przez Kościół grzesznikowi, który przy pomocy łaski Bożej postanawia wrócić do Boga. Jeszcze w duszy podnosi się tęsknota za dawnym życiem, jeszcze pod wpływem pychy uczucia niższe przeszkadzają wkroczeniu na drogę cnoty, grzesznik jeszcze jest nadal synem marnotrawnym, ale już w jego samopoczuciu jest duże załamanie. Psychologiczny stan jest nadwyrężony, poznaje swój błąd, ale nie wie jeszcze co ma zrobić; bije się z myślami, czy wrócić do Ojca najlepszego, czy pozostać nadal przy upartym „ja". Ten stan psychologiczny duszy syna marnotrawnego odmalowany jest ze wszystkimi odcieniami, z całym artyzmem w jednej z modlitw tego tygodnia:

O ja nieszczęśliwy, ilu dobrodziejstw się pozbawiłem! do jakiego królestwa trafiłem! Zmarnowałem otrzymane bogactwa, łamiąc przykazania; biedna jesteś duszo moja! Jesteś już przeznaczona do ognia wiecznego! Ale zanim przyjdzie śmierć, wołaj bez przerwy do Chrystusa Boga: przygarnij mnie Boże do siebie, nie odtrącaj mnie od siebie jako syna marnotrawnego, lecz miej miłosierdzie

---

[1]) Wremien. Impier. Obszcz. Istor. i drewn., 1850 r., księga 5-ta, str. 527.

[2]) Triodion, Rzym 1879, str. 1—2.

[3]) Triodion, str. 3.

[1]) Tamże, str. 4—5.

nade mną. Prawda, rozproszyłem bogactwa z ojcowskiej spuścizny, a broniąc się przed śmiercią głodową, jadłem ze zwierzętami; niepodobna dalej tak żyć, wrócę do swego najlepszego Ojca i powiem mu ze łzami: przyjmij mnie za sługę, a udzielając mi łaski z nieskończonego miłosierdzia swego, zbaw mnie. [1])

Myśl o przyszłych winach i grzechach wraca znów i staje przed oczyma syna marnotrawnego, zakłócając wewnętrznego ducha i opóźniając powrót w ramiona ojcowskie, ale dusza trwa w uczuciu żalu i upokorzeniu wielkim:

O Jezu, o Boże, przyjmij skruszonego i żalem przejętego syna marnotrawnego, nie patrz na to, że wiodłem życie buntownicze i hardo zachowywałem się wobec Majestatu Twego. Boski depozyt powierzony mi zmarnowałem; oddaliłem się od Ciebie, żyjąc sromotnie; Ojcze najmiłosierniejszy, przyjmij mię teraz, gdy wracam do Ciebie. Otwórz Twe ojcowskie ramiona w tym momencie, o Panie najlitościwszy, pociągnij mnie do siebie jako syna marnotrawnego, aby w końcu można było Cię wielbić zawsze. [2])

Po tych pierwszych wstrząsach duszy, następuje, co jest objawem zupełnie naturalnym, gorące i serdeczne pragnienie spokoju i wypoczynku; wspomnienie o grzechach ukazuje się tylko jako motyw wewnętrznej pociechy i umocnienia się w swych nowych przekonaniach:

Uroczystość ta, którą Ty raz urządziłeś z racji powrotu syna marnotrawnego, odnawia się stale teraz we mnie, o najlitościwszy; rozpostrzyj swe nade mną ramiona, abym uratowany mógł wychwalać Twe nieskończone miłosierdzie. [3])

Lecz zadowolenie ze zdobytego pokoju nie jest nie utracalne, mogą przyjść nowe huragany, które jeszcze silniej mogą uderzyć na duszę i sprowadzić niepowetowane szkody dla życia przyszłego, dlatego w obawie przed nowymi upadkami, Kościół z godnym podziwu przewidywaniem, z czasową radością powrotu duszy do Boga, łączy wspomnienie tych dusz, które już na zawsze do Boga powróciły. W sobotę tego samego tygodnia wspomina i czci pamięć wszystkich wiernych zmarłych. Modli się Kościół za zmarłych, aby razem z nami dostąpili przebaczenia u Sędziego sprawiedliwego. W sobotę mięsopustną Kościół modli się szczególnie za tych, którzy w dniu pogrzebu nie mieli ani przepisowych psalmów, ani śpiewów odprawionych.

Któż nie wie jak dodatnio myśl o śmierci wpływa na życie religijne człowieka? Myśl

[1]) Triodion, str. 10—11.
[2]) Tamże, str. 12.
[3]) Tamże, str. 16.

o śmierci dla wielu staje się początkiem życia nowego. Okres ten przez to, że ma na celu odnowienie i wzmocnienie ducha dążącego do Boga, jest pomocą dla człowieka wprost nieocenioną. Modlitwy tego tygodnia są przepiękne, oto jedna z nich:

Panie, stworzyłeś mnie z niczego i przyozdobiłeś mnie Twą pięknością, lecz ja przez grzech wróciłem do tej samej ziemi, z której mam początek, dlatego proszę Cię, odnów we mnie Twój obraz dawnej piękności. Ty jeden tylko, który stworzyłeś człowieka z niczego, jesteś nieśmiertelny; my ludzie powstaliśmy z ziemi i do tejże ziemi wrócimy, jakeś rozkazał Ty, mój Stwórco, mówiąc do mnie: jesteś prochem i w proch się obrócisz... Wszyscy jesteśmy na to skazani, także i my, którzy śpiewamy w pogrzebowej nucie Alleluja. Jak ginący kwiat, jak miniony sen, tak minie szybko życie człowieka na ziemi! Chryste Panie, miej litość nad wszystkimi tymi, którzy od nas odeszli, bo są to dusze sług i służebnic Twoich.[1])

Z modlitwy tej widać, że nie jest ona zwyczajnym rozważaniem o zmarłych, ale wylewem głębokiej pobożności, jest powodem niezachwianego przekonania i wiary w skuteczność modlitw Kościoła za dusze, które od nas odeszły. Nikt nie jest zapomniany w modlitwach Kościoła, lecz nad każdym i nad wszystkimi rozciąga się opieka i miłość tej najlepszej Matki-Kościoła św.

Śmierć ze wszystkimi swymi objawami staje przed oczyma wyznawcy, który wrócił do Boga w tych dniach rozwagi i modlitwy, dlatego nie może teraz nie cieszyć się, widząc się ocalonym, a zdając sobie sprawę z tego, co by go w przeciwnym razie spotkać musiało, dusza wie i rozumie sprawiedliwość i świętość wyroku Bożego, ale zawsze ma dużo nadziei na miłosierdzie Najwyższego. Nadzieja ta jest podtrzymywana przez myśl, która przyprowadza na pamięć zmartwychwstanie z tym, który jest nazwany *Primogenitus ex mortuis;* nadzieja ta w natchnionym liryzmie towarzyszy aż do grobu, bo:

Chrystus zmartwychwstał! zerwał kajdany pierwszego człowieka Adama i zwyciężył potęgę piekła. Ufajcie, o wy wszyscy, którzyście umarli; pobita jest śmierć, a razem z nią i piekło! rządzi Chrystus ukrzyżowany, zmartwychwstały! On wam przywróci nieskazitelność ciała, On wam da zmartwychwstanie! Z radością wielką da uczestnictwo w swej chwale tym wszystkim, którzy z niezłomną wiarą zaufali Mu. [2])

Czy można od rozważania o śmierci i zmartwychwstania odłączyć wizję sądu

[1]) Triodion, str. 29; Pitra: Spicilegium Solesmense, Paryż 1876, t. I, str. 242.
[2]) Triodion, str. 29.



J. E. KS. PIOTR BUCZYS
biskup tyt. Olympu, rez. w Kownie



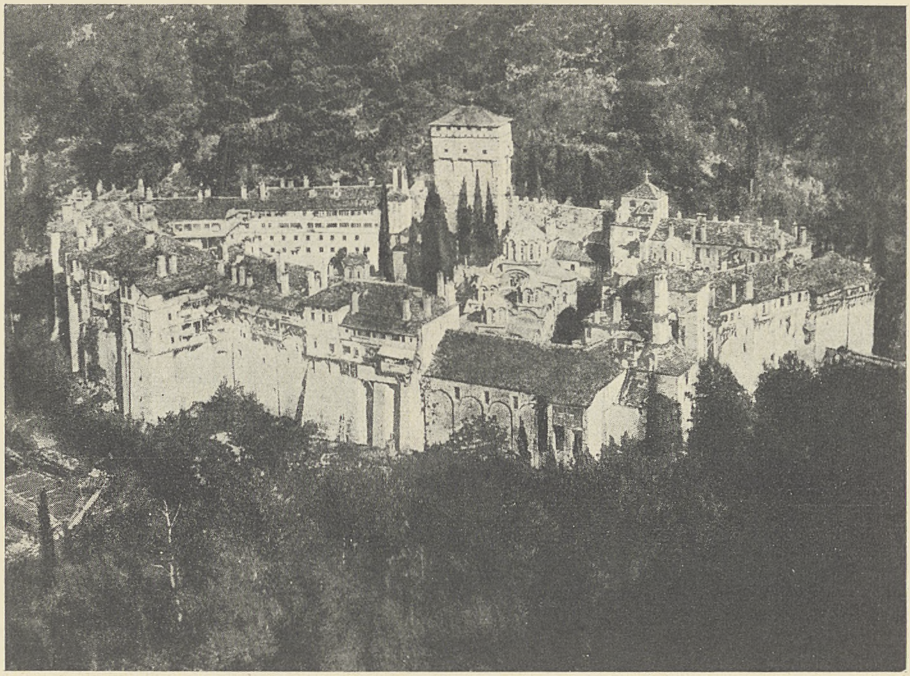
ATHOS. — Rosyjski klasztor św. Pantelejmona



ATHOS. — Obraz M. B. w klasztorze Watopedi



ATHOS. — Mnich w „wielkiej schimie“



ATHOS. — Serbski klasztor Chilandar



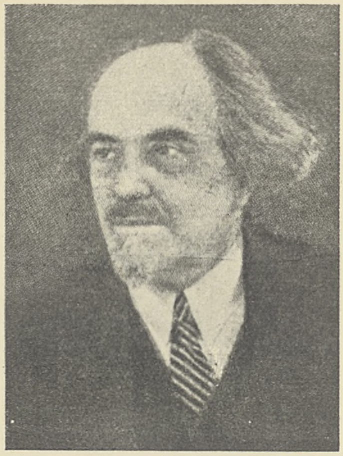
TIRUVALLA (Indie). — Mar Teofilos, przyjmujący konwertytów



TIRUVALLA (Indie). — Mar Saverios, biskup Malankarezów



CHARBIN. — Nowicjusze Marianie ze swoim magistrem



Mikołaj Bierdiajew
znakomity pisarz rosyjski



Józef Siemaszko
jako biskup unicki



Józef Siemaszko
po odstępstwie od unii

(Do art. „Dzieło Józefa Siemaszki")

ostatecznego? Dlatego przechodzimy do wizji trzeciego tygodnia przed W. Postem.

Po modlitwach za zmarłych Kościół wschodni w niedzielę Mięsopustną stawia wiernym przed oczy ewangelię o sądzie ostatecznym. Czyni to w tym celu, aby grzesznicy, znający wielkie miłosierdzie Boże, nie byli zbyt pewni swego zbawienia. Kościół św. ukazuje w tej wizji, że Pan Bóg tyle będzie miłosiernym, o ile jest sprawiedliwym, zatem będzie sąd straszny, na którym zapłaci każdemu według zasługi. Stosowność tej wizji i to w tym okresie roku kościelnego wykazuje i Nicefor Kallistus w słowach następujących:

Po dwóch przypowieściach, o Faryzeuszu i Synu Marnotrawnym, wspominamy o ponownym przyjściu Jezusa Chrystusa na świat po to, żeby nikt nie mógł tłumaczyć sję, że nie wiedział o tym, a liczył tylko na miłosierdzie Boże, mówiąc: Boże miłosierny, zaczekaj aż ja porzucę wszystkie grzechy i stanę się godnym przyjęcia rozgrzeszenia. Dzień ten straszny nadejdzie napewno i tak, jak jest podane w opisie, dlatego pamięć na śmierć i na straszne cierpienia, które będą udziałem potępionych, niech nas utrzymują na drodze cnoty, a wówczas dzień sądu strasznego będzie dniem miłosierdzia Bożego nad nami. [1])

Wizja sądu ostatecznego jest bardzo szczegółowo opisana i robi wstrząsające wrażenie:

Otworzą księgi żywota: przed trybunałem nieomylnym w całej jasności ukażą się czyny ludzkie; powstaną wszyscy grzesznicy, zaś sądem sprawiedliwym osądzeni będą przez Ciebie na kary wieczne; będą płakać ale bezskutecznie! O Ty najmiłosierniejszy, najlepszy, błagamy Ciebie, przebacz nam, bo tylko Ty jeden jesteś w stanie to uczynić. [2])

W słowach tych mieszczą się uczucia pełne kontrastów: bojaźń i nadzieja, płacz i modlitwa, ból i ufność, a zmierzają do tego, że dusza czuje się zupełnie bezbronną wobec sądu Bożego:

Rozmyślam o strasznym dniu Twego nieomylnego przyjścia, Boże Wszechmogący, przestrasza mnie niegasnący ogień piekła, dręczenia, męki i zgrzyt zębów, ale Ty mi przebaczysz Chryste, zlituj się nade mną i daj mi miejsce wśród Twych wybranych... zgrzeszyłem Panie... niegodziwe są czyny me, ale Ty mi pomóż, zbaw!...[3])

Kiedy dusza powróciła do Boga drogą modlitwy i pokuty, cel tych świętych rozważań został osiągnięty. Tak modlitwa jak i pokuta dochodzą w tym tygodniu do

---

[1]) Nicefor Kallistus, Synaxarium, w wydaniu weneckim Triodionu.
[2]) Triodion, str. 20.
[3]) Tamże, str. 34—35.

większego natężenia, albowiem przychodzi już teraz przepisana abstynencja od mięsa. Jak ten, który idzie na wojnę, mówi św. Bazyli, musi najpierw umieć obchodzić się z bronią, tak również ten, który chce pościć, musi wpierw ćwiczyć się we wstrzemięźliwości.[1])

Umartwienie tego rodzaju jest bardzo dawnego pochodzenia; z tradycji ustnej, mówi św. Jan Damasceński, wiemy, że w jednym tygodniu trzeba się powstrzymać od samego mięsa. [2]) Rację zaś powyższego przepisu podaje Nicefor Kallistus w tych słowach:

Aby nie przechodzić nagle i gwałtownie z odżywiania się normalnego w stan surowego postu, co mogłoby przynieść szkodę zbawieniu, Ojcowie święci ustalili sposób na to, że bardzo powoli stopniowo ujmujemy sobie z pokarmów, aż wreszcie będziemy mogli się zbliżyć do surowego postu. Jak przez przypowieści dobrze przygotowali i usposobili dusze do pojednania się z Bogiem, tak tymi przepisami uczynili, mając znów wzgląd na ciało człowieka. [3])

Aby lepiej zrozumieć jak konieczną było rzeczą stopniowe przygotowywanie się do surowego postu, przytoczyć tutaj należy normy, przy pomocy których w sławnym klasztorze św. Teodora Studyty w Konstantynopolu regulowano życie klasztorne w okresie W. Postu. Normy te objęły wkrótce większość monasterów greckich, a wreszcie i monastery we Włoszech. Oto wyjątek z tej sławnej Konstytucji Studytów:

W wielkim i świętym poście, wyjąwszy sobotę i niedzielę, przyjmujemy pokarmy jeden raz tylko dziennie: w pierwszym tygodniu przyjmujemy jeden rodzaj pokarmu, tj. rybę słoną bez oliwy i po pięć fig na każdego; mogą być kasztany, gruszki pieczone lub jabłka. W drugim, trzecim, piątym i szóstym tygodniu, wyjąwszy środy i piątki, spożywamy następujące potrawy: miseczkę ryby słonej i miseczkę jarzyn: w takie dni nie jemy ani fig, ani innych owoców; w środy i piątki mamy potrawy, które przepisane są na pierwszy tydzień. Przez cały post nie pijemy nic, prócz słabego wina rozcieńczonego wodą. Wyjątki od powyższych przepisów są tylko dla starych i chorych. [4])

Surowość pokuty podkreślają też święte czynności w tych dniach: jak modlitwa jest środkiem łączącym duszę z Bogiem, tak post i umartwienie jest niespożytą siłą dla duszy i czyni ją odporną w codziennym życiu. Oto jeden mały wyjątek z modlitw tych dni:

---

[1]) Homilia I, o Poście, P. G., t. XXXI, col. 181.
[2]) O świętych postach, P. G., t. XCV, col. 69.
[3]) Dz. cyt., str. 41.
[4]) P. G., t. XCIX, col. 1716.

Jeżeli już otworzą nam drzwi Boskiej pokuty, pójdziemy chętnie oczyścić swe ciała przez powstrzymanie się od pokarmów i od nałogów. Jako poddani Chrystusa, który powołał świat do swego Królestwa niebieskiego, ofiarujemy Mu dziesięcinę z całego roku, do którego wszystko należy.[1])

Myśl złożenia Bogu dziesięciny z roku jest też myślą św. Grzegorza Wielkiego, (Homilia 14 na Ewangelię), który tak pisze na ten temat: rok składa się z 360 dni, a my przez 36 dni umartwiamy się, więc jakby dziesięcinę Bogu z całego roku dajemy, lecz wcześniej już tę myśl rozwija w pismach swych św. Doroteusz. [2])

Innym czynnikiem, bardzo silnie działającym na człowieka w tym czasie, są przykłady, podane przez Kościół w sobotę przed niedzielą Seropustną, w osobach świętych mężów i dziewic, odznaczających się życiem pokutniczym i umartwionym. Przykład i modlitwy ich mają służyć wszystkim wyznawcom za wzór, aby wykonując surowe przepisy co do postu, mieli tyle zadowolenia, ile ci właśnie święci i święte Pańskie; chwała tych ostatnich, ma być bodźcem w stałym znoszeniu cierpień i umartwień.

Mamy wdzięczność i czcimy teraz te olbrzymie rzesze zakonników i ich wodzów. O, Ojcowie święci, dzięki wam zdobyliśmy to, że możemy iść po drodze, którą wyście szli do Chrystusa. Szczęśliwi jesteście, że dochowaliście wierności Chrystusowi, tryumfujecie nad potęgą wroga, rozmawiacie z Aniołami, jesteście w gronie Sprawiedliwych i Świętych! Proście razem z nami Pana, aby miał litość nad duszami naszymi. [3])

Zbliżyliśmy się wreszcie do soboty, poprzedzającej ostatnią niedzielę w cyklu przygotowawczego do w. postu, który rozpoczyna się już w poniedziałek po tejże niedzieli.

Niedziela ta zowie się Seropustną, a nazwę swą wyprowadza stąd, że w tygodniu tym zabrania się jedzenia mięsa, natomiast pozwala się na nabiał: masło, ser, jaja i to w tym celu, aby stopniowo zaprawić się do surowego postu. Zwyczaj ten jest bardzo dawny, albowiem już patriarcha jerozolimski Teofil (V wiek) go wspomina. Za czasów cesarza Herakliusza (610—640) walczącego z Persami, zwyczaj ten stał się prawomocnym, gdyż Herakliusz ślubował Bogu, że w razie pomyślnego zakończenia wojny, nie będzie nikomu wolno jeść mięsa przez cały

[1]) Triodion, str. 45.
[2]) P. G., LXXXVIII, col. 1787.
[3]) Triodion, str. 85.

tydzień ostatni, poprzedzający w. post. Słowa dotrzymał, a Kościół wschodni spełnił życzenie imperatora i później tym sposobem zwyczaj ten zachował się aż do naszych czasów. [1])

Niedziela ta, jako ostatnia z cyklu przygotowawczego, jest przedsionkiem w. postu. Tematem jej jest to, co mniej więcej obrazuje sobą okres w. postu, co jest podstawą wszystkich refleksyj, upomnień i modlitw, które dzień za dniem powtarzają się w świętych hymnach; inaczej, jest to podtrzymywanie dusz w ciężkiej próbie postu.

W modlitwach i pieśniach tej niedzieli jest rozważany upadek Adama i Ewy, spowodowany niedotrzymaniem obietnicy danej Bogu. Ukazuje nam przez to, jak ciężki był upadek i jak zbawiennym środkiem jest dla nas post, ustanowiony przez samego Boga. Ewangelia tej niedzieli jest o przebaczeniu uraz, według św. Mateusza.

Oto ostatni w rozważaniach naszych na niedzielę Seropustną wyjątek:

Biedna duszo moja, opłakuj swe winy, zwłaszcza dzisiaj, gdy wspominasz sobie utratę łaski; wypędzona z raju, oddaliłaś się od rozkoszy i wesela wiecznego. Jak biedną jesteś, duszo ma! [2])

Tym wyjątkiem kończę rozważania o przygotowaniu do wielkiego postu. Przygotowanie to Kościół wschodni nad wyraz logicznie i systematycznie ujął, wystarczy tylko okiem pobieżnie raz jeden jeszcze rzucić na cały powyższy okres, aby się o tym przekonać: pierwszy i drugi tydzień — wolno jeść mięso, trzeci tylko nabiał, czwarty — już ścisły post!

Można powiedzieć, że przygotowanie takie to właściwe rekolekcje, albowiem w pierwszym etapie dusza jest w stanie grzechu (przypowieść o Celniku i Faryzeuszu) w następnym wzywa się ją do zerwania z tym stanem (przyp. o Synu Marnotrawnym); w ostatnim wreszcie, najdłuższym, wspomagana rozważaniem o śmierci i Sądzie ostatecznym, czuje się dostatecznie silną, by raźniej zdążać do Boga, aż podtrzymywana modlitwą i przykładami Świętych wejdzie na drogę surowego postu i pokuty i osiągnie ostateczne pojednanie się z Bogiem.

[1]) Nikolskij: Ustaw Bogosłużenija prawosławnoj Cerkwi, str. 577, uwaga I.
[2]) Triodion, str. 102.

Adam Wojtyłło.

ROK 1938 W METROPOLII HALICKIEJ

Oczywiście w krótkim artykule możemy podać tylko ważniejsze objawy życia kościelnego w naszej wielkiej metropolii grecko-katolickiej.

Życie religijne upływało w niej w minionym roku pod znakiem obchodu 950-lecia chrztu Rusi za księcia św. Włodzimierza, jak w roku 1937 pod znakiem 900-lecia od chwili, kiedy Jarosław poświęcił Ruś opiece Matki Bożej. Ponieważ Ukraińcy dzisiejsi wyrzucili wyraz „Ruś“ ze swojego słownika, przeto nazywano oba obchody jubileuszem chrztu Ukrainy, wzg. poświęcenia Ukrainy Bogarodzicy. Sądzimy, że naszego polskiego pisma nie obowiązuje ta nomenklatura, zwłaszcza w zastosowaniu do X i XI stuleci, kiedy państwo Włodzimierza i Jarosława rozciągało się znacznie szerzej, niż obecne ukraińskie granice językowe, etnograficzne. Mówimy zatem o chrzcie „Rusi“.

W kościele unickim metropolii halickiej, czyli lwowskiej, jubileusz 950-lecia przyjęcia chrześcijaństwa odświętowano mniej lub więcej uroczyście we wszystkich parafiach. Obchód główny odbył się 13 sierpnia, chociaż i w innych terminach były już pewne jego objawy. Odświętowano jubileusz uroczystszymi nabożeństwami, kazaniami okolicznościowymi, wspólnym orędziem episkopatu, urządzaniem akademii, artykułami prasowymi, wreszcie w wielu miejscowościach wzniesieniem pamiątkowych krzyżów.

Obchód jubileuszowy miał wielkie znaczenie katolickie, dostarczył bowiem okazji przypomnienia ludowi stosunku pierwotnego cerkwi ruskiej do Kościoła powszechnego. Chrzest Rusi nastąpił w czasie, kiedy grecki Wschód, skąd przyszła wiara św. na Ruś, pozostawał w jedności z Kościołem zachodnim, tworząc razem z nim jeden Kościół powszechny, czyli katolicki. Była okazja uświadomienia ludowi znaczenia unii kościelnej, będącej w istocie swej nie czym innym, tylko powrotem do owej pierwotnej katolickiej jedności. Tę też okazję w szerokich rozmiarach wykorzystali zarówno ukraińska prasa grecko-katolicka, jak i kaznodzieje w cerkwiach, a świeccy w przemówieniach obchodowych.

Bardziej zamknięty i akademicki charakter miał obchód małego, bo tylko 10-letniego jubileuszu istnienia grecko-katolickiej Akademii teologicznej we Lwowie.

Akademia ta nie jest zakładem zupełnie nowym. Już od r. 1784 istniało we Lwowie seminarium duchowne grecko-katolickie, które przechodziło rozmaite koleje. [1]) Do samej wielkiej wojny zakład ten był tylko internatem dla kleryków, którzy wykładów słuchali na wydziale teologicznym uniwersytetu lwowskiego. Po wojnie i wznowieniu seminarium urządzono w nim odrębne dla kleryków gr.-katolickich studium, które w r. 1928 zostało podniesione przez J. E. metr. Szeptyckiego do godności akademii, hojnie przezeń uposażonej. Akademia, która dotąd nie otrzymała ostatecznego potwierdzenia Stolicy św., ani uznania rządu polskiego (dla rządu jest ona seminarium diecezjalnym), została rozbudowana w dwa fakultety: filozoficzny i teologiczny, zyskała wybitne siły naukowe z rektorem ks. mitratem J. Slipym na czele, w ciągu dziesięciolecia miała ponad dwa tysiące słuchaczy i wypuściła ponad 400 absolwentów. Zaznaczyła się także działalnością wydawniczą, bo wydawała kwartalnik naukowy *Bohosłowija* i ogłosiła 21 tomów różnych naukowych prac. Ukraińcy słusznie są dumni z tej swojej instytucji, w której widzą gotową organizację wydziału teologicznego na przyszłym uniwersytecie ukraińskim.

Bogato przedstawiała się w roku ubiegłym produkcja prasowa, nosząca mniej lub więcej religijny i katolicki charakter i zależna od instytucyj gr.-katolickich lub do nich zbliżona.

Najpierw co do periodyków, należy wymienić na pierwszym miejscu wydawnictwa, służące potrzebom samego duchowieństwa. Takimi są ogłaszane w każdej z trzech diecezyj (i w administracji apostolskiej Łemkowszczyzny) urzędowe *Wisty;* następnie wymieniony już organ naukowy akademii, kwartalnik *Bohosłowija;* w Stanisławowie wychodzi obszerny i poważnie redagowany kwartalnik o charakterze teologiczno-pasterskim *Dobryj Pastyr;* wreszcie najstarszy kapłański miesięcznik *Nywa* we Lwowie i specjalnie kaznodziejstwu poświęcony *Siwacz*. Wydawane przez oo. Bazylianów pamiętniki ich zakonu *(Zapysky Czyna św. W. W.)* o dużym naukowym znaczeniu nie ogłosiły w roku ubiegłym żadnego nowego tomu. Z publikacyj periodycznych organizacyj katolickich należy wymienić kwartalnik *Katołyćka Akcja,* wydawany przez Centralny

[1]) Do historii tego zakładu zob. art. ks. dr Andrzeja Iszczaka „Wychowanie kleru gr.-kat. w Galicji“, *Oriens* r. 1934, str. 43.

Instytut Akcji Katolickiej we Lwowie, i *Wistnyk Maryjśkich Towarystw,* ogłaszany nieregularnie przez Związek ukraińskich sodalicyj mariańskich. Dla inteligencji wydaje się we Lwowie miesięcznik literacko - artystyczny *Dzwony,* i tygodnik „Związku Katolickiego“ *Meta.* Z popularnych, na szerokie masy katolickie obliczonych, wydawnictw ukraińskich wymienimy najważniejsze: *Missionar* oo. Bazylianów w Żółkwi, *Nasz Pryjatel,* przeznaczony dla młodzieży, *Chrystos nasza syła* dla ludu, *Dzwinoczok* dla dzieci. Nakoniec jako gazety, w ściślejszym stosunku z Kościołem pozostające, należy wymienić *Nową Zorię* we Lwowie (uważaną za organ księży stanisławowskich) i *Ukrainśkyj Beskyd* w Przemyślu.

Wydawnictwa katolickie książek i broszur koncentrują się w kilku następujących punktach. Najstarszym i wielce zasłużonym dla kultury ludu jest wydawnictwo oo. Bazylianów w Żółkwi, wzorowane na wydawnictwie ks. Jezuitów w Krakowie. Oprócz *Misjonara* i paru innych publikacyj periodycznych wypuszcza ono corocznie „Kalendar Misjonara“ i dziesiątki pobożnych i pouczających książeczek, modlitewników, żywotów świętych, utworów dramatycznych itd. Osobno zasługują na wzmiankę pozostające także pod kierunkiem ojców tegoż zakonu (o. Nazarko) wydawnictwo broszur dla sodalicyj mariańskich, zwłaszcza dla młodzieży szkół średnich. Innym wydawniczym centrem jest w Stanisławowie Towarzystwo „Skała“, organizujące biblioteki i czytelnie parafialne. „Biblioteka Skały“ wypuszcza corocznie dziesiątki książek i broszur różnorodnej treści.

Powyższy, chociaż nader sumaryczny i niepełny, przegląd ukraińskiej prasy dowodzi jak jednostronnie patrzą na życie cerkwi unickiej w byłej Galicji ci publicyści polscy, którzy widzą w niej jedynie „rozpolitykowanie“, a nie dostrzegają tej wielkiej pozytywnej pracy, wkładanej w celu pogłębienia religijności i katolickiego uświadomienia społeczeństwa ukraińskiego. A chyba i ta praca przynosi jakieś owoce...

Antagonizm narodowościowy i tarcia polityczne w byłej Galicji odbijały się różnorako na stosunkach kościelnych. Do ujemnych objawów należy zaliczyć wzajemne oddalenie się i rzadkie stosunki między dwoma katolickimi obrządkami. Wzajemne odwiedzanie się kleru tych obrządków, bywanie u siebie na odpustach, branie gremialne udziału w kościelnych obchodach innego obrządku stają się coraz rzadsze, owszem z obu stron źle widziane. Zachodzą tarcia na terenie szkolnym, dużo złej krwi robią „rewindykacje“ dla polskości szlachty zagrodowej, liczne procesy wytaczane księżom gr.-katolickim o ukraińską pisownię nazwisk w metrykach. Obie strony miewają sobie nawzajem wiele do zarzucenia. W roku minionym ataki prasowe ze strony polskiej zwracały się często przeciwko osobie pierwszego dostojnika cerkwi unickiej, ks. metropolity Szeptyckiego, przeciwko „świętojurskiej polityce“. W styczniu głośną była sprawa niedopuszczenia przez ks. metropolitę reprezentacji wojskowej na obchód „Jordanu“. Echa tej sprawy odbijały się o ściany sejmowe w Warszawie. Zarzucano metropolicie złamanie tradycji udziału wojska w święcie Jordanu, dopatrywano się bodaj czy nie zdrady stanu ze strony Głowy cerkwi unickiej. Nie wchodząc w ocenę zarządzenia ks. metropolity, trzeba wszakże zauważyć, że zarzut złamania tradycji był bezpodstawny, bo ta tradycja, przerwana podczas wielkiej wojny, po powstaniu Polski wcale nie została nawiązana i dla żołnierzy gr.-katolików urządzano obchód Jordanu osobno. W miesiącach letnich atakowano metropolitę za jego list, ogłoszony z powodu wiadomych wypadków w Lubelszczyźnie. Wyklarowanie sprawy było tym trudniejsze, że list metropolity uległ konfiskacie i treść jego nie mogła być omawiana. Nakoniec w miesiącu październiku i listopadzie atakowano metropolitę za telegram, wysłany z błogosławieństwem premierowi „Ukrainy Karpackiej“ ks. Wołoszynowi. W związku z innymi jeszcze posunięciami politycznymi, rozkołysały się namiętności zwłaszcza młodzieży lwowskiej. Po stronie ukraińskiej ucierpiało wtedy materialnie seminarium duchowne.

Na rozkołysane fale puścił uspokajającą oliwę Kościół katolicki. Mianowicie 13 listopada przybył do Lwowa J. E. Nuncjusz Apostolski Cortesi, by odwiedzić miejscowych księży arcybiskupów, jak odwiedził już niemal wszystkie inne diecezje. Przedstawiciel Ojca św. złożył wizytę ks. arcybiskupowi Twardowskiemu, ks. metropolicie Szeptyckiemu (w dniu imienin), zwiedził różne klasztory i inne instytucje wszystkich trzech katolickich obrządków. Nawiązując widocznie do świeżych wypadków, Ks. Nuncjusz, imieniem Ojca św., podał do prasy komunikat, którego końcowe zdania brzmiały:

„W głębokim poczuciu swego powszechnego ojcowstwa, płynącego z Serca Jezusa, którego jest zastępcą na ziemi, Najwyższy Pasterz

nie może patrzeć bez lęku na podziały, antagonizmy i walki, jakie rozdzierają synów tej ziemi, które już sprawiły tyle złego, a jeszczę większym grożą w przyszłości. Jest wobec tego rzeczą zrozumiałą, że Papież, miłując wszystkich, jednostki i narody, bez różnicy, miłością Chrystusa, zwraca się z pełną troską do tego ludu i usilnie go upomina, aby złożył na ołtarzu dobra wspólnego nienawiść i gniew i aby znalazł dobry sposób do wzajemnego porozumienia się. Zaleca przeto wierne wykonywanie przykazania ewangelicznego: „kochajcie się wzajemnie“, które zbliży narody do atmosfery miłości bratniej, otworzy drogę królestwu miłości i sprawiedliwości, uwzględni prawa każdego i pobudzi do szukania rozwiązania wszystkich zagadnień *per arma lucis, caritatis et justitiae.* Ojciec św. liczy bardzo na upragnione uspokojenie umysłów, przez pracę kleru świeckiego i zakonnego, która w swojej istocie jest pracą dla pokoju i miłości. Kapłani bowiem religii katolickiej widzą w każdym człowieku jakiejkolwiek narodowości, klasy i partii dusze odkupione Najdroższą Krwią Jezusa Chrystusa, które winni uświęcić i zbawić. A oni, na mocy swego wyższego powołania, winni są rozwinąć bezinteresownie akcję dobroci i pojednania, tak bardzo wartościową dla Kościoła i dla własnej ojczyzny“.

Istotnie po tym wystąpieniu przedstawiciela Stolicy św. znacznie ucichły wzajemne rekryminacje — oby na jak najdłużej!

Pobyt J. E. Nuncjusza we Lwowie miał szczególne znaczenie dla kościoła grecko-katolickiego. Na powitanie Nuncjusza zjechali się wszyscy biskupi gr.-katoliccy. Przyjęty uroczyście w katedrze św. Jura, konferował przedstawiciel Ojca św. kilkakrotnie i długo z ks. metropolitą Szeptyckim, przyjął u niego obiad, odwiedził klasztory oo. Redemptorystów i Studytów, akademię teologiczną i seminaria większe i mniejsze; w akademii był podejmowany urządzoną naprędce „akademią“ i wieczerzą. W tych bezpośrednich kontaktach miał sposobność poznania ludzi, wystudiowania miejscowych stosunków, potrzeb i bolączek cerkwi. Po Lwowie odwiedził także dwie inne siedziby biskupów gr.-katolickich: Stanisławów i Przemyśl.

Prasa ukraińska szeroko omawiała te odwiedziny, podkreślając słusznie życzliwość Stolicy św. dla obrządku wschodniego i łącząc z wizytą różne nadzieje na przyszłość. Niektóre organy prasowe pozwoliły sobie przytem wypowiedzieć pewne żale co do przeszłości i wysunąć pewne konkretne dezyderaty, których tutaj omawiać nie będziemy.

Największą bolączką stosunków kościelnych w grecko-katolickiej prowincji halickiej jest brak jednomyślności w wielu ważnych sprawach. Wielką komplikację w życiu kościelnym sprawia sam podział społeczeństwa na różne kierunki ideologiczne, mianowicie polityczny ukrainizm i rusofilstwo. Ma to swoje przykre oddźwięki nawet w czysto religijnym życiu narodu, o czym już parokrotnie na łamach tego pisma pisaliśmy. Lecz nieporozumienia i głębokie rozdźwięki istnieją także niezależnie od tego politycznego rozbicia. Trzeba tu zanotować różnicę poglądów na kwestię współpracy cerkwi i kleru z instytucjami i stowarzyszeniami kulturalnymi i oświatowymi, prowadzonymi przez świeckich. W diecezji stanisławowskiej, z woli ks. biskupa Chomyszyna, przeprowadzana jest ściśle zasada usamodzielnienia oświatowej pracy, prowadzonej przez Kościół, od stowarzyszeń świeckich, takich jak „Proświta“, w których ujawnia się tendencja do podporządkowania religii celom nacjonalnym, a nawet religii wrogim. W innych diecezjach obaw tych nie podzielają, lub przynajmniej nie w tej mierze je widzą i dlatego prasa, nawet kościelna, wypowiada się za korzyścią współdziałania Kościoła z instytucjami narodowymi, powołując się na przykłady innych katolickich narodów. Doszło do tego, że ks. biskup stanisławowski zabronił nawet swym kapłanom abonować miesięcznik, wydawany przez kapłanów w innej diecezji pod okiem miejscowego ordynariatu. Oczywista rzecz, że nasze pismo nie jest powołane do rozstrzygania tego sporu. Jako pismo wszakże informacyjne, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla czytelników polskich, tylko notuje ono te i inne wewnętrzne w cerkwi unickiej niesnaski z obowiązku dokładności informacyj. Notuje je atoli bez owej *Schadenfreude,* jaką może okazują przy tej sposobności niektóre dzienniki. Przeciwnie notuje je z przykrością, wyrażając pragnienie, aby w tej spornej sprawie, jak i w innych, nastąpiła jednomyślność, która by wyszła na chwałę cerkwi i dobro wiernych obrządku grecko-katolickiego w tym największym wschodnim odłamie katolickiego Kościoła.

Łacinnik.

PO ZGONIE ARCYBISKUPA ORMIAŃSKIEGO

Zgasł 4 grudnia 1938 r. spokojnie, w 75 roku życia, arcybiskup obrządku ormiańskiego Józef Teodorowicz. Prawie przez połowę swego dość długiego życia (od r. 1901) pasterzował tej nielicznej owczarni, która wśród diecezyj polskich robi wrażenie jakiejś relikwii, jakiegoś historycznego rzadkiego zabytku.

O samej osobie śp. Zmarłego niewiele napiszemy. Ta czcigodna postać znana była każdemu w Polsce, a po śmierci obszerne omówienia jej zasług podały wszystkie dzienniki. *Oriens*, poświęcony sprawom kościelnym wschodnim, tylko to ma do zaznaczenia, co nadaje się do omówienia z tego wschodniego stanowiska. Lecz właśnie pasterzowanie małej trzódce ormiańskiej nie mogło ani w połowie wypełnić czasu i zaabsorbować sił arcybiskupa Teodorowicza. W większej części należał on do społeczeństwa polskiego, biorąc czynny udział we wszystkich ważniejszych objawach jego życia kościelnego i politycznego. Słynny kaznodzieja, pisarz religijny, działacz społeczny i polityczny, jest on najpierw Polakiem w całym znaczeniu tego słowa, a dopiero jakby na marginesie wszechstronnej polskiej aktywności zaznacza się jego działalność jako arcybiskupa Ormian polskich.

Jako arcybiskup ormiański, ks. Teodorowicz zrobił tyle, ile tylko w tak nielicznej diecezji zrobić było można. Trwały pomnik pozostawił po sobie w swojej katedrze, do gruntu ją odnawiając i bogacąc w dzieła wysoko wartościowej sztuki. Opiekował się instytucjami kulturalnymi i społecznymi, jakie w ciągu wieków wzniosły ormiańskie pieniądze i ręce, tak iż żadna z nich nie upadła pomimo kurczenia się samej diecezji. Żywo interesował się także losami Ormian, narodu szczególnie w dziejach doświadczanego. Brał udział w r. 1911 w synodzie biskupów ormiańskich w Rzymie, udzielał przytułku niejednemu wygnańcowi, ofierze srogich prześladowań. W ostatnich latach, za błogosławieństwem ks. arcybiskupa Teodorowicza, powstały we Lwowie dwa pisma, poświęcone w wielkiej mierze sprawom ormiańskim: *Posłaniec św. Grzegorza,* jako organ Archidiecezjalnego Związku Ormian i *Gregoriana*, poważny dwumiesięcznik, w którym Zmarły wiele szpalt zapełniał cennymi utworami swego pióra.

Odchodząc, pozostawił śp. Arcybiskup Teodorowicz swoim następcom wzór łączenia straży szacownego dziedzictwa przodków ze służbą narodowi polskiemu, wśród którego część jego ormiańskiego narodu znalazła przed wiekami gościnę.

Przy sposobności przypomnimy niektóre szczegóły, dotyczące Ormian w Polsce i narodu armeńskiego w ogóle.

O Ormianach w Polsce pisał w *Oriensie* ks. prof. Zdz. Obertyński (listopad-grudzień 1934). Unia tych Ormian z Kościołem katolickim utrwaliła się w w. XVII. W obecnych, obciętych po wojnie, granicach archidiecezja ormiańska lwowska posiada wszystkiego 5200 wiernych i dzieli się na 8 parafij. Są one: Lwów, Brzeżany, Horodenka, Kuty, Łysiec, Stanisławów, Śniatyn i Tyśmienica. Oprócz tyluż kościołów parafialnych posiada około 20 kaplic filialnych, pałacowych lub w różnych zakładach, i jeden klasztor żeński Benedyktynek we Lwowie. Kapłanów liczy ponad 20, większa wszakże ich część pochodzi z łacińskiego obrządku. Księża mają przywilej celebrowania także po łacinie, z którego w szerokiej mierze korzystają. Arcybiskupa mianuje Ojciec św. z pomiędzy przedstawionych mu dwóch kandydatów, wybranych przez kler. Właśnie odbyły się niedawno takie wybory kandydatów na następcę śp. arcybiskupa Teodorowicza i oczekiwana jest nominacja papieska.

Wszystkich Ormian (inaczej Armeńczyków) na świecie po strasznych prześladowaniach i rzeziach, jakich narodowi temu nie szczędziła historia, ostatnio po rzezi ich w Turcji podczas wojny światowej, liczą jeszcze 3,200,000. W Związku Sowieckim istnieje właściwa ojczyzna Ormian, „niezależna" lecz skomunizowana przynajmniej urzędowo Armenia, licząca 1,200 tysięcy Ormian. W innych krajach Kaukazu jest ich 850 tysięcy, a poza Kaukazem w Sowietach 180 tysięcy, razem 2,230 tysięcy, czyli przeszło dwie trzecie wszystkich Ormian. Poza Sowietami w Turcji liczą ich 200 tysięcy, Persji 130 tys., w Syrii i Libanie 175 tys„ Iraku i Palestynie 21 tys., w Egipcie 45 tys., w Rumunii 40 tys., Bułgarii 25 tys., Grecji 40 tys., w Stanach Zjedn. 150 tys., we Francji 70 tys. i w rozmaitych innych krajach wszystkich części świata około 74 tys. Cyfry te podajemy za *Wschodem* 1938 r. nr 3.

Ogromna większość Ormian nie należy do Kościoła katolickiego, ale nie są oni także prawosławnymi. Jest to kościół odrębny,

który od jedności katolickiej i prawowierności odpadł jeszcze w V wieku wskutek przyjęcia błędów monofizyckich (że Chrystus posiada jedną tylko naturę boską).

Od imienia św. Grzegorza Oświeciciela, według podania pierwszego apostoła Armenii, zowią się ci Ormianie-monofizyci „gregorianami“. Największą i najczcigodniejszą ich organizacją kościelną jest „Katolikosat“ w Eczmiadzinie, w Armenii sowieckiej. Ormianie, zaludniający tę republikę, cieszyli się dłuższy czas pod panowaniem bolszewików względnym spokojem religijnym. Respektowano ich uczucia religijne, oszczędzano świątynie i prastary klasztor eczmiadziński, w którym rezydował katolikos. W ostatnich latach zastosowano i wobec nich zaostrzoną propagandę bezbożnictwa. Klasztor (ostatni w Rosji) podobno już zamknięty. Katolikos Choren I, zajmujący to stanowisko od r. 1930, umarł 1 kwietnia 1938 r., otruty, jak twierdziły ormiańskie pisma emigracyjne, przez komunistów. Jego następcą został Kework Czeorekdzian, ale czy rządzi jeszcze swą owczarnią?

Ormian katolików, czyli unitów, w przeddzień wojny światowej liczono tylko 135 tysięcy; po nieszczęściach wojennych zapewne liczba ich jest nieco mniejsza. W samej Rosji było około 50 tysięcy Ormian katolików; w jakim stanie obecnie znajdują się tam ich kościoły trudno dociec. Wiadomo, że Administrator Apostolski, ks. biskup Bagaratian, umarł przed kilku laty jako wyznawca wiary na wyspach Sołowieckich; podobny los zapewne spotkał i większość podległych mu kapłanów. W Turcji, gdzie dawniej było kilkunastu biskupów ormiańsko-katolickich, obecnie rezyduje zaledwie jeden biskup w Konstantynopolu, wszystkie inne biskupstwa uległy zniszczeniu, a pasterze niektórych z nich tułają się na wygnaniu. Obecnie największym dostojnikiem ormiańsko-katolickim jest patriarcha, rezydujący w Beirucie (Syria). Stolicę tę zajmuje obecnie J. Bł. Grzegorz Piotr XV Agadżanian, wybrany w jesieni 1937 r. (Portret jego zob. *Oriens* lipiec-sierpień 1938). Większe skupisko Ormian katolików znajduje się w Rumunii, gdzie podlegają oni osobnej administracji apostolskiej. Poza tym słynne są, jako ogniska nauki, dwa ormiańskie klasztory oo. Mechitarystów, w Wiedniu i Wenecji, nadto kolegium ormiańskie przy kościele św. Mikołaja z Tolentino w Rzymie, wychowujące młodych księży ormiańskich, kilku z nich także dla archidiecezji lwowskiej. O Mechitarystach pisano w *Oriensie* obszerniej (listopad-grudzień 1936 i marzec-kwiecień 1937).

Bardziej szczegółowe wiadomości, dotyczące Ormian w ich ojczyźnie i za granicą, można od czasu do czasu znaleźć w kwartalniku *Wschód* (Warszawa) i w *Posłańcu św. Grzegorza* (Lwów).

J. U.

PO TAMTEJ STRONIE

Prawosławie w Polsce otrzymało po długich przygotowaniach legalne określenie swego ustroju i stosunku do Państwa. Po dekrecie Prezydenta Rzeczpospolitej z dnia 19 listopada ub. r., nadającym cerkwi prawosławnej tzw. „statut zewnętrzny“ czyli normujący jej stosunek do Państwa, ukazało się w Dzienniku Ustaw z dnia 30 grudnia rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 10 grudnia o uznaniu „statutu wewnętrznego“ tejże cerkwi. Sam ten statut, jak już pisaliśmy w poprzednim zeszycie *Oriensu,* był opracowany przez komisję mieszaną, złożoną z przedstawicieli cerkwi i rządu, i został doręczony przez episkopat ministrowi spraw wewnętrznych w pierwszych dniach listopada. Według dekretu Prezydenta Rzplitej wymagał on uznania Państwa w drodze rozporządzenia Rady Ministrów i to właśnie uznanie nastąpiło. W ten sposób cała praca organizacyjna prawosławia w Polsce doczekała się swego końca i owocu.

Również już pisaliśmy, że ten sposób prawnego uporządkowania prawosławia nie zupełnie odpowiedział oczekiwaniom samych prawosławnych. Spodziewali się oni, że statuty cerkwi zostaną poddane roztrząsaniom soboru generalnego, zapowiedzianego orędziem Prezydenta jeszcze w r. 1930. Jeden z publicystów prawosławnych, Świtycz-Tuberozow, dla propagowania idei soboru założył w swoim czasie osobne pismo, które po kilku numerach zawiesił. Obecnie

miał coś do przemówienia w tej sprawie w *Russkom Gołosie* (Lwów). Przypomniał jednak tylko, że dla przygotowania soboru było utworzone tzw. *Predsobornoje Prysutstwie,* które wszakże zamarło po paru posiedzeniach, a na jego miejsce przyszła w innym składzie owa „Komisja Mieszana", która pracowała aż osiem lat. Co p. Świtycz dalej napisał w swym artykule, nie wiemy, bo w tym miejscu *Gołosa* widnieje wielka biała plama. Jeżeli chciał wyrazić jakiś żal, że do zapowiedzianego soboru nie doszło, to zapewne można dla uspokojenia przytoczyć długie ustępy z ogłoszonych aktów prawnych, przewidujące w organizacji cerkwi w Polsce także sobór generalny i ustalające cały porządek jego zwołania i odbycia. Sobór może być zwołany, a zatem może kiedyś zwołanym będzie. Inna rzecz czy będzie miał nad czym obradować. Także można wątpić, czy zwołanie soboru w najbliższej przyszłości wyszłoby cerkwi na zdrowie, bo prawdopodobnie stałby się on areną tarć rozmaitych narodowościowych i politycznych tendencyj. Więc może lepiej *quieta non movere!*

Uznany świeżo „Statut Wewnętrzny św. Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego" zawiera 86 paragrafów i 9 obszernych załączników. Szczegółową analizę Statutu pomijamy, jakkolwiek niektóre jego ustępy przedstawiają pewien interes i dla Kościoła katolickiego. Może do tych spraw w przyszłości powrócimy. Tutaj wystarczy ogólnie powiedzieć, że ustrój prawosławia w Polsce jest ciekawą syntezą zasady hierarchicznych rządów, którą prawosławie zbliża się do katolicyzmu, z zasadą demokratycznego przedstawicielstwa, wyborów i udziału laików w administracji cerkiewnej, którą to zasadę poczerpnęło prawosławie z protestantyzmu, jakkolwiek pisarze prawosławni usiłują dopatrzyć się w niej iście prawosławnej „sobornosti". Zaś ponad obu tymi zasadami góruje zasada trzecia — supremacji państwa nad cerkwią, co zresztą jest w zupełnej zgodzie jeśli nie z wszystkimi kanonami, to z wiekową prawosławia praktyką.

*

W urzędowych *Wiadomościach metropolii prawosławnej w Polsce* z dnia 15 stycznia br. została podana statystyka ludności prawosławnej w Polsce. Spis ludności, dokonany w r. 1931, stwierdził w całym państwie 3.762.500 prawosławnych. Dodając do tej cyfry przyrost naturalny, określany na 11,5%, statystyka ta wykazuje na dzień 1 stycznia br. 4.195.000 ludności prawosławnej, a razem z wojskiem skoszarowanym 4.220.000. *Wiadomości* zaznaczają wykresem, że jest w Europie osiem niezależnych państw, które mają mniej ludności w ogóle, niż jest prawosławnych w Polsce. Jak wiadomo, prawosławny Kościół ma pięć diecezyj. Nawet po niedawnym znacznym rozszerzeniu archidiecezji warszawskiej, pozostały one dosyć nierówne co do ilości wyznawców. Tak więc liczą diecezje:

Grodzieńska . .	660.400	prawosławnych
Poleska	972.600	"
Warszawska . .	821.200	"
Wileńska . . .	544.600	"
Wołyńska . . .	1.196.200	"

Dołączona do statystyki mapa obrazuje gęstość zasiedlenia prawosławnych i stosunek ich cyfry do ogólnej cyfry ludności w poszczególnych powiatach. Oczywiście największe nasilenie jest na kresach wschodnich. Z województw centralnych wchodzą w rachubę białostockie i lubelskie, a w południowych enklawę prawosławną spotykamy na Łemkowszczyźnie.

*

Powyżej podana statystyka nie uwzględnia wcale podziału prawosławnych według narodowości. Nie wiemy z niej ilu jest Rosjan, ilu Ukraińców, Białorusinów, wreszcie Polaków. Co do tych ostatnich, to przed kilku tygodniami pojawiła się w Grodnie jednodniówka pt. *Głos Prawosławia,* w której znajdujemy statystykę takich prawosławnych Polaków, według stanu z 1 stycznia 1936 r. Według województw tak się ten stan przedstawiał:

Białostockie . .	62.800
Lubelskie . . .	148.300
Nowogródzkie .	131.100
Poleskie	40.500
Wileńskie . . .	136.500
Wołyńskie . . .	10.600
Inne wszystkie .	18.000
W całej Rzplitej.	547.800

Cyfry te zostały wydedukowane z porównania cyfr spisu ludności, dotyczących wyznań, z cyframi, dotyczącymi narodowości, względnie macierzystego języka. Czy ta dedukcja istotnie odtwarza faktyczny stan rzeczy, czy ci prawosławni, których w ten sposób „wyrachowano" jako Polaków, rzeczywiście świadomie uważają się za Polaków, — to można w pewnej mierze kwestionować.

W przytoczonych danych uderzają wysokie cyfry prawosławnych Polaków w jed-

nych województwach, a nikłe w innych, w szczególności nikłe na Wołyniu i Polesiu. Nasuwają się z tego powodu ciekawe refleksje. Na Polesiu, gdzie jest blisko milion prawosławnych, Polaków podano tylko 40 tysięcy, zatem wszyscy inni prawosławni należeć muszą do jakiejś innej narodowości, a tymczasem takie np. pismo *Polesie* głośno oświadcza, że Polesie musi być czysto polskie, że gwara poleszuków to odmiana języka polskiego itd. Na Wołyniu znowu, kiedy rok temu zainicjowano tzw. „akcję rewindykacyjną", pisano, że trzeba odebrać prawosławiu 300 tysięcy zrusyfikowanych Polaków, tymczasem statystyka liczy Polaków tylko 10 tysięcy. I tu pytamy dlaczego *Głos Prawosławia*, któremu przecież chodzi o rewindykację narodową polską, zadawala się pretensją tylko do 10 tysięcy prawosławnych Polaków? Byłoby pożądane jakieś uzgodnienie statystyk, służących za podstawę do pewnych określonych kroków polityki narodowościowej i wyznaniowej na kresach.

*

Wobec niedawnego powiększenia ilości biskupów prawosławnych w Polsce przytaczamy cały obecny skład tego episkopatu.

Na czele całego Kościoła prawosławnego w Rzplitej stoi metropolita Dionizy Waledyński, który jest zarazem ordynariuszem archidiecezji warszawskiej. Do pomocy w diecezji dodany mu jest biskup-wikariusz Tymoteusz Szreter.

W Wilnie ordynariuszem jest arcybiskup Teodozy Fiedosiejew, a wikariuszem jego biskup Mateusz Siemaszko.

W Pińsku, ordynariuszem diecezji poleskiej jest arcybiskup Aleksander Inoziemcew, a wikariuszem z rezydencją w Kamieniu Koszyrskim biskup Antoni Marcenko.

W Grodnie biskupem diecezjalnym jest Sawa Sowietow; wikariusza nie posiada. W jego diecezji atoli, w klasztorze Żyrowickim, rezyduje „w stanie spoczynku" arcybiskup Pantelejmon Różnowski.

Na Wołyniu ordynariuszem jest arcybiskup Aleksy Gromadzki z rezydencją w Krzemieńcu, wikariuszami zaś jego są biskup Symon w Ostrogu (właściwie w klasztorze Dermańskim) i Polikarp Sikorski w Łucku.

Wszystkich więc biskupów prawosławnych w Polsce jest jedenastu.

*

W wyniku nowych ustaw, dotyczących cerkwi prawosławnej, zaszły ważne zmiany w wydawnictwach periodycznych prawosławnych w Polsce. Mianowicie został założony w języku polskim urzędowy organ metropolii pt. *Wiadomości metropolii prawosławnej w Polsce,* wydawany w Warszawie. Podobne urzędowe organa mają być założone i wydawane w języku państwowym w czterech innych diecezjach prawosławnych.

Wobec tej innowacji okazały się zbędne dwa pisma, które miały charakter urzędowych, wzg. półurzędowych organów, mianowicie: ukraińskie *Cerkwa i Narid,* wydawane w Krzemieńcu i rosyjskie *Słowo,* gazeta wydawana w Warszawie (przy której jakiś czas dawano dodatek pt. *Polska stronica Słowa*). Oba te pisma zostały zawieszone od 1 stycznia br.

Oprócz urzędówek prawosławni w Polsce wydawają pisma o charakterze prywatnym, ale stojące blisko hierarchii cerkiewnej. Mianowicie w Warszawie wychodzi nadal istniejące już od wielu lat rosyjskie *Woskresnoje Cztienie*, dające co parę numerów dodatek dla dzieci *Moj Drug* i co kwartał *Trezwost';* w Łucku wychodzi religijno-popularny miesięcznik w języku ukraińskim pt. *Szlach,* wydawany przez Towarzystwo im. Piotra Mohiły; wreszcie w Grodnie od 1 stycznia począł ukazywać się miesięcznik w języku polskim pt. *Przegląd Prawosławny,* wydawany przez Prawosławny Instytut Naukowo-Wydawniczy w Grodnie. Ten ostatni, „organ polskiego prawosławia", treści religijnej ma nie wiele, poziom naukowy (sądząc z numeru pierwszego) nie wysoki, natomiast mocno podkreśla swój polski patriotyzm i „państwowość" i można się spodziewać, że będzie cieszył się wydatnym poparciem sfer rządowych.

*

W organizowaniu prawosławnych Polaków przoduje Grodno. W swoim czasie pisaliśmy o poświęceniu kamienia węgielnego pod specjalną polską cerkiew prawosławną w tym mieście. (Na tym podobno budowa utknęła). W pierwszych dniach grudnia ub. r. odbyła się tamże inauguracja Prawosławnego Instytutu Naukowo-Wydawniczego, z udziałem nowo wyświęconych biskupów Mateusza i Tymoteusza i miejscowego biskupa Sawy, tudzież przedstawicieli władz wojskowych i administracyjnych i Ministerstwa W. R. i O. P. Nowo otwarty Instytut ma dążyć — jak pisze *Polska Zbrojna* — „do przywrócenia kultury polskiej i w ogóle polskości kościoła prawosławnego na obszarze Państwa polskiego". Dyrektorem Instytutu został ks. mag. L. Ka-

sperski. Instytut założył już od nowego roku własny miesięcznik, jako „organ polskiego prawosławia, wymieniony powyżej *Przegląd Prawosławny.*

*

Ze strony prawosławnych słyszy się często stawiany katolicyzmowi zarzut nietolerancji i fanatyzmu wobec innych wyznań chrześcijańskich. Dowodem ma być m. in. surowy zakaz katolikom uczestniczenia w nabożeństwach prawosławnych, uważanie prawosławnych za nie należących do Kościoła, itd.

Lecz oto mamy przed sobą uchwały soboru rosyjskich biskupów prawosławnych, odbytego w Śremskich Karłowcach w sierpniu 1938. Po referacie K. Nikołajewa o obrządku wschodnim w Kościele katolickim sobór uchwalił następną rezolucję:

1. Ogłosić wezwanie pasterskie w sprawie obrządku wschodniego, zwracając uwagę prawosławnych na emigracji na uwodzicielskość *(sobłaznitielnost')* tego obrządku i na to, że mimo zachowania obrządku wschodniego, noszącego na zewnątrz charakter prawosławny, prawosławni zachowując go, przestają należeć do łona cerkwi prawosławnej *(co za styl!)*. To uszanowanie, jakie w słowach wypowiada Kościół rzymsko-katolicki dla obrządku wschodniego, okazuje się nieszczerym i pochlebczym *(lstiwym)*. Z jednej strony Rzym opowiada się z swoją czcią i miłością ku braciom „niezjednoczonym“ i dla obrządku wschodniego, z drugiej strony organizuje i popiera akcję o charakterze gwałtu w stosunku do cerkwi prawosławnej i ludu prawosławnego, będącą w gruncie rzeczy prześladowaniem cerkwi prawosławnej.

2. W orędziu należy z szczególną siłą uwydatnić, że nawet proste odwiedzenie świątyni wschodniego obrządku przez chrześcijan prawosławnych jest niedopuszczalne i grzeszne. Należy przestrzec Rosjan przed oddawaniem swoich dzieci do zakładów naukowych, prowadzonych przez jednostki należące do kleru katolickiego. Należy także z szczególną ostrożnością odnosić się do małżeństw mieszanych, które w warunkach życia emigranckiego stają się źródłem osłabienia wiary prawosławnej w rodzinie.

3. Koniecznym jest wyjaśnić społeczeństwu rosyjskiemu, że chrześcijaństwo i prawosławie są pojęciami toż samo znaczącymi. Trzeba wyjaśnić, że prawdziwe chrześcijaństwo zawiera się tylko w prawosławiu, a gdzie nie ma prawosławia, nie ma też prawdziwego chrześcijaństwa, tylko herezja i sekta.

Z powyższych rezolucyj widać, że prawosławie, przynajmniej to, jakie reprezentowali członkowie soboru rosyjskiego w Śremskich Karłowcach, jest 1-o krańcowo nietolerancyjne względem katolicyzmu, którego nie uważa nawet za część Kościoła, ale wprost za herezję, sektę i coś, co wcale nie jest chrześcijaństwem, i to niezależnie od obrządku, w jakim katolicyzm występuje; 2-o że przyłączenie do Kościoła kat. chociażby z zachowaniem obrządku wschodniego uważa za odstąpienie od Kościoła Chrystusowego; 3-o że uważa za grzech samo nawet odwiedzanie przez prawosławnych świątyni katolickiej. Czy całe prawosławie tak sądzi? Może by na to pytanie zechciał kiedy odpowiedzieć czcig. o. protoprezbyter Teodorowicz z Warszawy.

*

Z innych krajów nie mamy w tym miesiącu nic do zanotowania, oprócz obsadzenia stolicy prymasowskiej w Grecji. Na miejsce zmarłego niedawno arcybiskupa Aten i prymasa Hellady Chryzostoma został obrany arcybiskup Trapezundu Chryzant. Nowy prymas Hellady pochodzi z Turcji, skąd został wysiedlony wraz z innymi Grekami przez rząd Kemala Ataturka, zatrzymując wszakże tytuł arcybiskupa Trapezundu, podległego patriarchatowi ekumenicznemu w Istambule (Konstantynopolu). Chryzant zaznaczył się jako historyk, wydając pracę naukową „Kościół Trapezundu“, w Atenach 1933 r.

Obserwator.

Redakcja poszukuje egzemplarzy „ORIENSU“ z miesięcy styczeń-luty 1938 r. Czytelnicy, nie zbierający kompletów, raczą nadesłać nam ten numer.

TROCHĘ WIEŚCI Z CHARBINA

Z placówki wschodniej w Charbinie (Mandżuria) otrzymujemy następujące wiadomości, podane w liście prywatnym do ks. J. U.

„Rok 1938 był dla katolickiej placówki charbińskiej poniekąd jubileuszowym. Administrator apostolski, o. archimandryta F. Abrantowicz, obchodził 30-lecie swego kapłaństwa, a sama administracja apostolska 10-lecie istnienia. Tyleż lat liczy tutaj także praca ss. Urszulanek. Z tych powodów 13 listopada obchodzono ten jubileusz w męskim liceum św. Mikołaja, a 22 grudnia w gimnazjum ss. Urszulanek“.

„Liceum św. Mikołaja nadal boryka się z rozmaitymi trudnościami, ale jak dotąd zwycięsko. Obecnie mamy ponad 160 wychowanków, sami interniści. Dziewczynek w obu pensjonatach, ss. Urszulanek i ss. Franciszkanek, jest przeszło dwa razy tyle. Jak na czasy, kiedy wszystkie szkoły rosyjskie, z wyjątkiem Y. M. C. A., zwinęły swoją działalność na korzyść szkół państwowych, nasze utrzymanie się jest wyraźnym znakiem opieki i pomocy Bożej. Mandżurskie władze państwowe ustosunkowały się do misyj katolickich na ogół życzliwie. Rok szkolny w naszych zakładach, podobnie jak w państwowych, kończy się w grudniu, a nowy rozpoczyna się w styczniu. Wakacje letnie bywają krótsze, niż gdzie indziej. Część naszych dzieci spędza je we własnej kolonii letniej Czen-cha za niewielką opłatą. Dzieci, pozostające pod ciągłą opieką naszych księży i ss. zakonnych, nie tracą tego, co dzieci puszczone do rodzin, które często bardzo wiele pozostawiają do życzenia pod względem moralnym.

„Wy w Polsce nie macie pojęcia jak zastraszająco szerzy się tutaj plaga rozwodów i jak demoralizuje ona dzieci. Wychowałem w zakładzie chłopczyka, który miał trzech ojców i dwie mamusie i do wszystkich odnosił się jednakowo, może więcej sympatii okazując tym, którzy go więcej psuli. Która była prawdziwą jego matką nie mogłem się od niego dowiedzieć, zresztą było mu to całkiem obojętne. Rodzice zaś bardzo często pozostają w takim do siebie stosunku, że ojciec odwiedzając zakład prosi administrację, by nie pozwalała widywania się dziecka z matką — a matka prosi o to samo w stosunku do ojca. Gorsze jednak, że rodzice, powierzając nam swoje dzieci, nastrajają je wrogo względem nas samych. Dzieci jednak łatwo się oswajają i nabierają zaufania do nas, lecz wtedy przychodzi do głosu inny nasz nieprzyjaciel, ksiądz prawosławny. My uczymy dzieci zasad religii, ale nie wywieramy na nich przymusu, by zostawali katolikami i przyjmujemy je formalnie do Kościoła jedynie za wyraźną zgodą pisemną rodziców. Katolicy stanowią zaledwie piątą część wszystkich naszych dzieci. Resztę, przygotowaną religijnie, odsyłamy do spowiedzi do kapłanów prawosławnych, którzy często a niewybrednie buntują dzieci przeciwko nam, nie bacząc, żeśmy te dzieci wyrwali właśnie ze stanu zupełnej obojętności religijnej, albo i z pod wpływów bezbożnych“.

„Ale mamy także i pociechę z naszych chłopców. Oto dwaj wychowankowie, rodowici Rosjanie, Apoloniusz Katkow i Gleb Brianczaninow, ukończywszy liceum jeden ze złotym, drugi ze srebrnym medalem, poświęcili się służbie Kościoła w naszym zgromadzeniu oo. Marianów wsch. obrz. Właśnie po odbyciu rocznego nowicjatu w naszym domu zakonnym, pod kierunkiem ojca magistra Tomasza Podziawy, złożyli 4 grudnia 1938 r. śluby zakonne. Zgodnie z przyjętym u Rosjan zwyczajem, obaj zmienili imiona chrzestne na inne, zaczynające się od tej samej litery a będące własnością „większego“ świętego, niż był poprzedni patron. Tak więc Apoloniusz nazywa się już Andrzejem, zaś Gleb — Jerzym (Georgij)“. (Zob. fotografię tych dwóch młodzieńców wraz ze swoim mistrzem).

„Spośród naszych pracowników ubył o. Włodzimierz Mażonas, b. redaktor pisma *Katoliczeskij Wiestnik*. Odwołany na inne stanowisko w Litwie, odjechał z Charbina 14 listopada“.

T. P.

Czytelnicy! Jednajcie pismu nowych przyjaciół!

Z KOŚCIOŁA MALANKAREZÓW

Przed dwoma laty (listopad-grudzień 1936 r.) w art. „Najmłodsi Unici Malankarezi“, podał *Oriens* nieco szczegółów o powrocie do jedności z Kościołem kilkunastotysięcznej rzeszy jakobitów w Indiach na czele ze swoim metropolitą Mar Ivaniosem i jego sufraganem Mar Teofilosem. Stolica św., z radością witając powrót zbłąkanych do prawdziwej owczarni, powierzyła Mar Ivaniosowi pieczę nad jego ziomkami, ustanawiając metropolię z rezydencją w Trivandrum, drugi zaś okręg diecezji otrzymał Mar Teofilos z siedzibą w Tiruvalla.

Śladami tych wybitnych dostojników kościelnych poszło tysiące wiernych, a w listopadzie 1937 r. powrócił na łono katolickiego Kościoła jeden z bardzo wpływowych hierarchów, stojący na czele najstarszej diecezji w Malabarze — Neranam, Mar Severios.

Pochodził on ze starożytnej rodziny Valakuly, osiadłej w Mallapally, miejscowości odległej 5 mil od Changanachary, w południowych Indiach. Jako uczeń i zwolennik Mar Ivaniosa cieszył się jego przyjaźnią. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Madrasie był profesorem w Mar Gregorios Memorial Jacobite English School, gdzie zyskał sobie miłość i szacunek uczniów. Dość dawno rozpoczął studia nad katolicyzmem. Po powrocie Mar Ivaniosa do jedności Kościoła utrzymywał z nim nadal stosunki, aż wreszcie mimo sprzeciwu i gróźb swych podwładnych przeszedł na stronę katolicką, pociągając za sobą kilku kapłanów i 50—70 rodzin jakobickich. W roku 1938 Stolica św. powierzyła mu juryzdykcję nad diecezją w Tiruvalla w miejsce schorowanego ciężko Mar Teofilosa.

Nasz dodatek ilustracyjny podaje podobizny dwóch nawróconych z herezji jakobickiej biskupów Malankarezów.

Cz. S.

CO I JAK PISZĄ?

Nadaniem statutu Cerkwi prawosławnej zachwyca się nowy tygodnik *Jutro Polski.* Zobrazowawszy chaos, jaki w stosunkach wyznaniowych na kresach panował dotąd, rodząc niebezpieczeństwo dla Polski, tak pisze:

> Niebezpieczeństwa i chaos powiększała jeszcze propagowana w ostatnich latach akcja neounijna tzw. obrządku neobizantyjskiego *(Commisio pro Russia),* który miał nawracać prawosławnych na katolicyzm nowego obrządku, zachowującego wszystkie formy wschodnie, obce kulturze polskiej.

Natomiast Kościół prawosławny — zdaniem *Jutra Polski* — przebył taką dużą ewolucję w Polsce, że umożliwia „naturalny ruch ekspansji polskiej na ziemie wschodnie zgodnie z nakazami naszego interesu narodowego i państwowego“.

Przegląd Katolicki, zacytowawszy powyższy artykuł i wypowiedziawszy parę słusznych uwag na temat polskości „polskiego“ prawosławia, tak kończy:

> Nie rozumiem... Prawosławie zachowuje wszystkie formy wschodnie i otaczane jest troskliwą opieką. Nie tylko nie szkodzi, ale ma pomóc ekspansji kultury polskiej. Neounici zachowują dokładnie te same formy wschodnie w swojej liturgii i niebezpieczeństwo wzrasta... A przecież ci „neounici“ zachowując tak samo jak prawosławni wschodnią liturgię, zrywają jednak radykalniej, niż prawosławie, łączność hierarchiczną z tym obcym kulturze polskiej Wschodem, a przeciwnie nawiązują łączność z Kościołem zachodnim, który chyba bez porównania bardziej zasługuje na nazwę polskiego Kościoła, niż Cerkiew prawosławna... i dlatego mają być niebezpieczniejsi dla polskości niż prawosławie... Oto logika *Jutra.*

Tyle *Przegląd Katolicki.* Do tych słów naprasza się jeszcze parę uwag. Logika, jakiej próbkę dało swoim artykułem *Jutro Polski,* nie jest wyłączną własnością tego tygodnika. Taką samą „logikę“ zdradza wiele dzienników polskich, atakując już od lat przy każdej sposobności akcję neo-unijną. Jest to logika nie ogólno ludzka, ani z Arystotelesem ani z nową logistyką nic wspólnego nie mającą, nie jest ona też jakąś logiką specjalnie polską ani łacińską, ale logiką bizantynizmu politycznego, zwanego „cezaropapizmem“, którym zaraziły się u nas pewne sfery, te właśnie, które z urzędu bliżej stykają się z prawosławiem. Rzecz nie w takim czy innym obrządku prawosławia, lub neo-unii, ale w stosunku

tych organizacyj do władz świeckich. Neo-unia należy do Kościoła katolickiego, który broni swej niezawisłości i wychowując swym moralnym wpływem obywateli państwa, czyni to z godnością, nie płaszcząc się po bizantyjsku przed władzami administracyjnymi. To musi niepodobać się tym panom, którzy nawykli odbierać oznaki czołobitności od przedstawicieli innych wyznań.

Ten bizantynizm, podobnie jak biurokratyczną polonizację biorą niektórzy za czynnik „ekspansji kultury polskiej" i — o dziwo! — uważają się nawet za pionierów na Wschodzie „cywilizacji łacińskiej!" Ze swego krótkowzroczno-bizantyjskiego stanowiska postępują zupełnie logicznie, zwalczając akcję unijną. Oni też są inspiratorami artykułów dziennikarskich w tej sprawie, które swoją stereotypowością zdradzają, że pochodzą z jednego źródła.

Obok swoistej logiki elukubracje te odznaczają się jeszcze tym, że ich autorzy na temat obrządków plotą androny. Takie w artykule *Jutra Polski* spotykamy cudactwa, jak nazywanie obrządku akcji neo-unijnej „neobizantyjskim", uważanie go za „nowy" (choć równocześnie trzymający się wiernie form wschodnich, chyba starych?), jak wreszcie wskrzeszanie w roku 1938 widma „Commissio pro Russia". Te androny dowodzą, że przeciwnicy akcji neo-unijnej bronią się przed niebezpieczeństwem pouczenia się o sprawach, w których głos zabierają, może instynktownie czując, że dokładniejsze informacje utrudniłyby im pracę nad „ekspansją kultury polskiej" przy pomocy bliższego im po duchu prawosławia.

*

W Wilnie istnieje od dwóch lat niewielki kwartalnik pt. *Pomoc Misyjna,* wydawany pod redakcją ks. Jana Matulewicza. Pismo to jest „poświęcone popieraniu rozkrzewiania wiary", a ma na myśli przede wszystkim potrzeby misji wewnętrznej na północno-wschodnich kresach Polski. Ostatni numer tego pisma zamieścił artykuł „O nawracaniu prawosławnych" pióra samego redaktora. To wyrażenie „nawracanie" może będzie zbyt przykre dla naszych odłączonych braci. Co do metody owej pracy nawróceniowej, autor podkreśla znaczenie słowa drukowanego i zaleca założenie w tym celu polskiego pisma popularnego, podkreślą także wreszcie potrzebę planowości, by „nie trwonić sił po próżnicy", mówi o akcji charytatywnej i o współpracy świeckich. Artykuł swój autor tak kończy:

> Pominęliśmy na razie kwestię obrządku... Jest to sprawa zbyt skomplikowana, aby tak w kilku słowach można było ją rozwiązać. Zasadniczo powinno nam chodzić nie o obrządek, lecz o katolicyzm nawróconych. Obrządek bowiem powinni oni sami sobie obierać. Według mego przekonania, unia tylko wtedy może mieć powodzenie, gdy będzie szła od góry, jak to było z unią brzeską. Natomiast nawrócenia indywidualne większe mogą mieć powodzenie przy przechodzeniu na obrządek łaciński. Zresztą kapłanów obrządku wschodniego jest jeszcze zbyt mało, a kapłan łaciński wcale się nie nadaje na propagatora obrządku wschodniego. Najlepiej będzie, gdy życie samo tę kwestię rozstrzygnie...

Zgadzając się z autorem, że ważniejszą jest treść nauki katolickiej, niż taka czy inna jej obrządkowa forma, kwestionowalibyśmy wszakże możliwość prowadzenia „planowej" akcji „nawracania" prawosławnych abstrahując od kwestii obrządku, bo przecież praktycznie trzeba każdego przechodzącego na katolicyzm prawosławnego wcielić do któregoś z istniejących dwóch obrządków. Możność obierania sobie obrządku przez samych zainteresowanych pozostanie także iluzoryczną, jeśli księża łacińscy „wcale się nie nadają" na propagatorów wschodniego obrządku, a ilości kapłanów wschodnich nie powiększy się „planowo". Trzeba jeszcze dodać, że możność wyboru obrządku suponuje uprzednie uświadomienie prawosławnego, że Kościół nie żąda od niego porzucenia obrządku rodzimego. Lojalne wypełnienie tego warunku jest również obowiązkiem kapłanów łacińskich.

Ks. J. Urban.

ZWRACAMY UWAGĘ NA OSTATNIĄ STRONĘ OKŁADKI,
GDZIE SIĘ ZNAJDUJE SPIS KATOLICKICH
KSIĄŻEK I BROSZUR W JĘZYKU ROSYJSKIM

WIADOMOŚCI I NOTATKI

30 grudnia umarł w Warszawie J. Em. Kardynał Aleksander Kakowski, arcybiskup-metropolita warszawski. Niegdyś rektor seminarium warszawskiego, potem rektor akademii duchownej w Petersburgu, od 1913 r. arcybiskup warszawski, w latach 1917 i 1918 regent Królestwa Polskiego, wreszcie od r. 1919 purpurat św. Rzymskiego Kościoła, wysłużył się Zmarły zarówno narodowi i państwu, jak Kościołowi.

Na tym miejscu należy wspomnieć o stosunku śp. Kardynała Kakowskiego do zagadnień kościelno-wschodnich, z którymi miał sposobność zetknąć się bliżej podczas swej pracy w stolicy Rosji. Archidiecezja warszawska jest czysto polską i łacińską, przeto kwestie, na kresach wschodnich bardzo aktualne, tutaj prawie nie istnieją. Jednakowoż Kardynał Kakowski miał sposobność okazania życzliwości dla katolickiego obrządku wschodniego i w szczególności dla akcji neo-unijnej. Tak opuszczony podczas wielkiej wojny przez prawosławnych były kościół bazyliański przy ul. Miodowej w Warszawie zwrócił prawym jego właścicielom, oo. Bazylianom, a w roku ubiegłym erygował przy nim parafię grecko-katolicką dla znajdujących się w stolicy i jej okolicach wyznawców tego obrządku. Pod protekcją J. Eminencji powstało w Warszawie pierwsze tego rodzaju w kraju „Koło jedności katolickiej“, złożone z kapłanów, a stawiające sobie za cel studiowanie chrześcijańskiego Wschodu, tak połączonego z Rzymem, jak i odłączonego i popieranie prac unijnych. Pracami tego Koła śp. Zmarły żywo się interesował. Kiedy przed kilku laty ukazała się książka H. Łubieńskiego, atakująca akcję unijną na kresach, kardynał Kakowski potępił ją osobnym dekretem. Stanowisko Zmarłego w tych wszystkich sprawach ściśle pokrywało się z wytycznymi liniami rozporządzeń Stolicy świętej.

W uroczystościach pogrzebowych kard. Kakowskiego wzięli udział przedstawiciele hierarchii grecko-katolickiej, księża biskupi Kocyłowski, Chomyszyn, Czarnecki, Buczko i wielu kapłanów tego obrządku. Panachidę przy katafalku w katedrze św. Jana odprawiono sobornie przy udziale chóru z kościoła oo. Bazylianów. Dodać należy, że do zwłok zmarłego Kardynała przybył z krótką modlitwą także metropolita prawosławny warszawski Dionizy.

*

Liczba katolików Rosjan w Litwie, według danych z dnia 1 I. 1938, wynosiła 1104 dusz. Działalność nad zbliżeniem Rosjan, prawosławnych i staroobrzędowców, do Kościoła katolickiego nadal spoczywa w rękach tyt. Biskupa Olympu obrz. wsch. Piotra Buczysa z zakonu ks. Marianów, rezydującego w Kownie (Kaunas. Laisvės al. 61), mającego do pomocy jednego kapłana obrz. wsch., diakona i psalmistę. Nabożeństwa wschodnie odbywają się regularnie w kościele św. Michała, a w środy w klasztorze ks. Marianów (adres, jak wyżej) odbywają się konferencje na tematy religijne, które prowadzi przeważnie sam Ks. Biskup. W dodatku ilustr. dajemy fotografię Ks. Biskupa Buczysa.

*

Tydzień modłów o jedność kościelną (18—25 stycznia) bywa okazją urządzania nabożeństw, akademij i odczytów, poświęconych zagadnieniom chrześcijańskiego Wschodu i akcji zjednoczeniowej. W tym roku znaczenie tych obchodów podnosi ta okoliczność, że jest to rok jubileuszowy 500-lecia zawarcia unii Florenckiej. Z obchodów notujemy te, o których otrzymaliśmy dokładniejsze wiadomości.

W Warszawie, staraniem kapłańskiego Koła Jedności Katolickiej, urządzone zostały w dniach 21 i 22 stycznia wieczory, poświęcone całkowicie jubileuszowi florenckiemu. Pierwszy z tych wieczorów, zagajony przez ks. prałata St. Mystkowskiego, zaszczycili swoją obecnością J. E. Nuncjusz Apostolski ks. arcybiskup F. Cortesi, rządca archidiecezji warszawskiej ks. arcybiskup St. Gall i ks. biskup A. Szlagowski. Odczyty wygłosili: doc. uniwersytetu dr W. Tomkiewicz o polityce polskiej i litewskiej wobec prawosławia przed soborem Florenckim i redaktor naszego pisma ks. J. Urban o losach unii Florenckiej w Polsce i na Litwie. W drugim dniu o. Jacek Woroniecki opowiadał o wybitniejszych członkach soboru Florenckiego ze strony łacińskiej, a ks. prof. M. Niechaj z Lublina — o podobnych postaciach na soborze ze strony greckiej, poczem obecny tego wieczora J. E. ks. biskup podlaski H. Przeździecki w ciepłym przemówieniu podkreślił katolicki obowiązek przejęcia się duchem miłości względem ludzi innego wyznania, obrządku i języka i pracy nad zrealizowaniem jedności kościelnej.

W Lublinie „akademię unijną“ 22 stycznia zorganizowało Akademickie Koło Badań Naukowych nad Kościołami Wschodu, a odbyła się ona w jednej z sal Uniwersytetu Katolickiego. Obecni byli obaj księża biskupi, rektor i profesorowie Uniwersytetu oraz tłumnie zgromadzona publiczność. Akademię zagaił ks. prof. P. Kremer, a referat wygłosił profesor Papieskiego Seminarium w Dubnie o. P. Burzak na temat: „Neo-unia i jej rezultaty“. W wokalnej części męski chór akademicki wykonał kilka pieśni w języku cerkiewno-słowiańskim, a chór parafii św. Pawła kilka kolend. Były także śpiewy solowe i deklamacje.

Wielce uroczyście, z inicjatywy J. E. ks. arcybiskupa A. Nowowiejskiego, odbył się obchód „tygodnia modłów“ i jubileuszu florenckiego w Płocku w dniach 28 i 29 stycznia. Został on przesunięty na te dni w tej myśli, aby można było sprowadzić warszawskich prelegentów. W istocie akademie tych dni w domu parafialnym wypełniły odczyty księży prał. Mystkowskiego, J. Urbana i M. Niechaja.

Lecz nie ograniczono się tylko do referatów. Pod sklepieniami prastarego romańskiego tumu, zdaje się po raz pierwszy od jego istnienia, rozległy się dźwięki i melodie liturgii wschodniej w języku słowiańskim, celebrowanej przez J. E. wizytatora apostolskiego, ks. biskupa M. Czarneckiego w asyście kilku kapłanów gr.-katolickich i przy udziale wspaniałego chóru z kościoła oo. Bazylianów w Warszawie. Oddaleni od Wschodu płocczanie mieli sposobność poznania szerokości katolickiego Kościoła, dopuszczającego przy jedności wiary tak wielką rozmaitość obrządkową. Oczywiście na liturgii byli obecni obaj miejscowi pasterze, kapituła, seminarium, całe duchowieństwo. Chór bazyliański urozmaicił swymi śpiewami

także akademię. Obok tematów, dotyczących soboru Florenckiego, poruszono także istotę i cele akcji zjednoczeniowej na kresach wschodnich.

*

Parafianie unici z Torokań na Polesiu w liście do naszej redakcji uskarżają się na trudności, czynione przez władze szkolne nauczaniu dzieci unickich w szkole religii według ich wyznania i obrządku. Piszą, że już czwarty rok dzieci ich, uczęszczające do szkoły powszechnej w Imieninie, nie mają nauki religii w szkole z powodu niedopuszczania do niej proboszcza unickiego, ks. D. Nowickiego, jak również katechetki przez władzę diecezjalną w Pińsku upoważnionej. Nie mogąc uzyskać wstępu do szkoły, proboszcz począł gromadzić dzieci na naukę katechizmu na plebanię, lecz wtedy w szkole zagrożono dzieciom obniżeniem stopnia ze sprawowania, jeśli będą chodziły na katechizm na plebanię. Oprócz samego proboszcza, starania o religię dla swych dzieci czynili ich rodzice w inspektoracie szkolnym w Drohiczynie, w urzędzie wojewódzkim w Brześciu, a nawet w Warszawie, lecz dotąd bez skutku. Zdaje się, że pewne wpływowe czynniki dotąd nie zapoznały się z treścią konkordatu, zapewniającego wolność Kościoła katolickiego „we wszystkich jego obrządkach" i nauczanie katolickich dzieci szkolnych religii ich wyznania. Katolikom, chociażby obrządku wschodniego i nawet na Polesiu, należało by się równouprawnienie religijne z prawosławnymi.

*

W ostatnich dniach grudnia 1938 r. dekretem wojewody wileńskiego zostali wydaleni z Wilna, jako z miasta leżącego w pasie przygranicznym, redaktor pisma białoruskiego *Chryścijanskaja Dumka,* ks. Adam Stankiewicz, wydawca *Wiadomości Białoruskich* (po polsku wydawanych), inż. Klimowicz, tudzież ks. Władysław Tołoczko, jako działacze białoruscy. Jest to dalszy ciąg akcji władz administracyjnych, zastosowanej najpierw przed pół rokiem do oo. Marianów w Drui. Trzeba tu zaznaczyć, że *Chryścijanskaja Dumka* jest pismem katolickim, ściśle religijnej treści, wychodzącym na mocy zezwolenia władzy duchownej i pod okiem cenzury konsystorza i polityką się nie zajmuje. Co się tyczy ks. Tołoczki, to jakkolwiek jest on życzliwy Białorusinom (zresztą nie tylko im), może być zaliczonym do narodowości białoruskiej chyba przez nieporozumienie. W obronie jego wystąpiła też polska prasa wileńska, jak *Słowo* i *Kurier Wileński,* co zresztą nic nie pomogło. Wysiedleni kapłani zamieszkali w innych województwach, ale na terenie swojej diecezji: ks. Tołoczko w Białymstoku, a ks. Stankiewicz, jako kapelan ss. Niepokalanek w Słonimie. *Chr. Dumka* wychodzi w dalszym ciągu w Wilnie. Wydaleniu pomienionych osób towarzyszyła dość hałaśliwa nagonka na nich brukowej prasy z krakowskim *Il. Kurierem Codz.* na czele. Wymienione wileńskie dzienniki starały się zachować w tej sprawie rzeczowe stanowisko, wykazując niedostateczność zarzutów, jakie wytaczano wydalanym. Chyba, że władze kierowały się jakiemiś powodami, których nie chciały ujawnić. Z niektórych głosów prasy możnaby wnioskować, że istnienie Białorusinów katolików, a zwłaszcza księży jest bardziej niebezpieczne, niż istnienie Białorusinów prawosławnych, a może nawet komunistów.

*

Wychodzący w roku ubiegłym w Warszawie katolicki miesięcznik białoruski *Złučeńnie* został zawieszony przez samą redakcję w związku z trudnościami kolportażu.

*

Biuletyn Polsko-Ukraiński, tygodnik wydawany w Warszawie, przestał wychodzić od nowego roku. Natomiast pod redakcją Włodz. Bączkowskiego powstał nowy miesięcznik pt. *Problemy Europy Wschodniej,* który wiele uwagi ma poświęcać tym problemom, jakim służył zawieszony Biuletyn. Styczniowy zeszyt *Problemów* już się ukazał i przedstawia się okazale. Można mieć nadzieję, że wśród zagadnień, jakie będzie w przyszłości omawiał, znajdzie miejsce także dla zagadnień wyznaniowych. Adres redakcji: Warszawa, Nowy Świat 66, 13.

NOWE KSIĄŻKI

P. Bernhard Schultze S. J.: Die Schau der Kirche bei Nikolai Berdiajew. *Orientalia Christiana Analecta*, nr 116. Roma 1938. Str. 251.

Praca o poglądach Bierdiajewa jeszcze żyjącego i piszącego, wydawać się może przedsięwzięciem przedwczesnym. Wszakże niejedno zapatrywanie swoje może on jeszcze zmienić, a przynajmniej uzupełnić lub jaśniej sformułować. Usprawiedliwia ją jednak ta okoliczność, że B. jest pisarzem nie tylko płodnym i głębokim, lecz także na Zachodzie dziś bardzo czytanym, modnym. Dzieła jego rosyjskie tłumaczy się na wszystkie niemal języki europejskie. Na współpracownika zapraszają go różne czasopisma o zasięgu międzynarodowym. Wpływ jego zatacza coraz szersze kręgi.

O licznych pismach Bierdiajewa pisze się nie tylko recenzje, lecz także obszerne studia krytyczne, w których autorowie bez wahania stwierdzają, że jest on myślicielem współczesnym godnym tego, by się nim zajęto, filozofem historii i religii, obok którego obojętnie przejść nie można. Nie może go ignorować także nauka katolicka, choć wyrósł on w środowisku niekatolickim i w nim nadal żyje; albowiem twórczością swoją sięga daleko poza sfery prawosławne i porusza problemy żywotne także dla katolicyzmu i w których nauka katolicka też ma swe słowo do powiedzenia, tym bardziej że Bierdiajew, jak wielu myślicieli rosyjskich, wszystkie zagadnienia światopoglądowe zespala z religijnymi, że jest on nie tylko filozofem, lecz także teologiem, choć sam się przed tym mianem broni.

To też praca o. Schultzego o pojęciu Kościoła u Bierdiajewa jest bardzo na czasie.

Zadanie, którego się A. podjął, było niełatwe tak ze względu na ogromną spuściznę pisarską Bierdiajewa, ciągle jeszcze rosnącą, jak i ze względu na specyficzne właściwości Bierdiajewa, który nie

chce uprawiać „filozofii szkolnej“, lecz wolną, niezależną filozofię religijną, nie krępowaną żadną systematycznością, żadnymi ramami metodycznymi.

Temat obrany przez A. nie jest wzięty z peryferii światopoglądu B-wa, lecz stanowi element centralny w jego rozważaniach. B-w sprowadza wszystko do mistycznej społeczności Kościoła, a to pojęcie Kościoła jest znów zależne od całego jego światopoglądu.

Dlatego w I. części swej pracy przedstawił A. metafizyczne poglądy B-wa, a dopiero w następnych częściach przedstawia poglądy B-wa o Kościele jako społeczności powszechnej, jako duszy świata i jako rzeczywistości bosko-ludzkiej (ulubione rosyjskie: „bogoczełowieczestwo“); o roli Kościoła w dziejach ludzkości; wreszcie o Kościele w stosunku do tych społeczności chrześcijańskich, które się mienią Kościołem Chrystusowym. W końcowej ocenie omawia A. stosunek B-wa do innych systemów filozoficznych: do platonizmu, idealizmu niemieckiego, modernizmu, Bergsona i do socjologii nowej.

Praca o. Schultzego odbije się niewątpliwie żywym echem w sferach zbliżonych do B-wa i stojących pod jego wpływem. Choć poddaje krytyce niejedno w poglądach B-wa na Kościół, to jednak nacechowana jest jak największym objektywizmem, pragnieniem zrozumienia B-wa, nie zbicia jego wywodów, szacunkiem dla ogromnej pracy B-wa i dla głębokiej jego wiedzy. To powinno jej zapewnić życzliwe przyjęcie w sferach do B-wa zbliżonych, a tym samym spowodować winno zbliżenie się ich do nauki katolickiej. Katolikom zaś ułatwi ta praca zorientowanie się w zawiłych nieraz wywodach B-wa i należytą ich ocenę. *B. W.*

*

Ks. Marcin Wojciechowski: Nieomylność Kościoła Chrystusowego według A. Chomiakowa i jego zwolenników. Lublin, Tow. Nauk. Kat. Uniw. Lub. 1938, str. IX+187.

Z przyjemnością notujemy wydanie tej książki, która jest rozprawą doktorską autora. Stanowi ona poważną pozycję w piśmiennictwie naszym, dotyczącym prawosławia i powinna zainteresować każdego, kto interesuje się zagadnieniami wschodnio-kościelnymi, oraz pracuje nad zjednoczeniem kościelnym. Daje ona poznać ducha teologii rosyjsko-prawosławnej kierunku Chomiakowowskiego, który dzisiaj przeważa wśród Rosjan a ujawnia się przede wszystkim w nauce o Kościele. W kwestii nieomylności, której podmiotem czyni się „całe ciało Kościoła“ teologia tego pokroju z jednej strony stwarza dla poszczególnych teologów możność puszczania się na wszelkie subiektywne ekstrawagancje i spory, a nikogo w cerkwi nie upoważnia do wydania o nich ostatecznego nieomylnego wyroku, boć zgodny sąd „całego ciała Kościoła“, hierarchii i wszystkich wiernym razem, to nieziszczalna fikcja. Gdy zapanowało w cerkwi rosyjskiej tego rodzaju pojęcie nieomylności, jakie stworzył Chomiakow, a pielęgnują jego zwolennicy, trudno już w ogóle pytać — poza kwestiami rozstrzygniętymi na pierwszych soborach powszechnych — o to, jaką jest autentyczna nauka cerkwi w tym czy innym przedmiocie, bo cokolwiek by ktoś powiedział, inny to zakwestionuje jako nie zagwarantowane zgodą wszystkich wiernych. Dla akcji apostolskiej katolicyzmu znajomość tego stanu rzeczy jest o tyle ważna, że jak osłabia on pertraktacje w sprawie unii z hierarchią, tak z drugiej strony zwraca on w stronę katolicyzmu te umysły, które w rzeczach religii odwracają się od anarchii i szukają pewnej ostoi, „opoki“.

J. U.

*

Dr Stephan Schiwietz (Siwiec): Das morgenländische Mönchtum. 3 Band. Verlag: Missionsdruckerei St. Gabriel, Mödling b. Wien, 1938, str. VIII 440.

Naukowemu badaniu mnichostwa wschodniego poświęcił ks. dr Siwiec (Rybnik, Śląsk) prawie całe życie swoje. Już przed wojną światową wyszły pierwsze dwa tomy dzieła temu przedmiotowi poświęconego: tom I w Mainz 1904, tom II tamże w r. 1913. Była w nich przedstawiona historia starochrześcijańskiego ascetyzmu i życia mnichów w Egipcie, na półwyspie Synai i w Palestynie w IV wieku. Tom III, który świeżo opuścił prasę, obejmuje kraje: Syrię, Mezopotamię i Persję. Jak widzimy, te trzy pokaźne tomy nie objęły jeszcze wcale mnichów żyjących w późniejszym bizantyjskim okresie Kościoła wschodniego. Na to trzeba by jeszcze całego szeregu tomów, które oby Czcigodny Autor zdążył jeszcze opracować i wydać!

Niepodobna w notatce szczegółowo analizować tego kapitalnego dzieła, opartego na rozległych studiach źródłowych. Erudycja autora jest wprost niezwykła. Chcemy tutaj tylko sygnalizować ukazanie się takiego dzieła i zachęcić wszystkich orientalistów naszych do nabycia jego do swoich bibliotek. Nikomu nie będzie wolno pisać cokolwiek o starożytnych mnichach Wschodu bez zaznajomienia się wpierw z pracą ks. dr. Siwca.

J. U.

Książki, nadesłane do redakcji:

Dr František Grivec: Kristus v cirkvi. Ze słoweńskiego na czeski przełożył Fr. Szweklak. Ołomuniec 1938, str. 204.

Włodz. Bączkowski: W obliczu wydarzeń. (Zbiór artykułów politycznych w sprawie ukraińskiej). Wydawn. „Myśli Polskiej“, Warszawa 1939, str. 112.

Duszpastyrśkyj kalendar na 1939 rik. Zładyw N. P. Kysil Cz. S. W. W. Nakł. OO. Bazylianów w Żółkwi.

Z wydawnictwa oo. Bazylianów w Żółkwi:

Wasyl Limnyczenko: Wiara i patriotym. Str. 22.

Mychajło Fedoriw: Bojaryn Łeszko Sawycz. Istoryczna legenda pro czudotwornyj obraz M. B. w Hoszewi. Str. 32.

Redaktor: Ks. Jan Urban T. J.

Drukarnia Wydawnictwa Księży Jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61 — Telefon, nr 4-37-87

Oriens

DWUMIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU

MARZEC-KWIECIEŃ 1939

TREŚĆ ZESZYTU:

WYDAJE MISJA WSCHODNIA O. O. JEZUITÓW W POLSCE
REDAGUJE KS. JAN URBAN T. J.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 61
KONTO P. K. O. NR. 15.293

ORIENS

DWUMIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU
WYDAWANY PRZEZ MISJĘ WSCHODNIĄ OO. JEZUITÓW W POLSCE

Rocznik 7 — Warszawa 1 kwietnia 1939 r. — Zeszyt 2

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 8.— — CENA POJEDYŃCZEGO ZESZYTU ZŁ 1.50

PIUS XII A WSCHÓD

Zaraz po szczęśliwym wyborze kardynała Pacelli na katedrę św. Piotra i przybraniu przez Elekta imienia Piusa XII, sekretarz Św. Kongregacji dla kościołów wschodnich, kard. Eugeniusz Tisserant, zwrócił się z listem do wszystkich biskupów obrządków wschodnich, komunikując im wieść radosną.

W tym liście czytamy, że chrześcijaństwo wschodnie posiada szczególne pobudki do udziału w radości świata katolickiego z powodu obioru właśnie Piusa XII. Ojciec święty, już jako kardynał interesował się sprawami Wschodu i swą mądrą radą służył Kongregacji wschodniej i dziełu kodyfikacji prawa kościelnego wschodniego, obecnie zaś obejmuje Prefekturę tej świętej Kongregacji. Z faktu samego obrania imienia Kardynał Sekretarz wnioskuje, że Pius XII będzie kontynuował dzieło swego Poprzednika i względem Wschodu, a hasło, które sobie obrał: opus iustitiae pax *pozwala Wschodowi spodziewać się po Piusie XII dla siebie dobroci i sprawiedliwości, które są źródłami pokoju. „Dla katolicyzmu — pisze kard. Tisserant — świta nowa era wielkości i chwały i Wschód chrześcijański będzie miał bogaty udział w ogólnej radości“.*

Wschodnie Kościoły zjednoczone są pewne tego, że sercu Najwyższego Pasterza są one zarówno drogie, jak i inne odłamy Powszechnego Kościoła. Źródło tej pewności to wiara głęboka, że należą do tej owczarni, którą Zbawiciel poruczył pieczy Piotrowej. Ale i Kościoły, oddzielone jeszcze od następców Piotra przepaścią historycznych uprzedzeń, mogły wyczuć w pierwszym przemówieniu Piusa XII miłość dla siebie, skoro je także obejmował swoją modlitwą i swym apostolskim błogosławieństwem. Rzeczywiście fama mądrości i dobroci Piusa XII pozyskała mu u tych, co jego lasce pasterskiej nie ulegają, conajmniej życzliwość serdeczną. A potrzeba ścisłego zjednoczenia wszystkich chrześcijan wobec grozy nacierającego na chrześcijaństwo nowego pogaństwa wywołała może w niejednym umyśle refleksję o znaczeniu Stolicy Piotrowej dla świata i pragnienie, by Zasiadający na niej wziął w swe ręce przewodnictwo nad wszystkimi w walce o triumf prawdy Chrystusowej.

Oby podobne refleksje i pragnienia stały się rzeczywistością!

J. E. Metropolita prawosławny w Warszawie Dionizy przesłał po śmierci Papieża Piusa XI telegram kondolencyjny na ręce J. E. Nuncjusza Apostolskiego w Polsce. Ks. Nuncjusz F. Cortesi odpowiedział Metropolicie następującym pismem: „Ekscelencjo! Dziękuję

za kondolencję, którą Wasza Ekscelencja raczyła skierować do mnie w tak smutnej okoliczności zgonu Papieża Piusa XI i za udział W. Ekscelencji w żałobie Kościoła katolickiego. Jest to ogólnym pokrzepieniem dla nas wszystkich, że widzimy jak cały świat z czcią skłania się przed wielkością Papieża, dzięki któremu zajaśniały prawda i piękno ewangelii Chrystusowej nawet tym, którzy są dalecy od reprezentowanej przezeń idei. Pozwoli W. Ekscelencja, że w tej chwili, gdy taki smutek mam w sercu, przypomnę i polecę modlitwom W. Ekscelencji największe pragnienie zmarłego Papieża, mistyczne unum ovile. *Z takim uczuciem piszę się z całym poważaniem W. Ekscelencji bardzo oddanym bratem w naszym Panu".*

Nowa wymiana listów między Metropolitą Dionizym a Nuncjuszem Apostolskim nastąpiła z okazji koronacji nowego Papieża, Piusa XII. Metropolita wysłał następujący telegram: „Podzielając radość naszych współziomków i ogółu wiernych Wielkiego Kościoła Rzymsko-katolickiego wobec szczęśliwego obioru i intronizacji Papieża Piusa XII, proszę Waszą Ekscelencję przyjąć zapewnienia moich najlepszych uczuć i życzeń dla Jego Świętobliwości". Na telegram ten J. E. Nuncjusz odpowiedział: „Było mi przyjemnie otrzymać telegram, który W. Ekscelencja raczyła wystosować do mnie z okazji wyboru i koronacji Jego Świętobliwości Papieża Piusa XII, wyrażając mi swe pozdrowienia oraz udział w radości świata katolickiego. Niezależnie od dzielących je różnic, wszystkie narody uczciły szczęśliwe zdarzenie, uczestnicząc w rozmaity sposób w jedności katolickiej i rzymskiej w uczuciach miłości i nadziei. Niech mi wolno będzie ponownie wyrazić życzenie, aby ta jedność, której świat potrzebuje więcej niż kiedykolwiek, została odnowiona w wielkiej rodzinie chrześcijańskiej i aby panowała w niej niepodzielnie. Wypowiadając to życzenie, staję się wyrazicielem najgłębszego pragnienia Papieża, który już w swym pierwszym przemówieniu z gorącym uczuciem zwrócił swe myśli do braci oddzielonych. Zechce W. Ekscelencja przy tej szczęśliwej sposobności przyjąć moje podziękowania i zapewnienia mego pobożnego oddania".

Powyższą korespondencję ogłosiły in extenso *„Wiadomości Metropolii Prawosławnej w Polsce".*

PAPIEŻ WSCHODU

Pomiędzy epitetami, jakie Piusowi XI zjednała bogata i różnorodna działalność, wymieniany jest i ten epitet: Papież Wschodu. A gdy tak się nazywa tego Wielkiego Papieża, ma się na myśli nie tyle daleki Wschód pogański lub świat muzułmański, który do Chrystusa trzeba dopiero nawrócić; ma się wtedy na myśli Wschód chrześcijański, który miał nieszczęście odpaść niegdyś od jedności katolickiej i zaledwie w małej części do tej jedności z powrotem został sprowadzony. Ma się na myśli owe liczne obrządki wschodnie i kościoły wschodnie, już to unickie, już to jeszcze do unii z Stolicą świętą nie sprowadzone. Tego to Wschodu, w jego całej obrządkowej, narodowej i kulturalnej rozmaitości, w sposób szczególny zasługuje być nazwany papieżem Pius XI.

O istnieniu tego chrześcijańskiego Wschodu wie, oczywista, ze studiów dogmatyki i historii Kościoła, każdy katolicki kapłan, choćby na najdalszym Zachodzie się wychował. Ale dla jakże wielu Wschód ten jest czymś tak dalece obcym, tak obojętnym, że nie porusza wcale żadnej struny duszy! Piusa XI, podobno jeszcze jako młodego Don Ratti, poruszył do głębi jakiś przypadkiem przeczytany opis prześladowania unitów pod rządami Rosji i wtedy już zbudziły się w nim zainteresowania dla tego dalekiego od Włoch chrześcijańskiego Wschodu. Praca w bibliotekach musiała te zainteresowania potęgować, zaś liczne pamiątki sztuki bizan-

tyjskiej, rozsiane po ojczyźnie uczonego ks. Ratti, nadawały jego zainteresowaniom konkretne kształty i koloryt.

Opatrzność skierowała kroki monsignora Ratti do kraju, w którym miał się z Wschodem chrześcijańskim zetknąć bezpośrednio i mocą swego stanowiska miał wywierać wpływ na kościelne stosunki Wschodu. Został wizytatorem a potem nuncjuszem apostolskim w Polsce, w której istnieje najliczniejsza grupa unitów wschodnich i druga nie mniej liczna grupa niezjednoczonych. Oprócz tego miał sobie polecone objąć swoją uwagą także niezmierzone przestrzenie Rosji, czyli tego kraju, w którym znajdują się dwie trzecie części wyznawców wszystkich wschodnich kościołów. Na tak wydłużonym froncie nie zetknął się dotąd z Wschodem żaden z nuncjuszów apostolskich.

Znajomość tego Wschodu dla Polskiego Nuncjusza nie była tylko papierową. Wschód przemówił do jego serca i chwycił go za serce. Przypominam sobie Zielone Święta r. 1919 i Janów na Podlasiu. Zaledwie w parę miesięcy po rejteradzie z tej połaci kraju wojsk niemieckich miało się odbyć w Janowie Podlaskim reaktywowanie kapituły katedralnej, skasowanej wraz z biskupstwem przez zaborczy rząd rosyjski. Na tę uroczystość przybył także Wizytator Ratti, a dobrze wiedział, że przybywa na ziemię, zroszoną krwią, którą wyznawcy obrządku wschodniego przelali w obronie unii kościelnej. Pratulin, gdzie padło ich czternastu od kul rosyjskich, odległy zaledwie dziesięć kilometrów. Janów był także widownią egzekucji „opornych" unitów, których bito nahajkami na placu przed katedrą, kiedy w świątyni śpiewano nieszpory. Na głos jęków katowanych unitów śpiew zamienił się w szlochanie i dwa te chóry zlały się w jeden głos, wołający o pomstę do nieba. Wizytator Apostolski wiedział o tych scenach z monografii Janowa ks. Pruszkowskiego, którą miał ze sobą. Wiedział także, że wśród tysięcy pobożnego ludu, który się zebrał na powitanie przedstawiciela Ojca św., znajdują się świadkowie dawnego prześladowania i synowie i wnuki jego ofiar. Można też domyślać się, jakie uczucia przepełniały serce Mgra Ratti'ego, kiedy po płomiennym kazaniu nowego podlaskiego biskupa Przeździeckiego na temat właśnie owych prześladowań unitów udzielał zebranym tłumom w imieniu Ojca św. apostolskiego błogosławieństwa! W jakiej glorii musiała stanąć przed jego duszą ta *terra martyrum et confessorum* i ów kościół wschodni, unicki, który takich męczenników i wyznawców wychował! W powrotnej drodze z Janowa do Warszawy miałem szczęście towarzyszyć Wizytatorowi apostolskiemu. Z okruchów rozmowy z nim, jakie przechowały się mi w pamięci, o dawnej unii, o jej prześladowaniu, o misjach wśród unitów, wolno mi dziś wysnuć przekonanie, że jeśli kiedy szczególnie Mgr Ratti „zapalił się" do sprawy unii, to wtedy właśnie, podczas pobytu na Podlasiu.

W niespełna trzy lata były Nuncjusz w Polsce zasiadł na tronie św. Piotra, jako Pius XI. Jako następca tego, któremu Chrystus powierzył całą swą trzodę, poczuł się nowy Papież pasterzem i ojcem także chrześcijan wschodnich, także tych, którzy jeszcze wyłamują się z pod jego pasterskiej władzy.

Rozpoczął od kraju, który najwięcej potrzebował pocieszenia i pomocy, od Rosji przez bolszewików ujarzmionej. Cierpiała ona wtedy głód straszliwy. Ludzie marli dziesiątkami tysięcy, niektórzy chcieli ratować swe życie ludożerstwem. Już Benedykt XV zamierzył wysłać tam komisję ratowniczą i poczynił przedwstępne przygotowania. Pius XI wkrótce po swoim wyborze mógł tę komisję pobłogosławić na drogę, składając w jej ręce olbrzymie sumy, napływające w tym celu z całego świata. Polecił ratować od śmierci głodowej dzieci rosyjskie. Bóg jeden wie, ile tych zagrożonych egzystencyj uniknęło śmierci w czasie rocznej działalności komisji papieskiej. Pius XI usiłował ratować chrześcijaństwo bez względu na przynależność wyznaniową prześladowanych. Do przedstawicieli państw, zebranych w r. 1922 na konferencję polityczną w Genui, wysłał swego posła z żądaniem, skierowanym do zebranych dyplomatów, aby wymogli na rządzie sowieckim wolność religijną — daremnie! Gdy rozpoczęła się grabież kosztowności kościelnych rzekomo dla walki z głodem, Papież zgłosił gotowość zakupienia wszystkich owych kosztowności, zamierzając je zwrócić właścicielom — kościołom i cerkwiom. Sowiety odrzuciły brutalnie tę ofertę, chodziło im bowiem o zniszczenie naczyń kościelnych. Pius XI czynił dyplomatyczne zabiegi o wydostanie z więzień biskupów

prawosławnych z patriarchą Tichonem, — znowu daremnie. Musi także patrzeć na dezorganizację Kościoła katolickiego w Rosji, śmierć męczeńską ks. Budkiewicza, więzienie arcybiskupa Cieplaka i wielu księży, zamykanie kościołów. Ratuje jeszcze sytuację, wyświęcając przez wysłanego przez siebie Mgra d'Herbigny nowych biskupów, ale i ci rychło znajdą się w więzieniach i w obozach przymusowej pracy. Kiedy te wszystkie sposoby ratowania Kościoła zawiodły, Pius XI w alokucjach podnosi głos protestu przeciwko niesłychanym prześladowaniom, a w marcu 1930 r. zarządza publiczne modły za prześladowanych i o upamiętanie się prześladowców, modły, do których przyłączyły się i inne kościoły chrześcijańskie. Odtąd towarzyszy cierpieniom prześladowanych swoją modlitwą i wiarą w przyszłe zwycięstwo prawdy. I o to poleca modlić się w kościołach łacińskich po całym świecie po każdej mszy prywatnej.

Równoległe ze zmaganiami się z wojującym ateizmem bolszewickim rozwija Pius XI żywą akcję w celu pociągnięcia dysydentów wschodnich do jedności kościelnej, wkładając w tę akcję cały żar swego serca i stanowczość swej woli. Pouczającą jest rzeczą przejrzenie „aktów" tego pontyfikatu, odnoszących się do kościołów wschodnich; łatwo się przekonać, że za żadnego pontyfikatu działalność Rzymu pod tym względem nie była tak ożywiona i różnorodna, jak za Piusa XI. Encyklik, dekretów, listów, przemówień Papieża w tej sprawie naliczono ponad dwieście.

Najpierw bogatą jest lista aktów Piusa XI, mających na celu wzmocnienie istniejących już zdawna kościołów unickich. Żeby wymienić tylko główniejsze, za ostatniego pontyfikatu powstały w Rzymie nowe kolegia dla młodzieży duchownej wschodnich obrządków, mianowicie dla Rumunów, Rusinów, Abisyńczyków, Syryjczyków. Powstały niezależne od hierarchii łacińskiej ordynariaty biskupie ruskie (ukraińskie) w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Uporządkowana została po wojennym spustoszeniu unicka hierarchia ormiańska z patriarchatem w Bejrucie; podobnież organizacja obrządku syryjkiego, którego patriarcha Tappouni został powołany do grona kardynałów. U nas w Polsce została utworzona administracja apostolska Łemkowszczyzny. W samych Włoszech utworzone zostało biskupstwo dla Italo-Greków na Sycylii. Nie potrzeba chyba dodawać, że wakujące z jakiejkolwiek przyczyny biskupstwa wschodnie otrzymywały szybko pasterzy. W razie potrzeby Papież wysyłał do tych kościołów specjalnych wizytatorów, jak np. do kościoła grecko-katolickiego w Galicji. Listę tych aktów można by zamknąć *motu proprio* z dn. 25 marca 1938 r., rozciągającym jurysdykcję Kongregacji wschodniej nawet na katolików łacińskiego obrządku w krajach dawnego cesarstwa tureckiego.

Pragnąc ułatwić wschodnim dysydentom powrót do jedności z katolickim Kościołem, Pius XI tworzy unickie ośrodki, gdziekolwiek znalazła się jakaś grupa przyłączonych do Kościoła. Dotyczy to przede wszystkim Rosjan, rozproszonych po całym świecie. Pod kierunkiem powołanej przez Papieża do życia Komisji pro Russia, powstają takie ośrodki w głównych miastach Europy, Ameryki Północnej, Dalekiego Wschodu. W Charbinie stworzony został osobny ordynariat, który rozwinął działalność szkolną i wydawniczą; gdzieindziej powstały zakłady dla ubogiej młodzieży rosyjskiej. W celu zapewnienia duchownej posługi dla tych ośrodków neo-katolickich i dla przygotowania kleru wschodniego dla Rosji Pius XI zakłada i dostatnio uposaża kolegium rosyjskie w Rzymie. Wzywa także łacińskie zakony, aby tworzyły wschodnie gałęzie swych reguł i za tym głosem idą Jezuici, Redemptoryści, Benedyktyni, Kapucyni, Dominikanie i inni, nawet zakony żeńskie, jak Urszulanki.

Na jeden kraj Pius XI musiał zwrócić szczególniejszą uwagę — na Polskę. Tutaj, jak zaznaczyliśmy już, istnieje najliczniejszy z kościołów unickich i tutaj są miliony prawosławnych, których dziadowie przeważnie byli unitami i wśród których przejawiają się tu i ówdzie tradycje i sympatie unickie. W drugim roku swego pontyfikatu, z okazji 300-letniego jubileuszu śmierci męczeńskiej św. Józafata, ogłasza Pius XI encyklikę, w której dyzunitów nawołuje do powrotu do Kościoła, a katolików do pracy nad ułatwieniem im tego powrotu. I oto w tymże roku 1923 biskupowi Podlasia, tego Podlasia, które o unii zachowuje tak świeżą jeszcze pamięć — udziela Pius XI władzy do zakładania parafii unickich, gdziekolwiek lud tego zażąda. Pełnomocnictwa te,

rozciągnięte niebawem na wszystkie diecezje kresowe b. zaboru rosyjskiego, stają się podstawą owej „akcji unijnej", która, niestety, nie znalazła w Polsce dostatecznego zrozumienia i poparcia, a nawet napotykała na poważne, w imię rzekomej racji stanu stawiane trudności. Wprost tragicznym można nazwać to nieporozumienie, że trudności ze strony Polski czyniono zamysłom wschodnim tego właśnie Papieża, którego uważano za „papieża polskiego", o którego życzliwości i miłości dla Polski nie było można wątpić. Zmuszono tym Piusa XI do zwątpienia o wartości katolicyzmu pewnych Polaków, którzy jakby nie dorośli do zrozumienia posłannictwa religijnego swego narodu i sprawy religijne usiłują podporządkować politycznym a zwodniczym swym planom. I z ust Piusa XI, w rozmowie z ks. biskupem Przeździeckim, padły pod adresem takich przeciwników akcji unijnej i wschodniego obrządku twarde słowa: „nie są to katolicy!" — *non sono cattolici.* Nie zrażając się wszakże tymi trudnościami, Pius XI do końca czuwał nad postępami akcji unijnej, wysłał osobnego wizytatora kościołów neo-unickich, założył w Dubnie pod swymi auspicjami seminarium wschodnie, wydawał instrukcje (ostatnia z r. 1937), normujące tę akcję, zachęcał do odbywania u nas konferencji unijnych. Chyba wierzył, że wreszcie zmysł katolicki zwycięży w Polsce ciasne rachuby doczesnej polityki.

Jedną, choć nie jedyną, z przyczyn braku stosunku prawdziwie katolickiego do zagadnień wschodnich u katolików — zresztą nie tylko w Polsce — jest brak znajomości chrześcijańskiego Wschodu, jego historii, jego liturgii i jego religijnego życia. Dzieło pojednania chrześcijaństwa, skupienie go w jednym Kościele pod jednym pasterzem nie dokona się środkami gwałtu, ani żadnej polityki. Dokona się ono wtedy, kiedy zbliżą się wzajemnie serca, a serca się zbliżą, kiedy poróżnione odłamy chrześcijaństwa wzajemnie się poznają. I oto w tym kierunku zwracała się największa troska Piusa XI. Wschodowi odłączonemu trzeba nieść katolicką prawdę, ale usiłowania w tym kierunku będą próżne, jeśli się tego Wschodu dostatecznie nie zna, ani kocha. Dlatego Pius XI popiera usilnie studia nad chrześcijańskim Wschodem. W tym celu utrwala byt założonego przez poprzedniego papieża wyższego Instytutu Wschodniego w Rzymie, w encyklice „Rerum Orientalium" z r. 1928 wymownie wykazuje korzyści studiów wschodnich i zachęca biskupów całego katolickiego świata do popierania ich u siebie. Potem studium takie czyni przedmiotem obowiązkowym w wyższych uczelniach teologicznych, a w seminariach duchownych nakazuje urządzanie przynajmniej tygodni czy dni unijnych. Wreszcie dla zaznajomienia z Wschodem chrześcijańskim szerokich rzesz wierzących i dla wzniecenia w nich gorliwości, poleca urządzanie tygodni modłów o jedność kościelną, połączonych z odpowiednimi pouczeniami.

Tak się przedstawia sumaryczny bilans tego, co Pius XI uczynił i usiłował uczynić dla chrześcijańskiego Wschodu i dla jedności kościelnej. Papież Pius XI ukazał Zachodowi łacińskiemu drogi, prowadzące na Wschód i do dusz wschodnich, rozkołysał w młodszym pokoleniu kleru, a przezeń i w wiernych fale zainteresowań Wschodem, rozniecił pragnienia realizacji woli Chrystusowej, aby „wszyscy byli jedno" w wierze i miłości pomimo przebogatej rozmaitości form. Myśli i plany Piusa XI, jako Papieża Wschodu, są jedną z najpiękniejszych kart jego duchowego testamentu.

Ks. Jan Urban.

ŹRÓDŁA DO SOBORU FLORENCKIEGO

Wspomnieliśmy już w *Oriensie* (r. 1938, str. 99-100), że akta Soboru Florenckiego w ścisłym tego słowa znaczeniu, czyli urzędowe protokolarne sprawozdania z jego obrad, nie dochowały się do naszych czasów. Zastępują je częściowo opisy Soboru Florenckiego, które wyszły z pod piór uczestników soboru. Ale opisy te odnoszą się tylko do tej części Soboru Florenckiego, w której brali udział Grecy, tj. do obrad w Ferrarze w r. 1438 i we Florencji w r. 1439. Choć nie mają tego charakteru oficjalnego, jaki miały by urzędowe akta soborowe, to jednak jako dzieła uczestników soboru przedstawiają wielką wartość. To też już w XVI i XVII wieku drukowano niektóre z nich jako „akta“ Soboru Florenckiego i wciągano do zbiorowych wydań aktów soborowych.

Ale sobór, zwany Florenckim, zaczął swe obrady w Ferrarze na kilka miesięcy przed przybyciem Greków; owszem, ma on pewną ciągłość z soborem zwołanym do Bazylei już w r. 1431, gdyż część sesji bazylejskich odbyła się w jedności z papieżem, a gdy Eugeniusz IV ze względu na Greków przeniósł sobór z Bazylei do Ferrary, to część Bazylejczyków usłuchała wezwania papieskiego i udała się tam. Nadto po odjeździe Greków z Florencji, 26 sierpnia 1439, sobór obradował we Florencji jeszcze do r. 1443, a zakończył obrady w Rzymie dopiero w r. 1445. Do tych jednak okresów soboru nie posiadamy podobnych opisów; z okresu przed przybyciem Greków znane są jedynie pewne dokumenty, dotyczące przeniesienia soboru z Bazylei do Ferrary i ukonstytuowania się soboru w Ferrarze; a z okresów późniejszych znamy głównie tylko listy przedstawicieli innych odłamów chrześcijaństwa wschodniego do Eugeniusza IV w sprawie unii oraz bulle unijne dla tych Kościołów wschodnich.

Do tych znanych już i drukowanych w XVI lub XVII wieku dokumentów przybyły inne odnalezione i wydane w ostatnich latach. Niektóre zaś z dawniej już znanych zostały wydane w nowym krytycznym opracowaniu.

Wszystkie te wydania źródeł dotyczących Soboru Florenckiego są dotąd rozproszone w różnych dziełach zbiorowych i czasopismach. Zanim Papieski Instytut Orientalny w Rzymie wyda zapowiedziane już nowe krytyczne opracowanie wszystkich dokumentów i aktów Soboru Florenckiego, nie bez pożytku może będzie zebranie wiadomości o nich i omówienie ich.

Zaczniemy od wspomnianych na początku opisów Soboru Florenckiego, które w braku kompletnych aktów pozostaną nadal podstawowymi źródłami i służyć muszą za punkt wyjścia w studiach nad Soborem Florenckim. Znane są trzy takie opisy: jeden łaciński i dwa greckie, z których jeden napisany przez sympatyka unii a drugi przez jej przeciwnika. [1])

1. Na pierwszym miejscu należy wśród nich wymienić ten opis grecki, który wyszedł z pod pióra sympatyka unii z Rzymem, gdyż był on najwcześniej drukowany i najprędzej został wciągnięty do zbiorowych wydań aktów soborowych. Jest to dzieło anonimowe. Zaczyna się od opisu uroczystego i wspaniałego przyjęcia Greków w Wenecji, która ich olśniła swym przepychem i bogactwem; następuje opis podróży do Ferrary i pierwszego spotkania papieża Eugeniusza IV z cesarzem Janem VIII Paleologiem i patriarchą Józefem II oraz z innymi Grekami. Po tych wstępnych wiadomościach, które odznaczają się żywością i bezpośredniością pamiętnika czy reportażu, przechodzi autor do bardzo szczegółowego opisu obrad soborowych. Podaje ich przebieg w porządku chronologicznym, zaznaczając dzień miesiąca i tygodnia oraz porę dnia czy czas trwania sesji. W dyskusji przytacza i dłuższe wywody poszczególnych mowców, streszczając je obszernie lub w całości przytaczając, i krótkie żywe wymiany zdań. Widać, że autor miał do dyspozycji nie tylko własne notatki, w których chwytał przebieg dyskusji na gorąco, lecz także teksty niektórych mów, jak np. wielką mowę dogmatyczną Bessariona, wygłoszoną na zebraniu samych Greków we

---

1) Istnieje oprócz nich opis słowiańsko-ruski Symeona Suzdalskiego, który znajdował się w świcie metropolity kijowskiego Izydora. Opis ten pomijamy w niniejszym artykule, zamierzając omówić go w najbliższej przyszłości wraz z grupą innych pism moskiewskich, dotyczących Soboru Florenckiego.

Florencji dnia 13-14 kwietnia 1439 r., którą przytacza w całej rozciągłości.

Całość obrad soborowych w Ferrarze i we Florencji podzielona jest na 25 zebrań (po grecku *syneleusis*), 16 w Ferrarze i 9 we Florencji. Ale nazwą jednego zebrania objęte są nieraz wypadki kilku dni. Po ostatnim, 25 zebraniu, które odbyło się 24 marca, dalsze wypadki i narady aż do uroczystej sesji 7 lipca, na której podpisana została unia, opisane są bez zaznaczenia dalszego podziału na „syneleuseis". W tłumaczeniu łacińskim wyraz „syneleusis" został oddany niewłaściwie przez „sessio", gdyż przez sesje rozumie się te plenarne zebrania soborowe, na których zapadają uroczyste uchwały. Takich w Ferrarze i Florencji było niewiele: należy do nich wspólne zgromadzenie z dnia 7 lipca, na którym unia została zawarta i bulla unijna podpisana.

Bulla unijna „Laetentur coeli" wraz z podpisami jest przytoczona w całości. Po niej następuje jeszcze wiadomość o rozmowach na tematy przeważnie liturgiczne w następnych dniach po zawarciu unii; wreszcie krótka wzmianka o przybyciu Ormian celem zawarcia unii i o odjeździe Greków z Florencji.

Po raz pierwszy zostały te „akta" greckie wydane w r. 1521 w tłumaczeniu łacińskim Bartłomieja Abrahama, biskupa z Krety. W r. 1577 wydano w Rzymie sam grecki oryginał. Dołączone zostały na końcu trzy mowy Jerzego Scholariosa, wygłoszone do Greków we Florencji, nawołujące ich do pokoju i jedności z Łacinnikami, a nadto traktat teologiczny o pięciu kwestiach spornych, które na Soborze Florenckim zostały rozstrzygnięte; wydrukowano i ten traktat jako dzieło Scholariosa, ale dziś już wiadomo, że autorem jego był inny Grek, Józef z Methony (por. *Oriens*, 1938, str. 100-101).

Ponieważ tłumaczenie łacińskie Bartłomieja Abrahama nie było dokładne, dokonał na początku XVII wieku inny Kreteńczyk, Jan Maciej Karyophilus, nowego przekładu, który też został razem z oryginałem greckim i ze wspomnianymi trzema mowami Scholariosa wciągnięty do zbiorowych wydań aktów soborowych Harduina (tom IX, str. 1—550) i Mansiego (t. XXXI—A, 463—1120, t. XXXI—B, 1121—1204). W r. 1609 wyszło w Krakowie polskie tłumaczenie z greckiego oryginału, dokonane przez jezuitę Gaspara Pętkowskiego (por. *Oriens* 1938, str. 102).

Sprawa autorstwa tego anonimowego opisu Soboru Florenckiego nie została dotychczas rozstrzygnięta. Autor był niewątpliwie Grekiem i uczestnikiem soboru. Był dalej jednym z dziesięciu metropolitów, którzy opowiedzieli się zdecydowanie za przyjęciem katolickiej nauki o pochodzeniu Ducha św. od Ojca i Syna, gdyż mówi na tym miejscu w pierwszej osobie liczbie mnogiej: „my biskupi w liczbie dziesięciu" (Mansi, XXXI—A, 997 E), był wreszcie jednym z trzech metropolitów, których papież po śmierci patriarchy Józefa zaprosił do siebie, wyrażając im swe współczucie; albowiem po przytoczeniu odpowiedzi tych metropolitów na kwestie poruszone przez papieża, dalej opowiada autor znowu w pierwszej osobie liczbie mnogiej: „Gdyśmy to odpowiedzieli... tak gdyśmy im zadośćuczynili, odeszliśmy i donieśliśmy o wszystkim cesarzowi" (Mansi XXXI—A, 1009—1012). Otóż ci trzej metropolici to Izydor kijowski, Bessarion nicejski i Doroteusz z Mityleny, którzy należeli również do wyżej wspomnianej grupy 10 metropolitów. Za autora uważają jedni Doroteusza, inni Bessariona. Za Bessarionem przemawiało by jeszcze to, że mowa dogmatyczna Bessariona przytoczona jest w całości.

2. Wiele podobieństwa, pod względem rzeczowym, z anonimowym opisem greckim posiada drugi opis, którego autorem jest łacinnik Andrzej a Santa-Croce, patrycjusz rzymski i notariusz papieski na soborze. Opis cały ujęty jest w formę dialogu Andrzeja ze swym przyjacielem Ludwikiem Pontanem. Ludwik stawia pytania, a Andrzej na nie odpowiada; w odpowiedziach tych umieścił nie tylko to, co widział, lecz także dokumenty papieskie i całe dyskusje soborowe. Zaczyna również, jak anonimowy autor grecki, od opisu przyjęcia Greków w Wenecji i w Ferrarze. Całość podzielona jest na 22 zebrań, które autor analogicznie do greckiego opisu nazwał „collationes". Jak już z samej liczby widać, greckie „syneleuseis" i łacińskie „collationes" nie odpowiadają sobie zupełnie. Pochodzi to stąd, że w greckim opisie uwzględnione są w większej mierze także prywatne rozmowy między Grekami i Łacinnikami. Niektóre rzeczy pominięte są w jednym, a uwzględnione w drugim, lub krótko podane w jednym,

a obszerniej w drugim; ale na ogół oba opisy są zgodne w przedstawieniu przebiegu tak wspólnych zebrań, jak i w podawaniu treści mów i dyskusyj. Podobnie jak w greckim opisie, tak i u Andrzeja a Santa-Croce ostatnie zebranie odbywa się 24 marca; dalszy przebieg soboru aż do zawarcia unii jest już opowiedziany bez podziału na „collationes“. Obszerniej, niż w greckim opisie, są tu przedstawione dyskusje o innych kwestiach spornych, po uzyskaniu zgody w kwestii pochodzenia Ducha św. Ale po przytoczeniu bulli unijnej nie wspomina Andrzej już o dalszych pertraktacjach między Grekami i Łacinnikami, lecz kończy zaraz swe opowiadanie krótką wzmianką tylko o wyjeździe Greków z Florencji.

Dzieło Andrzeja a S. Croce zostało wydane dopiero w r. 1638 przez Horacjusza Giustiniani, kustosza biblioteki watykańskiej, razem z innymi dokumentami dotyczącymi Soboru Florenckiego. Cały zbiór dokumentów podzielił Giustiniani na trzy części: w pierwszej umieścił dokumenty z okresu poprzedzającego przybycie Greków do Ferrary; są to dokumenty odnoszące się do przeniesienia soboru z Bazylei do Ferrary oraz ukonstytuowania się soboru w Ferrarze; drugą część stanowi właśnie dzieło Andrzeja a S. Croce, opisujące przebieg soboru w Ferrarze i Florencji za pobytu Greków; wreszcie w trzeciej części są dokumenty odnoszące się do dalszego okresu soboru po wyjeździe Greków: we Florencji do r. 1443 i w Rzymie do r. 1445; są tam wiadomości o poselstwach innych odłamów wschodniego chrześcijaństwa do papieża Eugeniusza IV w sprawie unii, listy hierarchów tych odłamów do papieża i przede wszystkim bulle unijne dla nich.

Cały ten zbiór dokumentów, razem z dziełem Andrzeja a S. Croce, został wciągnięty do aktów soborowych Harduina (tom IX, 669-1044), a w nowym wydaniu anastatycznym Mansi'ego został dodany w tomie uzupełniającym XXXI-B, wydanym w r. 1901. Zwracamy na to specjalną uwagę, gdyż pod tym względem błąkają się po różnych dziełach o Soborze Florenckim nieścisłości, mogące w błąd wprowadzić. I tak Hefele-Leclercq, *Histoire des Conciles* (tom VII, wyd. w r. 1916, str. 958) podaje, że zbioru Horacego Giustiniani nie ma w ogóle u Mansi'ego. Jest to o tyle nieścisłe, że odnosi się tylko do pierwszego wydania Mansi'ego, nie zaś do nowego wydania z uzupełnieniami.

Jeszcze bardziej nieścisła jest notatka A. Vogta o źródłach do Soboru Florenckiego w *Dictionnaire de Théologie Catholique* (t. VI, kol. 49). Oprócz obu opisów greckich wylicza następujące źródła łacińskie: listy i bulle Eugeniusza IV, opis Andrzeja a S. Croce, historię Soboru Florenckiego napisaną w r. 1480 przez Augustyna Patrizi, wreszcie zbiór dokumentów, wydany przez Horacego Giustiniani. Dodaje następnie, że wszystkie te dokumenty znajdują się w zbiorowych wydaniach aktów soborowych Labbe'go, Harduina i Mansi'ego, w tych samych tomach, co i źródła greckie, z tym tylko zastrzeżeniem, że zbiór Horacego Giustiniani nie znajduje się u Mansi'ego. Z tego wyrażenia wynikałoby, że wyliczone przez Vogta przed zbiorem Giustinianiego dokumenty łacińskie, a więc także opis Andrzeja a S. Croce, znajdują się u Mansi'ego i to w tym samym tomie, co anonimowy opis grecki, tylko zbioru Giustinianiego tam nie ma. Widocznie Vogt nie zdawał sobie sprawy, że opis Andrzeja a S. Croce stanowi część zbioru Giustiniani'ego i że jako jego część składowa znajduje się nie w jednym tomie z opisem greckim, lecz w tomie uzupełniającym XXXI-B, wydanym w r. 1901.

3. Trzecim źródłem do dziejów Soboru Florenckiego jest opis Sylwestra Syropulosa, jednego z wyższych dostojników duchownych Kościoła patriarchalnego w Konstantynopolu. Syropulos był przeciwny unii z Rzymem, ale ze względów oportunistycznych nie stawiał tak zaciętego oporu, jak Marek Efeski, i dał swój podpis na bulli unijnej. Swej długo tłumionej niechęci do unii dał wyraz dopiero w relacji o Soborze Florenckim, napisanej po grecku, ale przetłumaczonej na łacinę przez anglikanina Roberta Creyghtona i wydanej w Hadze w r. 1660, pt. „Vera historia unionis non verae inter Graecos et Latinos, sive concilii Florentini exactissima narratio“. To łacińskie tłumaczenie Syropulosa jest trudniej dostępne, gdyż ze względu na swe wrogie nastawienie do unii nie zostało wciągnięte do aktów soborowych. Według Hefele-Leclercq'a Creyghton w swym tłumaczeniu łacińskim dopuścił się wielu nieścisłości, dając wyraz swej osobistej także niechęci do papiestwa. Mimo to

stanowi dzieło Syropulosa cenne uzupełnienie poprzednich źródeł. Dobrze by było, żeby jego grecki oryginalny tekst został udostępniony w zbiorowym wydaniu aktów Soboru Florenckiego, przygotowywanym przez Instytut Orientalny w Rzymie.

Na tym kończą się źródła do Soboru Florenckiego, znane już w dawniejszych wydaniach. Historii napisanej w r. 1480 przez Augustyna Patrizi, o której wspomnieliśmy wyżej w związku z notatką Vogta, nie omawiamy bliżej, gdyż jako źródło do Soboru Florenckiego nie przedstawia ona większej wartości. Zajmuje się więcej dziejami schizmatyckiego soboru w Bazylei. Przechodzimy już do omówienia nowszych publikacji źródłowych o Soborze Florenckim.

4. Półroczny okres daremnego oczekiwania w Ferrarze na przybycie Bazylejczyków obrócono na dyskusję o czyśćcu w komisji, złożonej z dziesięciu Greków i tyluż Łacinników. Wiemy z trzech naszych opisów soboru, że wymiana zdań między Grekami i Łacinnikami odbywała się nie tylko ustnie, lecz także piśmiennie. Ale treść tak ustnych dyskusji, jak i traktatów wręczanych sobie wzajemnie przez obie strony podają nam nasze źródła tylko w skróceniu. Tylko pierwszy łaciński traktat, zredagowany przez kardynała Cesarini, jak to podaje Syropulos, został przytoczony niemal w całości przez Andrzeja a S. Croce, ale nie tam, gdzie wspomina tylko krótko o tych dysputach (por. Mansi, XXXI—B, 1439 D-E), lecz dopiero pod koniec w kollacji 22, gdzie mówi o podjętych na nowo we Florencji rozmowach o czyśćcu (por. Mansi, XXXI—B, 1661—1665).

Otóż sześć tych traktatów, mianowicie dwa łacińskie, ale w tłumaczeniu greckim, i cztery greckie, z których trzy Marka Efeskiego i jeden Bessariona, wydał z rękopisu greckiego Biblioteki Ambrozjańskiej arcybiskup L. Petit w tomie XV Patrologii Orientalnej (karta tytułowa tego tomu ma datę r. 1927, ale fascykuł nas obchodzący ma „Imprimatur“ z datą 1920 r., a przedmowa wydawcy z marca 1918). Do tekstu greckiego dołączył arcybp Petit własne tłumaczenie łacińskie; jedynie do pierwszego traktatu łacińskiego posłużył się tekstem łacińskim Andrzeja a S. Croce; ale ponieważ ten tekst w porównaniu z greckim tłumaczeniem wykazywał liczne opuszczenia, więc miejsca opuszczone przez S. Croce uzupełnił własnym tłumaczeniem.

5. Wydając nie tylko traktaty greckie, lecz także łacińskie w tłumaczeniu greckim, wyraził arcybp Petit nadzieję, że może uda się odnaleźć łacińskie oryginały dwu traktatów łacińskich o czyśćcu (*Patrol. Orient.*, tom XV, str. 80 przyp. a). Odnalazł je o. G. Hofmann T. J., profesor Papieskiego Instytutu Orientalnego, i wydał w *Orientalia Christiana* (tom XVI, 1929, nr 57; tom XVII, 1930, nr 59).

6. Razem z rękopisami powyższych dwu traktatów znalazł o. Hofmann w Bibliotece św. Marka w Wenecji oryginalny łaciński tekst traktatu, zredagowanego przez kardynała Cesarini w sprawie dodatku „Filioque“. Wspominają o tym traktacie, przedstawionym Grekom 11 listopada 1438 w Ferrarze, wszystkie trzy opisy Soboru Florenckiego, a Andrzej a S. Croce i Anonim grecki przytaczają go w bardzo obszernych streszczeniach ze zgodnością, która cechuje obu w wielu wypadkach (por. Mansi, XXXI—B, 1492 A—1496 B; Mansi, XXXI—A, 645 B—656 C). Znaleziony pełny tekst łaciński tego traktatu wraz z przekładem greckim tłumacza soborowego Mikołaja Sekundina wydał o. Hofmann w *Orientalia Christiana* (tom XXII, 1931, nr 68).

7. Oprócz tych nowo odnalezionych, dotąd w oryginałach w całej rozciągłości nieznanych tekstów, które są drobnymi wprawdzie w porównaniu z całym materiałem Soboru Florenckiego ale cennymi przyczynkami, wymienić należy nowe krytyczne opracowania dokumentów dawniej już znanych. Zawdzięczamy je również o. Hofmannowi T. J. W wydawanej przez Uniwersytet Gregoriański w Rzymie kollekcji *Textus et documenta* wydał trzy zeszyty pod ogólnym tytułem „Documenta Concilii Florentini de Unione Orientalium“ (Seria teologiczna, nn. 18, 19 i 22). W pierwszym z tych zeszytów (Rzym, 1935) wydał dwa dokumenty dotyczące unii Greków: 1) Deklarację Greków w sprawie epiklezy z dnia 5 lipca 1439; 2) bullę unijną „Laetentur coeli“ z 6 lipca 1439.

Deklaracja w sprawie epiklezy została wydana po raz pierwszy z oryginału w Bibliotece Medycejskiej we Florencji przez Mabillona w 1724; następnie przedrukowali ją Migne (P. G. 161, 489—494) i Mansi (XXXI—A, 1044—1048). O. Hofmann wydał teraz tekst wolny od błędów,

które się zakradły do poprzednich wydań. Również i bullę unijną wydał w tekście poprawionym łacińskim i greckim na podstawie oryginalnych tekstów w Bibliotece Medycejskiej we Florencji. Szczególnie dużo poprawek poczynił w odczytaniu podpisów. Zwrócimy uwagę tu tylko na jedną poprawkę, dotyczącą Polski. Podpis, który w greckim anonimowym opisie soboru odczytany został jako *Andreas episcopus Roffensis* (Mansi, XXXI—A, 1035, przedostatni podpis na dole), a u Andrzeja a S. Croce jako *Andreas episcopus Rossumensis* lub *Rossiniensis* (Mansi XXXI—B, 1699 C), został przez o. Hofmanna odczytany jako *Andreas episcopus Posnaniensis* (str. 20, w. 14), a w skorowidzu miejscowości widnieje: Poznań, Polonia (str. 31). Biskupem poznańskim został istotnie po śmierci Stanisława Ciołka w r. 1438 Andrzej Biniński, znany jako stronnik papieża Eugeniusza IV a przeciwnik soboru w Bazylei i antypapieża Feliksa V (por. Ks. Józef Nowacki, *Bniński Andrzej,* Polski Słownik Biograficzny, t. II, 143—145). Ale wobec fałszywych lekcji podpisu jego nie było wiadomym, że podpis jego znajduje się na tej tak ważnej bulli unijnej. Jest on jedynym biskupem polskim, którego podpis na tej bulli się znajduje. Na ogół episkopat polski owych czasów, ze Zbigniewem Oleśnickim na czele, trzymał stronę soboru w Bazylei i antypapieża Feliksa V.

8. W drugim zeszycie (Text. et docum., ser. theol., n. 19, Rzym 1935) wydał o. Hofmann dziewięć dokumentów do unii Ormian na Soborze Florenckim, wszystkie już znane dawniej, ale niektóre z nich wydane teraz w pełniejszym brzmieniu, inne poprawione. Najważniejszym z tych dokumentów to bulla „Exultate Deo", wydana na podstawie oryginału znajdującego się we Florencji, oczyszczona z błędów wydań dawniejszych. Przedrukował także dokument dotyczący unii Ormian polskich z 15 grudnia 1439, wydany przez ks. Obertyńskiego w *Orientalia Christiana* (tom XXXVI, 1934, s. 44—46).

9. W trzecim i ostatnim zeszycie (Text. et docum., ser. theol., n. 22, Rzym 1936) wydane zostały dokumenty dotyczące unii Koptów, Syryjczyków, Chaldejczyków i Maronitów z Cypru.

10. Na koniec dla kompletu należy wymienić jeszcze kilka wydań dokumentów, pośrednio do Soboru Florenckiego się odnoszących.

Ks. arcybp Petit wydał w tomie XVII Patrologii Orientalnej (Paryż, 1923, str. 309—522) 24 dokumenty o działalności Marka Efezkiego przeciw Unii Florenckiej. Są to napisane przez niego traktaty teologiczne przeciw nauce o pochodzeniu Ducha św. od Ojca i Syna, przeciw nauce o czyśćcu, listy jego i listy do niego pisane, wreszcie dokumenty o Marku Efezkim.

W wydawanym przez Instytut Orientalny czasopiśmie *Orientalia Christiana Periodica* w zeszycie 3-4 1938 r., poświęconym jubileuszowi Soboru Florenckiego, wydał o. E. Candal T. J. (str. 329—371) traktat o Bogu jednego z najwybitniejszych uczestników Soboru Florenckiego, Andrzeja z Rodos, napisany w formie listu do Bessariona.

W tym samym numerze (str. 423—440) o. I. Ortiz de Urbina T. J. podaje wiadomość o zbiorze tekstów patrystycznych, używanym w czasie Soboru Florenckiego.

11. Z nowszych prac o Soborze Florenckim wymienimy tylko jedną, opartą częściowo na zupełnie nowych źródłach. Jest to szereg artykułów o. G. Hofmanna o pracy soborowej w Ferrarze, Florencji i Rzymie, drukowanych w *Orientalia Christiana Periodica* od r. 1937. Zbiór dokumentów, częściowo dotychczas zupełnie niewyzyskanych, omawia na początku pierwszego z tych artykułów (*Or. Christ. Per.* III, 1937, str. 110—117).

Niektóre dokumenty omawianego przez o. Hofmanna zbioru zostały wydane już przez Horacego Giustiniani w części I i III jego dzieła o Soborze Florenckim, a częściowo także przez Eugeniusza Cecconi, Studi storici sul Concilio di Firenze, t. I, Florencja 1869.

*

Z powyższego zestawienia wydań dokumentów, dotyczących Soboru Florenckiego, widoczną jest rzeczą, jak bardzo potrzebne jest kompletne zbiorowe wydanie tych wszystkich dokumentów, których rozsianie po różnych zbiorach i czasopismach nie ułatwia studiów nad Soborem Florenckim. Widać też, że jeszcze wiele trzeba będzie poszukiwań po archiwach, aż się odnajdzie wszystkie dokumenty. Takich traktatów ustnie wygłaszanych czy pisemnie doręczanych jednej stronie przez

drugą, jak te o czyśćcu, wydane przez arcybiskupa Petit i o. Hofmanna, wymieniają trzy opisy Soboru Florenckiego znacznie więcej. Kto wie, czy nie kryją się one po archiwach zakonnych augustianów, dominikanów, franciszkanów, kamedułów i innych, których członkowie brali udział w obradach soborowych jako teologowie. Wytrwałe poszukiwania po archiwach zostaną jeszcze nieraz pewnie uwieńczone pomyślnym wynikiem. A może jakiemu szczęśliwemu poszukiwaczowi uda się odnaleźć same przez notariuszów spisywane protokóły z posiedzeń soborowych. Byłoby to odkrycie dla znajomości Soboru Florenckiego najważniejsze.

Ks. B. Waczyński T. J.

KULT EUCHARYSTII W KOŚCIELE WSCHODNIM

Brak w obrządku bizantyjsko-słowiańskim pewnych praktyk obrządku łacińskiego, odnoszących się do czci Najświętszego Sakramentu, powoduje u katolików łacinników podejrzenie, że w Kościele wschodnim, przede wszystkim nie zjednoczonym z Rzymem, ale i w unickim, kult Eucharystii pozostaje w zaniedbaniu, a zamiast niego rozwinięty jest nadmiernie kult obrazów. Tak wskazuje się na to, że w Kościele wschodnim nie ma święta Bożego Ciała, że nie są w użyciu wystawienia Najśw. Sakramentu w monstrancji, że nie urządza się osobnych adoracyj, że nie ma praktyki częstego przyjmowania przez wiernych komunii św. Te braki są wysuwane na dowód jakby mniejszej wartości obrządku wschodniego dla pełni rozwoju pobożności chrześcijańskiej.

Zamierzając wykazać, że jeśli gdzie w Kościele wschodnim kult Eucharystii jest za mało rozwinięty, to winien temu nie jest bynajmniej obrządek bizantyjski, który przeciwnie cały jest skierowany ku czci Chrystusa Eucharystycznego, musimy najpierw parę słów poświęcić owym praktykom łacińskim, których brak zarzuca się obrządkowi wschodniemu.

Najpierw co się tyczy święta Bożego Ciała, to i w Kościele zachodnim zostało ono wprowadzone dopiero w XIII wieku, nic więc dziwnego, że nie zna go Kościół wschodni, który jedność z Zachodem zerwał już w wieku XI. Ostatecznie więc można pojąć brak tego święta w Kościele także unickim i nie przestanie ten Kościół przez to być prawdziwie katolickim, jak mógł być katolickim bez tego święta Kościół zachodni przed XIII wiekiem. Zresztą święto takie może być przyjęte i do Kościoła unickiego, nie nadwyrężając przez to jego wschodniego obrządku. I faktycznie Kościół unicki w Polsce przyjął to święto do swojego kalendarza na synodzie zamojskim w r. 1720 i obchodzi je, urządzając za przykładem łacinników nawet „teoforyczną“ procesję. Tam jednak, gdzie procesja taka nie weszła w zwyczaj, można się bez niej obejść bez istotnego uszczerbku dla pobożności katolickiej, jeśli, jak zobaczymy, kult Eucharystii w inny sposób dostatecznie jest rozwinięty.

Wystawienia Najśw. Hostii w monstrancji, podczas nabożeństw i poza nimi dla adoracji, upowszechniły się na Zachodzie w ostatnich stuleciach, zwłaszcza w Polsce stały się bardzo częste. Przykład ten poczęto naśladować w wielu kościołach unickich, tak iż np. w Galicji msze święte wobec wystawionego w monstrancji lub puszce N. Sakramentu należą do częstych praktyk. Tymczasem w samym Kościele łacińskim rozpoczął się pod tym względem pewien odwrót. Spostrzeżono się, że przez bardzo częste wystawianie N. Sakramentu zbyt pospolituje się tę praktykę, tak iż schodzi ona jakby na dekorację ołtarza, i że przecież sama św. Ofiara jest największym uczczeniem Eucharystii, poczęto tedy ograniczać owe msze i „wotywy“ z wystawieniami. Na tym stanowisku stanął i plenarny synod częstochowski z r. 1936, redukując uchwałą 87 takie wystawienia. Jeżeli zatem gdzie Kościół unicki wcale ich dotąd nie wprowadził, nie można mu stąd czynić zarzutu braku ducha katolickiego.

Częsta czy rzadka komunia św. nie ma nic wspólnego z różnością obrządków. Wiadomo, że na Zachodzie, pod wpływem jansenizmu, praktyka częstej komunii św. bardzo podupadła w ostatnich wiekach i dopiero w r. 1905 papież Pius X wezwał wier-

nych do częstej, owszem codziennej komunii. W jakiej mierze usłuchano tego głosu, to inna sprawa. Co do wschodniego obrządku, to on tak samo jak łaciński nie stoi bynajmniej na przeszkodzie upowszechnieniu tej praktyki. Jeśli się ona gdzieś przyjmuje z trudnością, to przyczyn tego należy szukać w czym innym, nie w obrządku wschodnim, jako takim.

Załatwiwszy się z powyższymi popularnymi zarzutami przeciwko obrządkowi bizantyjskiemu, jakoby nie dość dbającemu o kult Eucharystii, przejdziemy do wykazania jak w tym obrządku wyraża się cześć Najśw. Sakramentu. W tym celu pouczającą rzeczą będzie poznać samo urządzenie świątyni, a potem zanalizować obrzędy święte i teksty liturgiczne, odnoszące się do św. Eucharystii.

1. Urządzenie kościołów.

Samo urządzenie wnętrza kościołów obrządku bizantyjskiego dowodzi wiary w obecność Ciała i Krwi Pańskiej pod osłonami chleba i wina i wielkiej czci, oddawanej tej wielkiej tajemnicy.

Najśw. Sakrament jest przechowywany w obrządku bizantyjskim, podobnie jak w łacińskim, na świętym stole (po ros. *prestoł,* czyli tron, u łaciników *altare*-ołtarz), w osobnym schowaniu, zwanym po grecku *artoforion*, po słowiańsku *darochranitielnica,* odpowiadającym łacińskiemu *tabernakulum.* [1]) Ołtarz, na którym jest przechowywany Najśw. Sakrament, w obrz. bizantyjskim jest oddzielony od nawy wiernych przegrodą *ikonostasu,* w którym przejrzyste „drzwi królewskie“ zasuwane są jedwabną zasłoną *(kapetazma)* i otwierane tylko podczas pewnych częci świętej liturgii. Czy to ukrycie Najśw. Sakramentu nie osłabia czci ku niemu? Właśnie, przeciwnie, ma ono podnieść tę cześć przez podkreślenie głębokości tej tajemnicy wiary, nazywanej na Wschodzie „strasznymi tajemnicami Chrystusowymi“. Ukrycie Najśw. Sakramentu wyraża tę myśl, że czas „oglądania twarzą w twarz“ jeszcze nie nastąpił; święte drzwi królewskie otwierają się tylko na pewne części liturgii, będącej pamiątką śmierci Pańskiej, „dopóki nie przyjdzie“ (1 Kor. 11. 26), w szczególności na komunię świętą, która jest symbolem i zapowiedzią zmartwychwstania. A więc presbyterium z ołtarzem, oddzielone od nawy wiernych, w obrządku bizantyjskim symbolizuje niebo z „tronem chwały“ Zbawiciela i otaczającymi go aniołami. Tej hierarchii niebieskiej odpowiada na ziemi, według Dionizego Areopagity, hierarchia kościelna, dlatego i ona podczas liturgii, według starożytnej praktyki Kościoła, stawała się niewidzialną w niedostępnym dla ludu presbyterium. Samo wejście do niego nasuwa ideę wejścia do chwały Chrystusa, do góry Syonu, do miasta Boga żywego, do Nowego Jeruzalem. Stąd w liturgii wschodniej, zarówno ormiańskiej jak bizantyjskiej (św. Bazylego i Jana Chryzostoma) przewija się myśl o udziale aniołów w celebrowaniu świętych tajemnic. Ponieważ święto Zmartwychwstania Pańskiego w szczególny sposób zapowiada ową wieczność, „wieczny dzień bez zachodu“, kiedy „już czasu nie będzie“, dlatego przez całą oktawę świąt Wielkanocy drzwi królewskie stoją otworem i tabernakulum z Najśw. Sakramensem przez cały ten czas jest dla wszystkich widoczne. Ale i wtedy, kiedy presbyterium jest zamknięte i kotarą zasłonięte, na obecność Chrystusa w Najśw. Sakramencie wskazuje światło lampki, zawieszonej nad św. drzwiami, przypominając zarazem, że Chrystus jest „światłością świata“ (Jan 8, 12).

2. Obrzędy i tekst liturgii św.

Kult Najśw. Sakramentu w obrządku bizantyjskim jeszcze bardziej uwydatni się, kiedy rozpatrzymy ceremonie i teksty liturgiczne, używane w sprawowaniu św. Ofiary. Rozumie się, że liturgia w każdym obrządku jest z istoty swojej centralnym i podstawowym aktem kultu Chrystusa Eucharystycznego. Tutaj chodzi nam o uwydatnienie w liturgii bizantyjskiej tych momentów, które ten kult uwypuklają w szczególnie wyraźny i uroczysty sposób.

Takim momentem jest naprz. „wielkie wejście“ *(wielikij wchod),* które swoją uroczystością zapowiada wielkość mającej niezadługo być dokonaną eucharystycznej tajemnicy. Ofiarowane dary materialne, chleb i wino, mające przemienić się w Ciało i Krew Zbawiciela, zostały już wcześniej przygotowane na bocznym „ofiarniku“ *(żertwienik)* podczas obrzędu tzw. *proskomidii.* Kiedy zbliża się chwila przeniesienia ich na ołtarz, na którym ma się odbyć ich konsekracja, rozwija się wspaniała procesja „wielkiego wejścia“, znana w Konstantynopolu już w VI wieku. Po okadzeniu św. darów wynosi je celebrans bocznymi drzwiami ikonostasu dla ukazania ludowi, po czym wnosi

---

[1]) Dawniej i na Wschodzie i Zachodzie było używane także tabernakulum wiszące nad ołtarzem, a mające kształt gołębicy lub wieżyczki.

je „drzwiami królewskimi“ na ołtarz. Przy celebrach uroczystych z asystą diakonów lub celebrach kilku naraz kapłanów (celebra *sobornaja*) celebransi i asysta rozbierają między siebie poszczególne elementy ofiarne i inne przedmioty, służące przy św. liturgii. Tak jeden niesie patenę *(diskos)* z chlebem, drugi kielich z winem, jeszcze inni niosą krzyż, włócznię czyli *kopię* (do wykrawania hostii), łyżeczkę do udzielania wiernym komunii św., pokrowce do nakrycia pateny i kielicha. Asysta niższa towarzyszy pochodowi z kadzielnicami, świecami i wachlarzami *(ripidy)*, wyobrażającymi towarzyszących niewidzialnie cherubinów. Formowaniu się tego pochodu towarzyszy wykonywany przez chór śpiew jednej z najpiękniejszych pieśni, tzw. „pieśni cherubinów“ *(cheruwimskaja)*: „Wyobrażając mistycznie cherubinów i śpiewając życiotwórczej Trójcy potrójnie świętą pieśń, odłóżmy teraz wszelką ziemską troskę...“ W tym momencie celebrans wzgl. celebransi wymieniają głośno najwyższych pasterzy Kościoła, panujących, władze świeckie i lud wierny, prosząc Pana, by pamiętał o nich w królestwie swoim, a po tych „wspomnieniach“ chór kończy pieśń cherubinów: „jako mający przyjąć Króla wszystkich, otoczonego przez hufce aniołów włócznie niosących. Alleluja“. [1])

Powyższy opis dotyczy liturgii św. Jana Złotoustego. W liturgii św. Bazylego zamiast „Cherubikonu“ śpiewana jest następna pieśń: „Niech umilknie wszystko, co jest cielesnego w człowieku i niech stanie on z strachem i bojaźnią bez żadnej myśli o rzeczach ziemskich, albowiem Król królów i Pan panujących przychodzi, aby być ofiarowanym i dać siebie na pokarm wierzącym“. Podczas liturgii z „wcześniej poświęconymi darami“ *(missa praesanctificatorum)* wielkie wejście odbywa się, jak w obrządku łacińskim w Wielki Piątek, z Najśw. Sakramentem, wtedy też śpiew brzmi: „Dzisiaj moce niebieskie niewidzialne z nami służą; oto wchodzi Król chwały, oto ofiara mistyczna, doskonała wznosi się triumfalnie. Z wiarą i miłością przystąpmy, abyśmy stali się uczestnikami żywota wiecznego. Alleluja“.

We wszystkich tych odmianach liturgii bizantyjskiej „wielkie wejście“ swą uroczystością porywa uwagę wierzącego ludu i przygotowuje ją do najuroczystszej chwili, jaką w liturgii jest moment przeistoczenia chleba i wina w Ciało i Krew Pańską, moment najistotniej eucharystyczny.

W liturgii bizantyjskiej moment ten tym się wyróżnia, że w przeciwieństwie do mszy łacińskiej, w której słowa konsekracyjne są wymawiane po cichu, tutaj przeciwnie są śpiewane głośno: „Przyjmijcie i pożywajcie: to jest Ciało moje, za was ofiarowane na odpuszczenie grzechów“ i „Pijcie z niego (kielicha) wszyscy, to jest Krew moja nowego testamentu, która za was i za wielu wylewa się na odpuszczenie grzechów“. Te głośne pienia chyba niemniej, jak łaciński dzwonek, zwracają uwagę wiernych na dokonujący się cud przeistoczenia, stąd też chór na każde z tych oznajmień odpowiada aktem wiary, śpiewając: „Amen“. Bezpośrednio po konsekracji kapłan unosi obie postacie razem w górę (podniesienie) przy śpiewie: „Twoje (dary) z Twoich Tobie przynosząc za wszystkich i za wszystko“, na co chór odpowiada: „Tobie śpiewamy, Ciebie błogosławimy, Tobie dziękujemy, Panie i modlimy się do Ciebie, Boże nasz“. Podczas konsekracji i podniesienia (oprócz czasu wielkanocnego), lud klęczy, a kapłan po odmówieniu wezwania do Ducha Świętego i po wymienieniu różnych intencyj okadza Najśw. Sakrament. Zaiste trudno było wynaleźć coś więcej dla wzbudzenia wiary w dokonany cud eucharystyczny i dla uczczenia Jezusa Eucharystycznego.

Przypatrzmy się teraz tej części liturgii bizantyjskiej, w której odbywa się komunia kapłana i wiernych. Rozpoczyna ją śpiew „Modlitwy Pańskiej“, podczas której lud, a nawet kapłan celebrujący zwykle klęczą. Po kilku cichych modlitwach kapłan, ukryty poza ikonostasem, ale przy odsuniętej kotarze, śpiewa głośno: „Święte dla świętych“, co oznacza, że Ciało i Krew Pańska, największa świętość, przeznaczona jest tylko dla tych, co mają czyste sumienia, są „święci“. Wzywa tymi słowy lud do takiego przygotowania serc swoich, jakiego żądał św. Paweł (I Kor. 11, 28): „Niechaj tedy doświadcza siebie człowiek... bo kto pożywa i pije niegodnie, sąd sobie pożywa i pije, nie rozsądzając Ciała Pańskiego“. Odpowiedź chóru zawiera pokorne wyznanie, że jest „Jedyny święty, jedyny Pan, Jezus Chrystus, na chwałę Boga Ojca“. I tych słów kapłana i chóru wierni słuchają klęcząc, bo celebrans jednocześnie podnosi nieco św. Hostię nad pateną

---

[1]) Reminiscencja pochodów cesarskich, kiedy to cesarza otaczali słudzy z włóczniami w rękach. — O rozwoju historycznym „wielkiego wchodu“ por. A. Dmitriewskij: *Bogosłużenie w russkoj cerkwi w XVI w.* Kazań 1884, str. 112—118.

(„małe podniesienie“), po czym łamie ją na części i kilka cząstek wpuszcza do kielicha. Komunia celebransa wraz z asystującymi odbywa się poza zamkniętymi „drzwiami królewskimi“ i przy zaciągniętej zasłonie (oprócz oktawy wielkanocnej). W tym czasie chór śpiewa krótką pieśń *(priczastien-communio)*, składającą się z kilku wierszy psalmu.

Po komunii kleru następuje komunikowanie wiernych. Drzwi królewskie się otwierają i celebrans lub diakon, trzymając w ręku kielich z Najśw. Sakramentem, wzywa lud: „Z bojaźnią Bożą i z wiarą przystąpcie“, na co chór odpowiada wyznaniem wiary w obecność Chrystusa: „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie, Bóg i Pan objawił się nam“. Bezpośrednio przed podaniem Ciała i Krwi Pańskiej łyżeczką pod dwiema postaciami, kapłan odmawia wraz z przystępującymi do komunii św. akty wiary i żalu za grzechy, które są tak rzewne i piękne, że warto je w całości przytoczyć. [1])

Wierzę, Panie i wyznaję, iżeś Ty jest zaiste Chrystus, Syn Boga żywego, któryś na świat przyszedł, aby zbawić grzeszników, z których pierwszym jestem ja. Jeszcze wierzę, że to jest prawdziwe Ciało Twoje przeczyste i rzeczywista najdroższa krew Twoja. Zatem proszę Cię, zmiłuj się nade mną i odpuść mi grzechy dobrowolne i mimowolne, które popełniłem słowem i uczynkiem, świadomie i nieświadomie i uczyń mnie godnym przyjąć bez obawy potępienia Przenajświętszy Twój Sakrament na odpuszczenie grzechów moich i na żywot wieczny. Amen. Wieczerzy Twojej mistycznej, Synu Boży, za uczestnika dziś mnie przyjmij, albowiem wrogom Twoim tajemnicy Twojej nie powiem, ani Cię obłudnie nie będę całował, jak Judasz, ale jak łotr wyznaję Cię, wołając: wspomnij na mnie, Panie, w królestwie Twoim. Nie na sąd i potępienie niech mi będzie ta komunia święta, ale na uzdrowienie duszy i ciała.

Zaiste, czy można lepiej przygotować się na przyjęcie do duszy swojej Zbawiciela, jak z przejęciem recytując na klęczkach to wschodnie „Confiteor“? Po tych aktach komunikujący podchodzą z rękami na piersiach skrzyżowanymi, a kapłan składa na ich języku łyżeczką złotą cząsteczkę Boskiego Chleba w kilku kroplach Krwi Chrystusowej. [2]) Według starożytnego zwyczaju, komunię św. przyjmuje się stojąc, na wzór Izraelitów, spożywających tak baranka wielkanocnego w pogotowiu do podróży do ziemi obiecanej. Postawę tę pewien autor w „Dictionnaire de Liturgie“ (III, 2, kol. 2431), uważa za „postawę, wyrażającą szacunek i radość“. W Polsce weszło w zwyczaj w kościołach unickich przyjmować komunię św. klęcząc.

Przytoczone trzy główne momenty z liturgii bizantyjskiej, „wielkie wejście“, konsekracja i komunia św., jasno dowiodły jak żywą i pełną cześć Najśw. Sakramentu oddają ci, którzy uważnie uczestniczą w św. liturgii. Zakończymy tę naszą notatkę jeszcze jedną osobliwością obrządku bizantyjskiego, jaką jest błogosławieństwo N. Sakramentem podczas samej liturgii. W obrządku łacińskim upowszechnił się zwyczaj, w ostatnich może dwóch stuleciach, że po pewnych mszach wystawia się Najśw. Sakrament (jeśli nie był wystawiony podczas samej mszy), okadza się go, odmawia jakieś dodatkowe modlitwy, naprz. litanie, wreszcie błogosławi się Najśw. Sakramentem lud, czyniąc nad nim krzyż monstrancją czy puszką z św. postaciami. Takie nabożeństwo wprowadzono także w wielu unickich kościołach dla większego obudzenia czci N. Sakramentu, gdzie zaś tej praktyki nie ma (a nie ma jej u prawosławnych i w kościołach neo-unickich), brak ten, jak mówiliśmy na początku, jest czasem uważany przez łaciników za jakieś ubóstwo obrządku wschodniego. Otóż takie zapatrywanie nie jest słuszne, bo w tym obrządku błogosławieństwo Najśw. Sakramentem istnieje również, stanowiąc część samej liturgii świętej.

Mianowicie zaraz po komunii wiernych, celebrans odniósłszy N. Sakrament na mensę ołtarzową, odwraca się do ludu i błogosławi go śpiewając: „Zbaw Panie, lud Twój i błogosław dziedzictwu Twemu“; są to słowa z hymnu „Te Deum“, śpiewane w niektórych okolicach Polski właśnie przy błogosławieniu Najśw. Sakramentem w monstrancji. W odpowiedzi chór śpiewa: „Ujrzeliśmy światłość prawdziwą itd.“, a kapłan, okadziwszy N. Sakrament, bierze kielich do rąk, odwraca się z nim znowu do ludu i kreśli nad nim N. Sakramentem znak krzyża, śpiewając zakończenie modlitwy słowami: „teraz i zawsze i na wieki wieków“, po czym kielich odnosi się na boczny „żertwienik„ celem spożycia resztek św. postaci i oczyszczenia kielicha. W Rosji istnieje nadto zwyczaj, że na to błogosławieństwo kielichem podchodzą ci, co przyjęli komunię świętą,

---

[1]) Podajemy je tutaj w przekładzie ks. prof. M. Niechaja: *Liturgia wschodnia*, Lublin 1937.

[2]) W dawnych wiekach kapłan kładł Najśw. Ciało każdemu komunikującemu na ręce, z których on sam je spożywał. Obecnie czyni się tak przy komunii koncelebrującego kleru. Przyjmujący składa ręce, kładąc jedną na drugą dłoniami do do góry. Gest ten pozostał także w Rosji przy proszeniu biskupa lub kapłana o błogosławieństwo.

a kapłan trzyma kielich kolejno nad głową każdego. Jeżeli w różnych momentach liturgii upatrywać symbolicznie różne momenty z męki, zmartwychwstania i wniebowstąpienia Zbawiciela, to owo błogosławieństwo znamionuje właśnie wniebowstąpienie, stąd też i modlitewka, jaką kapłan po cichu odmawia, wzmiankuje o wniebowstąpieniu. Jak Chrystus uniósł się do nieba, pobłogosławiwszy na pożegnanie swych uczniów, tak i w św. liturgii żegna się niejako z ludem swoim tym eucharystycznym błogosławieństwem.

Kończąc, raz jeszcze stwierdzamy, że obrządek bizantyjski nie jest upośledzony co do kultu Eucharystii. Należy tylko dokładnie poznać jego św. liturgię i odpowiednio ludowi ją wyłożyć, a wtedy znajdzie on w niej wszystko, co dusza wierząca winna jest Jezusowi w Jego Tajemnicy Miłości.

Z. L.

CERKIEW PRAWOSŁAWNA NA WĘGRZECH

Chcąc przedstawić stan obecny, po wojnie światowej, prawosławia na Węgrzech, trzeba się cofnąć do czasów dawniejszych, przedwojennych, bo dopiero historia Węgier w dawnych granicach tłumaczy obecność wyznawców prawosławia wewnątrz dzisiejszego uszczuplonego przez traktat w Trianon terytorium węgierskiego. Prawosławie, zwane urzędowo wyznaniem „grecko-orientalnym“, nie posiada bowiem korzeni w etnograficznych Węgrzech, lecz jest rośliną, zaczepioną korzeniami o te kraje, które Węgry utraciły po wielkiej wojnie już to na rzecz Jugosławii, już to Rumunii, a nawet w pewnej mierze Czechosłowacji.

W przeddzień katastrofalnej dla Węgier wojny prawosławni na ziemiach korony św. Szczepana przewyższali liczbę trzech milionów i stanowili 14,3% wszystkiej ludności królestwa. Byli zatym grupą wyznaniową po katolikach najliczniejszą. Posiadali aż dwie metropolie: serbską w Karłowcach i rumuńską w Hermansztadzie (rum. Sibiu); każda z nich posiadała po kilka podległych biskupstw.

Jakiego pochodzenia były te prawosławne kościoły?

Metropolia serbska na terytorium węgierskim zawdzięczała swoje istnienie prześladowaniom, jakim Serbowie podlegali pod panowaniem tureckim i wojnom, jakie toczyły się między Turkami a cesarstwem niemieckim (cesarz był dziedzicznym królem Węgier). W roku 1690, a więc w ośm lat po rozgromieniu Turków przez króla Sobieskiego pod Wiedniem, dokonał się masowy *exodus* Serbów z pod panowania półksiężyca. 36,000 rodzin serbskich pod przewodnictwem patriarchy Arseniusza III Czernojewicza, zmyliwszy czujność straży tureckich, przeprawiło się przez Dunaj na terytorium węgierskie, gdzie osiedliwszy się na pustkowiach, zniszczonych przez wojny, założyli metropolię z siedzibą w Śremskich Karłowcach, która przez rząd królewski została zatwierdzona i uposażona. W r. 1737 przybyła nowa fala uchodźców, a kiedy w r. 1766 patriarcha konstantynopolitański spowodował zniesienie przez Wiel. Portę patriarchatu serbskiego w Peczu, metropolita w Karłowcach, dotąd uważający się za egzarchę patriarchy serbskiego, sam przybrał ten tytuł. Kościół serbski prawosławny na Węgrzech, pod opieką katolickich królów, rozrósł się, zorganizował się, otrzymał szkoły i kler wykształcony. Zajmowane przez Serbów terytorium zyskało charakter kraju serbskiego, co doprowadziło po wojnie światowej do oderwania go od Węgier i przyłączenia do Jugosławii.

Starszą była druga grupa prawosławnych, mianowicie Rumuni w Siedmiogrodzie. Po ostatecznym przyłączeniu tego kraju w XVII stuleciu do korony św. Szczepana, prawie połowa prawosławnych Rumunów przyjęła unię z Rzymem; druga połowa, pozostająca w dyzunii a licząca parę biskupstw, po powstaniu patriarchatu w Karłowcach została poddana pod jego jurysdykcję. Z powodu wszakże tarć narodowościowych między Serbami a Rumunami, rząd węgierski utworzył dla tych ostatnich w r. 1864 niezależną od Karłowiec metropolię w Hermansztadzie. Po wojnie światowej cały ten Kościół znalazł się w obrębie powiększonej Rumunii i został wcielony do patriarchatu w Bukareszcie.

W ostatnich dziesięciu latach przed wojną światową prawosławie usiłowało zyskać grunt w innej jeszcze prowincji Węgier, mianowicie wśród Rusinów karpackich, którzy w XVII

wieku przyjęli unię z Rzymem. Ruch ten wszakże, jako kierowany z Rosji i przez Rosję popierany, tym samym był podejrzany politycznie i przez rząd węgierski tłumiony, tak że do końca panowania węgierskiego nad tym krajem nie wykazał dużych postępów. Miał się rozwinąć groźniej dla unii dopiero po przyłączeniu Rusi Karpackiej do republiki czechosłowackiej.

Z wymienionych powyżej dwóch, względnie trzech swoich siedzib — w krajach kresowych królestwa węgierskiego, prawosławie przenikło i do głębi kraju, a część tych prawosławnych, jacy się znaleźli wśród rdzennie węgierskiej ludności, zatraciła nawet rodzimy język, serbski lub rumuński, i poczęła się przyznawać do narodowości madziarskiej. Kiedy po pokoju w Trianon odpadły od Węgier owe kraje o zwartej ludności prawosławnej, pozostałe w okrojonych Węgrzech grupy i jednostki, należące do tego wyznania, zostały odcięte od swoich pni macierzystych, pozostając wszakże w kanonicznej zależności od dawnych swych metropolij, znajdujących się już obecnie po za granicami państwa. W samych Węgrzech tylko Serbobowie mają swego biskupa, zależnego od patriarchatu serbskiego. Jest nim obecnie Jerzy Zubkowicz, rezydujący w Budapeszcie i posiadający rezydencję letnią w Szentendre (gród św. Andrzeja).

Niewielka ilość prawosławnych, jaka pozostała w granicach dzisiejszych Węgier, została wzmocniona nieco przez emigrantów Rosjan. Powstały w ten sposób rosyjsko-prawosławne gminy, w których wszakże objawiło się od r. 1926 rozbicie na dwa kierunki. Jedni uznali nad sobą władzę patriarchatu serbskiego, podczas gdy drudzy poczęli uważać za swego duchownego naczelnika metropolitę Eulogiusza w Paryżu. Zresztą ten emigrancki kościół, liczący wiernych ledwie na setki, nie odgrywa w kraju żadnej roli.

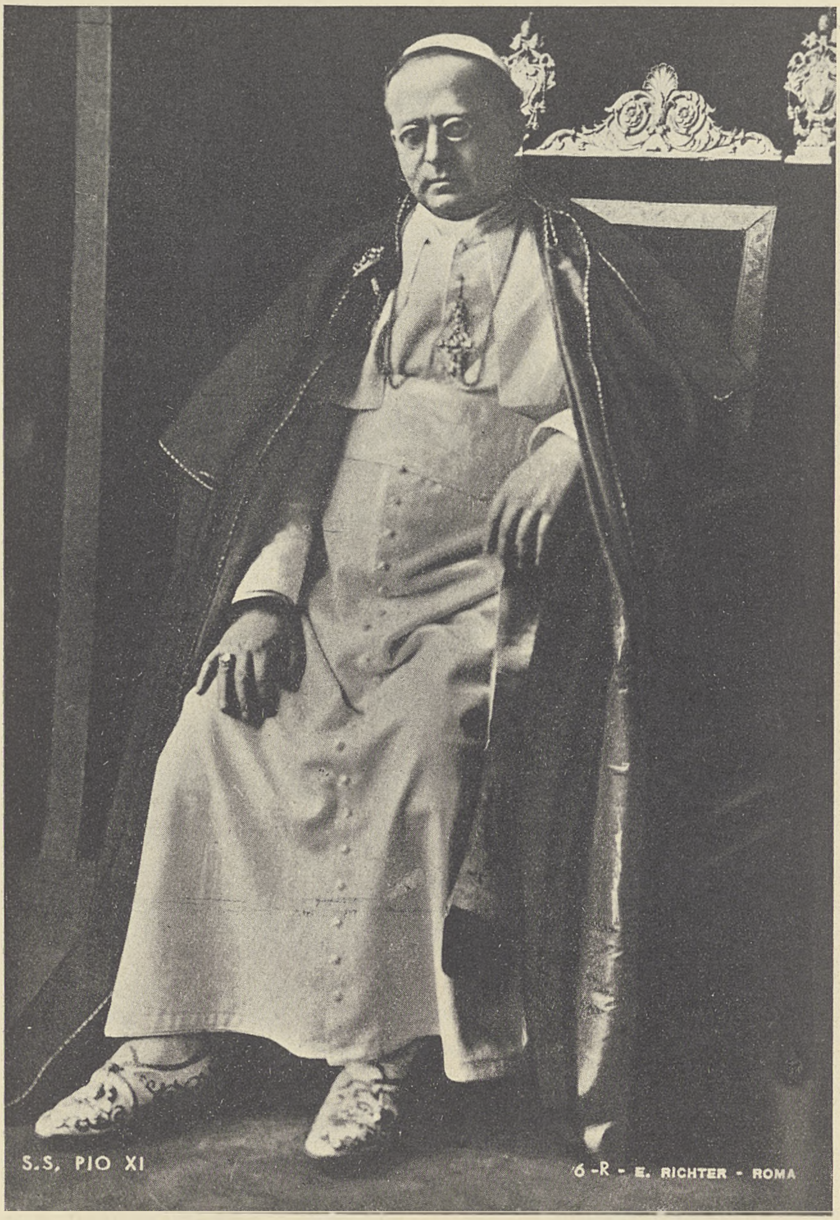
Według ostatniego spisu ludności wszystkich prawosławnych na Węgrzech było 39.339 dusz (21.470 mężczyzn i 17.869 kobiet). Pod względem językowym 60% z nich zalicza się do Madiarów, 20% są to Rumuni, reszta — Serbowie, Rosjanie i Bułgarzy. Ta niewielka liczba topnieje jeszcze przez porzucanie prawosławia na rzecz innych wyznań. Tak w latach 1921—1933 naliczono 1211 takich odstępstw, w tym większość konwersyj na katolicyzm obu obrządków. Zdarzają się także apostazje na bezwyznaniowość.

Będąc w tak niewielkiej liczbie, przytym językowo i narodowościowo rozbici na różne grupy, wykazujące różne ciążenia, prawosławni nie przedstawiają na Węgrzech żadnej poważnej siły. Przede wszystkim trudno im zorganizować się w jakiś niezależny, autokefaliczny czy autonomiczny Kościół. Przed kilku laty próbował stworzyć taką organizację proboszcz madziarskiej prawosławnej parafii w Szentes, niejaki Stefan Nemet. Zwołał on kilku zwolenników na „synod“, na którym wybrano go na głowę autokefalicznego Kościoła węgierskiego. Nie znalazł wszakże żadnego biskupa prawosławnego któryby mu chciał udzielić sakry, przeto przyjął święcenia od heretyckiego biskupa jakobickiego w Antiochii, wtedy jednak nikt za nim nie poszedł i cała afera się skończyła. Grupa madziarskich parafij prawosławnych (Miskolc, Karcag, Budapest, Kecskemet i Gyöngyës), które do r. 1932 uznawały nad sobą władzę biskupów rumuńskich lub serbskich, wyłamały się następnie z pod ich jurysdykcji i oddały się pod władzę patriarchatu w Konstantynopolu, który wszakże zarządza nimi nie bezpośrednio, lecz przez swego egzarchę dla Europy zachodniej, rezydującego w Londynie metropolitę Germanosa. W patriarchacie układano plan skupienia wszystkich prawosławnych na Węgrzech w jednej organizacji kościelnej i nadania jej praw Kościoła autonomicznego, na wzór Łotwy, Estonii i innych krajów zależnego od Konstantynopola. Plan ten jednak spotkał się z oporem ze strony patriarchatu serbskiego, który rości sobie pretensje do zwierzchnictwa przynajmniej nad prawosławnymi Serbami wewnątrz Węgier. Rząd węgierski zdaje się nie wykazywać w tej sprawie żadnej aktywności i większego zainteresowania.

Po wrześniowych rewindykacjach terytorialnych przybyła Węgrom pewna ilość prawosławnych Rusinów karpackich. Wiadomo, że w Mukaczewie istniało już biskupstwo prawosławne, ponieważ jednak większość prawosławnych Rusinów pozostała w obrębie Ukrainy Karpackiej, nowy biskup zamiast osiąść w Mukaczewie, przeniósł się do Chustu. W węgierskiej części Rusi Zakarpackiej prawosławnych jest w każdym razie nie wiele, liczba ich wszakże nie jest nam znana. Na razie podlegają oni jurysdykcji biskupa w Chuście. [1])

---

[1]) Pisane było przed podbojem Rusi Karpackiej przez Węgry. Obecnie cała niemal diecezja prawosławna mukaczewska z ludnością około 150,000 dusz znalazła się z powrotem w obrębie Węgier, stanowiąc największą grupę prawosławnych. *Przyp. redakcji.*



PAPIEŻ WSCHODU



KIJÓW. — Malowidło W. Waśniecowa w soborze św. Włodzimierza
(do art. „Kult Eucharystii w kościele wsch.“)

Malowidła w kościele kolegium Russicum w Roseto (Włochy)



Św. Jan dyktuje uczniowi Apokalipsę



Ściana pozaołtarzowa



Ukrzyżowanie



Słowo Boże w glorii



UŻHOROD. — Katedra i pałac biskupów grecko-katolickich



CHARBIN. — Uczniowie liceum św. Mikołaja



CHARBIN. — Grupa misji rosyjsko-katolickiej

Dla Rosjan prawosławnych będzie interesująca wzmianka o pewnym historycznym zabytku, związanym z historią Rosji. Mianowicie w miasteczku Irom, w pobliżu Budapesztu, znajduje się mała cerkiewka, mieszcząca w sobie mauzoleum żony palatyna Józefa, w. księżny Aleksandry Pawłowny, siostry cesarza Aleksandra I. Jest w niej artystycznej wartości ikonostas, sprawiony przez Aleksandra III, a wśród zabytków ma ewangeliarz w złotej oprawie, podobno pochodzący od Katarzyny II. Nabożeństwa w tej cerkiewce odprawiane są rzadko, bo tylko w dni wielkich świąt i w rocznicę śmierci wielkiej księżnej.

Książe Mikołaj Massalski.

O WŁODZIMIERZU SOŁOWIOWIE

Strzępy wspomnień dziecinnych.

Dla każdej duszy, która prawdziwie wierzy w Boga, zjednoczenie kościołów, prawosławnego i katolickiego, jest przedmiotem serdecznych marzeń i dążeń. Taką duszę głęboko wierzącą posiadał genialny myśliciel i teolog rosyjski, Włodzimierz Sołowiow (1853—1900).

Za wielkie szczęście poczytuję sobie, że znałem go w ostatnich sześciu latach jego życia. Były to czasy wczesnej mojej młodości, przytym spotkania nasze były przypadkowe, a wrażenia, jakie one sprawiały na mnie, niestety tylko urywkowe. Mimo to sądzę, że kilka takich przypadkowych faktów, zachowanych w mojej pamięci i kilka wrażeń, odniesionych przy spotkaniach się z tym wielkim człowiekiem, zasługują na upamiętnienie, wszak i one rzucą promyczek światła na rysy jego życia. Tak odbija się słońce w kropli rosy na listku wiosennym.

I.

Jesienny dzień 1894 roku. Ja i mój ojciec przechadzaliśmy się po peronie „dworca mikołajewskiego“ w Petersburgu w oczekiwaniu na pociąg do Carskiego Sioła, gdzieśmy wtedy mieszkali. Naprzeciw nam szybkimi krokami szedł wysoki, chudy i blady człowiek, z długą brodą i długimi włosami, wydobywającymi się z pod miękkiego filcowego kapelusza. Był w palcie z peleryną, nazywanym wtedy „kryłatką“. Dął mocny wiatr. Jego porywiste podmuchy igrały z kryłatką, długą brodą i lokami nieznanego mi pana. Szybkie kroki i bystry wzrok, którym i nas obrzucił, zdradzały pewny siebie i stanowczy charakter.

Kiedy nieznajomy znalazł się na naszej linii, ojciec mój z wielkim uszanowaniem uchylił kapelusza. Nieznajomy uprzejmie odpowiedział tym samym gestem i znikł w tłumie wsiadających do pociągu, który właśnie w tej chwili podano.

— Kto to jest? — spytałem ojca.

— To znakomity nasz myśliciel, Włodzimierz Sołowiow — brzmiała odpowiedź.

Postać i rysy filozofa wryły się głęboko w moją pamięć.

II.

Ojciec mój był pierwszym w Rosji biografem słynnych filozofów-pesymistów: niemieckiego Artura Schoppenhauera i włoskiego Giacoma Leopardi. Kiedy wyszła w świat pierwsza jego książka o Schoppenhauerze, ojciec posłał ją Wł. Sołowiowowi, który za nią podziękował uprzejmym listem. Od tego czasu nawiązały się między nimi przyjacielskie stosunki. Sołowiow często nas odwiedzał, bywając w Carskim Siole. Czas już zatarł w mej pamięci szczegóły tych wizyt, ale jedną z nich wyraźnie zapamiętałem.

Był mroźny zimowy wieczór. W gabinecie mego ojca siedziałem przy ogniu na kominku z książką w ręku. W przedpokoju niespodziewanie dał się słyszeć głos dzwonka i za minutę na progu gabinetu ukazała się wysoka figura Sołowiowa. Był on w długim futrze i futrzanej czapce, zewnętrznie przypominając księdza prawosławnego. Lecz oto futro i czapka zostały zrzucone w przedpokoju. Wzajemne powitania, gość wchodzi do gabinetu i nawiązuje się ożywiona rozmowa. Ja lubię przysłuchiwać się rozmowom starszych, więc pozostaję, niezauważony przez gościa, w swoim fotelu. Treść rozmowy ojca z Włodz. Sołowiowym była ponad pojętność chłopca, lecz oto — nie pamiętam w jakim związku — ojciec potrącił o historię naszej rodziny.

— Czy Pan wie, mówił, że mój pradziad pochodził z Polski? Przeniósłszy się do Rosji przeszedł on z katolicyzmu na prawosławie.

Sołowiow poruszył brwiami i ramionami.

— Nie rozumiem takiego przejścia — mówił wolno po chwili milczenia. O ile zro-

zumiałe jest dla mnie przejście prawosławnego na katolicyzm, o tyle — daruj Pan — dziwi mnie postąpienie Pańskiego pradziada.

— Pomyśl Pan — ciągnął dalej Sołowiow. Przecież katolicyzm to najpewniejsza łódka wiary na wzburzonym morzu naszego życia doczesnego. I jeszcze jedno: Kościół katolicki nie tylko modli się, ale i pracuje, jak żaden inny w świecie.

Sołowiow wyciągnął swe piękne ręce z długimi cienkimi palcami na poręczach fotelu i w zamyśleniu począł wpatrywać się w ogień na kominku. Dopalające się węgle rzucały swe rudawe promienie na jego cudną natchnioną twarz i wtedy wydał mi się on tajemniczym przychodniem z innego świata.

III.

W Carskim Siole przyjaźniłem się z swoim rówieśnikiem, księciem Aleksandrem Wołkońskim. Często odwiedzałem dom jego matki, jako też jego ciotki, pani Markowiczowej, która przyjaźniła się z Włodz. Sołowiowym. I tam nieraz spotykałem go i przysłuchiwałem się jego rozmowom. Już dobrze nie pamiętam, czy to było u księżnej Wołkońskiej, czy też u p. Markowicz, słyszałem z ust Sołowiowa jedno wyznanie, które głęboko wryło się w moją pamięć.

— Mnie łączą ścisłe więzy przyjaźni z Słowianami południowymi — mówił filozof. Zagrzeb, podobnie jak i Djakowa, stały się jakby drugą moją ojczyzną, a sędziwy biskup katolicki Strossmajer był nie tylko moim dobrym przyjacielem, lecz i ojcem duchownym. Trudno wypowiedzieć jakie znaczenie miała dla mnie ta przyjaźń i pożycie z nim przez dwa miesiące, których nigdy nie zapomnę. Kiedy za radą kanonika Raczkiego wybierałem się z Rosji do niego, musiałem pokonać wiele trudności i przeszkód. Jadąc do Strossmajera cieszyłem się na myśl, że znajdę w jego osobie mądrego i dobrego przewodnika. Przybywszy do Chorwacji, znalazłem w nim prawdziwego i godnego spadkobiercę idei Jura Kryżanića. [1])

Wtedy imiona te jeszcze nic mi nie mówiły. Wielkie ich znaczenie, a zatem i znaczenie tego wyznania Sołowiowa zrozumiałem dopiero dużo później.

IV.

Pewnego razu polecił mi ojciec odwiedzić w Petersburgu poetę i publicystę Bazylego Wieliczko, który nie dawno przyjechał z Tyflisu, gdzie wydawał gazetę *Kaukaz*. Wieliczko zatrzymał się w hotelu Palais Royal przy ulicy Puszkina, gdzie zwykle zatrzymywąli się literaci rosyjscy. Miałem doręczyć panu Wieliczko list od mojego ojca, co też uczyniłem. Gospodarz uprzejmie zatrzymał mnie na herbatę.

Ledwieśmy zabrali się do szklanek, jak do pokoju wszedł stary przyjaciel Wieliczki, Włodz. Sołowiow, tylko co przybyły z Finlandii. Z właściwym sobie ożywieniem począł opowiadać nam o swoich wrażeniach z podróży, w tem nagle przerwał opowiadanie, przeciągnął ręką po czole i tajemniczo oznajmił:

— W samą noc Zmartwychwstania Pańskiego miałem niesamowite widzenie. Ńoc ta zastała mnie na statku, płynącym z Wyborga wśród fińskich skał. Długo stałem na pokładzie przy półświetle białej nocy północnej, wpatrując się w cudne blade niebo i myśląc o Bogu. Zmęczony staniem zdecydowałem się wreszcie iść spać i udałem się do swojej kajuty. Otworzywszy drzwi, ujrzałem w kajucie światło i poczułem, że ktoś w niej jest. Przekroczywszy próg ujrzałem wyraźnie na swoim łóżku... szatana. Ja dotąd nie pojmuję skąd wzięła się u mnie wtedy siła. Lecz głośno, patrząc mu prosto w oczy, krzyknąłem: Czy ty nie wiesz, że dzisiaj Chrystus zmartwychwstał? W tymże momencie uczułem przenikliwy ból w sercu, zaparło mi oddech i straciłem przytomność. Nazajutrz rano znalazł mnie służący na progu mojej kajuty bez przytomności. Gdy przyszedłem do siebie, zauważyłem na swej szyi krwawe siniaki, jakby od czyichś pazurów.

O ile sobie przypominam, to opowiadanie Sołowiowa zrobiło na nas głębokie wrażenie. Mówił on bowiem w tonie szczerym i mocno wzruszony. Wieliczko poprosił go o pozwolenie na zapisanie tego opowiadania, na co Sołowiow chętnie się zgodził.

V.

Kiedyś, spacerując wieczorem po parku w Carskim Siole, spotkałem dobrze znanego dziennikarza, Michała Mienszykowa, stałego pracownika w *Nowom Wremieni*, który potem został rozstrzelany przez bolszewików. Mienszykow prosił mnie, bym mu towarzyszył do pułkownika gwardii Merdera, którego i ja znałem.

Kiedyśmy weszli do salonu państwą Merderów i przywitali się z pułkownikiem, ujrzeliśmy pogrążonego w głębokim fotelu

---

[1]) Chorwacki apostoł idei zjednoczenia Kościołów z XVII wieku.

Włodz. Sołowiowa. Na jego kolanach siedziała córeczka pp. Merderów, Liliana. Sołowiow opowiadał jej coś z widocznym przejęciem. Usiedliśmy opodal i poczęliśmy przysłuchiwać się temu opowiadaniu. Sołowiow z uczuciem głęboko religijnego człowieka i subtelnego poety opowiadał dziewczynce legendę o dwóch ptaszkach.

— Kiedy Pan Jezus, w wieńcu cierniowym i przybity gwoźdźmi za ręce i nogi, męczył się ciężko na krzyżu, nadleciały do niego dwa ptaszki, krzyżodziób i pokrzewka. Chciały okazać Panu Jezusowi swoje współczucie i ulżyć mu w męczarni. Pokrzewka usiłowała uwolnić skronie Jezusa od tkwiących w nich cierni, lecz sama się o nie poraniła i na jej piersiach ukazała się krew. Krzyżodziób czynił próżne wysiłki, by wyciągnąć gwoździe, którymi Jezus był przybity do krzyża i tylko wykrzywił sobie dziób. Boski Cierpiętnik spojrzał łaskawie na ptaszęta i przemówił do nich: Na pamiątkę współczucia ku mnie i próżnych wysiłków, by ulżyć mi, ty, Pokrzewko, będziesz miała zawsze malinową pierś, a tobie, Krzyżodzióbie, pozostanie na zawsze skrzywiony dziób. A Ojciec mój niebieski niechaj was błogosławi za wasze dobre serca.

Sołowiow, skończywszy legendę, popatrzył z miłym uśmiechem w oczy małej Lili. Oczy jej były pełne łez.

VI.

Czterdzieści lat upłynęło od czasu tych przypadkowych i krótkich spotkań z niezapomnianym Włodzimierzem Sołowiowym, a dziwny jego obraz wciąż jeszcze jak żywy stoi przede mną. Zdaje mi się, że jeszcze wiele nowych lat upłynie, zanim zostanie oceniony wszechstronnie i w całej pełni ten genialny myśliciel rosyjski i jego utwory głębokie. Gorąca miłość chrześcijańska natchnęła mu te cudowne wiersze:

Śmierć i czas rządzą tym światem.
Lecz ty ich panami nie nazywaj.
Wszystko, kręcąc się, znika we mgle,
Nieruchomym jest tylko słońce miłości.

Promienie tego słońca miłości chrześcijańskiej przenikały całą istotę Sołowiowa.

Najpierw była to miłość Boga, która stanowiła rację jego ziemskiego bytowania i odbijała się niemal na każdej stronicy jego utworów.

Potem miłość bliźniego, którego widział Sołowiow w każdym człowieku, choćby ten głęboko upadł, był zbrodniarzem. Dla tej miłości Sołowiow nie żałował niczego, wszystko gotów był oddać. Wiadomo, że za wezwanie, zwrócone do Aleksandra III, by w imię chrześcijańskiej miłości ułaskawił zabójców swego ojca, Sołowiow zapłacił usunięciem go na zawsze z katedry profesorskiej.

Miłość Boga i bliźniego kojarzyła się u Sołowiowa z głęboką pokorą i prostotą ewangeliczną. Te jego rysy duchowe uzupełniało dobrowolne jego ubóstwo. Zupełnie obojętny na posiadanie czegokolwiek, Sołowiow chętnie rozdawał biedakom, co tylko miał. Nie żałował niczego, gdy chodziło o wybawienie kogoś z kłopotu. Wreszcie szczególnie odznaczał się umiłowaniem nauki i to umiłowanie wyniosło go na szczyty myśli filozoficznej i teologicznej i stworzyło to mnóstwo dzieł, jakie po sobie pozostawił.

Przez całe życie usiłował Włodzimierz Sołowiow skierować swą ukochaną ojczyznę Rosję na drogę prawdziwej wiary, wprowadzić ją w ogrodzenie Kościoła powszechnego, którego był apostołem. To usiłowanie podyktowało mu w wierszu *Ex Oriente lux* owo szczere ale i dręczące pytanie, które całą swą doniosłość ujawniło wreszcie za naszych dni:

O, Rusi! W wizji wzniosłej o przyszłości,
Myśl dumną piastujesz o sobie...
Jakimże chcesz być Wschodem?
Wschodem Xerxesa czy Chrystusa?

Sergiusz Stein.

SŁOWACKI I NASZ WSCHÓD

Słowacki kochał Ziemie Ruskie niemniej od ukraińskiego Szewczenki — i ani Zaleski, ani Goszczyński, ani Sadyk-Pasza Czajkowski — nikt z polskich poetów i pisarzy tzw. Szkoły Ukraińskiej nie umiłował Oriensu Rzeczypospolitej tak, jak Słowacki — choć on jeden z wielkiej trójcy polskiego Parnasu poetyckiego stał ponad wszystkimi poetyckimi szkołami, jakie kiedykolwiek na ziemiach Rzplitej powstały. Podobnie jak realiście Mickiewiczowi „powrót na ojczyzny łono“ roił się przede wszystkim jako powrót na Litwę, idealista Słowacki marzył na emigracji o powrocie do Ojczyzny — choćby duchem po śmierci, a tę Ojczyznę wyobrażał sobie przede wszystkim jako uroczy wschód Rzplitej.

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie —
Trzody leżące n a k u r h a n a c h wstaną,
Owce się ruszą... perły łąk... znajdziecie
Tę okolicę całą zasłuchaną
W powietrze, w dźwięki, w smutek...

Beniowski. Wyd. Bibl. Nar. str. 432.

Step wydawał się stęsknionemu synowi Oriensu wielkim kościołem.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy, —
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wietrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, sczerwieni i w niebie zatrzyma
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma...
Kto Cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym.

Beniowski, str. 163.

Ludzi z rodzinnych stron na emigracji wyobraźnia przerabiała poecie w aniołów. Gdyby ich już przedtem nie szanował i nie kochał za cechy duchowe im właściwe, byłoby to niemożliwym nawet pod wpływem największej tęsknoty.

I teraz chciałbym rozciąć — co? — dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje,
I pokazać wam, jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest s y r e d e ń!
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku Kozaczyźnie.

Przez „Kozaczyznę“ rozumie tu Poeta w ogóle Ziemie Ruskie i Rusinów; gdyby było inaczej, nie użyłby w tej samej oktawie, dla wyrażenia tej samej myśli, słów: „Podolski“ „domy... „Ukraińskie“ (słóweczko)... „Kozaczyzna“ („Miłość, którą mam ku Kozaczyźnie“). Ziemie te jednak i tych ludzi Słowacki kocha za wszystko, tylko nie za rozdział kościelny, jak widać ze wszystkich utworów, w których akcja ma miejsce na wschodzie Rzplitej. W *Śnie Srebrnym Salomei* występuje Semenko — „syn p o p a“, siostry jego Poeta stale nazywa „p o p a d z i a n k a m i“. W *Fantazym* (Wyd. Dzieł Wyborowych, t. III, str. 226) Hrabina, zapytuje prawosławnego Majora: „A jak się ma p o p Osip? — „Pijany z duszą“ — brzmi odpowiedź. W *Beniowskim* (Wyd. Dzieł Wyb., t. III, str. 471) o prawosławnych jako takich wypowiada się Poeta opisując bohaterskie natarcie Beniowskiego, broniącego Swentyny Calińskiej:

I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi,
Oprócz kozaków dwóch... z tych jeden stary,
Zrąbany z konia Bogu oddał duszę,
I poszedł, mówi Homer, między mary,
Co się z nim stało?... nie chcę i nie muszę
Mówić, bo ta rzecz należy do wiary
Grecko-r o s y j s k i e j; lecz co do mnie tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religii, gdzie car — jest i piekło.

Jest tu szacunek i sympatia dla rycerskości i innych cech Kozaków („poszli w nogi, oprócz kozaków dwóch...“, którzy wobec tego woleli zginąć, niż ustąpić z pola walki), ale widać tu wyraźnie niechęć, a nawet pogardę dla wmówionego im prawosławia, jako nie ich a „rosyjskiej“ wiary, nie odpowiadającej wolnej kozackiej duszy. Przykłady takie z samego *Beniowskiego* można by mnożyć prawie bez końca. — „Był to w kolasie pop“... (str. 518) — mowa o jakimś kapelanie hajdamaków. W pieśni VIII, str 541, ocalała od rzezi hajdamackiej, ale sparaliżowana panna Gruszczyńska mówi:

Kozak mnie jeden, jak kawałek drzewa
Wyprostowaną, wziął i dał p o p o w i;
P o p kupił, teraz sprzedać się spodziewa,
Jeśli mnie piasek ten wrący uzdrowi...
. . . . „Chociaż zdrowa
Nie śpię, w mogile mnie p o p na noc chowa.

„Z pospólstwa chmurą leci p o p na czele“, (odbijać Beniowskiemu pannę Gruszczyńską). Beniowski odwraca się, gotów stanąć do walki, ale musi się cofnąć, bo „pop“ prowadzi z sobą rozkrzyczane mahometanki, rzucając w bohatera... pantoflami.

...p o p prowadzi znów na bój rozpoczęty
Baby — „szanowny“ p o p, jakiś polityk,
Który chciał, aby pan poseł był wzięty,
A stąd przed Khanem by uniknął krytyk
I kar na p o p y we wschodnim kościele,
Których oskarżą de raptu puellae. (str. 544)

Gdzie noże w leśnej kaplicy święcono,
A te sypiąc się z worków, szeleściły,
Jak węże, nim swój cały jad wyzioną.
A księżyc patrzał się przez dach r o z b i t y,
Na trumnę — świece — p o p y i kobiety —
Mówią, że w owej kaplicy zjawiony,
Pan Wernyhora zaczął kląć rzezunie... (str. 585)

i rzucił lirę, skąd go dobiegły zwrócone do niego przekleństwa. Lira zabiła „prawosławną“ matkę Wernyhory, która stała na tym miejscu.

. . . . . . Krew się w żyłach ścina!
Gromnice gasną — p o p klnie — las odklina...

Może miłość rodzinnego Krzemieńca, w którym Unia za czasów dzieciństwa Słowackiego była popularna, a przez Krzemieniec, miłość Wołynia i innych Ziem Ruskich, stała się w duszy Poety podłożem jego stosunku do Unii kościelnej, wysoce ludzkiego i prawdziwie katolickiego. Stosunek ten do Unii nie uległ zmianie ani w okresie żalu do Stolicy Apostolskiej o bullę Grzegorza XVI, potępiającą powstanie, ani w później przeżywanej przez Juliusza epoce towianistycznej. Był trwałym jak coś nie nabytego, ale po przodkach odziedziczonego, przyniesionego z sobą na świat, może więc wraz z miłością wschodniego ducha (za którego główną właściwość Poeta prawosławia wcale nie uważał!), był istotnie czymś przez Mistrza w życiu nie nabytym ale wrodzonym. Na równi z łacińskimi kościołami kochał Słowacki cerkwie unickie i tak samo jak Mickiewicz, ponieważ są mu także bliskie i drogie, raz w tych samych utworach nazywa cerkwie kościołami a raz cerkwiami. Np. pieśń V *Bieleckiego*, „K o ś c i ó ł wiejski“:

Była to c e r k i e w, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza,
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

I zaraz potem: „Daleko słychać wiejski dzwon k o ś c i e l n y“, o dzwonie tej samej cerkwi. „Jacyś wędrowcy weszli do k o ś c i o ł a“ (str. 66).

Bohaterowie poematów Słowackiego odnoszą się do Unii tak, jak ich Autor. Wyklęty za zdradę kraju Bielecki w poczuciu winy nie śmie powrócić do swojej wsi, w cerkwi zająć miejsca w ławce ani się zbliżyć do „wrót królewskich“, za którymi się znajduje Przenajświętszy Sakrament. Obraził Boga ciężkim grzechem — nie przeprosił Go jeszcze, stoi więc „pokornie“ przy drzwiach. Anna, jego żona, „pada na twarz“, „całuje podłogę“, chcąc przebłagać za męża majestat Boży. Gdyby Słowacki był zdolny do zdrady kraju, potem z pewnością postąpiłby jak jedno z nich. Klątwa, ogłoszona przez księdza „starego wiekiem z ubieloną głową“, zabija Bieleckiego. Aby spoczął „na święconej ziemi“ cmentarza cerkiewnego, zrozpaczona, z ciałem wyklętego zostawiona Anna, wyrywa krzyż z jakiejś mogiły i zaczyna nim kopać grób dla ukochanego.

A ile życzliwości, serdecznego ciepła jest w charakterystykach wschodnich księży, gdziekolwiek występujących u Słowackiego! Czy to wspomniany wyżej, otoczony ogólnym szacunkiem staruszek — ksiądz w *Bieleckim*, czy w *Wacławie* ksiądz Prokop, którego w szalonym pośpiechu konno przywozi Kozak do umierającego bohatera poematu... (str. 195 i dalsze ze spowiedzią „Wacława“ w III-cim tomie Bibl. Pis. Pol., a II-gim pism Słowackiego) — i którego nie uszanował tylko „prawosławny“ Kozak, na co ksiądz nie chciał zapewne skarżyć się przed umierającym panem. Wreszcie w scenie V *Mazepy* Poeta przedstawia w kaplicy wojewodzińskiego domu króla, otoczonego kapłanami unickimi, do których król nie zwraca się inaczej, niż: „święci ojcowie“.

Mistrz z nad Ikwy kocha styl obrazów wschodnich, czego najlepszym dowodem są w *Beniowskim* wizje M. B. Podkamieńskiej i Poczajowskiej o których już pisaliśmy szerzej w *Oriensie* zeszłego roku. Zwłaszcza do obrazu Poczajowskiej Poeta jest przywiązany, są o nim wzmianki i w *Księdzu Marku* i w *Królu Ladawy*. („Wyznam ci, że to nie prosta obietnica ale ślub, zrobiony przed cudownym obrazem N. M. P. Poczajowskiej“, mówi jeden z bohaterów do swego przyjaciela. „To Najświętsza Panna przesyła beczkę wody ze s t o p k i p o c z a j o w s k i e j ojcom bernardynom“... („Święcone u J. O. Radziwiłła Sierotki“). „...A jednak poradzę się N. P. Poczajowskiej, bo mówią, że w koroniarzach serce na języku, to mię N. Panna nie oszuka“... odzywa się książę w *Preliminaryach peregrynacyi do Ziemi Świętej J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki*. Wreszcie w samym *Beniowskim* jeszcze (pieśń XXIV), niezależnie od wizji dwóch obrazów:

O Matko Boska, zbudź go — wszak ja proszę!
Tak Cię ogniście proszę! Matko Boska,
Zbudź go! Ja Twój cud po świecie ogłoszę,
Ja Ciebie, Matko Święta Poczajowska,
Ubrylantuję — ja różane kosze
Przyniosę Tobie... każda biedna zgłoska
Twego imienia i Chrystusa Pana
Po kraju pójdzie złotem drukowana...

tak modli się stary Gruszczyński o wskrzeszenie synka, zabitego przez hajdamaków.

Obrzędy wschodnie niezatarte wrażenie pozostawiały na bujnej imaginacji Słowackiego. Sam o tym mówi w *Beniowskim*, w opisie pogrzebu Wernyhory:

Nazajutrz piątek był — szare kolumny
Żebractwo — snuły się... po zwykłe grosze;
W dziedzińcu starca włożono do trumny,
Trumnę... na czarne postawiono nosze.
Pan Sucholski — sam... choć starzec dumny,
Czarny wdział żupan... i czarną wołoszę...
Wyszedł pogrzebow smutny regimentarz,
Djak — cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz.
W stepie jęczały głosy niezbyt śpiewne,
A jednak piękne — harmonią płaczliwą;
Jasną girlandą chorągwie cerkiewne
Szły... burcząc z wiatrem... świece nieśli krzywo
Chłopięta... Nieraz widziałem te rzewne
Pogrzeby, stepem idące i niwą...
Dawno już świata ogłuszony zgrają,
A jeszcze teraz słyszę jak śpiewają.

Beniowski. Wyd. Bibl. Nar., str. 202—203.

O Wernyhorze Słowacki napewno radby napisał wszystko najcudniejsze, co tylko mógł sobie wyobrazić, bo to postać, która na dłuższy czas owładnęła światem jego imaginacji. Występuje przecież Wernyhora nie tylko w *Beniowskim* — epopei, którą Słowacki zamierzał uczynić koroną swoich utworów, ale i w *Śnie Srebrnym Salomei*, któremu takie ważne wśród swoich poematów wyznaczał miejsce — i w *Wacławie* Poeta o nim wspomina, apoteozuje go, choć w odmienny sposób, niż w *Beniowskim*, czy w *Śnie Srebrnym Salomei*. Raz wydaje się Mistrzowi z nad Ikwy Wernyhora-Waligórski, „syn szlachcica i kozaczki“, skojarzeniem wszystkiego, co w dawnej Koronie i Kozaczyźnie było piękne, szlachetne, uwielbienia godne i zapału, drugi raz widzi w nim przewagę szlachetności nad kozactwem, kiedy indziej bliski jest myśli, że raczej było odwrotnie — znachor (więc „czarownik“ u ludu) i lirnik-Wernyhora więcej z kozaka niż ze szlachcica miał w sobie. Zawsze jednak jest to duch potężny, niezwykły, „widun“ — jasnowidz, odgadujący i w chmurach czytający o losach przyszłych Rzeczypospolitej, z twarzy ludzi wieszczący, co ich czeka, pełen miłości dla rodzimej ziemi, obcujący z duchami, natchniony. Niezwykle więc śliczne musiały się wydawać Słowackiemu wschodnie pogrzeby, kiedy taki pogrzeb uznał godnym postaci Wernyhory, opisał w wielu oktawach unicki pogrzeb swojego „widuna“. W *Beniowskim* Poeta w taki sposób wraca do przerwanego liryczną dygresją opowiadania o nim:

Stał na cmentarzu pogrzeb — a sztandary
Stały tak dumnie jak na Kapitolu,
W małe mogiłki żebrackie wetknione,
Błękitne, białe, żółte i zielone...
Na kijach czarnych rozpięte... a gałki
Błyszczały w słońcu... Cmentarz stał przy Rossi,
Rzekłbyś, że wodą pluskały rusałki,
Tak w takt opada... tak się w takt podnosi...
I na czerwony brzeg swe srebrne wałki
Kładzie — i groby brylantami rosi.
Za Rossią był las z brzozowego drzewa,
Który gdy szumi — zdaje się, że śpiewa.
Lirnika jeszcze raz w trumnie odkryto,
Spał... lecz otwarte oczy na blask trzyma,
Jak z porcelaną na polu rozbitą
Słońce igrało z martwymi oczyma.
Obejrzano go w trumnie i zabito
Z lirą... Niech w grobie śnieg i mróz wytrzyma!
Niech także trzyma dawnej pieśni stroje,
Aż ze śpiewakiem spróchnieją oboje“.

Beniowski, str. 204—205.

...„Lirnika jeszcze raz w trumnie odkryto“, „prawosławnego“ nie zakrywanoby aż dotąd wcale, Wernyhora więc jest u Słowackiego unitą. — Zżyty z unitami Poeta wkłada w jego usta — przed ułożeniem do grobu stepowego lirnika, takie słowa (*Beniowski*, druga redakcja pieśni XI):

Widział ja w cerkwi, przy piorunnym trzasku,
Grający organ napół roztrzaskany —
Ale tej brzozy sen, o tobie grany,
Straszniejszy, niż to cerkiewne wśród burzy
Granie organów, piorunem łamanych...

Tymi słowami Wernyhora przepowiada przyszłość Beniowskiemu. Ponieważ w cerkwiach prawosławnych nie bywa organów, widać stąd, że Słowacki Wernyhorę chce przedstawić jako przyzwyczajonego do cerkwi unickich. Czy o pogrzebach prawosławnych, wobec swojej niechęci do prawosławia, pisałby poeta z takim sentymentem, że jeszcze teraz „świata ogłuszony zgrają“ słyszy jak śpiewają? Źródła, jakie mógł mieć Poeta do poznania postaci Wernyhory, były sprzeczne; jedne głosiły, że Wernyhora był „prawosławny“, drugie, że po ojcu był unitą, ochrzczony w unickim kościele, matka jego kozaczka pozostała prawosławną. W ogóle zbyt wiele — i pewnych — nie mógł Słowacki o Wernyhorze dostać źródeł. Ale choćby się był z jakich pamiętników, czy listów napewno przekonał, że Waligórski-Wernyhora był dyzunitą, jeszcze korzystając z poetyc-

kiej wolności w zmienianiu faktów i charakterystyk pewnych postaci, nawet w poematach osnutych na tle historii, byłby ze swego ulubionego Wernyhory zrobił unitę, ponieważ jak wykazaliśmy wyżej, prawosławie uważał za cierń róży Ruskich Ziem, a Unię kochał i szanował, jak dowiedliśmy już częściowo, a zaraz dowiedziemy do reszty.

Potężną wizją, choć od pogrzebu Wernyhory zupełnie inną, jest pogrzeb Wacława. Inne cechy wschodniego piękna podkreśla w nim Słowacki. Inaczej ustosunkowuje się do śmierci tego swojego bohatera. Nic dziwnego, jak odnosił się do Wernyhory, wykazaliśmy przed chwilą. A co do *Wacława*, to pisał we wstępie do tego poematu: „...są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownymi kolorami w poemacie *Maria* odmalował“... ...„starałem się, o ile możności, zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności“... Co do szlachetności Wacława (Szczęsnego Potockiego) miał Poeta zawiele zastrzeżeń, aby go żałować. Pomysł napisania tego poematu poddała mu tragiczna historia Marii-Gertrudy Komorowskiej. Szczęsny Potocki tajemnie ją poślubił, a ojciec jego Franciszek Salezy, chcąc syna rozdzielić z żoną, kazał ją porwać kozakom nadwornym, którzy uwożąc Gertrudę udusili ją i utopili ciało w przydrożnym stawie. Od sympatii dla samego bohatera „Wacława“ — Szczęsnego, Słowacki był daleki. Ale miłości dla „Marii“ — Gertrudy, tego wszystkiego, co było już w *Marii* Malczewskiego, nie wypadało drugi raz opisywać, choćby najindywidualniej, mogłoby to wyglądać na naśladownictwo, czego się ambitny Poeta obawiał pewno więcej, niż śmierci. Przez sympatię więc dla nieszczęśliwej Gertrudy napisał dalszy ciąg *Marii* — o dalszych losach jej męża, później męża pięknej Greczynki, Zofii, z domu Czerlicze. Wszystko, co rzewne, serdeczne jest w unickim pogrzebie, uchwycił i podkreślił Słowacki w pogrzebie Wernyhory. W pogrzebie Wacława wszystko co wspaniałe, groźne, przypominające o wielkiej tajemnicy rozłączenia się duszy z ciałem i nieśmiertelności:

Po ukraińskich stepach syczą żmije:
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozprawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między nimi stanął trup Wacława.

Wacław. Bibl. Pis. pol. Pism J. Słow. t. II, str. 215—216.

Chcąc wiedzieć coś napewno o bohaterach Słowackiego, nie można polegać na źródłach, z których Poeta czerpał o nich wiadomości; fantazja Słowackiego bardzo często przekształcała charaktery, wypadki, ba! losy postaci, o których wiadomości czerpał z pism, kronik, ustnych powieści. Nie szukajmy więc w historycznych źródłach czy Szczęsny Potocki był albo nie był unitą, ale w *Wacławie* jakiego obrządku był Wacław? Wprawdzie opis pogrzebu ma charakter wybitnie wschodni, ale nic w nim nie ma, coby wyraźnie świadczyło, że był unicki — mógłby nam ktoś zarzucić. Na to odsyłamy do wspomnianego już opisu przyjazdu księdza Prokopa... Kozak, wiozący księdza, przesadza konno „djaków i bab bladych wianek“. Djakowie chyba czekali na pogrzeb wschodni. Trudno przypuścić, żeby spowiednika z jakiego powodu umyślnie przywożono księciu łacińskiego, a pogrzeb urządzano z diakami, unicki. Jeśli zaś pogrzeb był unicki i ksiądz unicki, to należałoby chyba sądzić, że i Wacław był unitą, przynajmniej w przedstawieniu Poety. Przypuszczenie, że był prawosławnym, jest o tyle nie na miejscu, że jak dowiedliśmy wyżej, Słowacki duchownych odłączonego wschodniego Kościoła nazywa tylko „popami“, nigdy księżmi i nigdy nie mówi o nich z sympatią, jak o katolickich kapłanach, nie ma więc żadnego powodu posądzać go o to, żeby tu zrobił wyjątek i to dla czołowej, choć niesympatycznej postaci poematu, wysuwając niejako z nią razem „popa“ na pierwszy plan! Wreszcie, czy ze swojej zdrady Ojczyzny-Polski jak z grzechu spowiadałby się w tych czasach magnat polski przed „batiuszką“?

My ledwie warci, że nas wiejskie djaki —
A i to może nie stanie się, Chryste —
Włożą do trumien i na cmentarz jaki,
Gdzie są pokorne groby, ale czyste,
Zaniosą...

Beniowski, w opr. Kleinera, pieśń VIII, str. 474.

Te słowa skreślił Mistrz z nad Ikwy, mając na myśli siebie i emigrację. Jest to dowód, że postać diaka złączyła się ściśle w jego wyobraźni ze wspomnieniem unickiego pogrzebu, bo przecież „prawosławnego“ pogrzebu napewno ani sobie ani nikomu z emigracji nie życzyłby.

W drugim fragmencie dramatycznym *Beniowskiego* (wyd. Dz. Wyb. t. III, str. 328), tak mówi Chrystus do Polski:

„O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańskie! Przychodzi godzina, że będziesz rozwaloną i rozbitą, jak naczynie garncarza. — Dlaczegoście wy, mury, nie szły na południe? Dlaczegoście wy, wieże, nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: Chrystus! Chrystus! Stałyście na miejscu, jak morze bez fali, zasypiałyście, jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było was".

Przez „południe" Słowacki niewątpliwie rozumiał i Wschód, jest to tylko *licentia poetica*, podobnie jak to, że Poeta przedstawia w *Beniowskim* Krym jako daleki Wschód, po którym podróżował. Oczywiście Słowacki miał na myśli ziemie nie pogańskie już w tych czasach, ale ogarnięte prawosławiem. Chrystus w tym poemacie niedokończonym miał Polsce wyrzucać, że będąc „murem" („przedmurze Europy"), nie dbała o to, aby być Apostołką! Takie tłumaczenie tego ustępu wydaje się nam najsłuszniejszym, a wobec miłości Poety dla Oriensu i Unii nie mamy powodu przypuszczać, aby sobie polskie apostolstwo wyobrażał w formie wyłącznie łacińskiej.

Wieszcz przeczuwał niechęć łacinników do unitów i odwrotnie. Przepowiedział ją w utworach, których akcja rozgrywa się na wschodzie Rzplitej. Rozsypane są po nich również sprawdzone już częściowo przepowiednie o przyszłości Korony i Rusi, a jego testament religijny i polityczny jest — w zastosowaniu do życia u nas — przede wszystkim zaleceniem zgody i najściślejszego współżycia i przyjaźni między unitami a łacinnikami, Ukraińcami a Polakami.

Polacy, to był Wasz wieszcz! Czy pozostaniecie głusi na to?!

Ukraińcy, to był wielki Poeta, który ukochał Was i ziemie przez Was zamieszkane! Czy pozostaniecie głusi na to?!

I. T. Z.

KAWAŁEK ROSJI NAD ADRIATYKIEM

Naprawdę jest to kawałek Rosji, który można znaleźć w Roseto-degli-Abruzzi, małym miasteczku nad Adriatykiem między Anconą a Pescarą. Dojeżdżając do Pescary, około dwóch kilometrów przed nią, podróżny spostrzega z okien wagonu pewną willę, otoczoną parkiem, przy której wznosi się skromny kościółek z krzyżem niezwykłej w tych stronach formy. Jeśli zna różne kształty krzyżów, łatwo pozna, że to krzyż rosyjski. Zaciekawiony, może przyjdzie dowiedzieć się co tu robi kościółek rosyjski w tym czysto włoskim kraju. W kościele trafi na nabożeństwo, odprawiane w obrządku wschodnim według wszystkich przepisów tego obrządku i z całą możliwą okazałością przez kapłanów o powierzchowności iście wschodniej. Usłyszy śpiew liturgiczny słowiański, wykonywany przez wprawny chór seminarzystów.

Nasz podróżny trafił do prawdziwego zakątka rosyjskiego. Jest to willa Papieskiego Kolegium Rosyjskiego w Rzymie, sprawiona przed trzema laty przez Piusa XI dla synów szczególnie mu drogich, seminarzystów owego „Russicum".

Willa jest domem dość przestronnym z pięknym ogrodem. Szczególny urok jej zawiera się w tym, że jest oddalona zaledwie 200 metrów od wspaniałej a zupełnie pustej plaży, z której korzystać mogą tylko sami seminarzyści. Czterdzieści kilometrów stamtąd wznosi się imponujący szczyt górski Gran Sasso, wznoszący się blisko 3 tysiące metrów ponad poziom morza, cel pociągających wycieczek dla amatorów alpinizmu.

Ale prawdziwym cackiem Roseto jest przede wszystkim ten kościółek. Trzy lata temu była to prosta, niepociągająca szopa. Lecz przed dwoma laty budynek ten został powiększony, podniesiony, odrestaurowany i zaopatrzony w piękny ikonostas pędzla p. Malcewa. W ostatnim zaś roku mury tej świątyni, dotąd pobielone wapnem, otrzymały piękną malaturę w stylu bizantyjskim. Projekt tych obrazów opracował jeden z mieszkańców Russicum, ojciec Studyta Rafael, któremu swe malowidła zawdzięcza także klasztor tego zakonu w Uniowie, w Małopolsce Wschodniej. Projektodawca nie mógł, niestety, sam zabrać się do pędzla, albowiem nie służący mu klimat rzymski zmusił go do wyjazdu z Russicum w ciągu roku. Lecz przygotował wykonawcę swych planów w osobie ks. Roberta de Caluwé, Holendra z pochodzenia, który jednak całą duszą oddał się

Rosji. Całe długie wakacje, spędzone w Roseto, poświęcił on modlitwie i malowaniu, w modlitwie szukając natchnienia dla swej sztuki i z malowania czyniąc modlitwę. Chodziło mu nie o byle jakie dzieło sztuki, ale o dzieło sztuki religijnej i to stylowo bizantyjskiej.

Kościół w Roseto jest poświęcony św. Janowi Ewangeliście, przeto teologia św. Jana miała dostarczyć tematów malowidłom. Ściana tylna, po za ołtarzem, najlepiej udana, przedstawia objawienie Słowa Bożego. W centrum Słowo pod postacią pięknego młodzieńca, odzianego w szatę fioletową (w ikonografii bizantyjskiej fiolet jest symbolem boskości), siedzi na tęczy. Pod tą centralną figurą widzimy księgę z siedmiu pieczęciami, spoczywającą obok krzyża na ołtarzu Pańskim. U góry z obu stron widzimy całkowite wyobrażenie *Deisis* — adoracji Słowa przez Najśw. Pannę, św. Jana Chrzciciela, dwóch aniołów i 11 apostołów. Ponad *Deisis* rozmieszczone są obrazy Narodzenia Pańskiego, Boga Ojca oddającego Syna jednorodzonego na ofiarę, św. Jana otrzymującego objawienie i dyktującego je swemu uczniowi, wreszcie Chrztu Pana Jezusa. Po za presbiterium na ścianach rozmieszczone są obrazy Przemienienia Pańskiego, Wieczerzy Pańskiej, Ukrzyżowania, Zdjęcia z krzyża — sceny, w których uczestniczy umiłowany uczeń Jezusa, Jan.

Do takiej to świątyńki zwołuje na nabożeństwo tradycyjny dzwon, *błagowiest*. I na jego wezwanie podążają nie sami tylko mieszkańcy willi, ale i poczciwy lud włoski z sąsiedztwa. Lud ten daleki jest od gorszenia się tym, że nabożeństwa w tej kaplicy odprawiane są jakoś inaczej, niż w jego kościele parafialnym. Jest na tyle inteligentny, że umie odczuć piękno ceremonij wschodnich, na tyle zaś katolicki, że z życzliwością patrzy na obrzędy inne, niż jego, gdy wie, że pozostają pod opieką tegoż Najwyższego Pasterza Kościoła. I wielu obecnych bierze formalny udział w tej służbie Bożej, modląc się o rozszerzenie po świecie całym katolickiej jedności.

F. R.

PO TAMTEJ STRONIE

W wykonaniu art. 82 dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 18 listopada 1938 r. „o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego“ został wniesiony przez rząd do sejmu projekt ustawy, normującej prawo własności nieruchomości, pozostających w posiadaniu tego Kościoła.

Projekt zmierza do unormowania i utrwalenia prawa własności dóbr Kościoła prawosławnego, które w wielu wypadkach było nieokreślone i wątpliwe. Tak naprz. począwszy od r. 1919 było ogłoszonych parę dekretów, przekazujących na własność państwa część tych dóbr, nie wszystkie wszakże wyznaczone do przejęcia przez państwo majątki zostały faktycznie przejęte przez nie, pozostając nadal w użytkowaniu cerkwi. Otóż projekt za podstawę przyznania prawa własności na korzyść Kościoła prawosławnego bierze faktyczne użytkowanie przez cerkiew dóbr w dniu 18 listopada 1938. Wszystkie dobra, w tym dniu pozostające w władaniu cerkwi, mają być uznane za jej własność, chociażby na mocy uprzednich dekretów podlegały konfiskacie przez państwo. Projektowana ustawa ma przeciąć raz na zawsze wszelkie pretensje majątkowe państwa do cerkwi lub cerkwi do państwa.

Projekt powyższy, aczkolwiek w zasadzie wydaje się być słusznym, nasuwa wszakże pewne wątpliwości i zastrzeżenia. W art. 82 dekretu Prezydenta z dn. 18 listopada 1938 znajdujemy zapowiedź uregulowania oddzielną ustawą sprawy własności nieruchomości, pozostających we władaniu Kościoła prawosławnego, a tymczasem pozostawione zostały też nieruchomości w posiadaniu cerkwi „z zastrzeżeniem praw osób trzecich“. W przedstawionym zaś do sejmu projekcie ustawy owo zastrzeżenie praw osób trzecich znika i Kościół prawosławny stać się ma właścicielem posiadanych faktycznie nieruchomości bez obawy, że jego prawo własności może być przez kogokolwiek zakwestionowane. Tymczasem zdaje się nam, że w tej sprawie ma coś do powiedzenia także „ktoś trzeci“, mianowicie Kościół katolicki.

Weźmy te nieruchomości, które faktycznie są w posiadaniu Kościoła prawosławnego, lecz niegdyś stanowiły własność Kościoła unickiego. Wiadomo, że przed dziesięciu laty władze kościelne katolickie zgłosiły na dro-

dze sądowej pewne pretensje do tych nieruchomości (podobnie i do świątyń), sądy jednak uznały się za niekompetentne w tych sprawach, odsyłając je do władz administracyjnych. Na tym sprawy te utknęły. Rząd jednak snać uważał, że Kościół katolicki ma jakieś prawo za sobą co do dóbr pounickich, skoro w r. 1938 zawarł ze Stolicą Apostolską umowę w sprawie tej części owych dóbr, które już nie znajdywały się w posiadaniu Kościoła prawosławnego, lecz w faktycznym posiadaniu osób trzecich. Bez zrzeczenia się przez Kościół katolicki prawa własności tych dóbr, faktyczni ich posiadacze nie mogli ich na własne nazwiska zahipotekować. Czy nie będzie to co najmniej niekonsekwencją, jeżeli ustawa uczyni Kościół prawosławny bezspornym właścicielem drugiej części podobnych nieruchomości bez jakiejkolwiek zgody Kościoła katolickiego?

Oprócz nieruchomości pounickich w faktycznym władaniu Kościoła prawosławnego pozostają dotąd pewne objekty, które stanowiły własność Kościoła łacińskiego. Takimi są liczne jeszcze kościoły po miastach i wsiach, zwłaszcza na Polesiu i Wołyniu, żeby wspomnieć kościoły dominikański w Pińsku, bernardyński w Łucku, sobór w Krzemieńcu. Dość przejrzeć „Spis kościołów i duchowieństwa diecezji pińskiej“, żeby się przekonać ile to jest jeszcze świątyń, niegdyś łacińskich, lecz przez rząd zamkniętych, oddanych prawosławnym i dotąd nie rewindykowanych. Zamknięcie owych kościołów i przekazanie ich cerkwi prawosławnej miało przeważnie charakter kary za udział katolików w powstaniach polskich i w ogóle z powodu polskiego ich patriotyzmu; czyżby ta kara miała otrzymać ostateczną sankcję także ze strony ciał ustawodawczych odrodzonej Rzeczypospolitej i to w czasie, kiedy majątki właścicieli prywatnych, skonfiskowane za ich polski patriotyzm, obecnie na mocy orzeczeń Najwyższego Sądu powracają do spadkobierców owych wydziedziczonych właścicieli? Czy tylko na niekorzyść Kościoła katolickiego ma być uczyniony wyłom w tej słusznej zasadzie restytucji, a ma być uczyniony drogą prawodawczą bez jakiejkolwiek zgody poszkodowanego?

Oto zastrzeżenia, które nie powinny ujść uwagi członków naszych ciał prawodawczych.

*

Ciekawe studium o stanie prawosławia w utworzonym na kongresie wiedeńskim Królestwie Polskim przeprowadza dr E. Sakowicz w *Wiadomościach Metropolii prawosławnej w Polsce.*

W r. 1816, tj. w rok po utworzeniu Królestwa Polskiego pod berłem cesarza Rosji, ogólna liczba prawosławnych na całym terytorium owej „kongresówki“ wynosiła 747 osób. Prawosławni posiadali wtedy dwa klasztory nad Bugiem, mianowicie w Jabłecznej i Drohiczynie, nadto sześć prywatnych domów modlitwy: w Warszawie, Kaliszu, Piotrkowie, Opatowie, Lublinie i Płocku. Tą garstką prawosławnych w Polsce zaopiekował się odrazu rząd petersburski, poddając ją pod jurysdykcję prawosławnego biskupa w Mińsku (potem wołyńskiego) i pod zwierzchnią władzę synodu petersburskiego. Na cele kultu religijnego dla tej garstki prawosławnych cesarz kazał asygnować z funduszów Królestwa Polskiego 24.000 zł rocznie. Jeszcze w r. 1828 przedstawiciel synodu, protojerej Dmitriew, zawierał rodzaj konkordatu z rządem Królestwa o urządzeniu spraw cerkwi prawosławnej, przy czym rząd warszawski umiał się oprzeć domaganiom pewnych przywilejów dla prawosławia, naprz. w zakresie prawa małżeńskiego.

Rozrost prawosławia w Polsce kongresowej — jak widzimy — rozpoczął się dopiero po przegranej wojnie 1831 r., a osiągnął swój szczyt po skasowaniu unii w latach 1839 i 1875 i po nasłaniu do „Kraju Nadwiślańskiego“ masy urzędników, nauczycieli itd. z głębi Rosji. Po stu latach, już za niepodległej Rzeczypospolitej, na terytorium byłej kongresówki liczba prawosławnych wynosi ponad 200 tysięcy i Warszawa jest siedzibą metropolitów prawosławnych i prawosławnych zakładów teologicznych.

*

Organizowanie Polaków prawosławnych czyni postępy. Po Grodnie, gdzie najwcześniej powstało „Stowarzyszenie Polaków Wyznania Prawosławnego“ przyszła kolej na Nowogródek i Wilno. W Nowogródku odbył się 7 marca, poprzedzony nabożeństwem w cerkwi św. Borysa i Gleba, zjazd organizacyjny takich Polaków, wobec miejscowego wojewody, przedstawiciela wojskowości i reprezentanta szlachty katolickiej w osobie senatora Godlewskiego. Referentem głównym był prawosławny ksiądz Kasperski, który dowodził, że prawosławny nie musi być Rosjaninem i wywoływał historyczne przykłady Sanguszków, Chodkiewiczów, Kisielów i Ostrogskich, którzy byli prawosławnymi a jednocześnie najlepszymi patriotami polskimi. Pol-

ski autokealiczny Kościół prawosławny powinien być szermierzem kultury polskiej. Po tym przemówieniu zawiązano Stowarzyszenie i wybrano zarząd wojewódzki. W Wilnie podobne Stowarzyszenie zostało także urzędowo już zarejestrowane. Wśród nazwisk założycieli, oprócz paru o brzmieniu białoruskim lub niezdecydowanym, spotykamy nazwiska takie, jak Arsenjew, Bielajew, Kendiałow, Suszkow, Pawłow, Kowalew i Drużynin.

Jak wiadomo, organizacja Polaków prawosławnych ma głównie na myśli „polską szlachtę zagrodową“, która kiedyś rozpłynęła się w prawosławiu i przez nie uległa rusyfikacji. Takiej szlachty i takich Polaków ma być na kresach, według ogłaszanych statystyk, setki tysięcy. Tymczasem, kiedy „przychodzi co do czego“, zastępy te chowają się gdzieś po litewskich matecznikach, a w organizacji Polaków — jak to wskazuje spis wileński — wyręczać je musi szlachta wprost z nad Wołgi. Ta okoliczność jest zastanawiająca. Ciśnie się wątpliwość czy tacy Polacy-neofici spełnią pokładane w nich nadzieje i staną się „szermierzami kultury polskiej“ i będą „stać na straży państwa polskiego“? Nawiązywanie do Sanguszków i Chodkiewiczów jest chybione, bo ci będąc prawosławnymi, nie poczytywali się za Polaków narodowo (tylko Rusinów, a państwowo — Litwinów), a kiedy się zupełnie spolszczyli, to przyjęli katolicyzm. Chybione jest także powoływanie się ks. Kasperskiego na istniejące niegdyś modlitewniki dla prawosławnych w języku polskim, co ma niby świadczyć o istnieniu szerokich mas Polaków prawosławnych. Owszem o istnieniu takich modlitewników i katechizmów prawosławno-polskich wiemy. Rozszerzał je po „wozsojedinieniu“ unitów z prawosławiem sam Siemaszko. Chyba jednak nikt go nie posądzi o to, by czynił to z patriotyzmu polskiego. Zresztą on sam ze swoich pobudek spowiada się w swoich *Zapiskach* (t. I, str. 139): „Na moje polecenie został przetłumaczony na język polski *Obszerny Katechizm*, który wydrukowany z rozkazu Św. Synodu został rozszerzony wśród duchowieństwa diecezji litewskiej. Zrobione to zostało pod p r e t e k s t e m, że nie wszyscy zjednoczeni umieją po rosyjsku, lecz w g r u n c i e r z e c z y zrobione to zostało d l a u p o w s z e c h n i e n i a z d r o w y c h p o j ę ć w ś r ó d ł a c i n n i k ó w“. Jesteśmy przekonani, że i dzisiejsze „polskie prawosławie“ jest nabijaniem kogoś w butelkę, kto zaś kogo nabija, o tym z powodu pewnego powodu wolimy nie mówić.

W pierwszych dniach marca rb. śmierć zabrała najwyższych dostojników dwóch autokefalicznych Kościołów prawosławnych.

3 marca umarł patriarcha aleksandryjski Mikołaj V, w 64 roku życia, a 6 marca patriarcha rumuński Miron w 71 roku życia.

M i k o ł a j V E v a n g e l i d e s pochodził z m. Janiny w Epirze (Grecja) i teologię studiował na uniwersytecie w Atenach. Po kilku latach pracy nauczycielskiej w ojczyźnie przeniósł się do Egiptu, na terytorium patriarchatu aleksandryjskiego, gdzie od r. 1911 szybko posuwał się po stopniach hierarchii kościelnej. W r. 1918 został biskupem, a w 1927 r. metropolitą jednej z metropolij (godność prawie tylko tytularna). Na tron patriarszy został wybrany 11 lutego 1936 r., a więc zaledwie przed trzema laty. Z powodu tarć narodowościowych w patriarchacie między Arabami a Grekami wybór na patriarchę Mikołaja, przedstawiciela mniejszości napływowej greckiej, dłuższy czas nie był uznany przez rząd egipski. Wreszcie patriarchat uzyskał od rządu nowy statut, rozszerzający prawa Arabów (właściwie zarabizowanych koptów), a patriarcha zatwierdzenie. Patriarchat ten, szczycący się następstwem św. Marka, Atanazego i Cyryla, po odpadnięciu w wieku V w herezję monofizycką większości wiernych i duchowieństwa, a w w. VII wskutek zwycięstwa Islamu, zachował tylko cień dawnej wielkości i dzisiaj w swoich dziesięciu diecezjach (metropoliach) liczy zaledwie 100 świątyń i 200 tysięcy wiernych. Mimo to patriarcha używa długiego i napuszystego tytułu, w którym mianuje się „papieżem“, „trzynastym apostołem“ i „sędzią powszechnym“. Zmarły patriarcha, podobnie jak i jego poprzednik i mistrz, Meletios Metaxakis, był zwolennikiem tzw. „ruchu ekumenicznego“ czyli zbliżenia do kościołów protestanckich i niejednokrotnie brał udział w kongresach tego ruchu.

Wybitną postacią w prawosławiu był M i r o n C r i s t e a, patriarcha rumuński. Pochodził on z Siedmiogrodu, w Sibiu (Hermansztadzie) skończył seminarium duchowne, poczem studiował nauki świeckie na uniwersytecie w Budapeszcie. Jakiś czas poświęcał się publicystyce i walczył o prawa dla swojego narodu rumuńskiego w Węgrzech. Dopiero mając lat 30 wstąpił do stanu duchownego, a w r. 1902 zostaje mnichem i rozpoczyna karierę kościelną w zarządzie metropolii siedmiogrodzkiej. Od roku 1911 był biskupem jednej z diecezji prawosławnych w Siedmiogrodzie. Podczas wojny światowej

zdradza sympatie dla Ententy, a po krachu państw centralnych staje na czele ruchu Rumunów siedmiogrodzkich, dążących do połączenia się z królestwem Rumunii. On też zawiózł do Bukaresztu uchwałę swych ziomków w tym względzie. Nic dziwnego, że w nowej rozszerzonej ojczyźnie wysuwa się na czoło całego episkopatu, jako prymas Rumunii, a kiedy w r. 1925 autokefalia rumuńska została podniesiona do godności patriarchatu, Miron zostaje pierwszym patriarchą rumuńskim. Organizując i centralizując Kościół, patriarcha Miron bierze także żywy udział w życiu politycznym Rumunii. Kiedy proklamowano królem małego Michała, Miron był jednym z regentów państwa, a przed rokiem, po załamaniu się rządów faszystowskich, Miron został powołany na stanowisko premiera ministrów i na tym stanowisku pozostał do śmierci. Zaskoczyła go ona w Cannes, dokąd udał się na wypoczynek. Jako patriarcha był on jednym z pierwszych, którzy uznali autokefalię Kościoła prawosławnego w Polsce; jako premier zaś podtrzymywał przyjazne stosunki Rumunii z Polską. Pamiętamy jego wizytę w Warszawie w maju zeszłego roku, gdy bawił u nas jako gość rządu polskiego i zarazem metropolity Dionizego.

Obserwator.

UROCZYSTOŚCI BOBOLAŃSKIE W DUBNIE

Z triumfów, jakie w różnych stronach kraju święci Wielki Męczennik, św. Andrzej Bobolą, od dnia powrotu jego relikwij do Polski, na szczególną wzmiankę zasługują trzydniowe uroczystości, zorganizowane ku jego czci w Dubnie. Uroczyste Triduum w tym mieście miało niektóre cechy specjalnie charakterystyczne, dzięki udziałowi w nim katolików obu obrządków, łacińskiego i wschodniego.

Myśl, podniesiona przez zakonnych współbraci Świętego, wschodnich Jezuitów przy Papieskim Seminarium Duchownym, by przy zbliżającym się końcu roku kanonizacji św. Andrzeja, Dubno uczciło go publicznie i dołożyło swą cegiełkę do budowy bazyliki nad jego grobem w Warszawie, znalazła pełne zrozumienie u władz miejscowych i społeczeństwa dubieńskiego. Szczególnie gorący odzew znalazł ten apel w sferach wojskowych, miejscowy też garnizon walnie przyczynił się do nadania charakteru wspaniałej manifestacji uroczystościom zamierzonym. Zawiązał się wnet Komitet, do którego weszli p. starosta powiatu, dowódca miejscowego garnizonu, przedstawiciele duchowieństwa obu obrządków, władz sądowych, szkół.

Ułożono program i już na kilkanaście dni przed uroczystościami ukazały się olbrzymie afisze, zapowiadające w dniach 10—12 marca Triduum ku czci św. Andrzeja Boboli.

Pierwszy dzień uroczystości ogniskował się w miejscowej farze łacińskiej. Przywieziona z Lublina jedna z największych poza Warszawą znajdujących się część relikwij Świętego spoczęła na głównym ołtarzu. Na purpurowym tronie umieszczono srebrny relikwiarz, otoczony płonącymi bezustannie sześcioma świecami. Już od rana garnęli się wierni z miasta i okolic dla uczczenia świętych relikwij. W konfesjonale zbierano żniwo dosyć obfite. Obok katolików widziało się także prawosławnych. O godz. 11 rano odprawiła się uroczysta suma dla młodzieży szkolnej, wypełniającej szczelnie mury świątyni. Celebransa łacińskiego otoczył wieniec wschodnich alumnów Papieskiego Seminarium, a na ambonę wszedł zaproszony na Triduum mówca, o. Marian Nowak T. J. z Warszawy. W więcej niż półgodzinnej przemowie kaznodzieja zobrazował męczeństwo Świętego i jego zadanie współczesne w Ojczyźnie naszej. Wieczorem tegoż dnia odbyła się Droga Krzyżowa, również z kazaniem, i podano relikwie wiernym do pocałowania.

Drugiego dnia święte relikwie odbierały cześć w kościele Sióstr Opatrzności Bożej z rana, a w wojskowej świątyni wieczorem. Prócz Sióstr zakonnych i dziatwy, pozostającej pod ich opieką, brały udział w nabożeństwie organizacje katolickie i Papieskie Seminarium Wschodnie ze swymi profesorami. Relikwiarz spoczywał na specjalnym wzniesieniu na środku prezbiterium, wśród kwiatów i świateł. Słowo Boże głosił ten sam kaznodzieja, parafrazując słowa św. Pawła: „Naśladowcami moimi bądźcie, jakom ja jest Chrystusa“. Potem podano relikwie do ucałowania. Wieczorem tegoż dnia cały garnizon miejscowy oddawał cześć świętym relikwiom w swojej wojskowej świątyni, która nie mogła pomieścić pobożnych. W nabożeństwie

wziął udział gremialnie cały korpus oficerski z dowódcą garnizonu na czele i szara brać żołnierska. Kazanie o mocnych momentach patriotycznych wygłosił o. Nowak.

Punkt kulminacyjny osiągnęły uroczystości w dniu trzecim, w niedzielę 12 marca.

Już wieczorem 11 marca święte relikwie wróciły z wojskowego kościoła do Papieskiego Seminarium i spoczęły na wschodnim ołtarzu. Akurat kończyło się wieczorne nabożeństwo. Już stał przed stopniami z nawy głównej do prezbiterium gustowny ołtarzyk, ozdobiony kwieciem i światłami. Po bokach płonęły cztery olbrzymie znicze, od góry spływały wieńce, nakształt glorii wieńczącej skroń Męczennika, a wielka palma — symbol męczeńskiej stałości, tuliła się do masy tronu, zgotowanego Świętemu. Na ten ołtarzyk przeniesiono relikwie św. Andrzeja bezpośrednio po ukończeniu wieczornego nabożeństwa. Wśród blasku świateł niesionych przez alumnów, w dymie kadzidła wonnego, przy śpiewie słowiańskiej antyfony, sławiącej Męczennika, wstępował apostoł Kresów na zgotowany sobie tron. Otoczył go wieniec serc, dla których jest On wzorem w pracy jednoczenia odłączonych braci z Kościołem, wspólną matką. Wszyscy gorliwie garnęli się do ucałowania czcigodnych cząstek jego cudownie zachowanego ciała i przez cały wieczór snuli się alumni przed relikwiami, w prywatnej modlitwie powierzając Świętemu swe prośby.

Wstał ranek dnia ostatniego. Pogoda dopisała zupełnie. Wnętrze świątyni ubogie ale schludne, czysto umyte, przyozdobione wieńcami i drzewkami. W głównej nawie umieszczono krzesła dla przedstawicieli społeczeństwa i władz. O 10 godz. zapełniła się świątynia prawie po brzegi. W prezbiterium przed ikonostasem stanęły poczty sztandarowe. Przed tronem, gdzie spoczywały relikwie, objęli straż oficerowie. Przedstawiciele organizacyj zajęli swe miejsca. W tłumie wiernych widziało się wszystkie stany, klasy społeczne, a nawet obrządki i wyznania. Wreszcie rozpoczęła się uroczysta liturgia w obrz. wschodnim. Pienia wykonywał chór alumnów. Na Ewangelię powstali wszyscy, a dwie kompanie honorowe wojska sprezentowały broń. Kazanie trzykwadransowe wygłosił ten sam kaznodzieja, co i dnia poprzedniego. Do Komunii św. przystąpiło kilka osób łac. obrz. Był to najlepszy wyraz zrozumienia jedności katolickiej. Po Mszy św. odśpiewano *Mnohaja leta* na pomyślność Ojca św., Rzpltej, jej wojska i władz. Orkiestra zaś odegrała „Boże coś Polskę".

Formuje się procesja. Otwierają ją dwa krzyże: łaciński i wschodni. Obok łomocą na wietrze chorągwie. Tuż za nimi postępuje wojsko. Potem organizacje ze sztandarami, orkiestra wojskowa, szkoły, chorągwie cerkiewne, chór alumnów, rząd łacińskich ministrantów w komżach, kapłani obydwu obrządków, dwaj wreszcie alumni niosą ubrany w kwiaty obraz św. Andrzeja, za nimi postępuje relikwiarz, złożony na purpurowej lektyce, podtrzymywanej przez dwu kapłanów wschodnich i dwu łacińskich. Za relikwiami szli przedstawiciele władz wojskowych, cywilnych, profesorowie, nauczycielstwo, oraz tłumy wiernych. W czasie procesji chór alumnów śpiewał pieśni po słowiańsku, naprzemian zaś lud i inteligencja polska pieśni polskie. Przygrywała również orkiestra. Ulice były przyozdobione flagami państwowymi, a niektóre domy nawet obrazami św. Męczennika i kwiatami. Wzdłuż trasy rozstawieni żołnierze. Co dziesięć metrów po obydwu stronach napotkasz prezentujących broń.

Wkraczające w progi fary relikwie powitał chór łaciński kantatą o św. Andrzeju. Z ambony odczytuje ks. Kapelan list pasterski ks. Biskupa łuckiego, wydany z okazji koronacji Ojca św. i rozpoczyna się *Te Deum*. Po błogosławieństwie relikwiami odśpiewano „Boże coś Polskę".

Po południu odbyła się akademia w ratuszu. Po hymnie papieskim i zagajeniu referat o św. Andrzeju i dramat z życia naszego Męczennika. Alumn Maksalon wygłosił deklamację, której ostatnie słowa: „Oparci o morskie wybrzeże, ślijcie na Bałtyk pancerne okręty, a od Wschodu wznoście potężną zaporę: Krzyż święty", wywołała burzę oklasków. Ostatnim punktem był żywy obraz, przedstawiający wszystkie stany w hołdzie św. Andrzejowi. Publiczność zachwycała się nie tylko treścią akademii, ale także jej stroną dekoracyjną, wykonaną z wielkim artyzmem przez ks. diakona E. Przybylskiego. Do każdej odsłony stworzono osobne dekoracje: po skromnej celi zakonnej przesunęło się przed naszymi oczami tonące w bagnach Polesie, wreszcie ociekająca krwią rzeźnia na rynku Janowskim, i cela o. Korzenieckiego, i kaplica warszawska św. Boboli. Reżyserem całości był o. Piotr Burzak T. J.

Akademię tę musiano nazajutrz powtórzyć dwukrotnie: w Domu Żołnierza, raz dla wojska, to znowu dla rodzin wojskowych.

Członkowie Komitetu spędzili wieczór w Papieskim Seminarium, gdzie ich podejmowano herbatką. W toastach i przemówieniach podkreślano rozwój Seminarium, rosnącą życzliwość i zrozumienie tej pracy wśród społeczeństwa. Wysłano w imieniu wszystkich organizacyj gratulacyjny telegram na ręce Ks. Nuncjusza, następującej treści: Na zakończenie Triduum ku czci św. Andrzeja Boboli w Dubnie, społeczeństwo katolickie, reprezentowane przez władze państwowe, wojskowe, sądownictwo, szkolnictwo i wszystkie stany duchowne i świeckie, w dniu koronacji Ojca św. Piusa XII, składa na ręce W. Ekscelencji wyrazy najgłębszego hołdu synowskiego i miłości do Stolicy Apostolskiej.

Dubno przeżyło dni naprawdę piękne, chwile o cechach wielce znamiennych i specjalnie charakterystycznych. Katolicka jedność uderzała przede wszystkim. Różnica obrzędów wystąpiła tu z całą swą siłą, jako ozdoba Kościoła jednego w różności, powszechnego w rozmaitości.

Dubieńczuk.

WIADOMOŚCI I NOTATKI

Dekretem J. E. ks. metropolity Andrzeja Szeptyckiego z dn. 17 lutego br., został powołany do życia „Ukraiński Instytut Katolicki Zjednoczenia Kościelnego, im. metropolity Rutskiego". Siedzibą Instytutu jest Lwów, prezydentem zaś jego został mianowany przełożony Studytów, o. ihumen Klemens Szeptycki, brat metropolity. Do zarządu mają wchodzić delegaci ordynariatów diecezjalnych, sześciu członków wybranych na walnym zebraniu i po jednym delegacie od akademii teologicznej i od zakonów oo. Bazylianów, Redemptorystów i Studytów. Członkami mogą być tak pojedyńcze osoby, duchowne i świeckie, jak i różne kółka i stowarzyszenia. Po parafiach kółka mają nazywać się „Bractwami Apostolstwa Zjednoczenia Kościelnego".

Celem organizacji ma być popieranie dzieła zjednoczenia kościelnego (prawosławnych z Kościołem katolickim) modlitwą, ofiarami pieniężnymi i propagandą idei unijnej. Instytut ma wydawać specjalne pismo, prowadzić akcję prasową w sprawach unijnych, wydawać popularne broszury na tematy unijne, urządzać zjazdy, tygodnie i wykłady, wspomagać stacje unickie dostarczaniem im ksiąg i naczyń liturgicznych i książek treści religijnej, wreszcie interweniować w sprawach unijnych wobec władz duchownych i świeckich. Powołaniem do życia tej organizacji urzeczywistnia się uchwała, powzięta przed dwoma laty na „unijnym zjeździe" we Lwowie, żądająca czynnego udziału greko-katolików prowincji halickiej w pracy nad sprowadzeniem do jedności kościelnej odłączonego Wschodu, a przede wszystkim Ukraińców prawosławnych w Polsce.

*

O przebiegu dni unijnych mamy wiadomości z seminariów duchownych: tarnowskiego i częstochowskiego w Krakowie. W Tarnowie, gdzie kształci się również 17 alumnów greckokatolickich z administracji apostolskiej Łemkowszczyzny, alumni urządzili akademię unijnę 22 stycznia, podczas której alumn Józef Drożdż wygłosił odczyt na temat: „Pius XI a nasze kresy wschodnie". O zainteresowaniu się alumnów łacińskich liturgią wschodnią świadczy drobny ale znamienny fakt, że rozebrali między siebie 120 egz. książki „W kościele i cerkwi", będącej zestawieniem porównawczym liturgii dwóch obrządków. — Seminarium diecezji częstochowskiej w Krakowie urządziło podobną akademię d. 2 lutego, nawiązując ją do 500 rocznicy Unii Florenckiej i 17 rocznicy obioru papieża Piusa XI. Po zagajeniu akademii przez alumna P. Jandę, alumn St. Szmal wygłosił referat na temat: „Unia Florencka, a współczesne dążenia do zjednoczenia Kościołów". Program akademii uzupełniły produkcje muzykalne, chóry, recytacje. — Wielka myśl Piusa XI znajduje żywy oddźwięk i zrozumienie w duszach lewitów, gotujących się do pracy na niwie Bożej.

*

Seminarium Papieskie w Dubnie otrzymało nowy statut, zatwierdzony przez św. Kongregację dla Kościoła Wschodniego. Jako tytuł oficjalny otrzymało: „Papieskie Międzydiecezjalne Seminarium Wschodnie w Dubnie". Jest więc ono jakby własnością pięciu diecezyj kresowych i księża Biskupi tych diecezyj mają wspólnie troszczyć się o nie i dostarczać alumnów. Bezpośredni zarząd spoczywa nadal w rękach oo. Jezuitów. Alumni przed rozpoczęciem kursu teologicznego muszą już być inkardynowani do jednej z diecezyj, których placówki wschodnie ma seminarium obsługiwać. Szczególne uprawnienia względem seminarium przysługują Ordynariuszowi diecezji łuckiej, na której terytorium się ono znajduje.

*

Przed dwoma miesiącami obiegła prasę wiadomość o oddaniu katolikom przez prawosławnych w Żyrowicach (pow. Słonimski) cudownego obrazu Matki Boskiej, będącego w ich posiadaniu. Otóż należało się wyjaśnienie o jaki to obraz chodzi, i to wyjaśnienie dał W. Charkiewicz na łamach *Słowa*.

Obraz, który prawosławni zwrócili, nie jest owym pierwotnym obrazem, otoczonym legendą sięgającą 15 stulecia, który był największym skarbem klasztoru Bazylianów żyrowickich. Obraz ten, ryty na małym owalnym kamieniu (jaspisie), który według legendy miał się objawić niegdyś pastuszkom na gruszy i dla którego została zbudowana cerkiew, znajduje się dotąd w głównej cerkwi żyrowickiej pod opieką prawosławnego klasztoru. Obraz zaś, obecnie oddany katolikom, jest malowany na płótnie, znacznie większych rozmiarów. Jest on kopią obrazu, znajdującego się w Rzymie w kościele oo. Bazylianów, malowanego na

murze, noszącego tam nazwę *Madonna del Pascolo*. Sam ten rzymski obraz ma być malowaną kopią kamiennego żyrowickiego i stąd jego nazwa (*pascolo* — pastwisko — żer — Żyrowice). Kopia z tej kopii została przysłana w r. 1738 przez Bazylianów rzymskich Bazylianom żyrowickim, a ci ostatni umieścili ją w cmentarnej kaplicy, w której doczekał się kasaty unii i zawładnięcia przez prawosławnych. Obecnie został przeniesiony do kościoła łacińskiego, który niegdyś był także cerkwią unicką *(scala santa)*.

Tym sposobem obraz Matki Boskiej Żyrowickiej obecnie łączy niejako dwa wyznania i w katolicyźmie dwa obrządki. Pierwotny cudowny oryginał znajduje się w posiadaniu prawosławnych, rzymska jego malowana podobizna jest w rękach zakonników grecko-katolickich, a kopia z niej — w rękach katolików obrządku łacińskiego.

*

Sąd okręgowy w Wilnie rozpoznawał 27 lutego br. przy drzwiach zamkniętych sprawę niejakiego Antoniego Włodarczyka, oskarżonego o to, że udzielił istotnej pomocy kapelanowi kapitanowi Zawadzkiemu do wysadzenia w powietrze k a p l i c z k i p r a w o s ł a w n e j w M o ł o d e c z n i e (co się stało 18 sierpnia 1938 r.) i zamierzonego zburzenia tamże innej kapliczki. Sąd skazał Włodarczyka na jeden rok więzienia. *Słowo* pisze na ten temat artykuł: „Sprawiedliwości stało się zadość“. Rzeczywiście trzeba się cieszyć z tego, że są sądy w Polsce, ale tymbardziej smucić się z tego, że zmuszone są rozpatrywać tego rodzaju sprawy i że taki fakt, jaki miał miejsce w Mołodecznie, mógł ktoś uważać za środek odpowiedni do szerzenia polskości i umacniania katolicyzmu i że tym kimś mógł być ksiądz.

*

4 lutego br. u m a r ł we Lwowie ks. dr T y t u s M y s z k o w s k i w wieku lat 78, na stanowisku profesora Pisma św. w akademii teologicznej gr.-katolickiej. Urodzony w r. 1861 w Peregrymce na Łemkowszczyźnie, jako syn księdza, po ukończeniu studiów teologicznych w Wiedniu został kapłanem bezżennym w r. 1885, poczem zajmował stanowiska prefekta seminarium we Lwowie, katechety w szkołach średnich, profesora w seminarium przemyskim, potem na uniwersytecie lwowskim, wreszcie po wojnie światowej powołany został na takież stanowisko do seminarium i akademii gr.-katolickiej. Będąc przekonań rusofilskich cieszył się mimo to poważaniem wśród kolegów i uczniów ukraińskich i polskich dla swej gruntownej wiedzy i szlachetnego charakteru. Należał do wszystkich organizacyj rusofilskich, jak „Russkaja Matica“, „Narodnyj Dom“, „Sojuz im. Kaczkowskaho“, pełniąc w nich obowiązki sekretarza, prezesa itp. Przed wojną założył Towarzystwo kapłanów im. św. Jana Złotoustego i redagował jego organ „Bogosłowskij Wiestnik“. Posługiwał się dialektem małoruskim, ale coraz bardziej zbliżał go do języka rosyjskiego. Redagował przez szereg lat „Ustaw“, tj. kalendarz nabożeństw cerkiewnych. W liturgii odznaczał się konserwatyzmem, niechętny jakimkolwiek infiltracjom z łacińskiego obrządku.

*

W kaplicy seminarium duchownego w Rydze odbyło się 20 lutego br. p r z y ł ą c z e n i e d o K o ś c i o ł a katolickiego kapłana prawosławnego Mikołaja Wasiljewa, którego przygotował do tego kroku przez długie konferencje ks. biskup Bolesław Słoskan, b. więzień sołowiecki. Ks. Wasiljew liczy 65 lat wieku.

*

Z C h a r b i n a w Mandżu-kuo, gdzie, jak wiadomo, jest misja katolicka wschodniego obrządku dla Rosjan, podają nam s t a t y s t y k ę ludności owego miasta. Miasto to, założone przez Rosjan, przy budowie kolei przez terytorium chińskie, przed 50 laty zaledwie, dzisiaj (grudzień 1938) liczy 460.206 mieszkańców. Ale straciło już dawno pierwotny charakter rosyjski. Obecnie przygniatającą większość stanowią Chińczycy, wzgl. Mandżurowie (394.540), poczem dopiero idą R o s j a n i e (emigranci 24.788 i obywatele ZSSR 4.457), Koreańczycy 28.258, Japończycy 5.056, P o l a c y, obywatele polscy 1.182; setkami liczą się Niemcy, Francuzi, Anglicy itd. Co do Polaków, to oprócz wymienionej cyfry obywateli polskich, są nadto Polacy z paszportami emigranckimi, rosyjskimi. W każdym razie kolonia polska wciąż topnieje. — Wśród Rosjan, posiadających swoje biskupstwo, klasztory i około 30 cerkwi, szerzy się mimo to sekciarstwo, teozofia, a nawet bezbożność. W tych warunkach pracuje katolicka misja wschodniego obrządku ze swoimi szkołami i ochronami dla dzieci. Formalnych katolików wsch. obrz. istnieje 218 osób, nie licząc personalu misji (księży i zakonnic); wpływy misji jednak są daleko szersze. W dodatku ilustracyjnym dajemy zdjęcia grupy uczniów liceum św. Mikołaja i grupy kilku osób z o. Marjaninem.

NOWE KSIĄŻKI

P. Hildebrand Beck O. S. B.: V o r s e h u n g u n d V o r h e r b e s t i m m u n g in d e r t h e o l o g i s c h e n L i t e r a t u r d e r B y z a n t i n e r. *Orientalia Christiana Analecta* nr 114. Roma 1937. Str. XXIII, 270.

O tym, co teologowie bizantyjscy pisali i uczyli o Opatrzności Bożej i o przeznaczeniu człowieka, bardzo mało wiemy. Znane nam są przeważnie tylko zagadnienia z teologii bizantyjskiej, które są przedmiotem sporów między teologią katolicką a prawosławną. Jedynie o. Marcin Jugie w swym pięcio-tomowym dziele Teologia Dogmatica Christianorum Orientalium, podaje także naukę o Opatrzności i przeznaczeniu (t. II, 184—215).

Ale o. H. Beck, poświęcając temu zagadnieniu osobną książkę, opracował ją znacznie obszerniej; nie ograniczył się tylko do systematycznego przedstawienia odnośnej nauki, lecz przedstawił ją na szerokim tle prądów umysłowo-kulturalnych bizantyjskiego Wschodu w wiekach XIII—XV. Dlatego pierwszą obszerniejszą część swej pracy poświęca omówieniu tych problemów i prądów, w związku z którymi teologowie bizantyjscy poruszali zagadnienie Opatrzności Bożej i przeznaczenia, oraz omówieniu tych rodzajów literatury, w których to zagadnienie poruszają. Na pierwszym miejscu omawia literaturę polemiczną około czterech wielkich zagadnień, które zajmowały umysły Wschodu

bizantyjskiego: zagadnienie dualizmu dobra i zła w sektach manichejskich, paulicjańskich i bogomilskich, spory z Islamem, spory o astrologię, wreszcie spory o Platona i Arystotelesa. Obok literatury polemicznej, innym rodzajem literatury, w której problem Opatrzności i przeznaczenia także występuje, to ulubiona w literaturze bizantyjskiej forma pytań i odpowiedzi na najrozmaitsze tematy, zwana po grecku „erotapokriseis“, której na Zachodzie odpowiadały tzw. Quodlibeta. Dalej istniały także osobne monograficzne traktaty o przeznaczeniu, o problemie zła, Opatrzności itd. Wreszcie w nielicznych systematycznych dziełach teologicznych jest także mowa o tych zagadnieniach.

Widać stąd już, że inne były w Bizancjum i na Zachodzie okoliczności, które pobudzały teologów do zajmowania się zagadnieniem Opatrzności i przeznaczenia. Stąd i samo zagadnienie, choć co do istoty swej identyczne z poruszanym na Zachodzie, w nieco odmiennym ujęciu i z innym zabarwieniem występuje w Bizancjum. Dowiadujemy się o tym w drugiej części pracy, w której autor systematycznie omawia poszczególne punkty tego złożonego zagadnienia: więc najpierw naukę o stworzeniu jako podstawę niezbędną nauki o Opatrzności; dalej problem Opatrzności, fatum czy przypadku w ogólności; stosunek działania Bożego, władnącego całym stworzeniem, do wolnej woli stworzenia rozumnego; problem zła w świecie oraz problem przeznaczenia człowieka do szczęśliwości niebieskiej, której jednak część ludzi nie osiąga, idąc na wieczne potępienie.

Pisarze bizantyjscy mocno podkreślają wolność woli ludzkiej przeciw wszelkim fatalizmom wschodnim; zarazem uczą, że dla wszechwiedzy Boga żadna przyszłość nie jest zakryta, owszem dla niej nic nie jest „przyszłe“, lecz wszystko teraźniejsze. A jednak nie poruszają oni całego szeregu problemów, które teologia scholastyczna około tych pewników oplotła. Autorowi należy się też uznanie za to, że przedstawiając naukę o Opatrzności Bożej u teologów bizantyjskich, nie starał się jej wtłoczyć w ramy pojęć, które się uformowały na Zachodzie. *B. W.*

Mitrofornyj protojerej Paweł Kalinowicz, P i ś m a Missioniera rewnitielam św. prawosławia. Pińsk 1938, str. 419 i 13 nadl.

Autor tej książki jest od lat 25 „misjonarzem prawosławnym“, posuwając się po szczeblach tej instytucji: misjonarza powiatowego, rejonowego, wreszcie diecezjalnego w Pińsku. Książka składa się z 60 listów, pisanych do „zelatorów świętego prawosławia“ i przeważnie już drukowanych w czasopismach cerkiewnych, w ulotkach ludowych, nawet w większych zbiorkach. W tych 60 listach o. protojerej Kalinowicz zawarł wszystko, co było treścią jego ćwierćwiekowych nauk misyjnych.

Treść książki nie jest jednolita. Mamy tutaj i obronę dogmatów chrześcijaństwa, mamy polemiki z rozmaitymi sektami, mamy trochę historycznych szczegółów, dotyczących szerzących się wśród prawosławnego ludu sekt. Nie równej wartości jest ten materiał. Są rzeczy dobre, ale są i bardzo słabe, naiwne, w stylu groszowych ulotek.

Wśród wrogów, z którymi musi walczyć misja prawosławna, znalazł się i katolicyzm i w szczególności unia kościelna, którym autor poświęcił dwa listy, razem 19 stron. Za źródła polemicznych wypadów przeciwko katolicyzmowi służyły autorowi przeważnie broszurki polskich publicystów, niechętnych akcji unijnej. Więc też autor wpada w ton, cieszący się w ostatnich czasach powodzeniem. „Obecnie — pisze na str. 358 — w walce przeciwko unii znajdziemy pomoc w naszej prawosławnej hierarchii, w duchowieństwie, w konstytucji polskiej, w rządzie i w narodzie polskim, który nie zechce splamić się powtórzeniem dawnych błędów“. Autor lojalność dzisiejszych prawosławnych względem Polski legitymuje m. i. zasługami prawosławnych możnowładców XVI wieku, Ostrogskich, Kurbskich. Oczywiście unię brzeską, według autora, stworzyli jezuici. Można się dowiedzieć od prot. Kalinowicza nawet rzeczy absolutnie nieznanej dotąd historykom, mianowicie, że to sprawką jezuitów była dokonana przez patriarchę carogrodzkiego promocja na metropolitę Rusi Michała Rahozy, który potem przyjął unię. Św. Józafat przedstawiony został jako fanatyk i krwawy prześladowca prawosławnych.

Książka o. Kalinowicza, pobłogosławiona przez metropolitę Dionizego, obliczona jest na szerokie rozpowszechnienie wśród kleru i ludu prawosławnego. Wydana po rosyjsku, stanowi ona jakby zaprzeczenie tezy o polskości prawosławia w Polsce.

J. U.

Ad. Stankiewicz: B i e ł a r u s k i C h r y ś c i j a n s k i R u c h. Wilnia 1939, str. 272.

Książka ta zawiera historię zbudzenia się świadomości narodowej Białorusinów w XIX st. i dalszego rozwoju ruchu białoruskiego, zwłaszcza tego, który rozwijał się na podstawie zasad demokracji chrześcijańskiej. Dowiadujemy się dowodnie, że zbudzenie swoje ruch białoruski zawdzięcza przede wszystkim Białorusinom katolikom i w największej mierze księżom. Przedstawiona została działalność różnych „hurtków“ białoruskich w uczelniach kościelnych, jak akademii petersburskiej, seminariach petersburskim i wileńskim jeszcze za czasów panowania rosyjskiego. Skreślone są sylwetki głównych działaczy białoruskich, wśród których miejsce wybitne zajmuje sam autor książki. Szczegółowo opowiedziane dzieje białoruskiej „chadecji“ na wileńskim gruncie; składała się ona z katolików i prawosławnych, co było jednym z powodów zabronienia jej przez ks. arcybiskupa wileńskiego. Znajdujemy w książce szczegółowe dane, dotyczące białoruskiej prasy w Polsce i jej politycznych prądów.

Książka ks. Stankiewicza, pomimo że autor często nie ukrywa swej niechęci do wielu posunięć w sprawach białoruskich ze strony polskiej, winna być czytana i przez Polaków, choćby dla zasady: *audiatur et altera pars.* Nawet sądził bym, że autor winien to ułatwić, wydając swą pracę przynajmniej w skrócie w języku polskim.

J. U.

Redaktor: Ks. Jan Urban T. J.

Drukarnia Wydawnictwa Księży Jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61 — Telefon, nr 4-37-87

Oriens

DWUMIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU

MAJ-CZERWIEC 1939

TREŚĆ ZESZYTU:

WYDAJE MISJA WSCHODNIA O. O. JEZUITÓW W POLSCE
REDAGUJE KS. JAN URBAN T. J.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 61
KONTO P. K. O. NR. 15.293

O R I E N S

DWUMIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU
WYDAWANY PRZEZ MISJĘ WSCHODNIĄ OO. JEZUITÓW W POLSCE

Rocznik 7 Warszawa 1 czerwca 1939 r. Zeszyt 3

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 8.— CENA POJEDYŃCZEGO ZESZYTU ZŁ 1.50

HOŁD WSCHODU PIUSOWI XII

W pierwszym swoim przemówieniu papieskim przez radio PIUS XII zwrócił się z słowami ojcowskiej pamięci i miłości także do chrześcijan wschodnich obrządków, tak odłączonych od katedry św. Piotra, jak i zjednoczonych z nią. Jednych i drugich obejmował także swą myślą, gdy w dzień koronacji swej udzielał z loggii bazyliki Księcia Apostołów swego arcypasterskiego błogosławieństwa. Kościoły wschodnie, pozostające w unii z Stolicą Apostolską, odczuły ojcowską miłość nowego Namiestnika Chrystusowego i jeden po drugim spieszą z synowskim homagium dla Piusa XII i zapewnieniami o wierności Kościołowi katolickiemu.

Pierwszy taki hołd od Wschodu złożył nowemu papieżowi patriarcha antiochijski obrządku syryjskiego, kardynał Gabriel Tappouni. Należał on do konklawe wyborczego i niebawem po koronacji Piusa XII został przyjęty przezeń na prywatnej audiencji.

Specjalną misję dla złożenia czci nowemu papieżowi wysłał do Rzymu Kościół Maronitów, to jest tego odłamu Kościoła syryjskiego, w górach Libanu, który najwcześniej, bo już w wieku XIII powrócił ze schizmy i herezji monotelickiej do jedności z Rzymem i obecnie stanowi poważny patriarchat wschodni. Misja składała się z wikariusza generalnego patriarchatu Abdallaha Khouri, dwóch biskupów, przełożonych zakonów maronickich i kapłanów maronickich, przebywających w Rzymie. Do delegacji tej, przyjętej na uroczystej audiencji 9 maja br., Ojciec św. przemówił po francusku, chwaląc wiarę narodu maronickiego, nienaruszoną i niezepsutą, jak te skały i te cedry, wśród których ten naród mieszka. Papież wskazał na wielkie powołanie Maronitów. Mają oni być przewodnikami dla innych współziomków na drodze do prawdziwego światła. Błogosławieństwem, udzielonym całemu Wschodowi, ucałowaniem ręki papieskiej, łaskawą rozmową Ojca św. z członkami misji i wspólną fotografią zakończyła się ta pamiętna audiencja.

Jeszcze uroczystszą była audiencja, udzielona 16 maja br. przedstawicielstwu trzeciego patriarchatu wschodniego, który, jak dwa wymienione poprzednio, nosi nazwę antiochijskiego, mianowicie patriarchatu Melchitów. Na czele przybyłych stał sam patriarcha Cyryl Mogabgad, towarzyszyli mu czterej biskupi i wielu kapłanów. I do tych swoich synów przemówił Pius XII po francusku. Zauważył Ojciec św., że wśród biskupów znajduje się też biskup, a zatym opatrznościowy stróż owej ewangelicznej Cezarei Filipowej (dziś Banias), przy której św. Piotr, wyznawszy bóstwo Jezusowe, otrzymał klucze królestwa niebieskiego. Przypomniał, że w tym to Kościele niegdyś

rozwinął się w całej wspaniałości obrządek bizantyjski. Dziś, gdy tyle dusz odczuwa potrzebę jedności, Ojciec św. wzywa wiernych Kościoła melchickiego do pracy nad szerzeniem na Wschodzie Królestwa Chrystusowego w jedności. I znowu, jak przed tygodniem, wspólna fotografia z Ojcem św., błogosławieństwo papieskie i rozmowa kończyły tę wizytę dalekich dzieci ze Wschodu w domu wspólnego Ojca.

Może po tych delegacjach nastąpią jeszcze inne od innych Kościołów Wschodnich: od Ormian, Koptów, Chaldejczyków, Malabarczyków, Malankarezów, a przede wszystkim od różnych narodowości obrządku bizantyjskiego, jak Ruś, Rumuni, Grecy. Te objawy synowskich uczuć przedstawicieli chrześcijaństwa wschodniego względem Najwyższego Pasterza i Nauczyciela Kościoła i nawzajem objawy serdecznego przyjęcia, jakiego doznają w Rzymie, są wspaniałą manifestacją powszechności Kościoła katolickiego i dobitnie dowodzą, że w nim wszystkie narodowości i wszystkie obrządki czują się jak w jednej rodzinie, złączonymi wspólną wiarą i miłością.

Po zamknięciu już tego numeru Osservatore Romano *przyniósł tekst doniosłego orędzia Ojca św. Piusa XII z okazji zakończenia obchodu 950-lecia chrztu Rusi za W. księcia Kijowskiego, św. Włodzimierza tudzież wiadomość o liturgii w obrządku bizantyjsko-słowiańskim, jaka się odbyła w bazylice św. Piotra w Rzymie w niedzielę 21 maja. Notujemy tutaj tylko pokrótce ten nowy dowód przychylności Ojca św. dla Kościoła wschodniego, zamierzając podać w następnym zeszycie przekład Listu Papieskiego i szczegółowy opis rzymskich uroczystości.*

J. U.

W DRODZE NA SOBÓR FLORENCKI

Przyczynek do dziejów metropolity Izydora i jego stosunków z Litwą

Różnymi drogami zdążali przedstawiciele chrześcijańskiego Wschodu na sobór powszechny, mający przywrócić jedność Kościoła. Ogólna uwaga współczesnych była oczywiście zwrócona głównie na liczną delegację bizantyńską, która z cesarzem i z patriarchą na czele utartym szlakiem morskim przyjechała 8 lutego 1438 r. do Wenecji, skąd w następnym miesiącu udała się do Ferrary. Naukę polską zainteresowała natomiast od dawna w wyższym o wiele stopniu podróż na sobór innego Greka, owego słynnego Izydora, rodem z Monembasji na Peloponezie, jak to teraz bezspornie ustalono, który już w r. 1434, jako opat klasztoru św. Dymitra w Konstantynopolu, był jednym z posłów cesarskich rokujących o unię z soborem bazylejskim, teraz zaś w r. 1438, jako metropolita Kijowa i wszystkiej Rusi, jechał na Zachód z dalekiej Moskwy.

Pogląd nasz na postać Izydora, a w szczególności na tę jego podróż, która stała się zawiązkiem jego nieporozumień z rządem wielkiego księstwa litewskiego, tak szkodliwych dla późniejszych losów Unii Florenckiej, po dziś dzień pozostaje pod wpływem znakomitego historyka, który właściwie sam jeden u nas starał się już przed przeszło czterdziestu laty rzecz tę zbadać źródłowo i wyczerpująco, mianowicie Anatola Lewickiego. Surowy w swym ogólnym sądzie o późniejszym kardynale, o którym twierdził, że „nie był to mąż właściwy“ dla pozyskania Kościoła ruskiego, zarzucił mu przede wszystkim, że od początku zaniedbywał Ruś litewską, śpiesząc do Moskwy, a potem, gdy stamtąd udał się na sobór, zamiast wybrać „najprostszą i najkrótszą drogę“ przez Litwę, wolał zrobić daleki objazd przez Twer, Nowogród, Psków, Dorpat i Rygę. Co najciekawsze, nawet z Rygi, skąd dalsza droga „prowadziła oczywiście przez Litwę i Polskę“, które „formalnie chciał obejść“, dopiero w ostatniej chwili, i to nie bezpośrednio, lecz przez wielkiego mistrza Zakonu niemieckiego, zwrócił się o glejt do ówczesnego wielkiego księ-

cia litewskiego Zygmunta Kiejstutowicza, a w końcu, mimo otrzymania takiego listu bezpieczeństwa, wcale z niego nie skorzystał, tylko po trzymiesięcznym pobycie w Inflantach pojechał morzem do Lubeki. „To było z pewnością bardzo rażące“, pisze Lewicki, „a nie mogło żadną miarą korzystnie wpłynąć na przyjęcie na Rusi litewskiej i polskiej tego dzieła, z którym Izydor się nosił“. Wszak wskutek tak skierowanej podróży na sobór, nie mógł zabrać ze sobą żadnych przedstawicieli tej części Rusi.

Trzeba jednak pamiętać o tym, że cenna, choć niedokończona praca Lewickiego o „Unii Florenckiej w Polsce“ ukazała się w r. 1899 i to już po jego przedwczesnej śmierci, tak, że nawet dzieło ks. Pierlinga „La Russie et le Saint-Siège“, choć jego pierwszy tom nosi datę 1896 r., nie zostało już uwzględnione przez polskiego uczonego. A ono właśnie, choć również stawia Izydorowi niejeden zarzut, tym razem zwłaszcza w sprawie jego stosunku do Moskwy, po raz pierwszy ukazało tę postać na szerszym tle powszechnodziejowym i przyczyniło się w pewnym stopniu do jego rehabilitacji. Właściwie jednak dokonał jej dopiero w r. 1926, na podstawie ogromnego, nieznanego przedtym materiału źródłowego i z nadzwyczajną wprost erudycją, ks. (obecnie kardynał) G. Mercati, aczkolwiek przedmiotem jego pracy były tylko „Scritti d'Isidoro il Cardinale Ruteno“. A całkiem świeżo, w r. 1938, ks. Adolf Ziegler, przedstawiając „Die Union des Konzils von Florenz in der russischen Kirche“ i poświęcając przy tym cały rozdział charakterystyce Izydora, skreślił ją w sposób wprost entuzjastyczny.

I on jednak, choć jego wywody są na ogół bardzo przekonujące i zasługują na uwagę historyków polskich, nie wyjaśnił ważnego epizodu podróży Izydora na sobór. Tak samo jak Lewicki, słusznie ubolewa nad tym, że metropolita nie wziął ze sobą ani jednego przedstawiciela Rusi litewskiej, ale stwierdziwszy, że było to niemożliwe wskutek jego „napiętego stosunku“ do wielkiego księcia Zygmunta, przyczyny tego napięcia, wobec którego Izydor Litwę objechał z daleka, nie zdołał wytłumaczyć w przekonywujący sposób. Jedno tylko bardzo trafne spostrzeżenie należy podkreślić, że mianowicie nie można szukać tej przyczyny w różnicy stanowiska metropolity i wielkiego księcia wobec zatargu między soborem bazylejskim a papieżem Eugeniuszem IV. Wiadomo, że później, w czasie drogi powrotnej z Florencji na Ruś, sympatie bazylejskie kół rządzących na Litwie, a zwłaszcza miejscowego episkopatu katolickiego, zarówno litewskiego jak i koronnego, stały się głównym powodem, dlaczego Unia Florencka natrafiła tam na tak duże przeszkody. Natomiast w r. 1438 także Izydor, zanim się zorientował w sytuacji na Zachodzie, skłaniał się jeszcze do soboru bazylejskiego, z którym go dawne łączyły stosunki, i sądząc, że tam właśnie unia przyjdzie do skutku, wybierał się do Bazylei, o czym powszechnie wiedziano.

Zanim jednak zastanowimy się nad istotną przyczyną wzajemnej nieufności, a może nawet niechęci między Izydorem a Zygmuntem, zwróćmy się do samego faktu ominięcia ziem wielkiego księstwa litewskiego w toku podróży metropolity na sobór. Tę stronę faktyczną także świeża praca ks. Zieglera przedstawia tak samo jak niegdyś Lewicki; oparł się bowiem na tych samych tylko źródłach, co ten ostatni i cała zresztą dotychczasowa, różnojęzyczna literatura, którą sumiennie uwzględnił przeoczywszy tylko — rzecz dziwna — podstawowe dzieło K. Chodynickiego o Kościele prawosławnym w Rzeczypospolitej polskiej. Są to niemal wyłącznie źródła pochodzące z archiwum Zakonu niemieckiego, które już w r. 1895 posłużyły S. P. Karge'mu do rozprawki o przejeździe metropolity przez ziemie zakonne, a zwłaszcza tylekroć cytowany list Zygmunta do wielkiego mistrza z dnia 26 marca 1438 r., w którym wielki książę litewski odpowiada na prośbę o glejt dla Izydora. To świadectwo, wybitnie jednostronne, służyło dotąd jako główna podstawa do oświetlenia ich wzajemnego stosunku a zarazem do zarzutów przeciwko metropolicie. I w tym jednak wypadku znalazła potwierdzenie trafna uwaga, jaką niedawno wypowiedział ks. Waczyński, dając na łamach *Oriens*'u cenny przegląd źródeł do Soboru Florenckiego, że mianowicie, mimo tylu wydawnictw dotychczasowych, można się jeszcze spodziewać niejednego odkrycia wśród materiałów rozrzuconych w najrozmaitszych bibliotekach i archiwach. Dziwić się tylko należy, że ciekawy list Izydora, przedstawiający trudności podróży na sobór z jego punktu

widzenia, tak długo nie został odszukany, aczkolwiek już w r. 1904 podano wiadomość o jego istnieniu.

Wydając bowiem wówczas V tom podstawowego zbioru do historii soboru bazylejskiego pt. „Concilium Basiliense“, umieszczono na samym początku rodzaj diariusza prywatnego, w postaci zapisek dwóch duchownych miejscowych, w którym zanotowano pod datą 4 marca 1438 nadejście listu mistrza krzyżackiego w sprawie glejtu na przejazd przez kraje zakonne w 200 koni „lub nieco więcej“, jakiego zażądał metropolita ruski, a pod datą 16 maja — odczytanie na soborze listu samego Izydora, przywiezionego przez jego posła. W streszczeniu, pomieszczonym w diariuszu, czytamy tylko krótko, że metropolita skarżył się na przeszkody ze strony księcia litewskiego Zygmunta. Od razu jednak zaznaczył wydawca, G. Beckmann, że współczesna kopia tego nieznanego dotąd listu, z datą 20 marca, zachowała się w Paryżu, w „Archives nationales“.

Żałować trzeba, że nikt nie poszedł dotąd za tą wskazówką, która zawierała tylko drobną pomyłkę w podaniu sygnatury. Pełny tekst listu, przetłumaczonego przez kopistę z greckiego oryginału na łacinę, jest bowiem tak ciekawy, że warto przytoczyć dosłownie najważniejszy ustęp. Wyraziwszy Ojcom soborowym, pracującym tak usilnie nad unią kościelną, swoje uszanowanie i życzenia pomyślnego wyniku, pisze metropolita:

„Ja zgodnie z przesłanym mi świętym zleceniem najpotężniejszego i świętego cesarza i pana, oraz świętego patriarchy i pana mojego, już siedem miesięcy opuściłem kościół mój i raz lub dwa razy posyłałem do króla Litwinów Zygmunta, aby otrzymać od niego dobry i bezpieczny glejt celem przybycia na powszechny i święty sobór, lecz on nie chciał go dać. Z tego powodu wokół objechałem najdalsze części Rusi i już przybyłem do nadmorskiego miasta Rygi, którego arcybiskup, przełożony i wszyscy mieszkańcy nas i wszystkich innych, z nami jadących ambasadorów Rusi przyjęli z dużym uszanowaniem i z największą miłością. Przyszli nam też z pomocą i starają się, abyśmy bez jakiegokolwiek niebezpieczeństwa do świętego soboru Bożego pojechali. Gdy bowiem dowiedział się wspomniany król Zygmunt, że mam przybyć lądem, porozmieszczał przed tym na drogach ludzi zbrojnych i szpiegów dla pochwycenia nas. Stąd przeciągamy tu nasz pobyt od dwóch miesięcy, oczekując przejazdu przez morze, które dotychczas jest zamarznięte, a droga lądowa jest dla nas zamknięta i pełna największych niebezpieczeństw“.

List ten, zakończony życzeniem osobistego zobaczenia i uczczenia soboru, zgodny ze znanym nam itinerarium Izydora, stwierdza przede wszystkim, że o możliwość przejazdu przez terytorium litewskie robił starania, i to nie raz jeden, zanim jeszcze zdecydował się na objazd północnych kresów Rusi. Te jego bezpośrednie zabiegi o list bezpieczeństwa spotkały się jednak z odmową ze strony Zygmunta Kiejstutowicza, a zanim jeszcze wielki książę zdecydował się wreszcie na wystawienie glejtu wskutek interwencji krzyżackiej, co, jak widzieliśmy, nastąpiło dopiero po wysłaniu przytoczonego listu do soboru, metropolita już postanowił z Rygi pojechać dalej morzem, dowiedziawszy się o zasadzkach, jakie go czekały na Litwie. Że te ostatnie pogłoski nie były chyba całkiem bezpodstawne, na to mamy wskazówkę w piśmie samego Zygmunta do wielkiego mistrza: choć bowiem „na wasze życzenie“ poręczył wreszcie Izydorowi bezpieczny przejazd przez swoje ziemie, wyjął z tej gwarancji właśnie Żmudź, przez którą prowadziła najprostsza droga z Rygi, zastrzegając się z góry, że za żmudzinów „żadną miarą ręczyć nie możemy..., iżby się na niego nie porwali i nie rzucili albo go nie okradli“. W ogóle zaś należy sobie zdać sprawę z tego, że aczkolwiek nowo odkryte świadectwo Izydora pochodzi znowu od jednej z zainteresowanych stron, nie ma powodu do przypuszczenia, aby rzucał na Zygmunta niezgodne z prawdą oskarżenia przed soborem bazylejskim, który już od r. 1434, kiedy to ambasadorowie Kiejstutowicza zostali uroczyście inkorporowani na kongregacji generalnej z 5 listopada, utrzymywał z nim jak najlepsze stosunki.

Mało zato przemawia do przekonania zdziwienie wyrażone przez Zygmunta, że metropolita w ogóle nie pojechał od razu przez Litwę, co wielki książę chciał tłumaczyć tym, że Izydor nie zdołał spełnić warunku przyprowadzenia ze sobą pewnej ilości biskupów i bojarów z Moskwy. Tego ustępu listu Zygmuntowego nikt nie zdołał dotąd wyjaśnić bezspornie, tym bar-

dziej, że metropolita miał przecież w swym licznym orszaku właśnie przedstawicieli Moskwy, z biskupem suzdalskim na czele. Także najnowsze na ten temat domysły ks. Zieglera, zresztą bardzo ostrożnie sformułowane, sprawy nie rozstrzygają. Bliższym prawdy był Lewicki, gdy zwrócił uwagę na późniejszą wzmiankę wielkiego księcia moskiewskiego Wasila, według której władca Litwy popierał wraz z nim kontrkandydata Izydorowego na metropolię kijowską, Jonę rjazańskiego. Lewicki zaznaczył wprawdzie, że wobec ówczesnej rywalizacji o władzę na Litwie między Zygmuntem a Świdrygiełłą wzmianka ta mogła tyczyć się z równym prawdopodobieństwem tego drugiego; ale wiemy dziś, że w owym okresie równoległych jak gdyby wojen domowych w litewskim i moskiewskim wielkim księstwie właśnie Zygmunt, brat Witolda, łączył się z obozem wnuka Witoldowego Wasila.

Przewlekająca się wojna domowa na Litwie, nie rozegrana jeszcze ostatecznie w czasie podróży Izydora na sobór, odsłania nam jednak także najgłębsze powody, jakie wywołały niechętne stanowisko Kiejstutowicza wobec metropolity, który od początku stawiał sobie jako zadanie realizację unii kościelnej. Powody te nie miały nic wspólnego z osobistymi, mało nam zresztą znanymi, poglądami tego wielkiego księcia na kościelne sprawy. Dla niego, którego głównym w danej chwili celem było zgniecenie Świdrygiełły, decydującym było, że hasło unii z Rzymem wysuwał na Rusi litewskiej od szeregu lat właśnie znienawidzony rywal w walce o władzę wielkoksiążęcą. Ten ostatni wprawdzie sam utrudnił tę unię niepomiernie, kazawszy spalić na stosie sprzyjającego jej metropolitę Herasyma, poprzednika Izydorowego. Pozostała ona jednak dla Świdrygiełły pożądaną chociażby z tego względu, że jej przeprowadzenie byłoby od razu obaliło zarzut przeciwnego obozu, że opiera się głównie na schizmatykach. Tego zaś właśnie argumentu nie chciał się pozbawiać Zygmunt i stąd głoszenie unii kościelnej w ziemiach wielkiego księstwa, które sobie wydzierali wzajemnie obaj współzawodnicy, było mu w wysokim stopniu nie na rękę. Ale stąd też wynikło załamanie się polityki, unii przychylnej, jaką prowadziła monarchia jagiellońska za samego Jagiełły i Witolda, i stąd też, mimo śmierci Zygmunta Kiejstutowicza w r. 1440, grunt był dla unii nieprzygotowany, gdy Izydor wrócił na Ruś po Soborze Florenckim.

W tym tkwi najgłębsze znaczenie epizodu, tutaj omówionego, który tak utrudnił i przedłużył podróż Izydora na sobór. Widzieliśmy, że pierwotnie była to podróż na sobór bazylejski, ale nowe źródła, które staraliśmy się wyzyskać, wyjaśniają nam też okoliczności, w jakich metropolita zmienił cel swej wędrówki. Oczywiście decydującą tu musiała być wiadomość, że inni Grecy, kiedy on jeszcze bawił w Rydze, ostatecznie wybrali rokowania z papieżem i jego soborem przeniesionym do Ferrary, a nie z opozycją pozostałą w Bazylei. Jak i kiedy Izydor i jego towarzysze o tym się dowiedzieli, to pozostawało dotąd tak niejasne, że u Lewickiego znajdujemy nawet zarzut „jakiejś mistyfikacji“. Tym cenniejszą jest wobec tego wskazówka, jakiej dostarcza odpowiedź soboru bazylejskiego na jego list pisany z Rygi, które to pismo, dotąd zupełnie nieznane, datowane z 29 maja tegoż 1438 r., figuruje w tym samym kopiariuszu archiwum paryskiego.

Nie rozstrząsając tu kwestii, dlaczego tej odpowiedzi w imieniu soboru udzielili metropolicie ruskiemu ambasadorowie króla Kastylii i Leonu, trzeba podkreślić, że wyrażając radość z zapowiedzianego przyjazdu najgorliwszego po stronie wschodniej zwolennika unii, lecz zwracając mu uwagę na nowo powstałe trudności, odsyłają go do obszerniejszych o tym informacji, jakich mu udzieli biskup Lubeki. Było to zrozumiałe chociażby z tego względu, że poseł Izydora, który list jego ryski przywiózł do Bazylei, opowiedział tam, że metropolita zamierza wylądować w porcie lubeckim. Ale wiemy skądinąd, na co w innym związku już wskazał ubocznie Lewicki, że właśnie tamtejszy biskup w sporze między Bazylejczykami a Eugeniuszem IV stanął po stronie papieża. W tym więc też duchu musiał informować Izydora po jego przyjeździe.

Były to oczywiście informacje i wskazówki ze wszech miar słuszne; ale właśnie historyk polski, ubolewający nad tym, że ów konflikt między Bazyleą a Ferrarą i Florencją niebawem miał się odbić tak fatalnie na losach unii w ziemiach ruskich Korony i Litwy, zrozumie cały tragizm refleksji, jaką bez wchodzenia w szczegóły wypowiedzieli o tym w swym liście

do metropolity owi ambasadorowie hiszpańscy:

„Niezgodnym ze zdrowym rozsądkiem musi się zaiste wydawać, że to właśnie, co podjęto dla uleczenia starodawnego rozłamu i przywrócenia jedności, ma otworzyć nową ranę i nowe rozdarcie i że w chwili, gdy szukamy zbawiennego lekarstwa dla zestarzałej blizny, świeży zadajemy cios“.

Oskar Halecki.

OPISY MOSKIEWSKO-RUSKIE SOBORU FLORENCKIEGO

Oprócz źródeł greckich i łacińskich do Soboru Florenckiego, omówionych w poprzednim nr. *Oriensu* (art. „Źródła do Soboru Florenckiego“, *Oriens*, marzec-kwiecień br., str. 38—43), istnieją także opowiadania o tym soborze, spisane przez autorów moskiewsko-ruskich, którzy w świcie metropolity kijowskiego Izydora byli w Ferrarze i Florencji. Opowiadania te nie przedstawiają takiej wartości dla poznania przebiegu soboru, jak omówione poprzednio źródła greckie i łacińskie; zasługują jednak na wzmiankę, gdyż dowiadujemy się z nich przynajmniej szczegółów dotyczących udziału cerkwi moskiewsko-ruskiej w soborze Florenckim.

1. Na pierwszym miejscu wymienić należy anonimowy opis podróży metropolity Izydora i towarzyszy na sobór do Ferrary i Florencji i z powrotem do Budy na Węgrzech. Jest to rodzaj dziennika czy pamiętnika z podróży. Wyróżnia się on spośród innych opisów, o których będzie mowa, spokojnym i rzeczowym przedstawieniem wypadków, bez wyrazów niechęci przeciw unii Florenckiej. Autor, którego nazwisko nie jest znane, należał do otoczenia biskupa Abrahama suzdalskiego, który razem z Izydorem kijowskim brał udział w soborze. Był prawdopodobnie duchownym, gdyż wspomina, że zwiedzał we Florencji pewien klasztor, do którego laikom był wstęp wzbroniony.

Opis podróży zaczyna suchym kronikarskim podaniem daty dnia, którego metropolita wyjechał z Moskwy. Następnie wymienia miasta, przez które przejeżdżał, zaznacza odległość między miastami, ilość dni spędzonych w każdym mieście, opisuje osobliwości miast zachodniej Europy, zachwyca się ich murowanymi domami, bogactwem towarów, wodotryskami, brukowanymi ulicami, tym wszystkim, czego w miastach ruskich, które były właściwie tylko wielkimi wsiami, nigdy nie widział. Podróż odbywała się najpierw z Moskwy do Rygi konno; w Rydze, gdzie przyjęli metropolitę nie tylko przedstawiciele duchowieństwa prawosławnego, lecz także kler łaciński, niemiecki, wsiedli wszyscy na okręty i dalszą podróż aż do Lubeki odbyli morzem, podczas gdy konie szły lądem wzdłuż Bałtyku przez Żmudź, Prusy, Pomorze aż do Lubeki. Z Lubeki podróżowano znowu konno na południe przez Niemcy aż do Ferrary. Jak wiadomo, Izydor przybył do Ferrary dopiero 18 sierpnia, podczas gdy Grecy z cesarzem i patriarchą byli tam już od marca. Ale po pierwszej inauguracyjnej sesji soborowej 9 kwietnia 1438 r. czekano z dalszymi sesjami na przybycie do Ferrary tych biskupów łacińskich, którzy bez względu na papieża Eugeniusza IV obradowali nadal w Bazylei. W międzyczasie były tylko obrady komisji teologów greckich i łacińskich w sprawie czyśćca. Toteż nasz anonimowy autor, wspomniawszy o spotkaniu się metropolity Izydora z papieżem w Ferrarze, mówi następnie o pierwszej sesji z dnia 8 października 1438 r., którą zresztą także omówione poprzednio akta greckie i łacińskie oznaczają jako pierwszą sesję. W dalszym ciągu zaznacza także krótko dni, w których odbywały się sesje soborowe; liczy ich 15 w Ferrarze, a 10 we Florencji; a więc razem 25, podobnie jak akta greckie. Różnica jest w tym, że akta greckie liczą w Ferrarze 16 sesji, a we Florencji 9, a jako ostatnią wymieniają sesję z 24 marca; natomiast w anonimowym opisie ruskim sesja z 24 marca jest przedostatnią; po niej wymienia jako ostatnią sesję 2 maja; po niej dopiero resztę wypadków wymienia bez dalszego podziału

na sesje. Tym, co się działo na sesjach, nie wiele się interesuje; ale za to zajmują go, podobnie jak w innych miastach, przez które przejeżdżali, cuda i bogactwa Florencji; więc opisuje zegar na rynku we Florencji, notuje ceny rozmaitych towarów, wyraża swój podziw i zachwyt nad przepychem i bogactwem miasta.

Dnia 25 czerwca notuje odjazd z Florencji brata cesarskiego do Konstantynopola; wreszcie nieco dokładniej opowiada o podpisaniu bulli unijnej i o ogłoszeniu unii dnia 6 lipca, w którym to dniu papież celebrował „obiedniu", a następnie została odczytana bulla unijna po łacinie przez kardynała Juliana (Cesarini), a po grecku przez Besariona. Następnie wspomina o wyjeździe Greków 26 sierpnia, i o klątwie rzuconej na Bazylejczyków opornych papieżowi. Izydor ze swą świtą nie opuścił Florencji razem z Grekami; dopiero po audiencji udzielonej przez papieża Izydorowi i Abrahamowi dnia 6 września wyruszają oni w drogę powrotną. Jadą przez Wenecję, gdzie znowu nasz autor zachwyca się bazyliką św. Marka, podziwia wspaniałe mozaiki i zaznacza, że te ikony są dziełem mistrzów greckich. Dalsza droga wiedzie morzem przez Adriatyk, a następnie lądem przez Zagrzeb, Belgrad, do Budy nad Dunajem, gdzie tryskają gorące źródła, jak autor zaznacza. I na tym urywa się opis. Tylko jeden rękopis późniejszego pochodzenia zawiera opis dalszej podróży aż do Suzdala. Na tej podstawie przypuszczają niektórzy, że autor pochodził z tego miasta.

Uderza to, że autor, który zresztą tak skrzętnie i sumiennie notuje wszystkie ważniejsze wydarzenia w Ferrarze i Florencji, nie wspomina nic o tak doniosłym wydarzeniu, jak śmierć patriarchy Józefa i jego pogrzeb we Florencji. Nie ma w tym opisie żadnego zachwytu dla Marka Efeskiego jako obrońcy prawosławia; nie ma też oskarżeń pod adresem Izydora czy cesarza, jakoby zdradzili prawosławie, choć z drugiej strony nie okazje autor także żadnej specjalnej sympatii i zapału dla unii florenckiej. Pisze o niej bez żadnych uczuć, sucho, po kronikarsku. Ale właśnie ten spokojny ton w opowiadaniu o unii, ten brak wszelkiej do niej niechęci, jeśli się zestawi z rażącą bezprzedmiotową niechęcią i potępianiem unii w innych źródłach moskiewsko-ruskich, przemawia raczej za tym, że autor tego opisu należał do nielicznego zapewne grona osób z otoczenia Izydora, które podzielały jego zapatrywania na unię z Rzymem.

Opis ten jest interesujący z innego jeszcze względu. Jak zaznacza historyk rosyjski Gołubiński (Istoria Russkoj Cerkwi, t. II, cz. II, str. 207), jest to pierwszy znany zabytek piśmiennictwa rosyjskiego, opisujący zetknięcie się mieszkańców dalekiej Moskwy z kulturą zachodnio-europejską, która w autorze wzbudzała tak wielki podziw.

Ten tak cenny dokument został wydany w roku 1774 przez N. Nowikowa w „Drewniaja Rossijskaja Wiwliofika", cz. IV, str. 293—321; w r. 1901 wydał go ponownie W. Malinin w przypiskach do swego dzieła „Stariec Eleazarowa Monastiria Phiłofiej", priłoż. str. 76—87.

2. Drugim dokumentem, odnoszącym się do soboru Florenckiego a powstałym w środowisku moskiewsko-ruskim, jest „Powiest' swiaszczennoinoka Simona Suzdalca, kako rimski papa Jewgenij sostawlał osmyj sobor so swoimi jedinomyslenniki". [1]) Jest to twór na wskroś tendencyjny. Cytowany już przez nas historyk rosyjski Gołubiński (dz. cyt., t. II, cz. II, str. 201) tak się o nim wyraża: „Opowiadanie to nie zawiera żadnych szczegółowych danych o historii soboru, do czego brak było Symeonowi dostatecznych informacyj, a prawdopodobnie nie starczyłoby i kwalifikacyj autorskich; daje jednak pewien ogólny zarys tej historii, co do wiarygodności nie zupełnie wolny od legendarności, a mający na celu tę moralną naukę, że unia, przyjęta przez Greków na soborze, była z ich strony haniebnym odstępstwem od prawosławia". Zaznacza dalej Gołubiński, że Symeon nie znał ani łaciny ani greki, mógł więc jedynie widzieć, co się działo, nie rozumiejąc jednak treści rozmów i dyskusyj; a ponieważ nie należał do uczestników soboru, więc zdany był tylko na informacje pośrednie od innych, na różne plotki, które krążyły po mieście. Zdany na takie źródła byłby Symeon nawet przy najlepszych zamiarach stworzył mieszaninę prawdy i legendy;

[1]) Tytuł powyższy zachodzi w różnych wydaniach z pewnymi różnicami; podaliśmy go tu wdł. wydania Malinina, dz. cyt., priłoż. str. 102—114. Sobór Florencki jest tu określony jako ósmy sobór, gdyż autor nie uznaje ani soboru konstantynopolskiego IV (przeciw Focjuszowi) ani innych późniejszych soborów, odbytych na Zachodzie.

a cóż dopiero, jeśli on na wszystko patrzał przez okulary swej gorliwości o prawosławie.

Ten sąd historyka prawosławnego, bynajmniej nie podejrzanego o sympatie do katolicyzmu, musimy uznać za obiektywny i słuszny, jeśli przyjrzymy się samemu tworowi Symeona. Istotnie, w przedstawieniu Symeona centralną postacią soboru i bohaterem prawosławia jest Marek Efeski. Wobec argumentów Marka Łacinnicy i papieże są bezsilni; pieniąc się ze złości, uciekają z sali obrad. Unia dochodzi do skutku tylko dzięki przekupstwu i gwałtowi ze strony Rzymian. Izydor, którego wielki kniaź Wasyl przestrzegał przed niebezpieczeństwami tego soboru, przyoblekł się w owczą skórę; obiecał kniaziowi, że będzie bronił prawosławia, a potem tak haniebnie zdradził prawosławie. Nawet biskup suzdalski Abraham uległ przemocy i złożył swój podpis na akcie unii. Jedynie on, Symeon, mimo że go dręczono, nie uległ pokusie; za co zasłużył sobie na błogosławieństwo samego Marka Efeskiego.

Uśmiech wywołuje ten ustęp, gdzie Symeon opisuje z wyrazami grozy, do jakiego to upodlenia doszli Grecy, którzy po zawarciu unii złożyli hołd papieżowi; on sam nie mogąc na to patrzeć i nie chcąc być do tego samego zniewolonym, uciekł czemprędzej z kościoła. Izydor w swej zarozumiałości i pysze chciał po powrocie do Moskwy nakłonić kniazia Wasyla do przyjęcia unii; ale ten na szczęście poznał się na jego przewrotności; więc Symeon kończy swój opis hymnem pochwalnym na cześć Wasyla.

Obok tej jawnej tendencji polemicznej przeciw unii, jest w dziele Symeona ukryta inna jeszcze tendencja. Z zestawienia pewnych szczegółów tego tworu Symeona z innymi dokumentami wykazuje Gołubiński, że Symeon musiał mieć jakieś nieczyste sprawki na sumieniu, które nie pozwoliły mu wrócić do rodzinnego Suzdala i za które został pociągnięty do odpowiedzialności. Więc przedstawia siebie jako bohatera wiary, zaszczyconego błogosławieństwem Marka Efeskiego — słowem, jego dzieło jest także bardzo zgrabną apologią własną.

Niestety to właśnie tendencyjne opowiadanie Symeona o soborze Florenckim wywarło znacznie większy wpływ w Moskwie i w ogóle na Rusi, niż spokojne i rzeczowe sprawozdanie anonimowego autora. Było ono też wiele razy wydawane. Oprócz wspomnianego już wyżej wydania Malinina, wydali je między innymi: A. Popow w dziele „Istoriko-litieraturnyj obzor drewnierusskich polemiczeskich soczinienij protiw łatinian“ (XI—XV w.), Moskwa 1875, str. 344—359; oraz znany historyk Cerkwi, metropolita Makarij w dziele „Matieriały dla istorii russkoj cerkwi“, Charkow 1861, t. I, str. 60—76.

3. Oprócz tego tworu Symeona wydał Malinin (dz. cyt. priłoż., str. 89—101) inny utwór bardzo do niego podobny, pt. „Skazanie Simeona Suzdalca: Isidorow sobor i chożenie jego“ (Opowieść Symeona Suzdalskiego: Sobór Izydorowy i jego podróż). Wygląda on na nieznaczną tylko przeróbkę poprzedniego utworu; a wiele ustępów powtarza się w obu dosłownie. Popow (dz. cyt., str. 360—395) i Nowikow (dz. cyt., cz. IV, str. 359—395) wydali „Słowo izbrano ot swiatych pisanij jeże na łatyniu i skazanie o sostawlenii osmago sobora łatynskago i o izwierżenii Sidora Prelestnago i o postawlenii w russkoj ziemli mitropolitow o sichże pochwała błagowiernomu wielikomu kniaziu Wasiliju Wasiliewiczu wsieja Rusi“. Dzieła Popowa i Nowikowa były niedostępne przy pisaniu niniejszego artykułu. Wiadomość o wydanym w nich „Słowie“ czerpiemy z Zieglera (Die Union des Konzils von Florenz in der russischen Kirche, Würzburg 1938, str. 28), który mówi, że i ono jest przeróbką i rozszerzeniem tworu Symeona Suzdalskiego.

4. Podobnym tendencyjnym wrogim nastawieniem przeciw unii i przeciw metropolicie Izydorowi, jak dzieło Symeona i jego przeróbki, odznaczają się też wiadomości o soborze Florenckim i o Izydorze, zapisane w niektórych kronikach ruskich, jak Kronika Woskresenska (Połnoje Sobranie Russkich Letopisiej, t. VIII, str. 100—109) oraz Kronika Sofijska (Połn. Sobr. Rus. Letop., t. VI, 151—169; ustęp ten wydany także u Malinina, dz. cyt. priłoż., str. 115—127). Opierają się one zresztą na opowiadaniu Symeona, którego duchem są przepojone. Ale podają cały szereg szczegółów, cyfr, dat, których Symeon nie podaje; tak np. kronika Sofijska przytacza tekst bulli unijnej. Widocznie kronikarze, oprócz dzieła Symeona, mieli do dyspozycji inne dokumenty dotyczące soboru Florenckiego.

5. W niektórych wydaniach opowiadania Symeona (np. u Malinina, dz. cyt. priłoż., str. 114) znajduje się wzmianka o gwałtach, jakie biskupom prawosławnym zadawał „maistr rodo-ostrożski“, tj. zapewne Wielki Mistrz zakonu Joannitów z wyspy Rodos. Bajka ta w jeszcze fantastyczniejszej postaci powtarza się w paszkwilu przeciw soborowi Florenckiemu, wydanym w r. 1598 w Ostrogu, w związku z polemiką przeciw unii Brzeskiej, pt. „Istoria o listrikijskom, to jest razbojniczeskom ferarskom abo fłorenskom sinodie, wkorotce prawdywie spisanaja“ (por. wzmiankę o niej w *Oriensie* 1938, str. 102). Według tej „Historii“ „opat Rodisa“ wkracza nocą na czele 3000 rycerstwa do Florencji i papieża, który był już gotów skapitulować wobec Greków i przyjąć wiarę prawosławną, zmusza do podarcia gotowego już dokumentu unii z Grekami, do dalszego oporu i nieustępliwości oraz do wymuszenia na Grekach gwałtem zgody z Rzymem.

Do takich to niedorzeczności dochodziły sądy o soborze Florenckim na Rusi, zatrute już w swych najstarszych źródłach niechęcią do unii i do jej twórców. O soborze Florenckim źródła te podają niewiele pewnych wiadomości. Ale jedno można z nich poznać z całą pewnością, mianowicie, że unia z Rzymem, pojęta jako uznanie najwyższego autorytetu biskupa Rzymskiego w całym chrześcijaństwie, miała w Moskwie i w ogóle na Rusi zawziętych przeciwników.

B. Waczyński T. J.

ROSJANIE HALICCY, A UNIA KOŚCIELNA

Dawni nasi czytelnicy przypomną sobie nasz artykuł z przed kilku lat pt. „Od Rusinów do Ukraińców i Rosjan“ (*Oriens,* listopad-grudzień 1934). Nakreśliliśmy w nim ewolucję, jaka dokonała się w ostatnich stu latach w społeczeństwie ruskim w Galicji, doprowadzając do rozłamu jego, przynajmniej jego warstw kierowniczych, na dwa wrogie obozy: ukraiński i rosyjski. Zapewne na nizinach ludowych rozłam ten nie poszedł jeszcze głęboko: i jedni i drudzy mówią tym samym językiem, nie różnią się w zwyczajach i sposobie życia; pozostając wszakże pod wpływem różniących się ideologią kierowników, grupowani są około różnych i zwalczających się instytucyj i organizacyj kulturalnych, politycznych, a nawet ekonomicznych.

Czym się te obozy różnią między sobą? Ukraińcy przeciwstawiają się narodowi rosyjskiemu, jako obcemu sobie i nie chcą mieć z Moskwą, z „kacapami“ nic wspólnego ani kulturalnie ani politycznie; ideałem ich jest pod każdym względem „samostyjna Ukraina“. [1]) Językiem, jakim się wyłącznie posługują, jest język ukraiński, utworzony na podłożu gwar ludowych z wielką domieszką wyrazów polskich i niemieckich.

Kierownicza warstwa drugiego obozu nie chce słyszeć o samodzielności Ukrainy, a ludność krajów pospolicie tą nazwą obejmowanych, aż po Galicję wschodnią włącznie, uważa za południową gałąź, „Małorossów“, wchodzącą, na równi z Białorusinami i Wielkorusami, w skład jednego wielkiego i niepodzielnego narodu „russkiego“. Różnicę, jaka dzieli ich, „Russkich“ południowych, od północnych Wielkorusów lub Białorusinów, pojmują analogicznie do różnicy, zachodzącej między Mazurami a Wielkopolanami, Kurpiami a Góralami w obrębie jednego narodu polskiego. Jeżeli nawet posługują się, podobnie jak Ukraińcy, językiem miejscowym, zwłaszcza w stosunkach z ludem, to uważają go jedynie za lokalny dialekt, za narzecze „małoruskie“, nie chcą go jednak uważać za język kulturalny, język nauki i wyższego piśmiennictwa. [1]) Używając tego lokalnego języka np. w prasie ludowej, starają się słownictwem i wymową zbliżać go coraz bardziej do języka wielkorosyjskiego, który uważają za jedynie godny miana „ogólno-russkiego języka literackiego“. Dlatego w publicystyce, w pracach naukowych, w beletrystyce, przeznaczonej dla in-

---

[1]) Chociaż i między nimi trafiają się tacy, którzy ostatecznie godziliby się na jakąś polityczną federację Ukrainy z Rosją.

[1]) Nieliczni z tego obozu dopuszczają jednak istnienie literatury „małorosyjskiej“, jako regionalnej, byle nie szerzyła idei ukraińskiego „odszczepieństwa“, „mazepińswa“

teligencji, używają już jedynie języka rosyjskiego, a autorów wielkorosyjskich, jak Puszkina, Lermontowa, Dostojewskiego, uważają za swoich narodowych autorów, natomiast bojkotują autorów ukraińskich, np. Szewczenkę, [1]) Frankę itd. Sami, swój język, swoją kulturę, historię i siebie samych nazywają „russkimi“ przez dwa *ss*, to jest tak samo, jak nazywają się Rosjanie z Moskwy czy Samary, gdy jednak piszą po polsku, dla użytku Polaków, używają transkrypcji „ruski“ przez jedno *s*. Ta okoliczność dezorientuje Polaków, którzy dawniej przywykli odróżniać „ruski“ i „rosyjski“ i dlatego skłonni są wciąż przypuszczać, że piszący tak „Rusini“, „Starorusini“ sami uważają się za coś odrębnego od Rosjan. Przypuszczenie całkowicie jest mylne. Mylnym jest przeto także dość częste w prasie polskiej różniczkowanie jakby trzech narodowości: Rosjan, Rusinów i Ukraińców, do czego dał powód już spis ludności z r. 1931, wprowadzając trzy rubryki języka ojczystego: rosyjski, ukraiński i ruski, podczas gdy w rzeczywistości są tylko dwa języki: rosyjski (wielkorosyjski) i ruski, inaczej zwany ukraińskim, lub małoruskim.

Żeby się o błędzie takich rozróżnień przekonać, trzeba czytać nie to, co piszą „Starorusini“, specjalnie dla Polaków, ale co piszą dla siebie; dość porównać *Russkij Gołos* z wileńskim *Russkim Słowom,* lub warszawskim *Mieczom*, a stanie się jasnym, że ci galicyjscy „Starorusini“ w swoim poczuciu są takimi Rosjanami, jak Rosjanie innych części Polski, jak Rosjanie rdzennej Rosji, że zatem w dawnym znaczeniu „Rusinów“, przynajmniej kiedy mowa o warstwie przodującej, w tym obozie już nie ma, a więc nie ma podstaw do rózróżniania i przeciwstawiania Ukraińcom Rusinów, kiedy są dzisiaj albo Rusini = Ukraińcy, albo Rusini = Rosjanie. Co się tyczy języków, to mamy do czynienia albo z ukraińskim, który dawniej nazywano w Galicji ruskim, albo z rosyjskim. Przymiotnika „rusiński“, stworzonego dla oznaczenia Rusinów galicyjskich przez Polaków b. zaboru rosyjskiego, który u siebie utożsamiali przymiotniki „ruski“ i „rosyjski“, co znowu było zupełnie nieznane w Galicji, należałoby u nas raczej zaniechać.

Uważałem za potrzebne obszerniej te rzeczy omówić, by ułatwić czytelnikom zrozumienie zarówno tego, co się niżej napisze, jak w ogóle orientowanie się w sprawach „ruskich“, „ukraińskich“, „rusińskich“, czy jak tam komu podoba się je nazywać. Muszę przy tym z naciskiem zaznaczyć, że owej części wczorajszych „Rusinów“, którzy czuję się dzisiaj Rosjanami, bynajmniej nie czynię z tego powodu zarzutu, jedynie konstatują fakt dokonanej ewolucji, fakt, który musi być brany pod uwagę, kiedy omawia się dotyczące ich sprawy.

*

Przypomnimy najpierw dla orientacji w jakich to instytucjach kulturalnych i społecznych skupia się życie tego odłamu Rusinów.

1. Instytut Stauropigialny we Lwowie. Założony był jeszcze w r. 1586 jako bractwo prawosławne. Nazwa „Stauropigialne“ oznaczała wyjęcie bractwa z pod władzy biskupiej, a poddanie go wprost patriarchatowi carogrodzkiemu. Bractwo to długi czas było ostoją dyzunii przeciwko próbom wprowadzenia unii kościelnej. W r. 1708, po przyjęciu unii przez diecezje przemyską i lwowską, zgodziło się wreszcie i bractwo na uznanie prymatu papieskiego, zastrzegając sobie jedynie pewne przywileje w stosunku do miejscowej władzy biskupiej. Odtąd, będąc już bractwem „unickim“, postawiło sobie jakby nowe zadanie: obronę narodowości ruskiej przed postępującą polonizacją, tudzież obrządku greckiego przed możliwymi infiltracjami ze strony obrządku łacińskiego. Po rozbiorach Polski bractwo przez rząd austriacki zostało przemianowane na „Instytut“ z zachowaniem nazwy „Stauropigii“. Kiedy w łonie społeczeństwa ruskiego w zaborze austriackim zarysowywał się coraz bardziej rozłam na „Starorusinów“ i „narodowców“ czyli Ukraińców, Stauropigia lwowska trzymała się stale strony staroruskiej, ewolwując się razem z nią w kierunku rosyjskości. Stąd też, gdy dawniej swe publikacje drukowała w języku zbliżonym do miejscowego, w ostatnich kilkunastu latach przeszła całkowicie na język rosyjski. Tak się dziś drukuje organ Instytutu, rocznik pt. *Wremiennik Stawropigijskowo Instituta.* Według ogłoszonego niedawno w *Russkom Gołosie* sprawozdania rocznego, Stauropigia jeszcze dzisiaj jest instytucją poważną i zamożną: posiada we Lwowie kilka kamienic dochodowych, bogate muzeum i bibliotekę, księgarnię przeważnie z książkami liturgicznymi i świeckimi rosyjskimi, wreszcie drukarnię, którą jednak zmuszona była wypuścić w dzierżawę Ukraińcom. Utrzymuje bursę dla chłopców

[1]) Niedawno zrobiono dla Szewczenki wyjątek, łącząc w pewnym obchodzie pamięć jego z pamięcią Puszkina, co do żywego oburzyło Ukraińców.

(obecnie 33 wychowanków), których wychowuje oczywiście w swoim, wrogim ukrainizmowi duchu. Roczne dochody i wydatki Stauropigii przewyższają 100.000 zł. Członkami Stauropigii mogą być tylko świeccy mężczyźni. Prezesem jej jest obecnie sędzia emerytowany p. Antoni Gułła.

2. Narodny Dom we Lwowie to druga instytucja, do której wyłączne prawo roszczą sobie „Starorusini". Pretensje te wszakże są mocno kwestionowane przez Ukraińców. Założony w r. 1848 przez „Główną Radę Ruską", Narodny Dom był przeznaczony dla dobra całego społeczeństwa ruskiego w Galicji i miał rozwijać działalność naukową, oświatową i społeczną. Z biegiem czasu zgromadził pokaźny majątek, składający się oprócz samego „Domu" w centrum miasta, z innych jeszcze posiadłości miejskich i wiejskich. Kiedy dokonał się rozłam Rusinów na Ukraińców i Starorusinów, Narodny Dom okazał się w rękach tych ostatnich i oczywiście działalność swoją prowadził w kierunku wzmacniania idei pro-rosyjskich. Właśnie z powodu swych politycznych sympatyj stowarzyszenie to już na początku wojny zostało przez rząd austriacki zawieszone. Oczywiście odżyło pod okupacją rosyjską, lecz po powrocie Austrii zupełnie zostało rozwiązane przy czym likwidację majątku rząd powierzył kuratorium, złożonemu z Ukraińców. Za rządów polskich komisarzami Narodnego Domu byli znowu „starorusini", co Ukraińcy uważali za wielką krzywdę dla swojego narodu, i w okresie „normalizacji" osiągnęli tyle przynajmniej, że Dom obecnie posiada kuratorium mieszane, złożone z prezesa Polaka, dwóch członków Ukraińców i jednego tylko „starorusina". Tymczasem Nar. Dom za rządów komisarycznych zadłużył się do tego stopnia, że w ogóle zagrożone jest jego istnienie. Nie objawia on też żadnej wydatniejszej działalności. Mimo to obie strony ubiegają się o wyłączne władanie nim. Ukraińcy oddanie im Nar. Domu wysuwają stale jako jeden z politycznych swoich postulatów, starorusini zaś domagają się usunięcia z niego zupełnie Ukraińców i „zwrócenia" go wyłącznie dla „ruskich" celów.

3. Galicko-Russkaja Matica we Lwowie jest stowarzyszeniem w celu popierania prac naukowych i oświatowych. Założona jeszcze w r. 1848 przez duchownych i świeckich działaczy, przechodziła zmienne koleje rozwoju i upadku; wznowiona nareszcie w r. 1923. Skupiała ludzi pracujących nad gramatyką ruskiego języka, historią regionalną „Rusi podkarpackiej", utrzymywała żywy kontakt z pisarzami i instytucjami carskiej Rosji, pielęgnując także idee panslawistyczne w ich rosyjskim zabarwieniu. „Matica" wydawała, z długimi przerwami, rocznik „Nauczno-Litieraturnyj Sbornik Galicko-Russkoj Maticy", w którym można znaleźć sporo rozpraw z dziedziny historii krajowej. Już w końcu XIX stulecia w swoich publikacjach przyjęła całkowicie język rosyjski. Łatwo się domyśleć, że w działalności swojej „Matica" zwalcza kierunek ukraiński, za co sama nawzajem jest przez Ukraińców bojkotowana i zwalczana.

4. Bardziej ruchliwą organizacją jest Towarzystwo im. Michała Kaczkowskiego we Lwowie. Założone zostało w r. 1874 przez ks. Iwana Naumowicza, jako przeciwwaga wcześniejszej o pięć lat ukraińskiej „Proświcie" i przeznaczone do szerzenia oświaty wśród wiejskiej ludności. Do celu dąży przez zakładanie czytelni ludowych, wydawanie i rozpowszechnianie kalendarzy i broszur ludowych, urządzanie przedstawień ludowych, wieczorynek, „dni russkoj kultury" i tym podobnych imprez. „Tow. im. Kaczkowskiego", jakkolwiek w publikacjach swych ludowych posługuje się przeważnie językiem miejscowym (powoli zbliżając go do rosyjskiego), zawsze było rozsadnikiem idei wspólnoty narodowej Rusi galicyjskiej z Rosją i jako takie pozostawało w podejrzeniu u rządu austriackiego i u społeczeństwa polskiego. Poparciem władz, nawet Polaków, cieszyła się wtedy raczej ukraińska „Proświta", zwłaszcza od czasów tzw. „nowej ery", tj. ugody polsko-ukraińskiej z r. 1890 (pos. Romańczuk-Badeni). Zmieniło się to za czasów odrodzonej Rzeczpospolitej, tak że obecnie „Czytelnie Kaczkowskiego", zwłaszcza w pewnych okolicach kraju, jak na Łemkowszczyźnie, cieszą się poparciem władz, podczas gdy instytucja ukraińska spotyka się z wielu przeszkodami.

5. Polityczną organizacją obozu „staroruskiego" jest „Ruska Selańska Organizacja", wchodząca w skład „Rosyjskiego Zjednoczenia Narodowego" w Polsce. Obie te organizacje są obsługiwane przez prasowe organy: *Russkij Gołos* (od 1 stycznia br. gazetę codzienną) i ludowy tygodnik *Zemla i Wola*. Pierwszy wychodzi we Lwowie w czysto rosyjskim języku, drugi posiłkuje się przeważnie językiem ludowym. Warto tu jeszcze wspomnieć o organizacji kobiet pt. „Obszczestwo Russkich Żenszczyn", której organem jest rosyjski *Oczag* (Ognisko).

6 i 7. Wreszcie organizacjami społeczno-ekonomicznymi tego obozu są: Rewizyjny Związek Ruskich Spółdzielni we Lwowie i tamże Ruskij Rolniczij Sojuz. Zwłaszcza pierwsza z tych dwóch instytucyj usiłuje konkurować z licznie i bogato rozwijającymi się kooperatywami ukraińskimi, jak „Masłosojuz“ itp.

*

Z powyższego zestawienia instytucyj i stowarzyszeń, które prasa polska nazywać zwykła „staroruskimi“, albo po prostu „ruskimi“ (przez jedno *s*), i z charakterystyki ich działalności łatwo się przekonać, że dawny obóz „staroruski“ dawno już przewekslował na tory rosyjskie i przynajmniej w swojej warstwie przodowniczej dawni Starorusini, „moskalofile“, czują się dziś cząstką składową jednego wielkiego narodu „russkiego“ (przez dwa *s*) i dla ideologii tej usiłują pozyskać masy ludowe, które w większości jednak pozostają pod przewodem Ukraińców. To coraz bardziej świadome rosyjszczenie Rusinów galicyjskich wzmogło się w niepodległej Polsce dzięki napływowi do b. Galicji z innych dzielnic Polski prawdziwych Rosjan i nawiązaniu przez nich ścisłego kontaktu i współpracy z dawnymi „Hałyczanami“. Dzięki temu taki *Russkij Gołos* jest nie tylko organem regionalnym, ale obsługuje także Rosjan w całej Rzeczpospolitej od Wilna po Kołomyję.

Mówiliśmy wyżej, że rozłam między dzisiejszymi Rosjanami a Ukraińcami, zdecydowany w sferach przodujących, nie sięgnął może do dna duszy prostego ludu, który w gruncie rzeczy stanowi jeden i ten sam naród. Mówić o dwóch narodowościach autochtonów b. Galicji, tj. o Ukraińcach i Rosjanach (lub „Rusinach“) byłoby jeszcze przedwcześnie. Na razie dosyć stwierdzić, że lud ruski jest ciągniony przez swych przywódców w dwie różne strony — i być może, że coraz bardziej różnice te się pogłębiają.

Jaki zaś zasięg wpływów zdobyła każda z dwóch ideologii, możnaby poniekąd wnioskować z rubryki „języka ojczystego“ w spisie ludności z r. 1931. Ten sam język 1.600 tysięcy spisywanych określiło mianem „ukraińskiego“, zaś 1.200 tysięcy — nazwało go „ruskim“. Zdaje się wszakże, że siła obu obozów nie wyraża się w stosunku 4:3, lecz jest znacznie większa po stronie ukraińskiej. Mogła by tu posłużyć geografia rozmieszczenia ludowych instytucyj oświatowych, jak „Proświta“ lub katolicka „Skała“ po jednej, a czytelnie Kaczkowskiego po drugiej stronie. A jeszcze bardziej pouczającą będzie statystyka pism i książek ludowych, wydawanych przez jeden i przez drugi obóz, która ujawniłaby stosunek druków ukraińskich do „staroruskich“ co najmniej jak 9:1. Znamienne jest także, że „Starorusini“ nie posiadają w sejmie ani jednego posła, podczas gdy Ukraińcy mają ich czternastu. Tu należy zanotować wszakże ciekawą niekonsekwencję ze strony sfer polskiego społeczeństwa i kół politycznych polskich, że gdy oficjalnie nie uznaje się istnienia w byłej Galicji narodu rosyjskiego, gdy nie ma ani jednej szkoły państwowej rosyjskiej, gdy ugody przedwyborcze zawiera się jedynie z ukraińskimi organizacjami politycznymi (U. N. D. O.), to — prywatnie — organizacje polskie miejscowe okazują sympatie raczej „Starorusinom“, przymykając oczy na ich rosyjski już charakter, dlatego zapewne, że w nich widzą sojusznika w walce z ukrainizmem.

*

Pozostaje nam powiedzieć słów kilka o tym, jaki jest stosunek obozu „staroruskiego“ do zagadnień kościelnych, w szczególności do unii.

Najpierw trzeba stwierdzić z uznaniem, że ten obóz, w porównaniu z ukraińskim, w rzeczach religijnych wykazywał większy konserwatyzm, że w nim radykalne, wprost antyreligijne prądy miały mniejsze powodzenie. Ale zato, gdy w obozie ukraińskim czyniono wiele dla umocnienia unii Kościoła ruskiego z Rzymem, to w obozie staroruskim łatwiej znajdywały przytułek prądy sprzyjające prawosławiu. Dość przypomnieć, że „staroruski“ kler wydał dziesiątki księży, którzy szli na Chełmszczyznę pomagać rządowi rosyjskiemu w tępieniu unii. W samej nawet Galicji przy udziale działaczy tego obozu objawiały się żywsze ruchy w kierunku prawosławia, jak to wykazała w r. 1882 „sprawa hnilicka“, albo procesy polityczne w ostatnich latach przed wojną światową. Wielu wybitnych przedstawicieli tego kierunku, naprz. uczeni historycy, jak Hołowacki, lub księża, jak Iwan Naumowicz, kończyli porzucaniem unii i przesiedlali się do Rosji, nie przestając stamtąd wpływać na społeczeństwo ruskie w Galicji. Podczas wojny światowej także pewna liczba kapłanów tego kierunku porzuciła unię.

Tak było dawniej, lecz w zasadzie nie zmieniła się sytuacja i później... W ostatnich już latach prawosławie na Łemkowszczyźnie

szerzyło się pod hasłem „russkości“ i na podłożu krańcowego konserwatyzmu obrzędowego i nienawiści do ukrainizmu.

Obecnie życie religijne greko-katolików rozwija się wyłącznie w szacie ukraińskiej. Na platformie ukrainizmu stanęły wyraźnie, przynajmniej od lat dwudziestu, władze kościelne, z wyjątkiem tylko administracji apostolskiej Łemkowszczyzny; zakony męskie i żeńskie, stowarzyszenia religijne, jak sodalicje, mają oblicze ukraińskie; prasa religijna ludowa jest prawie całkowicie ukraińską.

Obóz „russki“ żadnego, albo prawie żadnego udziału w tym katolickim ruchu nie bierze, raczej zachowuje się względem niego obojętnie i biernie. [1])

Zwłaszcza trudno się dopatrzyć w tym obozie starań o umocnienie unii kościelnej; raczej obawiać się trzeba jej osłabienia, jeśli nie przygotowywania gruntu wprost pod prawosławie. Weźmy np. prasę tego obozu, taki *Russkij Gołos*. Zrozumiałe, że skoro stał się on dziennikiem rosyjskim, okazuje zainteresowanie dla rzeczy rosyjskich, a zatem i dla spraw Kościoła prawosławnego; z tego tytułu mógł by być gazetą wyznaniowo obojętną. Lecz widzimy w nim co innego. Wyczuwa się w samym sposobie traktowania rzeczy, w wyrażaniu się o nich, większe sympatie dla prawosławia, niż dla unii; ma się wrażenie, że dla redakcji prawosławie jest czymś bardziej swojskim, rodzimym, unia zaś czymś, co także się toleruje, co jest wszakże narzucone, bardziej „russkiej“ duszy obce. Temu się zresztą nie dziwimy, skoro redaktorzy *R. G.*, jak pp. Świtycz i Bendasiuk, o ile wiemy, a może i inni są prawosławnego wyznania. Lecz ten dziennik usiłuje przedostać się do sfer ludowych, należących do Kościoła grecko-katolickiego. Wszak na ostatnim zjeździe Towarzystwa im. Kaczkowskiego we Lwowie 25 marca br. uchwalono, by każda czytelnia go abonowała. Czy w ten sposób nie stanie się on, równocześnie z szerzeniem poczucia rosyjskości, także narzędziem propagandy prawosławia wśród unitów? To prawdopodobieństwo staje się tym większe, gdy się przypomni, że czytelnie im. Kaczkowskiego podtrzymują formalny kult swego założyciela, ks. Naumowicza, który unię porzucił, i że w swoich publikacjach mało mówią ludowi o unii, a wiele zato piszą o Rosji, o jej historii, i o prawosławiu, jako „russkiej“ narodowej wierze.

Przywódcy duchowni obozu mogli by nam odpowiedzieć, że Kościół unicki, dzięki jego hierarchii, stał się domeną polityki ukraińskiej, a zatem robi się duchowo obcym dla tych, którym są drogie jedność narodu „russkiego“ i tradycje dawnych stosunków cerkiewnych. Lecz, jak powyżej widzieliśmy, skłonności do prawosławia w obozie „staroruskim“ występowały silnie także wtedy, kiedy rządy cerkiewne spoczywały w rękach „staroruskich“, jak to było w epoce Kuziemskich, Malinowskich, pierwszego Sembratowicza! Trudno więc tłumaczyć je tylko reakcją przeciwko ukrainizmowi; raczej Ukraińcom łatwiej przedstawiać się w roli obrońców unii wobec niebezpieczeństw, grożących jej ze strony „starorusinów“.

Abstrakcyjnie rzecz biorąc, unia kościelna daje się pogodzić z przynależnością do każdego narodu, a zatem do rosyjskiego zarówno dobrze, jak do ukraińskiego. W faktycznych wszakże warunkach „galicyjskich“ rzecz się ma inaczej. Dlatego obóz „russki“, jeśli naprawdę rozumie religijną wartość jedności Cerkwi rodzimej z Kościołem katolickim i pragnie jedność tę utrzymać i wzmocnić, będzie musiał w swoich instytucjach i w swojej prasie pozakładać mocne filtry, któreby przeszkodziły wsiąkaniu w duszę ludu, wraz z ideą wspólnoty „russkiej“, także wpływów prawosławia.

Zresztą celem niniejszego artykułu nie jest udzielanie nauk halickim „Russkim“, Rosjanom, lecz zorientowanie polskiego społeczeństwa co do duchowego oblicza tak nazywanych obecnie „Rusinów“.

Ks. J. Urban.

[1]) Przed miesiącem ukazał się w *Russkom Gołosie* artykuł, nawołujący „russkich greko-katolików“ do ściślejszego zorganizowania się w celu wywalczenia dla siebie praw w cerkwi i wzięcia czynnego udziału w życiu cerkiewnym.

JURODSTWO, JAKO TYP RELIGIJNOŚCI ROSYJSKIEJ

Pewną, względnie dość często spotykaną w Rosji formą religijnego życia było *jurodstwo*. Jurodiwyje to w pojęciu Cerkwi rosyjskiej szczególny odrębny typ sług Bożych, szczególnie czczonych przez lud prosty, ale również respektowanych w sferach wyższych. Istotne cechy tego typu religijności i świętości wyraża nam właśnie sama nazwa: jurodiwyje, jurodstwo.

Jest to wyraz staro-słowiański, wywodzący się z pierwiastka *rod*, rodzić; z prefiksem *u*, albo *ju* — *urod, jurod* oznaczał twór, nie odpowiadający swej idei, zniekształcony, chybiony, kaleczy, słowem to, co w języku polskim oznaczamy nazwą „potwór". Jeżeli chodzi o człowieka, to wyraz ten oznaczał nie tylko kalectwo czy rażącą nienormalność fizyczną, ale podobnie braki umysłowe, niedorozwinięcie, matołkowatość, głupotę. W takim znaczeniu staro-słowiańscy tłumacze Pisma św. wprowadzili ten wyraz do Biblii, oddając przezeń greckie wyrazy *moroi, saloi* i im pokrewne. Jeżeli św. Paweł stwierdza, że nauka, którą głosi, ludziom patrzącym cieleśnie wydaje się „głupstwem", to w biblii słowiańskiej owo „głupstwo" mamy przetłumaczone na „jurodstwo" (I Kor. 2, 14). Apostołowie stali się dziwowiskiem dla świata, dla Chrystusa stali się takimi, że ich miano za „głupich" — *urodi* — (I Kor. 4, 9, 10). Oczywiście chodziło tu o tę „głupotę", która w oczach Bożych jest mądrością. Ale i prawdziwa głupota, brak rozumu, matołkowatość, bywała oznaczana wyrazem „jurodstwo" i dziwna rzecz, że lud ma skłonność do upatrywania w tego rodzaju upośledzeniu jakiegoś szczególnego „nawiedzenia" Bożego, jakiejś bliskości do Boga, zatem jakiejś jakby „świętości" takich upośledzonych. Z politowaniem dla nich zwykł łączyć pewien lęk, cześć, owszem przypuszczenie, że pod tą głupotą ukrywa się jakaś właśnie niezwykła mądrość i prawda. Głupi w jakimś znaczeniu staje się „człowiekiem Bożym" (i tak jest nazywany w Rosji), na Ukrainie nazywają go „bożewilnyj", głupotę czy wariactwo — „bożewilje".

Otóż na tym tle zapewne zrodził się osobny typ religijności ludzi, którzy nie będąc wcale umysłowo upośledzonymi, poczynali udawać takich, powodując się już to pokorą, pragnącą ukryć dary Boże pod maską głupoty, już to aby mieć udział we wzgardzie, w jakiej miano Chrystusa i Jego apostołów. Nazywało się to „stać się głupim dla Chrystusa". Taki „udający głupiego" starał się naśladować prawdziwych głupich w zewnętrznym zachowaniu się, w odzieży, w sposobie zwracania się do ludzi, w różnych nieobliczalnych dziwactwach i wybrykach. Rzeczywiście tacy „głupi dla Chrystusa" narażali się często na pośmiewisko ludzi, wzgardę, nawet na czynne przykrości i prześladowania, które cierpliwie znosili, ale u innych, którzy poznali się, że głupota jest udana i to z pobudek wyższych, zyskiwali na czci, niejednokrotnie słuchano ich powiedzeń i liczono się z nimi. Dopatrywano się u nich głębszej mądrości od Boga, spodziewano się daru przenikania dusz, proroctwa. Stanowiło to na tle religijnym i kościelnym pewnego rodzaju analogię do typu ludzi, jakich lubiano w średniowieczu utrzymywać na dworach pańskich pod nazwą „błaznów", „trefnisiów", którzy rozśmieszając i bawiąc swoją udaną głupotą umieli dowcipnie przemycić niejedną śmiałą prawdę i upomnienie.

Ten typ religijności, ascezy, sięga czasów starożytnych. Pierwszą znaną tego rodzaju „głupią" jest św. Izydora w Egipcie (umarła około r. 365), której pamięć jest czczona na Wschodzie 10 maja. Następnie są wymieniani: Serapion Sidonit (14. V.), którego ubranie stanowił jedynie szeroki pas około bioder, Besarion cudotwórca (V w.), którego święto obchodzi się 6 czerwca, św. Szymon (VI w.), pamięć jego 21 lipca, i jego uczeń Jan oraz niejaki Tomasz. Odnośnie do tych wczesnych „głupich" zachowało się bardzo mało szczegółów biograficznych. Żywoty późniejszych ich naśladowców w Bizancjum lepiej są znane, ale i one nie obfitują w szczegóły, bo każdy „jurodiwy" dbał o to, aby być policzony „jako plugastwa tego świata, śmieci wszystkich" (I Kor. 4, 13).

Postać jednego takiego świętego, Andrzeja słowianina, który żył w epoce cesarza Leona Filozofa (886—912), została utrwalona na ikonie święta Opieki Najśw. Bogarodzicy, ustanowionego w połowie X wieku na pamiątkę obrony Konstantynopola od Saracenów. Wtedy to, 1 października, w kościele Bogarodzicy we Włachernie Andrzej i jego

uczeń Epifaniusz pierwsi ujrzeli Bogarodzicę, w otoczeniu aniołów, rozpościerającą nad zebranym a modlącym się ludem swój płaszcz, *omoforion*, na znak opieki i pomocy.

Ten rodzaj religijności nie był obcy i Zachodowi, gdzie znane są imiona św. Ulpii z VIII wieku, Jana Kolumbana z w. XIV, św. Jana Bożego z w. XVI; można tu zaliczyć i św. Franciszka z Assyżu w wielu momentach jego życia.

Lecz krajem, w którym typ „głupich dla Chrystusa", *jurodiwych*, rozpowszechnił się najbardziej, była Ruś kijowska, a później moskiewska. Już w wieku XI Latopis Ipatiewski zapisuje niejakiego Izaaka, niegdyś kupca, potem mnicha klasztoru kijowsko-pieczarskiego. Źródła hagiograficzne podają główne rysy tego ascety: „Unikając chwały ludzkiej, oblókł się Izaak w włosienicę i grubą wierzchnią szatę i zaczął wędrować po świecie, *po miru choditi* i *urodstwo tworiti*. Umarł on 1090 r., a pamięć jego obchodzi się 14 lutego.

Drugim jurodiwym był Mikołaj Światosza, syn księcia czernihowskiego Dawida; umarł on w r. 1107, pochowany został w kijowsko-pieczarskiej ławrze.

W czasach książąt udzielnych, niewoli tatarskiej, potem za okrutnych rządów Iwana Groźnego, kiedy na Rusi działo się wiele niesprawiedliwości i lud doznawał strasznego ucisku, jurodiwyje występowali częstokroć w roli obrońców uciśnionych, *pieczalników*, głośno piętnując wszelką niesprawiedliwość, egoizm, chciwość, samowolę możnych i panujących. Im właśnie niejedna śmiałość uchodziła bezkarnie, jaka nie uszła by nawet biskupom. To też lud garnął się do nich, nazywał ich „błogosławionymi", *błażennyje*, nawiązując do „błogosławieństw na górze" (Mat. 5, 22). I ta nazwa stanie się dodatkową nazwą jurodiwych. Rozkwit jurodstwa na Rusi moskiewskiej przypada na XIV—XVI stulecia. Nawet po zwycięstwie polityczno-rytualistycznego kierunku Józefa Wołokołamskiego (1439—1515), obrońcy ideologii państwowej Moskwy, jurodiwyje obok „starców" pozostawali jakby wyrazicielami chrześcijańskiego sumienia w społeczeństwie. Nie ulegają oni opinii świata, odważnie występują przeciw fałszom w życiu prywatnym i społecznym. Słowem, chociaż asceza jurodiwych, powstała na Wschodzie, była surową, nie była ona wszakże zamkniętą w sobie ascezą pustelników. Jurodiwyj, zrywając z duchem świata, nie uciekał od ludzi; ukrywając swe życie wewnętrzne pod szatą pozornego szaleństwa i broniąc siebie tym sposobem od pychy i miłości własnej, pełnił służbę względem bliźniego, względem społeczeństwa. Nic dziwnego, że jurodiwyje znajdywali uznanie ze strony urzędowego Kościoła. W ciągu wieków XIV—XVI metropolia uznała za świętych przynajmniej dziesięciu jurodiwych.

Przytoczymy wiadomości o niektórych przynajmniej jurodiwych Rusi moskiewskiej owych czasów.

Ziemia W. Nowogrodu zachowuje pamięć o następujących jurodiwych, którzy wytykali ujemne strony życia polityczno-społecznego. Błażenny Mikołaj Kaczałow (um. w r. 1392) obrał na teren swej działalności Zofijską dzielnicę miasta, dzielnicę Targową po przeciwnej stronie rzeki Wołchowa objął w posiadanie współczesny mu jurodiwyj Teodor; w nich jak w zwierciadle mamy odbicie walk partyjnych w Nowogrodzie; oni przestrzegali mieszczan przed groźnymi następstwami utraty swej politycznej i kulturalnej wolności. Swym postępowaniem obaj kontynuowali działalność mnichów i biskupów z wieków poprzednich, którzy pracowali nad zachowaniem pokoju.

Inny jurodiwyj, Michał Kłopskij († 1452 r.),[1] mnich klasztoru św. Trójcy koło Nowogrodu, usiłował ukrywać swoje pochodzenie, uważany był jednak za bliskiego krewnego przez księcia Konstantyna Dymitriewa. Podczas panującego głodu starał się o rozdawanie żywności ubogim oraz śmiało piętnował niesprawiedliwości, czynione przez Dymitra Szemiakę; miał się odznaczać darem jasnowidzenia. Święto jego obchodzą dnia 10 stycznia. Do tej grupy nowogrodzkich jurodiwych trzeba dodać jeszcze Jakóba Borowickiego, zmarłego w r. 1540.

Na ziemi Pskowskiej podobną społeczną rolę spełnił jurodiwyj Mikołaj Sałos (um. 1576 r.). Według podania miał on spotkać Jana IV Groźnego za miastem, przy kościele jednego z klasztorów, kiedy ten car szedł w 1570 r. na Psków. Jurodiwyj wyszedł naprzeciw z kawałkiem surowego mięsa w ręku i udawał jakoby zabierał się do jedzenia. Ponieważ był to wielki post, car okazał zdziwienie z tego powodu; wtedy jurodiwyj odparł, że car gotuje się do czegoś gorszego, bo do przelewu krwi ludzkiej i karmienia się ciałami ludzi. Mikołaj pogroził mu karą nieba i tak uratował Psków od zagłady. Je-

[1]) Samo nazwisko zdaje się wywodzić od greckiego *klopios*, co znaczy także głupi, a zatem jurodiwyj. Zob. Słownik Lindego.

żeli się wspomni, że dopiero przed rokiem tenże Groźny kazał zamordować metropolitę moskiewskiego Filipa za to, że go upominał, to się przyzna, że jurodiwyj okazał w danym razie odwagę nie lada.

Moskwa też miała swojego jurodiwego. Był nim Bazyli Błażennyj (błogosławiony). On również nieraz karcił Groźnego. Aby napiętnować obłudę i faryzaizm, nieraz obrzucał kamieniami domy mających pozór cnoty, a całował ściany, gdzie mieszkali grzesznicy, bo około nich, jak on mówił, anieli płaczą i oczekują ich nawrócenia. Szczególnie występował Bazyli przeciwko nieuczciwym kupcom i bojarom. Urodził się Bazyli w 1469 r. w osadzie Elechowie pod Moskwą. Jako chłopiec był czeladnikiem szewskim; już wtedy, według legendy, odznaczał się darem jasnowidzenia. Gdy pewnego dnia żądał gość butów takich, które by wytrzymały wiele lat, Bazyli uśmiechnął się, a zapytany o przyczynę, odpowiedział, że napróżno gość troszczy się o lat kilka, bo jutro umrze, i tak stało się. Mając szesnaście lat Bazyli porzucił rzemiosło i został jurodiwym; włożył na siebie *wierigi*, tj. okowy i puścił się na wędrówkę, pouczając lud. W „Stiepiennoj Knigie“ przechował się szczegół, że w przeddzień wielkiego pożaru, który strawił prawie całą Moskwę (r. 1547), Bazyli długo modlił się przed klasztorem Wniebowstąpienia „na ostrogie“, gdzie nazajutrz wszczął się ów pożar. Groźny bał się i czcił Bazylego, jako mającego dar czytania w duszach. Umarł Bazyli w 1552 roku. Obok jego grobu stała cerkiew św. Trójcy. Po zajęciu Kazania (1554 r.) Groźny wybudował tu *ex voto* drewnianą cerkiewkę na cześć Bogarodzicy (Pokrowa), a po roku rozpoczął budowę murowanej świątyni, którą ukończono już za czasów jego syna Teodora. Teodor, sam bardzo pobożny, kiedy znaleziono grób jurodiwego, kazał wybudować nową kapliczkę ku czci Bazylego. Bazylemu poczęto przypisywać różne cuda, wobec czego patriarcha moskiewski Hiob uznał go za świętego. Następnie całą tę świątynię zaczęto nazywać „Wasilij Błażennyj“. Stanowi ona charakterystyczną ozdobę „Czerwonego Placu“ w Moskwie *(zob. ryc.)*. Święto Bazylego obchodzi się 2 sierpnia. Z innych jurodiwych moskiewskich należy wymienić: Jana, z przydomkiem „wodonosiec“ (um. w r. 1589), który według podania przyszedł do Moskwy z salin północy; relikwie jego zostały odnalezione w 1672 r. i Maksyma, cudotwórcy, którego pamięć obchodzi się w Moskwie 11 listopada.

Uściug, miasto w ziemi Wołogodskiej, zachowało pamięć o jurodiwym Prokopie (um. 1303 r.), który, jak mówi o nim tekst liturgiczny, „przez ascezę jurodstwa osiągnął głębię mądrości i na lekkich skrzydłach odleciał od burzliwego świata“. Pochodził on z bogatej rodziny, ale porzucił wszystko i stał się bezdomnym. Za dnia zwykle występował jako jurodiwyj, większą zaś część nocy spędzał na modlitwie. Słynął z daru poznawania dusz i uzdrawiania chorych. Został on kanonizowany w 1547 roku; święto jego, jako patrona miasta, obchodzono dnia 8 lipca. Drugim jurodiwym w Uściugu był Jan (um. w 1494 r.); pod jego wpływem matka jego wstąpiła do klasztoru Orłowskiego, gdzie została przełożoną, co świadczy o tym, że i sam Jan należał do sfery bardziej wykształconej. Nad jego grobem wybudowano kościół, święto jego pamięci przypada na dzień 29 maja.

Rostow miał jurodiwego św. Izydora (um. 1474 r.). Według podania miał on być wychodźcą z Niemiec; grób jego znajdował się w kościele Wniebowstąpienia, pamięć jego obchodzą dnia 14 maja. Drugim jurodiwym Rostowa był Jan Włosatyj (um. 1580 r.); legenda podaje, że i on również był z Zachodu.

Kaługa posiadała jurodiwego Ławrentia (um. 1515 r.), mnicha z szlacheckiego rodu Chytrowych; zamieszkiwał on w pobliżu pewnej świątyni, gdzie później został wybudowany klasztor Ławrentiew, niedaleko od Kaługi. Pamięć jego obchodzono 10 sierpnia, tj. w dniu, kiedy Kościół zachodni obchodzi święto rzymskiego męczennika diakona Wawrzyńca (III w.).

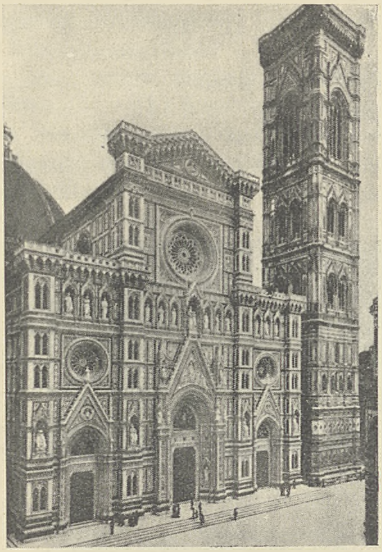
W Wiatce czczony jest jurodiwyj Prokopij (um. 1627 r.) i pochowany w klasztorze Zaśnięcia Bogarodzicy; święto jego 21 grudnia.

Jurodiwyje stracili na reputacji w połowie XVII wieku, kiedy na tle liturgicznych reform patriarchy Nikona wybuchł rozłam i zwolennicy starych obrzędów i starych ojczystych zwyczajów oderwali się od Kościoła urzędowego. Ponieważ po stronie staroobrzędowców występowali różni jurodiwyje, których trudno było odróżnić od jurodiwych prawosławnych, przeto władze kościelne i świeckie ustosunkowały się do jurodiwych w ogóle niechętnie. Zaprzestano też kanonizować jurodiwych. Ale i w tym czasie sam Nikon przeniósł z wielką czcią z klasztoru Borowickiego do klasztoru Iberyjskiego na jeziorze Wałdajskim część relikwii jurodiwego Jakóba Borowickiego, o którym już była wzmianka powyżej. Jeszcze surowiej

ORIENS
MAJ-CZERWIEC 1939



J. ŚW. PIUS XII
błogosławi całemu światu w dniu koronacji



FLORENCJA. — Katedra, w której odczytano akt unii kościelnej w r. 1439



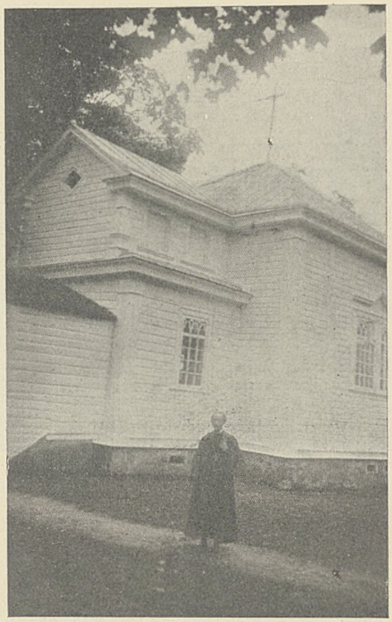
MOSKWA. — Sobór Uspieński. Na tym miejscu, w soborze starszym, ogłoszono unię w r. 1441



FLORENCJA. — Kościół M. Bożej „Nowej", miejsce obrad Soboru Florenckiego 1439 r.



MOSKWA. — Cerkiew pod wezwaniem „Wasylia Błażennago“, jednego z „jurodiwych“ (zob. artykuł)



DELATYCZE (Nowogródzkie). — Cerkiew unicka ze swoim proboszczem



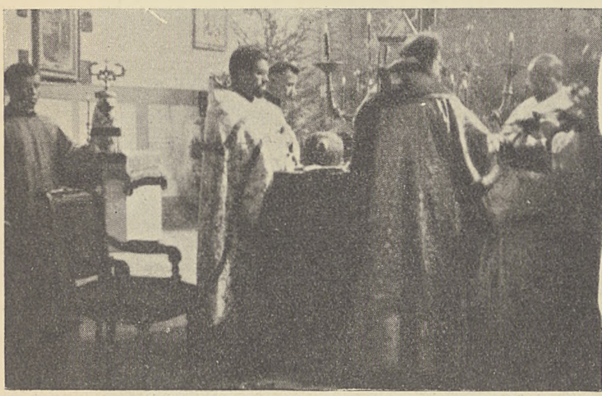
LWÓW. — Św. Jur, katedra gr.-kat. i gmachy kapitulne



DUBNO. — Seminarium Wschodnie od strony północnej

DUBNO. — Święcenia kapłańskie wsch. obrz.





DUBNO. — Moment z ceremonij święceń



DUBNO. — Moment konsekracji podczas liturgii

przeciwko jurodiwym wystąpił Piotr W., zabraniając im wędrówek *(stranniczestwa)* i żebraniny. Te zakazy zostały obostrzone następnie w r. 1732. Ale żadne zakazy i represje nie zdołały wykorzenić jurodstwa, które weszło w krew i kości religijności rosyjskiej i typ ten spotykany był często aż do progu rewolucji rosyjskiej.

Za czasów samego Piotra W. słynął jurodiwyj T a d e u s z i to w Petrozawodsku, mieście, gdzie Piotr założył wielkie warsztaty i huty żelaza. Tadeusz odznaczał się zamiłowaniem wspaniałych nabożeństw liturgicznych, z tego powodu zwalczał starowierów-bezpopowców, którzy takich nabożeństw byli pozbawieni. Drugą jego cechą było umartwienie: włożył on na siebie ciężki łańcuch i krzyż, które razem tworzyły jego okowy *(wierigi)*. Zapewne zostały one wyrobione w miejscowych warsztatach, p o w s t a ł y c h z w o l i cara Piotra. Jurodiwyj, zakuty w te kajdany, symbolicznie wyobrażał życie Kościoła, zakutego w kajdany przez reformę Piotra W. Car tolerował Tadeusza, póki ten nie zapowiedział mu 1724 r. rychłej śmierci; wtedy Piotr kazał go uwięzić, lecz w obliczu śmierci zwolnił go z więzienia (umarł Piotr W. w styczniu 1725 r.).

W Petersburgu za panowania córki Piotra W. Elżbiety czczono jurodiwą K s e n i ę Popowę. Mając lat 26 straciła ona męża, śpiewaka chóru cesarskiego; wtedy ubrana po męsku i pod imieniem nieboszczyka zaczęła „jurodstwować". Noce spędzała na modlitwie, w dzień zaś pracowała przy budowie cerkwi. Po pewnym czasie zaczęła z powrotem nosić suknie kobiece, lecz dobierając dziwaczne kolory. Miała ona przepowiedzieć dzień śmierci carowej Elżbiecie (um. 1763 r.). Jej modlitwom przypisywał uzdrowienie swoje z tyfusu Aleksander III, gdy był jeszcze następcą tronu. Z wdzięczności córkę, która mu się urodziła wkrótce potem (w 1875 r.), nazwał Ksenią.

Już na przełomie XVIII i XIX stuleci znany był w Ugliczu gub. Jarosławskiej nad Wołgą, jako jurodiwyj k a p ł a n P i o t r, urodzony w 1782 r. Już po uzyskaniu święceń kapłańskich dostał epilepsji, a gdy stan jego pogorszył się, został pozbawiony funkcyj kapłańskich i umieszczony w szpitalu dla umysłowo chorych. Następnie powrócił on do rodziny; lecz tam przez lat czternaście trzymano go przykutego na łańcuchu. Jedni uważali go za wariata, inni udawali się do niego jako do mądrego kierownika duchownego. Umarł w późnej starości w 1866 r., pochowany w klasztorze wybudowanym jego staraniem.

Ziemia Tambowska wydała jurodiwego A n t o n i e g o Z a d o ń s k i e g o. Mając siedem lat, po śmierci matki został wygnany z domu przez ojczyma. Zaczął więc pędzić życie w lesie w pobliżu klasztoru, w którym swojego czasu zamieszkiwał jako zwyczajny mnich biskup Tychon Zadoński (um. 1783 r.), Antoni całe życie spędził w tym lesie w cieniu klasztoru. W rysach jego było coś nadziemskiego, był on cichy, łagodny, chodził ubrany w biały kaftan z czerwonym pasem. Mówiono o nim, że miał dar przenikania dusz oraz uzdrawiania chorych. Lud ściągał do niego, szukając porad. Umarł w r. 1851.

W tym samym czasie żyła tam jurodiwa E u f e m i a, która przybyła do Zadońska w 1808 r. i tam doznawała wielkiej czci ze strony Antoniego Zadońskiego. Życie ascetyczne rozpoczęła ona mając lat czternaście. Z początku, jak w eremie, żyła w chatce około kościoła swej wsi, dokąd ojciec i matka przynosili jej chleb i wodę; po tej próbie obrała dla siebie jurodstwo. Wielu wieśniakom wyrzucała ich grzeszne postępowanie, za co niektórzy ją bili; to trwało aż do groźnego pożaru, który ona przepowiedziała. Wtedy zaczęto otaczać ją szacunkiem. Po przybyciu do Zadońska skupiła ona około siebie rodzaj bractwa dla przyjmowania i obsługi pielgrzymów i sama jako „starica" stała na czele tego zgromadzenia. Wielu przychodziło do niej po porady duchowne. Umarła w sędziwej starości r. 1860 i została pogrzebana obok starca Jerzego w klasztornej cerkwi.

Ciekawą postacią wśród jurodiwych XIX wieku był J a n K o r e j s z a. Syn księdza prawosławnego w Smoleńsku, średnie wykształcenie otrzymał w seminarium, wyższe w akademii duchownej. Nie został jednak kapłanem, ale nauczycielem w jednej ze szkół duchownych. Po pewnym czasie wybrał się w długą pielgrzymkę, odwiedzając różne klasztory i pracując w nich fizycznie razem z bracią klasztorną. Następnie uczył w szkole, ale nie długo, wrócił bowiem do Smoleńska i wstąpił na drogę jurodstwa. Na mieszkanie wybrał sobie opuszczoną łaźnię. Aby pozbyć się odwiedzających napisał, że wchodzić do niego można tylko czołgając się na kolanach. Największą część dnia i nocy spędzał na modlitwie. W takim stanie pozornie obłąkanego zastał go rok 1812. Pomimo tego ludzie stale przychodzili do niego, szukając porad duchownych. Jedni go kochali i czcili; inni, którym wytykał grzechy, odnosili się

do niego wrogo. Korejsza, obierając drogę jurodstwa, jakby przeczuwał koleje swego życia. Oto zjawił się w Smoleńsku pewien bogaty i wpływowy urzędnik, który niby starał się o rękę urodziwej córki niebogatej wdowy. Matka panny nie wiedząc, że konkurent ma już żonę i dzieci, udała się do Korejszy po radę. Korejsza wyjawił jej prawdziwy stan rzeczy i zamiary wysokiego urzędnika spełzły na niczym. Zato zemścił się on na jurodiwym: wpływami swymi dopiął tego, że Korejszę jako wariata w tajemnicy wywieziono do Moskwy, do domu obłąkanych i wzięto „na łańcuch“ w lokalu pozbawionym światła, powietrza, bez dostatecznego pożywienia i ciepła. W takich okropnych warunkach spędził Korejsza trzy lata, dopóki nowy lekarz zakładu, spostrzegłszy pomyłkę, nie zlitował się nad okropnym położeniem jurodiwego. Cierpienia odbiły się na Korejszy: zewnętrznie robił wrażenie rzeczywiście obłąkanego, ale w spojrzeniu smutnym można było wyczytać jakąś ukrytą mądrość. Umieszczony w jasnym pokoju, otrzymał pozwolenie przyjmowania odwiedzających. Wtedy jednak wydzielił dla siebie małą przestrzeń w kącie i tych „granic“ nie przekraczał, niby „przykuty niewidzialnym łańcuchem“; nigdy też nie siadał, lecz leżał, albo stał. Zajęcie jego polegało na ciągłym tłuczeniu szkła i kości. Z dawanych mu jałmużn wszystko rozdawał innym ubogim, pieniądze szły na polepszenie doli prawdziwych obłąkanych. Tak spędził czterdzieści lat. Pomimo swego urzędowego obłąkania pisywał listy do ówczesnego metropolity Filareta, podpisując się „student zimnych wód“.

W guberni Niżniego Nowogrodu słynęła jurodiwa P e l a g i a Iwanowna S e r e b r e n n i k o w a (nazywano ją „Serafim Serafima“). Urodzona 1809 r. w m. Arzamasie w zamożnej rodzinie, nagle z żywego, mądrego dziecka stała się „prostaczką“. Mając lat siedemnaście, została wydana zamąż. Podczas tzw. *smotryn,* kiedy narzeczony przyjechał, aby zobaczyć przyszłą swą żonę, Pelagia zaczęła polewać kwiaty, stanowiące deseń jej pięknej sukni. Mimo wszystko Pelagia podobała się młodemu kupcowi i ślub został zawarty. Wkrótce wybrała się do starca Serafima Sarowskiego (1760—1833), który rozmawiał z nią bardzo długo i podarował jej różaniec. Prawdopodobnie wtedy otrzymała także od niego „błogosławieństwo“ na jurodstwo. Z razu pobożność jej polegała na długich modlitwach, na które wstawała po nocach. Wydała na świat dwóch synów, którzy pomarli w dzieciństwie. Kiedy urodziła się jej córka, Pelagia oddała dziecko swojej matce, rozdała ubogim wszystko co miała i opuściła dom, stając się żebraczką przy kościołach. Mąż przemocą sprowadzał ją nieraz do domu, biciem zmuszał do uległości, nawet przykuł ją do ściany łańcuchem. Mimo wszystko udało jej się znowu uciec. Nareszcie mąż wyrzekł się jej. Zostawszy sama, spędzała czas na modlitwie, po lasach, pod gołym niebem. Kiedy umarł starzec Serafim Sarowski (1833 r.), mniszki założonego przez niego klasztoru prosiły ją, aby przy nich zamieszkała. Zgodziwszy się na to, Pelagia resztę swojego życia (47 lat) spędziła w Diwiejewie, ale na mieszkanie obrała sobie loch, i dopiero nienadługo przed śmiercią zamieszkała w celi. Umarła w r. 1884.

Za panowania jeszcze Aleksandra I mieszkała w Tichwinie, w ziemi Nowogrodzkiej, jurodiwa W i e r a M i l c z ą c a. Z charakteru jej pisma można wnioskować, że pochodziła ona z inteligentnych sfer społeczeństwa.

Przed samą rewolucją można było w Petersburgu spotkać M a t r i o n ę bosonożkę, nazwaną tak dlatego, ponieważ nigdy, nawet podczas mrozów, nie nosiła obuwia. Podobno była to wdowa po żołnierzu, który zginął podczas wojny tureckiej 1878 r.

Przytoczyliśmy bardziej znane przykłady rosyjskiego jurodstwa. Dla ludzi Zachodu i to w XX wieku mają one posmak jakiegoś dalekiego egzotyzmu. Same w sobie może one nie są czymś nadzwyczajnym i zapewne w każdym kraju i w każdym czasie znalazły by się okazy ekscentryków nawet na polu życia religijnego. Ale w Rosji ten typ świętości cieszył się jakimś szczególnym uznaniem, nadawał pewne charakterystyczne piętno rosyjskiej religijności. Sprzyjał wielce temu cały układ życia rosyjskiego, zespół polityczno-kościelnych stosunków, w których jakby nie spodziewano się możliwości realizacji ewangelii w warunkach życia normalnego. Ateizm bolszewicki, który wystąpił do walki z uorganizowaną religią, prawdopodobnie nie tylko nie zdołał wykorzenić tego rodzaju „mistycyzmu“, jakim jest jurodstwo, lecz raczej stworzył warunki, w których ono może bujniej rozkwitnąć. O różnych takich objawach religijności we współczesnej „zracjonalizowanej“ Rosji spotykać można wzmianki w pismach bezbożniczych. Zapewne i ci „głupi dla Chrystusa“ przyczynią się na swój sposób do ostatecznego triumfu religii nad bezbożnością.

Zofia Licharewa.

SZLACHTA ZAGRODOWA I POLACY GRECKIEGO OBRZĄDKU

W naszej polityce narodowościowej i kościelnej na terytorium województw południowo-wschodnich, czyli wschodniej części b. Galicji, wyłoniły się w paru ostatnich latach dwie sprawy, stanowiące przedmiot zarówno częstych omawiań w prasie, jak i pewnej akcji „w terenie“. Są to sprawy: organizowania szlachty zagrodowej i sprawa Polaków greckiego obrządku. Czy są to dwie sprawy całkowicie różne, czy może wzajemnie się zahaczające jedna o drugą lub nawet stanowiące jedno zagadnienie, nie chcemy z góry przesądzać, pozostawiając samemu Czytelnikowi sformułowanie sobie odpowiedzi po zaznajomieniu się z poniższym przedstawieniem rzeczy. Tak samo sam Czytelnik zrozumie czy omawiane zagadnienia są stare, które jedynie w ostatnich latach stanęły przed świadomością polskiej polityki, czy też są one nowe, w ostatnich latach stworzone.

1.

Mniej więcej przed pięciu laty w pewnych patriotycznych, przeważnie wojskowych kołach zwrócono uwagę na istnienie wzdłuż całego niemal Podkarpacia licznych gniazd drobnej szlachty, wyznającej katolicyzm greckiego obrządku i zaliczanej do narodowości ruskiej. W trosce o wzmocnienie w tej połaci kraju żywiołu polskiego, a co za tym idzie i wzmocnienie politycznego bezpieczeństwa w tym nadgranicznym pasie Rzeczpospolitej zjawiła się myśl, by w tych celach wyzyskać ową szlachtę zagrodową, zespalając ją ściślej z polskością.

Widoki powodzenia tego rodzaju akcji opierały się na pewnych realnych przesłankach. Pomijając już, że podobna akcja mogła z góry liczyć na wydatne poparcie sfer rządowych, widoki jej wzmagała ta okoliczność, że owe zagrody drobno szlacheckie i za starej Rzeczpospolitej i nawet za zaboru austriackiego nieraz dostarczały społeczeństwu polskiemu licznych jednostek, które wybiwszy się nieco ponad swój zaściankowy poziom, przenikając dzięki wykształceniu w szeregi inteligencji, nie tylko nabywały patriotycznego poczucia polskiego, ale wprost zrywały ze swym rodzimym podłożem, rozpływały się w żywiole polskim i niejednokrotnie oddawały wielkie kulturalne i polityczne usługi polskości. Dało by się ułożyć długą litanię nazwisk, należących do niewątpliwych już dziś Polaków-łacinników, dla polskości wielce zasłużonych, a identycznych z nazwiskami szlacheckiej drobnicy, zagubionej gdzieś po karpackich kątach, chodzącej do cerkwi i używającej potocznie języka ruskiego. Narzucało się więc pytanie: czemużby nie spróbować obudzenia w masie tej drobnicy podobnych polskich uczuć, jakimi nasiąkli już dawno poszczególni spośród tej masy szczęśliwi wychodźcy?

I jeszcze jedna okoliczność obiecywała ułatwienie w tym zadaniu. Ta zagonowa, nieraz bosa szlachta, w poczuciu swej stanowej odrębności, opierała się rozpłynięciu się i zlaniu z masą chłopską, pomimo że łączyły ją z nią ta sama potoczna mowa, ten sam obrządek i ta sama bieda. Pewna ekskluzywność zaznaczała się wystrzeganiem się związków małżeńskich z chłopami, swoistymi zwyczajami, poczuciem jakiejś wyższości. To prowadziło nawet w spólnej cerkwi do pewnych wyodrębnień, np. tu i ówdzie szlachta miała osobne, a chłopi osobne w świątyni miejsca do stania. Nieraz szlachta, w ogóle butniejsza i skłonniejsza do sporów i procesowania się, dawała się we znaki nawet swoim proboszczom, pomimo że ci w wielkiej ilości byli z nią swoim pochodzeniem związani. Stąd nie dziw, że społeczeństwo ruskie, zwłaszcza jego inteligencja ukraińska, na ogół bardzo demokratyczna i radykalna, odnosiła się do swojej szlachty z lekceważeniem, traktując szlacheckie jej ambicje jako objaw wstecznictwa. Ale ten właśnie stanowy antagonizm między szlachtą zagrodową a resztą ludności grecko-katolickiej nadawał się znakomicie do tego, by o niego zaczepić akcję pozyskania „szlacheckiej braci“ dla polskości.

Akcję taką zapoczątkowano w r. 1935 zwołaniem paru zjazdów szlachty podkarpackiej i założeniem Związku Szlachty Zagrodowej (Z. S. Z.). Inicjatorzy tej imprezy przeszli do porządku dziennego nad pewnego rodzaju anachronizmem tworzenia tego rodzaju stanowej organizacji w XX wieku, szczególnie w Polsce, która zaraz w zaraniu swej niepodległości zniosła wszystkie tytuły rodowe i przywileje, płynące z tytułu pochodzenia szlacheckiego.

Na czele całej akcji, jako prezes Związku Szlachty Zagrodowej, stanął kapelan wojsko-

wy, ks. dziekan Miodoński. Zarówno Czcigodny Prezes, jak i duża liczba pionierów tego ruchu, niewątpliwi Polacy i łacinnicy, pochodzeniem swoim stali poza masą owej szlachty grecko-katolickiej, o której uświadomienie w polskości Związkowi przede wszystkim chodziło.

Związek, przy życzliwej protekcji administracji państwowej, szybko się rozrastał. Już w pierwszym roku istnienia zdołał zorganizować trzy tysiące szlachty, obliczając ilość ogólną takiej szlachty na Podkarpaciu na 100 tysięcy. Odrazu postawiono sprawę tak, że Związkowi nie chodzi o polonizację niewątpliwych Rusinów czy Ukraińców (bo już takiego rozróżnienia zaczęto wtedy używać w publicystyce polskiej), ale o o d z y s k a n i e d l a p o l s k o ś c i stu tysięcy niegdyś polskiej, a z biegiem czasu „zruszczonej“ szlachty. Szybko jednak zasięg zamierzeń Związku wzrastał. W r. 1937 mówiono już, że takiej szlachty na samym Podkarpaciu jest 250 tysięcy; taką cyfrę podał w swej broszurze „Rycerstwo polskie Podkarpacia“ jeden z głównych działaczy w tej akcji, senator Wł. Pulnarowicz (str. 29 cyt. broszury). Tymczasem i cyfra szlachty, zorganizowanej przez Związek, szybko szła w górę. Jeśli wierzyć najświeższym wiadomościom prasowym, w lutym 1938 r. osiągnęła ona 60.000, w październiku wynosiła 125.000, na dzień zaś 1 stycznia br. wzrosła do 245.000 członków, skupionych w paru tysiącach kół. Jak widzimy, przekroczyła wielokrotnie pierwotne zamierzenia i nadzieje Związku, który z początku sięgał tylko po sto tysięcy, licząc w to i dzieci, a nawet obliczenia z przed dwóch lat senatora Pulnarowicza. Związek posiada własny organ pt. *Pobudka*, wydawany w Przemyślu o nakładzie już 10 tys. egzemplarzy. Związek założył setki bibliotek, świetlic, kilka burs dla młodzieży, rozwija działalność ekonomiczną, zakłada współdzielnie i kasy, dba o wychowanie fizyczne i higienę, zakłada łaźnie ludowe itd.

W związku z kolosalnym wzrostem ilości szlachty zagrodowej, zorganizowanej w kołach Związku, trzeba było znacznie podnieść ogólną cyfrę szlachty, boć Związek bynajmniej nie rezygnuje z dalszego ilościowego rozwoju, a zatem musi odkrywać nowe zastępy, mające być wciągniętymi do organizacji. Sięgnięto więc najpierw do wyników spisu ludności, dokonanego w r. 1931, a więc na cztery lata przed powstaniem Związku Szlachty Zagrodowej. Spis ten, który w rubryce „języka ojczystego“ wprowadził rozróżnienie między językiem „ukraińskim“ a „ruskim“, naliczył w trzech województwach południowo-wschod. [1]) Ukraińców 1,675.300, Rusinów —1,139.000, razem obu tych denominacyj 2,814.300 głów. Ponieważ zaś w obliczeniach według wyznań tenże spis wykazał na tymże terytorium greko-katolików 3,256.300, przeto pozostawało 442 tysiące greko-katolików, nie będących ani Ukraińcami ani Rusinami, którzy też zaliczeni zostali do narodowości polskiej. Doliczając naturalny przyrost za kilka lat, zyskiwano cyfrę półmiliona Polaków greko-katolików, którą też niektórzy publicyści utożsamili z ową „zruszczoną“ szlachtą zagrodową. Tę cyfrę 500.000 szlachty zagrodowej podał Kalendarz S. Z. na r. 1939 (str. 138).

Uważnemu badaczowi tych cyfr nasuwają się wszakże następujące wątpliwości. Pierwsza dotyczy zgodności językowych cyfr spisu z r. 1931 z faktycznym stanem rzeczy, nie jest bowiem żadnym sekretem, że przy tego rodzaju spisach zdarzają się pewne niedokładności w podawaniu narodowości lub języka ojczystego przez samych spisywanych lub w zapisywaniu tych danych przez przeprowadzających spis — które to niedokładności zwykle wychodzą na korzyść narodowości panującej. Tak bywa wszędzie i nie ma szczególnego powodu do twierdzenia, że w Polsce takie niedokładności są absolutnie wykluczone. W takim razie może z liczby 442 tysięcy Polaków greko-katolików należało by strącić jakąś ilość greko-katolików, którzy przy spisie stali się Polakami przez jakąś obawę samych spisywanych (oczywiście nieuzasadnioną) lub jakieś wyrachowanie, lub wreszcie dzięki gorliwości tych, którzy spisu dokonywali.

Dalej, jeżeli nawet wykluczymy możliwość takich niedokładności w spisie, nasuwa się pytanie czy owa cyfra blisko pół miliona greko-katolików, którzy się podali za Polaków, odnosi się wyłącznie do szlachty zagrodowej, boć możliwe, że wielu nie szlachciców greko-katolików, np. mieszczan czy robotników, podało się za Polaków, w takim zaś razie liczbę szlachty grecko-katolickiej, która zadeklarowała język polski, jako ojczysty, należało by odpowiednio pomniejszyć. Wreszcie suponuje się, że szlachta zagrodowa przy spisie ludności podawała język polski

---

[1]) tj. lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim; województwo krakowskie, jako posiadające zaledwie kilkadziesiąt tysięcy Rusinów i na którym nie zauważamy działalności Z. S. Z., opuszczamy w obliczeniach.

jako swój ojczysty, a tymczasem głosi się także postulat „odruszczenia“ tej szlachty. Słowem, spis ludności z r. 1931 nie daje podstaw do ustalenia liczby owej grecko-katolickiej szlachty zagrodowej.

W celu poinformowania prasy o stosunkach narodowościowych w Małopolsce Wsch. i o ruchu wśród szlachty zagrodowej, Z. S. Z. zwołał na 16 kwietnia br. do Przemyśla konferencję prasową, na którą przybyło 42 przedstawicieli dzienników i czasopism polskich. Dane statystyczne miał podać na konferencji Ks. Prezes Związku. Sprawozdania z tej konferencji ukazały się rzeczywiście w szeregu dzienników i pism, ale dość sumaryczne, tak iż nie podobna wyłowić z nich żadnych pewnych danych, dotyczących stanu liczbowego szlachty zagrodowej.

W kilku wszakże dziennikach, jak naprz. w *Kurjerze Poznańskim*, figuruje cyfra 700 tysięcy „dusz polskich“ w Małopolsce Wschodniej, które Z. S. Z. zamierza odzyskać dla polskości; cyfra ta więc zapewne padła z ust ks. prezesa Miodońskiego. Z całego dowodzenia *Kuriera Poznańskiego* (i innych dzienników) wynika, że cyfrę tę po pierwsze utożsamia się z cyfrą szlachty zagrodowej, a po wtóre, że stawia się ją zupełnie po za cyfrą Polaków greko-katolików ze spisu 1931 r., bo według przedstawienia tegoż *Kuriera* owe 700 tysięcy zruszczonej szlachty mieszczą się w 1.600 tys. „Ukraińców“ spisu 1931 roku. Stąd by wynikało przypuszczenie, że przy spisie cała owa, z pochodzenia polska, szlachta podała się za Ukraińców, i że po odtrąceniu tej cyfry, właściwych Ukraińców pozostanie w całym kraju tylko 900 tysięcy. „Rusinów“ zaś ze spisu 1931 r. rozpatrywane przez nas sprawozdania z konferencji przemyskiej całkowicie pomijają. Z takiego przedstawienia rzeczy wynika także, że jeśli do 700 tysięcy Polaków, ukrytych w rubryce języka ukraińskiego, których jednak należy z powrotem odzyskać dla polskości, doda się 500 tysięcy tych greko-katolików, którzy w r. 1931 podali język polski za swój ojczysty, to otrzyma się cyfrę aż 1.200 tysięcy greko-katolików, którzy albo już są albo być powinni Polakami, przy zaledwie 900 tysiącach Ukraińców, no i ostatecznie 1.100 tys. „Rusinów“. Tym sposobem otrzymujemy obraz ponury stosunków narodowościowych w b. Galicji w przeszłości i w teraźniejszości, ale zarazem pełen jasnej nadziei na przyszłość.

W świetle tych cyfr zrozumiałym się staje ilościowy rozrost Z. S. Z. w ostatnim roku. Ale równocześnie ogarnia nas pewne zdziwienie, że taki znawca przedmiotu, jak senator Pulnarowicz, mógł nie dawniej, jak przed dwoma laty, tak okrutnie mylić się na niekorzyść polskości, obliczając ogólną ilość zruszczonej szlachty zagrodowej zaledwie na ćwierć miliona, a ks. Miodoński przed czterema laty jeszcze bardziej mylił się, podając tylko 100 tysięcy. Znamienną jest rzeczą, że *Pobudka* w sprawozdaniu z konferencji przemyskiej nie podała wcale żadnych cyfr owych danych, ograniczając się tylko do retorycznych pochwał działalności Związku; próżno byśmy także szukali w dawniejszych numerach tego pisma jakiejś mniej więcej ustalonej statystyki czy to stosunków narodowościowych w ogóle, czy szlachty zagrodowej greckiego obrządku w szczególności.

W całej zatem tej sprawie obracamy się w sferze jakoś zaciemnionej i może coraz ciemniejszej. Z drugiej strony cyfry szlachty zorganizowanej szybko idą w górę. Jak rozwiązać tę zagadkę? Skąd owa szlachta w takiej ilości się bierze?

Uważniejsze odczytywanie różnych numerów *Pobudki* dostarcza nam pewnych danych do rozwikłania zagadki. Najpierw spostrzegamy, że szeregi Z. S. Z. rekrutują się nie z samej tylko grecko-katolickiej szlachty. Spotykamy, i to na kierowniczych stanowiskach w kołach Związku, przedstawicieli administracji, nauczycielstwa itp. różne osobistości, które z ową szlachtą mają mało wspólnego. Są to niewątpliwi Polacy i katolicy łacińskiego obrządku, których nie potrzeba wcale „odzyskiwać“ dla polskości. Podobnież, jeżeli czytamy, że jakieś koło postanowiło zbudować nowy kościół lub kaplicę łacińską, to domyślamy się, że koło składa się, jeśli nie wyłącznie, to w większości z Polaków-łacinników, a nie napotkaliśmy podobnych rezolucyj na rzecz grecko-katolickich cerkwi. Zatem Z. S. Z. zdaje się być organizacją co najmniej mieszaną, tj. rekrutującą swych członków z obu obrządków. Wielka szkoda, że Związek nie podaje nigdzie ilu członków ma z jednego, a ilu z drugiego obrządku, a dopiero takie rozróżnienie dawało by nam pojęcie o rezultatach akcji „odzyskiwania“ dla polskości „zruszczonej“ szlachty.

Ale jest rzecz jeszcze ważniejsza, o której się dowiadujemy z publikacyj Z. S. Z. Oto od pewnego czasu Związek rozszerzył pojęcie szlachectwa. Z początku mówiono o szlachcie, „przechowującej w skrzyniach pożółkłe dyplomy szlacheckie“, ale już w roku

1937 senator Pulnarowicz dał taką definicję szlachectwa: „Szlachcicem jest ten, kto szlachetność ma w swym sercu i przoduje innym obywatelom siłą ducha, ofiarnością i pracą dla społeczeństwa". A z numeru 2 *Pobudki*, drukowanej specjalnie dla Wołynia [1]) dowiadujemy się, że według statutu „członkiem Związku może być każdy nieposzlakowany obywatel Rzeczypospolitej Polskiej wyznania chrześcijańskiego *(sic!)*, który pielęgnuje polskie tradycje rycerskie", a zatem „członkami Związku są zarówno ludzie pochodzący z rodów szlacheckich, jak również ci, którzy nie mogą tego pochodzenia udowodnić dokumentami". A jeszcze gdzie indziej — nie pomnę już gdzie — wyczytałem takie jędrne określenie szlachectwa, jako kwalifikacji na członka Z. S. Z.: „szlachcicem jest ten, kto żyje szlachetnie i służy wiernie Polsce". Inaczej mówiąc, nobilitacji dokonywa sam Z. S. Z.; jego karta legitymacyjna posiada podobne znaczenie, jak dyplomy szlacheckie, wystawiane niegdyś przez królów lub specjalne urzędy heraldyczne. Oczywiście, w naszych czasach nie można mieć nic przeciwko takiemu rozszerzeniu szlachectwa, ale też przy takim jego pojmowaniu niepodobna z rozwoju ilościowego Z. S. Z. snuć żadnych wniosków o ilości starej szlachty zagrodowej polskiej, która miała ulec zruszczeniu i którą ma się odzyskać dla polskości. Na podstawie bowiem statutu działalność Z. S. Z. nie ogranicza się do odzyskiwania tych, których polskość straciła, ale wklucza w zakres swych zadań także opiekę nad tymi, których odzyskiwać nie potrzeba, a nawet pozyskiwanie dla polskości tych, którzy do narodowości polskiej nie należeli i nie należą, ale „szlachetność mają w sercu i chcą służyć wiernie Polsce".

2.

Ale trzymajmy się jeszcze owej prawdziwej starej szlachty zagrodowej greckiego obrządku.

Wiemy, że ona faktycznie istnieje, chociaż nie możemy dowiedzieć się ile jej jest. Nasuwa się jednak ważniejsze pytanie: czy ta szlachta w swojej masie faktycznie jest polskiego pochodzenia i czy zadanie Z. S. Z. polega na „odzyskiwaniu" jej z powrotem dla polskości, czy też jest to szlachta z pochodzenia ruska, a dla polskości trzeba ją dopiero „zdobywać".

Publicystyka, stojąca pod wpływami Z. S. Z., propaguje stanowczo pierwszą tezę. Rusini zaś, w szczególności Ukraińcy, dowodzą tezy przeciwnej. Po zaznajomieniu się z wywodami tak jednej, jak drugiej strony, trudno się oprzeć wrażeniu, że naukowo nie są one dość pogłębione i stanowią ten typ „historii", jaki określano niegdyś: *ad usum Delphini*, a dziś powiedzielibyśmy: „na zamówienie polityki". Nie dziwimy się temu bardzo, ale zdaje się nam, że wartoby zagadnienie pochodzenia tej szlachty zbadać bardziej naukowo. Polska strona mogła by przytym skorzystać z dawniejszych prac takich autorów, jak A. Jabłonowski, Wład. Łoziński, A. Prochaska i inni. W świetle prac tych autorów okazała by się przesada twierdzenia, że szlachty ruskiej wcale nie było, że szlachta w tych stronach, to polscy osiedleńcy pochodzący z Mazowsza, Śląska, Wielkopolski i Małopolski (Małopolski w dawnym właściwym znaczeniu). Owszem, byli i tacy osiedleńcy, ale sami polscy badacze historyczni zgadzają się na to, że większość szlachty na interesującym nas terytorium stanowił element miejscowy, ruski, który tu siedział, zanim te dzielnice zostały przyłączone za Kazimierza W. do Korony polskiej. Była także szlachta pochodzenia zakarpackiego, wołoskiego, może nawet węgierskiego, byli także Niemcy. To, że miała ta szlachta nadania królów polskich lub herby polskie, wcale jeszcze nie dowodzi jej pochodzenia czysto polskiego. Dalej, nie stanowi dowodu odwiecznej polskości tej szlachty to, że walczyła ona pod chorągwiami polskimi pod Wiedniem, Chocimem czy nawet Grunwaldem, bo znowu obracalibyśmy się w kole błędnym, suponując, że w Polsce innego rycerstwa, jak tylko narodowościowo polskie, być nie mogło, tj. zakładając z góry to, co jest właśnie przedmiotem sporu. A co w dodatku powiemy na fakt, że ta sama szlachta podkarpacka niejednokrotnie, jak w r. 1509 i jeszcze później, stawała tłumnie w szeregach hospodarów mołdawskich, walczących z Polską, albo na fakt inny, że te same rody tutejszej szlachty, które widzieliśmy pod Sahajdacznym Konaszewiczem (też szlachcic spod Sambora), jako walczącee po stronie polskiej przeciwko Turkom, niebawem

---

[1]) Z. S. Z., założony z początku dla Małopolski Wschodniej, w ostatnich czasach rozciągnął swą działalność także na Wołyń, a nawet na Nowogródczyznę i Polesie, zakładając tam swoje koła i osobne wydanie swego organu pt. *Pobudka Wołyńska*. Na Polesiu jednak napotyka Związek na pewne trudności podobno z powodu stanowiska miejscowego wojewody, który jakoby był przeciwny wskrzeszaniu szlacheckich tradycyj. W niniejszym artykule zajmujemy się działalnością Z.S.Z. tylko w województwach południowo-wschodnich, tj. w b. Galicji.

znajdą się w wielkiej liczbie w obozie Chmielnickiego, zbuntowanego przeciwko Polsce?

Decydującym dowodem istnienia szlachty ruskiego pochodzenia jest jej wschodni grecki obrządek. Zwolennicy tezy o polskim pochodzeniu tej szlachty mają dość prosty zarzut przeciwko temu dowodowi. Mówią, że to polska szlachta poprzechodziła na obrządek grecki, co przyczyniło się następnie do jej zruszczenia. Osadzając szlachtę polską w okolicach ruskich, zaniedbywano budować dla niej kościoły, albo budowano je zbyt rzadko, więc szła do cerkwi „grecko-katolickich“ i tam ruszczyła się. Lecz czy to tłumaczenie nie jest zbyt proste, by było prawdziwe?

Najpierw stwierdzimy, że łatwe przechodzenie z kościoła do cerkwi, „bo to ta sama wiara, tylko różny obrządek“, mogło by się stosować na terytorium b. Galicji jedynie do ostatnich dwóch stuleci, unia bowiem kościelna została zaprowadzona w tej dzielnicy dopiero na przełomie XVII i XVIII wieku, tymczasem prawie wszystkie te rody szlacheckie, o które spór się toczy, spotykamy w obozie ruskim już w XVI i w początkach XVII wieku. Dowodzi tego historia biskupstw ruskich lwowskiego i przemyskiego, kiedy to prawie cała ta zagrodowa szlachta broniła dyzunii przeciwko biskupom unickim, jakich na tych władyctwach usiłował osadzić król Zygmunt III. W hypotezie odwiecznej polskości tej szlachty wychodziłoby na to, że nie tylko zdołała się ona zruszczyć, ale i odpadła z katolicyzmu wprost do schizmy i stała się tej schizmy tak gorliwą obronicielką, Historia nie umie nic powiedzieć kiedy by ta apostazja od wiary i narodowości polskiej zajść mogła, *a priori* zaś wydaje się ona wprost nieprawdopodobna w państwie katolickim, jakim była Polska. Przypuszczenie takie już zbyt ponury cień rzucałoby na tę szlachtę, a także mieściło by w sobie ciężkie oskarżenie i Kościoła katolickiego i państwowości polskiej, które przez jakieś karygodne niedbalstwo dopuściłyby do podobnego religijnego i narodowego odstępstwa tego właśnie „rycerstwa“, które, jak chce hypoteza, sprowadzono w te strony i osadzono z nadaniem wielkich przywilejów w tym celu, by strzegło „bezpieczeństwa rubieży Rzeczpospolitej“. Ładna była by to straż i ładni obrońcy polskości! Nad tą hypotezą dosyć się przez chwilę zastanowić, by ją odrzucić, jako niedorzeczną i dla Polaków obrażliwą. Oczywiście, można się zgodzić, że trafiały się jakieś przejścia szlachty polskiej, łacińskiej, na obrządek wschodni, zwłaszcza po upowszechnieniu się unii, jak trafiały się (naszym zdaniem znacznie częściej) przechodzenia z obrządku greckiego na łaciński, ale były to sporadyczne wypadki, nie zaś jakiś ruch powszechny i masowy.

Stąd wynika, że jeśli w pewnych wypadkach można mówić o „odzyskiwaniu“ dla polskości zruszczonych niegdyś Polaków, to w odniesieniu do ogółu grecko-katolickiej szlachty zagrodowej może być mowa jedynie o jej „zdobyciu“ dla polskości, czyli poprostu o polonizacji części ludności ruskiej, naprz. tej części, co „szlachetnie żyje i Polsce wiernie chce służyć“, co zresztą jak widzieliśmy powyżej, wchodzi także w zakres działalności Z. S. Z. Takie nazywanie rzeczy po imieniu było by grą uczciwszą, a w dodatku obeszło by się bez rozdmuchiwanych statystyk i torturowania historii.

Prawdopodobnie niejeden z naszych Czytelników byłby ciekaw dowiedzieć się, jak my merytorycznie ustosunkowujemy się do całej opisanej akcji rewindykacji czy po prostu polszczenia owej zagrodowej szlachty, a także i nie szlachty.

Otóż musimy odpowiedzieć, że celem niniejszego artykułu nie jest wcale formułowanie jakichkolwiek sądów o akcji Z. S. Z. czy to ze stanowiska etyki międzynarodowej czy też ze stanowiska pożyteczności tejże akcji dla państwa polskiego. Zadanie nasze jest dużo skromniejsze. Chodziło nam jedynie o naświetlenie, choćby w jakimś stopniu, tej mgły pseudo-historycznej i pseudo-statystycznej, jaką wytworzyła nasza publicystyka naokoło akcji. O ile się nam to zadanie udało, pozostawiamy sąd o tym łaskawemu Czytelnikowi.

Jeśli zaś chodzi o zdanie innych co do wartości i pożyteczności akcji, to ograniczymy się do stwierdzenia, że spotykaliśmy się w prasie z rozmaitą jej oceną. Niewątpliwie ogromna większość prasy polskiej pochwala całkowicie zamierzenia i działalność Z. S. Z. i zachęca organizację do dalszych w tym kierunku wysiłków. Ale napotkaliśmy również głos — aprobaty wprawdzie, ale połączonej z pewnymi zastrzeżeniami i przestrogami. Mianowicie *Czas* z okazji konferencji przemyskiej poświęcił temu zagadnieniu aż dwa artykuły, podpisane literami E. M. Autor artykułów jest pewny tego, że Z. S. Z. stawia sobie tylko dwa zadania: powstrzymanie procesu ukrainizacji Polaków i rewindykację dla polskości zruszczonej szlachty polskiej. Oczywiście oba punkty programu całkowicie popiera. Odnośnie wszakże do punktu drugiego, t.j. rewindykacji, wypo-

wiada cały szereg dezyderatów. Pragnął by, aby rezultatom ilościowym akcji odpowiadał rezultat jakościowy, to znaczy, by wstępujący do Związku czynili to z głębokiego wewnętrznego przekonania, czując się naprawdę Polakami, „nie ze strachu lub dla interesu“, „bez mechanicznego nacisku lub przyciągania materialnymi korzyściami“. Radzi dalej akcję „organicznego budzenia polskości“ wśród szlachty prowadzić stopniowo i wolno, jak powolnym był proces jej ukrainizacji, każe unikać przy tym „zbędnych zadrażnień z ludnością ukraińską“, itd. Inaczej bowiem akcja może okazać się szkodliwą i stworzyć tylko fikcyjny obraz, obcy rzeczywistości. Zdaje się nam, że gdyby Z. S. Z. chciał stosować się do tych rad i przestróg *Czasu*, musiałby przede wszystkim zmienić gruntownie ton artykułów i przemówień, drukowanych w *Pobudce*.

Wreszcie przytoczymy jeszcze jeden głos, wręcz negatywny w stosunku do akcji rewindykacyjnej. W *Polityce* (z dn. 25. II.), w naczelnym artykule Fr. Czerwiskiego, czytamy wprost takie zdania: „Hasło rewindykacji narodowej uważamy za politycznie szkodliwe“; zasada rewindykacji „bije przede wszystkim w nas samych“, bo „o ile zupełnie niewątpliwie bardzo wielu Polaków uległo na Ziemi Czerwieńskiej zruszczeniu, o tyle o wiele większa ilość Rusinów uległa jednocześnie spolszczeniu“. „Stoimy na stanowisku — tak kończy swoje zdanie publicysta z *Polityki* — że obowiązująca jest dla każdego człowieka nie narodowość jego odległych przodków, ale ta, w której się urodził i do której się czuje przynależny. Państwo, które jest wspólną własnością wszystkich obywateli bez względu na narodowość i wyznanie, nie powinno się mieszać do procesów asymilacyjnych, na które zresztą nie ma żadnego wpływu. Rząd Rzeczypospolitej winien przede wszystkim myśleć o potędze państwa jako całości. W ten sposób odda najlepszą przysługę narodowi polskiemu“.

(Dokończenie nastąpi)

Ks. J. Urban.

SPRAWY KOŚCIOŁÓW WSCHODNICH

a) Sprawa dóbr pounickich w Polsce.

„Dziennik Ustaw“ z dn. 18 kwietnia br. opublikował zawarty 20 VI 1938 r. „Układ między Stolicą Apostolską i Rzeczpospolitą Polską w sprawie ziem, kościołów i kaplic pounickich“. Z dniem ogłoszenia Układ stał się obowiązującym prawem. Dotyczy on ziem, kościołów i kaplic pounickich na obszarze dzisiejszych diecezji wileńskiej, łomżyńskiej, pińskiej, podlaskiej, lubelskiej i łuckiej, których to dóbr Kościół katolicki został pozbawiony przez rząd rosyjski w związku z kasatą unii w latach 1839 i 1875.

Na mocy tego układu Stolica Apostolska zrzeka się na rzecz Państwa Polskiego roszczeń Kościoła do prawa własności na wszystkich ziemiach pounickich (art. II). Ze swej strony Państwo Polskie: a) uznaje za własność Kościoła kościoły i kaplice pounickie z plebaniami, ogrodami plebańskimi i cmentarzami pounickimi, które były w dniu podpisania Układu w posiadaniu lub władaniu Kościoła katolickiego (art. V); b) Państwo uznaje za własność Kościoła 9.120 hektarów ziemi, jakie w wymienionych diecezjach Kościół posiada obecnie, a nie nabył ich drogą kupna (art. III, 2); c) Skarb Państwa wypłaci Kościołowi 2.500 tysięcy zł. w obligacjach 4% Pożyczki konsolidacyjnej jako równowartość 2.880 hektarów ziemi, brakującej do 12.000 hektarów, przeznaczonych dla uposażenia osób prawnych Kościoła w rzeczonych diecezjach (art. III, 1 i 3); d) Odnośnie do kościołów i kaplic pounickich, będących w posiadaniu Państwa, a nie w użytkowaniu Kościoła prawosławnego, rząd zobowiązuje się prowadzić badanie warunków, w których się one znajdują i przekazać je na własność Kościołowi we wszystkich przypadkach, gdy to się okaże możliwe (art. VI). Inne artykuły dotyczą rozdziału ziem przez sam Kościół między rozmaite osoby i instytucje kościelne i sposobu zahipotekowania tych ziem.

Jak widać z tego układu, Kościół, zatrzymując te obiekty pounickie, które w dniu zawarcia umowy miał już w swym posiadaniu, mając perspektywę możliwego otrzymania jakichś kościołów czy kaplic pounickich, które nie są w faktycznym władaniu Cerkwi prawosławnej (zdaje się bardzo mało!), za odszkodowaniem wreszcie półtrzecia miliona złotych, Kościół zrzekł się jakichkolwiek dalszych roszczeń do dóbr niegdyś unickich. Tym sposobem Kościół umożliwił Państwu

uporządkowanie prawa własności tych dóbr pounickich, jakie znajdują się w posiadaniu osób prywatnych (np. osadników wojskowych), instytucyj państwowych tudzież Cerkwi prawosławnej. Układ nie dotyczy wcale kościołów łacińskich, zabranych niegdyś przez rząd rosyjski, a pozostających dotąd we władaniu Państwa lub Cerkwi prawosławnej.

b) Sprawa własności dóbr Kościoła prawosławnego.

Omówiony powyżej układ umożliwił rządowi zajęcie się w całej rozciągłości uporządkowaniem praw własności Kościoła prawosławnego. Jak już notowaliśmy w poprzednim numerze *Oriensu* (str. 57), został wniesiony do sejmu projekt ustawy, normującej prawo własności nieruchomości, pozostających w posiadaniu tego Kościoła. [1]) Nieruchomości te są rozmaitego pochodzenia. Są między nimi: a) dobra, które niegdyś stanowiły własność Kościoła katolickiego łacińskiego obrządku; b) kościoły i dobra pounickie; c) wreszcie dobra, które zawsze były własnością Cerkwi prawosławnej lub przez nią zostały nabyte drogą kupna lub innym prawnym sposobem. Wobec zrzeczenia się przez Kościół katolicki roszczeń do dóbr, wymienionych pod *b*, a nie zgłaszania nigdy roszczeń do dóbr pod *c*, pozostaje pewna liczba obiektów, wymienionych pod *a*, które winny być zwrócone Kościołowi katolickiemu. Można mieć nadzieję, że posłowie katoliccy w sejmie nie zadowolą się zastrzeżeniem, zawartym w art. 6 projektu ustawy, lecz zgłoszą wyraźną poprawkę, wyłączającą b. łacińskie kościoły i ziemie niegdyś do nich należące z liczby dóbr, na jakie ma się rozciągnąć prawo własności Cerkwi prawosławnej. Nie będziemy powtarzali wyrażonych już poprzednio przez nas racyj, dla których należy się ta sprawiedliwość Kościołowi katolickiemu.

c) Cerkiew rosyjska w Stanach Zjednoczonych.

Rosyjski biskup prawosławny w Stanach Zjedn. Witaliusz Maksymienko obchodził świeżo 40-lecie swego kapłaństwa. Cały ten czas w jego życiu był jednym ciągiem walki z Kościołem katolickim, z unią i polskością. Przed wielką wojną ówczesny archimandryta Witaliusz prowadził tę walkę z ławry poczajowskiej, gdzie zorganizował drukarnię, wydawał słynny *Poczajewskij Listok* i broszury w duchu wojującego prawosławia i rusyfikacyjnej polityki „Sojuza Russkawo Naroda“ (pospolicie zwanego „czarną sotnią“). Po wojnie przeniósł swą działalność na Słowaczyznę, gdzie w Władimirowej k. Świdnika założył klasztor prawosławny z drukarnią i począł wydawać pismo *Prawosławnaja Ruś*. Pismo to, jak również wydawane tam kalendarze i broszury, rozchodzą się po całej Rusi Zakarpackiej, a nawet na polskim Podkarpaciu, szerząc prawosławie wśród unitów (na Łemkowszczyznie). Przed paru laty archimandryta Witaliusz został wysłany do Stanów Zjednoczonych, jako biskup, ze szczególną misją doprowadzenia do jedności skłóconych między sobą prawosławnych Rosjan.

Misja ta w znacznej mierze powiodła się. W Ameryce, jak i w Europie, Witaliusz poświęca wiele uwagi także walce z unią; kieruje też nadal z oddali akcją prawosławną na Rusi Zakarpackiej i w Słowacji. W jednym z ostatnich numerów *Prawosławnoj Rusi* znajdujemy artykuł arcybiskupa Witaliusza, skierowany przeciw konkurencyjnej w Ameryce cerkwi, zależnej od Moskwy a zatem bolszewizującej; w artykule tym znalazło się miejsce także dla wzmianki o „burzeniu cerkwi i prześladowaniu prawosławia w Polsce“.

Konsolidacja jednak rosyjskiego prawosławia w Stanach Zjedn. nie została przeprowadzona całkowicie. Po za wspólnotą metropolity Teofila, pozostającego w związku z centralą emigracyjną w Śremskich Karłowcach, stoją na uboczu zwolennicy zależności od patriarchatu moskiewskiego. Nadto, jak już w swoim czasie notowaliśmy, z pod jurysdykcji Teofila wyłamał się „karpatoruski“ arcybiskup Adam Filipowicz. Chciał on nawiązać zdaje się stosunki z Moskwą, lecz zamiar ten nie powiódł się. Oto niedawno egzarcha patriarchatu Beniamin ogłosił ukaz patriarchatu moskiewskiego z dn. 9 marca r. b., kasujący eparchię „karpatoruską“ w Stanach Zjednoczonych i usuwający arcybiskupa Adama. Łatwo przewidzieć, że ten Karpatorusin nie podda się Beniaminowi, jak nie poddał się Teofilowi i w dalszym ciągu będzie odgrywał rolę klina, rozbijającego jedność cerkwi rosyjskiej na gruncie amerykańskim.

d. Kościoły wschodnie w Italii.

Aneksja Albanii przez Włochy powiększyła liczbę formacyj kościelnych wschodnich, znajdujących się w dzierżawach „króla Italii i Al-

---

[1]) Do relacji naszej wkradło się przykre przeoczenie. Mianowicie napisaliśmy, że w projekcie ustawy zostało opuszczone zastrzeżenie praw osób trzecich, przewidziane w art. 82 Dekretu p. Prezydenta Rzeczpospolitej z dn. 18 listopada 1938 r. W rzeczywistości zastrzeżenie to w projekcie ustawy znajduje się, stanowiąc art. 6 projektu.

banii, cesarza Abisynii". Powiększona Italia posiada na swych terytoriach Kościoły wschodnie zarówno unickie, jak pozostające w dyzunii, a nawet zaliczane wprost do heretyckich. Więc a) w samych Włoszech znajdują się dwie diecezje unickie, t.zw. Italo-Greków, właściwie przeważnie Albańczyków, którzy przed wiekami opuścili ojczyznę, uchodząc przed Turkami. Jest tych greko-katolików około 50 tysięcy, głównie na Sycylii, w Kalabrii i Apulii. b) W świeżo anektowanej Albanii, oprócz większości muzułmańskiej i około 100.000 katolików łacinników, znajduje się około 200.000 prawosławnych, którzy tworzą cztery diecezje i od r. 1937 posiadają zarząd autokefaliczny. c) Wyspy Dodekanezu zamieszkuje ludność grecka wyznania prawosławnego. Należy ona do patriarchatu carogrodzkiego, ale rząd włoski usiłuje zdobyć dla niej niezależną organizację, t.zw. autokefalię. Być może, że obecnie cerkwie Dodekanezu zostaną połączone w jedną organizację z Albanią. d) Wreszcie Abisynia posiada własny kościół narodowy, zależny jednak od patriarchatu koptyjskiego w Egipcie i zarażony błędami monofizyckimi, z religią zniekształconą naleciałościami żydowskimi i muzułmańskimi. Oprócz tego jest tam niewielka garstka prawosławnych, są misje katolickie łacińskie, jest wreszcie kilkanaście tysięcy katolików obrządku koptyjskiego. Jak widać z tego pobieżnego zestawienia, jednolita zdawało by się katolicko-łacińska Italia jest już w gruncie rzeczy państwem wyznaniowo i obrządkowo urozmaiconym i zmuszonym do prowadzenia polityki kościelnej dość skomplikowanej.

e) Kult cesarza Mikołaja II.

W kołach monarchicznych rosyjskiej emigracji objawiają się próby stworzenia religijnego kultu cesarza Mikołaja II, jako męczennika. Podnosiły się głosy, domagające się kanonizacji zabitego przez bolszewików cesarza. W kilku cerkwiach zawieszono jego obrazy. Świeżo wychodząca w Białogrodzie gazeta *Carskij Wiestnik* wydrukowała „akafist" do „Cara i wielkiego męczennika Mikołaja II", ułożony przez anonimowego autora w stylu zwyczajnym dla tego rodzaju modlitw. Wsród przeszło setki różnych wezwań do Mikołaja i danych mu epitetów, spotykamy w akafiście i takie, jak „obraz Syna Jednorodzonego, wybrany przez Boga na ofiarę wykupu za grzechy ludzkie", jak „niewzruszony fundament wiary ",jak„ pouczenie dla kłamliwie mędrkującego Zachodu", jak „nosiciel światła Chrystusowego", jak „przez Boga zesłana gwiazda dla Rosjan rozproszonych" itd. Redakcja zastrzega się, że akafist nie posiada aprobaty duchownej i jest podany tylko jako „utwór literacki".

f. Kościół unicki na Zakarpaciu.

Ostatnie przeobrażenia polityczne w Europie centralnej odbiły się silnie na losach organizacji Kościoła unickiego na Rusi Zakarpackiej. Historię tego Kościoła streściliśmy w art. „Stosunki wyznaniowe na Rusi Zakarpackiej" w zeszycie naszego pisma na listopad — grudzień 1938 r. Wtedy też zanotowaliśmy zarządzenia, jakie Stolica św. wydała celem umożliwienia prawidłowego zarządu tą częścią diecezji grecko-katolickiej mukaczewskiej, która znajdowała się na obszarze „Ukrainy Karpackiej", odciętym od stolicy diecezji w Użhorodzie. Miesiące istnienia tego politycznego tworu były także miesiącami usilnej pracy organizacyjnej tej części diecezji na nowych, wyraźnie ukraińsko-narodowych zasadach. Administrator apostolski, ks. Biskup Dionizy Nyaradi, ustaliwszy swą siedzibę w Chuście, [1]) wydał cały szereg zarządzeń do duchowieństwa w kierunku wzmożenia kościelnej, społecznej i oświatowej pracy. OO. Bazylianie przenieśli się z Użhorodu ze swą drukarnią i gimnazjum na „Karpacką Ukrainę" i rozwinęli pracę wychowawczą, wydawniczą i misjonarską. Z drukarni wyszły dwa numery *Błahowistnyka,* organu czci Serca Jezusowego, wydane już fonetyczną pisownią ukraińską, a nie dawną „etymologią", jakiej musieli przestrzegać w Użhorodzie. Oprócz oo. Bazylianów, którzy zdążyli urządzić sześć domów, pracowały także na kilku pozycjach ss. Bazylianki, w sierocińcach i szkołach ludowych. Kleryków z seminarium w Użhorodzie Biskup - Administrator przeniósł na kontynuowanie studiów aż na Morawy, do Ołomuńca.

Tymczasem w połowie marca Karpacka Ukraina przestała istnieć, podbita przez Węgry. Dla Kościoła unickiego pociągnęło to daleko idące konsekwencje. Po pierwsze, dawna diecezja mukaczewska, pocięta na części najpierw przez traktat w Trianon, a potem przez decyzję wiedeńską, łączy się z powrotem w jedną całość i zarówno administracja apostolska w Chuście, jak i dawna w Miskolcs straciły rację bytu, odzyskawszy możność komuniko-

---

[1]) Nasze gazety, idąc za pisownią węgierską, pisały „Huszt", a czytelnicy mylnie wymawiali nazwę tej zaimprowizowanej stolicy.

wania się z stolicą swoją w Użhorodzie (węg. Ungwar). Nawet część parafij tej diecezji, znajdujących się w Słowacji, zostały przyłączone do Węgier, a tym samym odzyskały kontakt z centralą swoją Użhorodem. Na te połączone obszary rozciągnął już z powrotem swą władzę biskup mukaczewski Aleksander Stojka. Administrator zaś apostolski z Chustu Nyaradi musiał wyjechać z kraju, poczem po zdaniu w Rzymie sprawy z powierzonej sobie misji powrócił do swej diecezji w Kriżewcach w Jugosławii. Musieli również opuścić swoje placówki oo. Bazylianie i ss. Bazylianki i świeccy księża, zbyt zaangażowani w kierunku ukraińskim.

Trudno przewidzieć w jakim duchu pod względem narodowym będzie prowadzony Kościół unicki na Zakarpaciu. Przed rządem węgierskim stoją cztery możliwości: utrzymanie kursu ukraińskiego, zainicjowanego urzędowo przez rząd ks. Wołoszyna, albo poparcie wbrew niemu kursu rusofilskiego, w gruncie rzeczy rosyjskiego, albo pozostawienie obydwu tym kierunkom możności wzajemnego ścierania się i współzawodnictwa, jak to było pod zarządem czeskim, lub wreszcie powrót do przedwojennej polityki madziaryzacyjnej, wynaradawiającej. Najmniej prawdopodobną jest możliwość pierwsza, ukraińska. Najprawdopodobniej będzie jakaś mieszanina madziaryzacji z pewnym uwzględnieniem rusofilstwa, które odzyska swobodę do walki z nienawistnym mu ukrainizmem. Niewątpliwie walki te odbiją się i na stosunkach kościelnych — i oby nie ze szkodą wielką dla życia religijnego i zjednoczenia z Rzymem!

Obserwator.

Z SEMINARIUM WSCHODNIEGO W DUBNIE

Dopytuje się redakcja *Oriensu* o nasze prace w ostatnich czasach? O „uroczystościach bobolańskich“ napisaliśmy już do poprzedniego numeru. Obecnie zasługują może na podkreślenie prace wielkopostne profesorów i okres święceń naszych alumnów.

Okres Wielkiego Postu wykazał niezwykłą prężność sił naszych Ojców. Dość powiedzieć, że nie zaniedbując swoich pierwszych obowiązków, wykładów szkolnych, Ojcowie Profesorowie udzielili czternaście seryj rekolekcyj rozmaitym kategoriom wiernych, młodzieży gimnazjalnej, wojsku i wysłuchali niejeden tysiąc spowiedzi. W tym się wyrażała pomoc, udzielana klerowi łacińskiemu naszego miasta i okolicy. Zaś podczas samych feryj świątecznych, zamiast używać zasłużonego wytchnienia, Ojcowie nasi rozjechali się na obsługę rozrzuconych po Wołyniu cerkiewek unijnych; bez tego niektóre z nich w ogóle pozostałyby bez kapłana i bez radosnego „Chrystos woskres“. Wielką pomoc w tej pracy okazał przybyły na ten okres ze Lwowa o. Donat Stawski T. J. i chwilowy gość, o. Filipowicz z Lublina.

Po świętach nastąpił okres święceń. Już w drugi dzień Paschy przybył do nas J. E. Władyka M. Czarnecki, wizytator apostolski, by udzielić święceń nowym kapłanom i diakonom. Kandydatów na przyjęcie łask sakramentalnych przygotował sam sześciodniowymi rekolekcjami, poczem od 21 do 26 kwietnia dokonywał kolejno święceń, każdego kapłana innego dnia, podczas osobnej liturgii. Łaskę kapłaństwa otrzymali następujący abiturienci seminarium: księża Iwan Łehkyj, Marian Jacewicz, Edward Przybylski, Jan Żak i o. Bogumił Horaczek T. J. z kolegium bobolańskiego w Lublinie. Nadto dwaj alumni przedostatniego kursu, Piotr Sobin i Włodzimierz Huryn, zostali wyświęceni na diakonów.

Z nowowyświęconych kapłanów przedmiotem niezwykłych owacyj stał się o. Horaczek, Czech z pochodzenia. O jego święceniach zwiedzieli się jego rodacy, koloniści na Wołyniu, dość liczni w okolicach Dubna. Przybyło ich też około 600, przeważnie prawosławnych. Wiedzeni spontanicznym odruchem sprawili swemu ziomkowi komplet szat i naczyń liturgicznych. Byli rozczuleni błogosławieństwem nowego kapłana katolickiego wschodniego obrz. ich narodowości i przemówieniem jego, wygłoszonym do nich po czesku. Ks. Biskup także zwrócił się do nich z przemówieniem, podkreślając pokrewieństwo między Słowianami, wspólność wiary Chrystusowej i życząc, by ta wiara była w pełni według myśli i woli Chrystusa. Dla kilkunastu wybitniejszych Czechów z dalsza zostało urządzone przyjęcie z darów w naturze od Czechów dubieńskich.

Nowi kapłani wkrótce po święceniach rozjechali się na prymicje. Trzech z nich odbyło je na Jasnej Górze przed cudownym

obrazem Matki Boskiej w dniu święta narodowego 3 maja. Tłumy pątników miały możność przypatrzeć się pięknu obrządku wsch., jakkolwiek warunki miajsca, brak czasu i chóru nie pozwoliły rozwinąć całego majestatu obrzędów wschodnich. Gospodarze Jasnej Góry, oo. Paulini, okazali naszym prymicjantom dużo gościnności i zrozumienia jedności Kościoła w różnych obrządkach.

Z wyświęconych w tym roku kapłanów, ks. Przybylski i Łehkyj należą do diecezji podlaskiej, ks. Żak do łuckiej, ks. Jacewicz zaś do wileńskiej. Ten ostatni wybiera się na wyższe studia w Instytucie Wschodnim w Rzymie; inni stanęli do pracy pasterskiej na wyznaczonych im placówkach.

Obecnie w Seminarium rozpoczyna się okres rocznych egzaminów, zatem czas wytężonej dla wszystkich pracy. Alumni często spieszą z modlitwą do Najśw. Panny, której figurę umieściliśmy w ogrodzie między dwoma konarami starej wielkiej gruszy. Ciekawe jest pochodzenie tej figury. We dworze Listwin, należącym do prawosławnego właściciela, p. Woronina, walała się ona w ogrodzie zarośnięta pokrzywami. Na prośbę ks. Nowickiego z seminarium dubieńskiego, dziedzic podarował ją chętnie dla naszego zakładu.

13 maja obchodziliśmy akademią imieniny naszego Rektora, o. Jakuba Morillo, który zaraz po niej wyjechał do Siedlec na pogrzeb ks. biskupa Przeździeckiego, wielkiego protektora akcji unijnej w obrządku wschodnim. W składzie profesorów zaszła ta zmiana, że o. Paweł Macewicz powrócił do Wilna, a stamtąd do nas przybył o. Adolf Sznip T. J.

Oto nasze nowości i nasze osiągnięcia.

St. N.

CO I JAK PISZĄ?

Jak wiadomo, akcja neo-unijna na kresach wschodnich prawie od swoich początków natrafia na sprzeciwy pewnych kół politycznych, usiłujących wmówić w społeczeństwo polskie jej rzekomą szkodliwość dla polskiej racji stanu. Dowodzi się tego w niezliczonych artykułach prasowych, urządza się w tym celu specjalne odczyty, uchwala rezolucje. Niedawno temu w Lublinie, przeciwko odczytowi, wygłoszonemu w sali uniwersytetu podczas tygodnia modłów o jedność Kościoła, pewne czynniki wpływowe uznały za potrzebne urządzić odczyt p. Broszkiewicza, który wypowiedział się stanowczo przeciwko tej akcji Kościoła katolickiego.

Tenże prelegent wybrał się z odczytem także do Łucka, gdzie dano mu do dyspozycji salę Obozu Zjednoczenia Narodowego. Odczyt odbył się 4 kwietnia r. b. Prelegent wykazywał potrzebę powiększenia na Wołyniu parafij katolickich obrządku łacińskiego, czemu każdy katolik tylko przyklaśnie; obok tego jednak zwalczał akcję unijną, przypisując jej gołosłownie nawet taką winę, o jakiej nikt dotąd nie słyszał, mianowicie, że „zamiast nawracania rzesz prawosławnych, bardzo często jest instrumentem ruszczenia katolików Polaków“ (przytaczamy za *Kurierem Wołyńskim* z dn. 10. IV.). Po odczycie zebrani uchwalili „rezolucję“, w której zwracają się do Ks. Biskupa Szelążka z prośbą o niepopieranie ruchu unijnego i o stopniową likwidację istniejących na Wołyniu placówek unijnych, a zastąpienie ich „placówkami prawdziwego Kościoła, to jest rzymsko-katolickiego“, do Wojewody zaś z prośbą o odpowiednie kroki w celu zlikwidowania placówek unijnych. Rezolucja wyraża zapatrywanie, że akcja neounijna koliduje z interesami polskiego stanu posiadania, oraz z interesami Kościoła rzymsko-katolickiego, że jest zarzewiem antagonizmów narodowościowych i propagandy ukrainizmu, wreszcie, że jest pozbawiona podstaw prawnych. Jak widzimy, przygodni słuchacze odczytu mgra Broszkiewicza uznali się za kompetentnych do rozstrzygania nie tylko co jest pożyteczne dla polskiej racji stanu, ale co odpowiada lub nie odpowiada interesom Kościoła katolickiego i do udzielania władzom kościelnym odpowiednich pouczeń.

Rzecz jasna, że tego rodzaju uchwała nie mogła nie wywołać ze strony czynników kościelnych odpowiedniej repliki. Dało ją *Życie Katolickie,* pismo ludowe, wydawane przy kurii biskupiej Łuckiej. Autor artykułu „Wobec uchwał przeciwunijnych“ (16. IV. r. b.), po stwierdzeniu istniejącej dotąd na Wołyniu harmonii między władzami państwowymi a kościelnymi, tak że „Kościół rozumie potrzeby Państwa, a Państwo potrzeby Kościoła“, wyraża zdziwienie,

> że właśnie tę ważną chwilę uznano w niektórych kołach, związanych z polityką państwową za odpowiednią do ataku na święte dzieło unii kościelnej.

Następnie wyraża autor zdziwienie, że placówki unijne przeciwstawiono Kościołowi „prawdziwemu“, tym samym „pomawiając władze kościelne o sprzyjanie Kościołowi... nieprawdziwemu“. Poczem teologom z sali OZN udziela pismo katolickie następujących pouczeń:

Trzeba wniknąć cokolwiek w życie kościelne. Zgłasza się oto do władz kościelnych jednostka czy czasem nawet gromada prawosławna i wyraża gotowość przejścia na łono Kościoła, jednak z warunkiem pozostania przy obrządku wschodnim, w którym się urodziła i z którym się zżyła od dzieciństwa. Co jej odpowiedzieć? Że może być przyjęta tylko w obrządku rzymskim? Ależ różność obrządków istnieje w Kościele katolickim od pierwszych wieków chrześcijaństwa. Ależ istnieje ona na całej kuli ziemskiej, w całym świecie katolickim. Czy tylko dla samej Polski miała by być zniesioną? Czy tylko u nas mają być odpychane od prawdziwego Kościoła i od zbawienia wiecznego dusze jedynie za to, że nie chcą przyjąć obcego dla siebie obrządku, choć chcą znajdować się w jedności z tym Kościołem? Wedle sumienia chrześcijańskiego uczynić nam tego nie wolno.

Na propozycję zaś likwidacji placówek unijnych autor tak odpowiada:

Proszę sobie wyobrazić sytuację. Unitom się powiada: macie przejść wszyscy na obrządek rzymski. Oni odpowiadają: nie zgadzamy się (i mają za sobą prawo kościelne. Przyp. red. *Oriens*'u). Co my na to? Siłą zmuszać mamy, policję wzywać? Za nic w świecie! Powiedzieć: w takim razie wracajcie na prawosławie? Czy można wyobrazić sobie takie słowa w ustach księdza katolickiego?... Nie trudno uchwalać likwidację, ale należy się zastanowić, w jaki uczciwy sposób można ją przeprowadzić. A używania sposobów nieuczciwych chyba nikt od nas się nie domaga. Skoro zaś z punktu widzenia chrześcijańskiego musimy się zgodzić na różność obrządków w Kościele, to jest już rzeczą zrozumiałą, że katolicy innego obrządku muszą mieć zapewnioną opiekę duchową w tymże obrządku. Stąd potrzeba wychowania dla niego duchowieństwa i utrzymywania jego placówek duszpasterskich.

W dalszym ciągu autor wywodzi, że sprawa, o której mowa, nie jest rzeczą tylko jakiejś polityki kościelnej, lecz wkracza w dziedzinę dogmatu. My bowiem wyznajemy w Składzie Apostolskim „Kościół powszechny“ a nie tylko rzymski, a Kościół powszechny, obejmujący wielość narodów, przypuszcza także „różność wytworzonych przez te narody, a przez Kościół uznanych, obrządków“. Wywody swoje konkluduje autor następującymi słowami:

Ani więc wypowiedzieć się przeciwko unii, ani działać świadomie na jej szkodę, my, katolicy, nie możemy. To powinni zrozumieć ci, którzy chcą żądać od nas czegokolwiek pod tym względem. Sądzimy, że nikt nie zechce stawiać nas w sytuacji, wymagającej od nas sprzeniewierzenia się podstawowym zasadom katolickim. Wiadomo musi być mu z góry, jaka będzie nasza odpowiedź.

Po tej zasadniczej katolickiej odpowiedzi *Życie Katolickie* uspakaja obawy przemawiających przeciwko unii w imię polskiej racji stanu. Nie unia, ale jej wykoszlawienie mogłoby być szkodliwe. Unia, „dzieło Boże, żadnej dobrej sprawie zaszkodzić nie może“. Unię popierali tacy mężowie stanu, jak Władysław Jagiełło lub kanclerz Jan Zamojski. Jedność wiary jest pożądana z wielu względów dla Polski, zaś sprowadzenie wszystkich do jednego obrządku jest chimerą. Ci, w czyich rękach jest sprawa unii, czuwają dostatecznie nad tym, żeby do akcji unijnej nie wtargnęły elementy polityczne, działające na szkodę Rzeczpospolitej lub Kościoła.

Do wywodów łuckiego tygodnika trudno coś dodać. Chyba to, że publiczność łucka, uchwalająca niefortunną rezolucję, powołując się na to, że akcja unijna nie ma za sobą podstaw prawnych, wykazała wielką nieznajomość nie tylko ducha, ale i litery naszej Konstytucji i zawartego ze Stolicą świętą Konkordatu[1]). A jeszcze szkodliwszą nieznajomość, bo w dziedzinie katechizmu, ujawniła w zamknięciu Kościoła katolickiego w jednym tylko obrządku łacińskim i w przeciwstawieniu obrządku unickiego prawdziwemu Kościołowi. W teologii katolickiej taka nieznajomość wiary nazywa się „grubą ignorancją“, a taka nie przystoi katolikom, zwłaszcza gdy występują w roli gorliwców o dobro i rozwój Kościoła. Kościół katolicki trzeba brać i kochać takim, jakim on jest w istocie, a nie takim, jakim chciałoby się go mieć z tych lub innych doczesnych względów. Przebieranie w zasadach wiary, jak w koszu z ulęgałkami, jest właściwością herezji, nie katolicyzmu.

*

Z prasy prawosławnej musimy napiętnować „List z Rzymu“ niejakiego W. Floryńskiego, umieszczony w Nr 8 *Prawosławnoj Rusi*. Pismo to w sposób wprost ohydny wyraża się o obu papieżach, Piusie XI i Piusie XII, uważając ich za „Żydów“, niestworzone rzeczy opowiada o Kościele katolickim w stylu niemieckiego „Das schwarze Korps“, na papieży składa winę za „prześladowanie prawosławia“ w Polsce, zapowiada Kościołowi rychły koniec, itp. Z bredniami polemizować nie sposób, z przykrością jednak trzeba stwierdzić, że *Prawosławnaja Ruś*, wydawana w Słowacji, lecz mająca debit w Polsce, pozostając wierną tradycjom swego założyciela, „Otca Witalja“, jest jednym z czynników pedagogicznych, na których kształci się wielu wyznawców „polskiego“ prawosławia.

J. U.

---

[1]) Obszerniej na ten temat pisaliśmy w art. „Akcja unijna a Konkordat“, *Oriens* marzec — kwiecień 1938.

ŚP. BISKUP HENRYK PRZEŹDZIECKI

Zakończył życie 9 maja br. biskup podlaski, ks. dr Henryk Przeździecki w wieku lat 66. W Zmarłym odszedł opiekun i obrońca akcji unijnej na Kresach wschodnich, życzliwy zwolennik wschodniego katolickiego obrządku.

Chociaż urodzony w Warszawie, we wczesnym dzieciństwie zetknął się na wsi podlaskiej z unitami, prześladowanymi za wiarę po kasacie unii w r. 1875. Pozostały mu też na całe życie uczucia czci dla owych bohaterów wiary i sympatie dla tego obrządku, w którym w takiej wierności Kościołowi wychowali się. Zrządzeniem Opatrzności ks. Henrykowi Przeździeckiemu po działalności na licznych innych stanowiskach — profesora seminarium, proboszcza i dziekana w Łodzi, po pracach w Radzie Stanu odradzającej się Polski, przypadło w udziale, w Ojczyźnie wskrzeszonej, wziąć w ręce pastorał tej właśnie — wskrzeszonej również po 50 latach — diecezji podlaskiej i urządzić ją do nowego życia.

Zasługi biskupa Przeździeckiego dla diecezji są rozmaite i ogromne — dość wspomnieć urządzenie kapituły, seminarium wyższego w Janowie i niższego w Siedlcach, pomnożenie znaczne liczby parafij, ustawiczne wizytacje, gorące listy pasterskie. Na tym miejscu należy podkreślić szczególnie jego zasługi około wskrzeszenia obrządku unickiego. W tej diecezji czuł się następcą nie tylko dzielnych biskupów łacińskich, Gutkowskich i Szymańskich, ale także unickich pasterzy, Szumborskich, Kalińskich, których diecezja uległa rozbiciu i spustoszeniu. Po nad sto tysięcy potomków dawnych unitów powiększyło obecnie stan liczbowy katolików łacińskich, pozostało jednak parę dziesiątków tysięcy takichże potomków w prawosławiu, w które wciągnięci zostali ich dziadowie. Ułatwić im powrót do wiary ojców było szczególną troską nowego Pasterza Podlasia. To też, gdy z pośród nich zgłaszać się poczęli grupami potomkowie unitów, pragnący powrócić do Kościoła, ale z zachowaniem swego obrządku, ks. biskup Przeździecki uważał za swój święty pasterski obowiązek uwzględnić ich pragnienia. W r. 1923 opracował plan wskrzeszania dawnych parafij unickich pod jurysdykcją biskupa łacińskiego. Plan został w Rzymie zatwierdzony i na inne diecezje kresowe rozszerzony. W diecezji podlaskiej pierwsze parafie unickie powstały w r. 1924, w następnych latach liczba ich wzrosła do dziewięciu.

W tej działalności zmarły Pasterz doznał niejednej przykrości. Zawiedli jego zaufanie niektórzy księża, przyjęci do unii z prawosławia; akcja unijna spotkała się także z trudnościami z tej strony, z której wolno jej było oczekiwać życzliwości i pomocy. Ks. biskup Przeździecki nie dał się zrazić tym trudnościom. W obronie akcji unijnej wystąpił z osobnym obszernym pasterskim listem; kapłanów unickich gromadził co rocznie na osobne konferencje, na których pouczał ich, pocieszał w trudnościach, zachęcał do wytrwania.

W uznaniu kompetencji biskupa Przeździeckiego w sprawach wschodnich, Ojciec św. Pius XI powołał go na konsultora św. Kongregacji dla Kościoła wschodniego.

Do grobu odprowadzili zmarłego Pasterza z żalem wierni dwóch obrządków katolickich. Ta zgoda znalazła swój wyraz w nabożeństwach pogrzebowych, odprawianych w obu tych obrządkach. *J. U.*

WIADOMOŚCI I NOTATKI

W Wilnie bezpośrednio po ogólno-polskim zjeździe misyjnym 25 i 26 czerwca br. odbędzie się Konferencja unijna w związku z obchodem 500-lecia Soboru Florenckiego. Na konferencję tę i związane z nią nabożeństwa przeznaczono dni 27—29 czerwca. Zwołanie tej konferencji w jubileuszowym roku soborowym było przewidziane i postanowione na VI Konferencji pińskiej w r. 1937.

Na konferencji unijnej w Wilnie mają być wygłoszone następujące referaty: „Losy unii florenckiej w Polsce i Litwie“ (ks. Jan Urban T. J.); „Twórcy unii florenckiej“ (ks. dr Bolesław Radomski); „Porozumienie na soborze florenckim w sprawie Filioque“ (ksiądz docent Michał Morawski); „Dogmat czyśćca na soborze florenckim“ (ks. dr Michał Niechaj); „Obecny stan prawny cerkwi prawosławnej w Polsce“ (ks. dr Władysław Padacz, poseł na Sejm R. P.); „Perspektywy jedności religijnej na terenach mieszanych“ (ks. dziekan Antoni Zienkiewicz); „Wskazania soboru florenckiego dla czasów obecnych“ (ks. Antoni Dąbrowski T. J.).

*

Na zebraniu „Koła Jedności Katolickiej“ w Warszawie dnia 9 maja br., proboszcz parafii

Delatycze obrz. wsch. (pow. nowogródzki), ks. Wacław Onoszko, wygłosił referat o metodach pracy pasterskiej na placówkach neo-unijnych. Po wstępnych informacjach o tym, jak powstawały parafie neo-unickie w diecezji pińskiej, Referent opowiedział wiele interesujących szczegółów ze swojej 13-letniej misjonarskiej pracy zwłaszcza na Polesiu. Opowiadał o tych zarzuconych w błotach poleskich i opuszczonych wsiach „prawosławnych“, gdzie nikt prawie nie umie odmówić „Ojcze nasz“ i gdzie ludność chętnie witała katolickiego kapłana, przemawiającego do niej w jej języku i nauczającego najprostszych prawd wiary. W krótkim czasie w powiecie stolińskim powstało kilka placówek neo-unickich, jak Olpień, Chutory Merlińskie, Kołki i in. Rozwój pracy wielce utrudniony jest tam spowodu nieprzychylnego jej traktowania przez władze, nie dające zezwolenia na budowę kościołów i kaplic unickich.

*

Z diecezji lubelskiej otrzymaliśmy prywatne wiadomości, że zbiorowe przejście prawosławnych na katolicyzm łac. obrz., w marcu i kwietniu br., o których donosiły niejednokrotnie dzienniki, nie zawsze, niestety, były wyrazem wewnętrznego przekonania nawracających się, będąc w pewnych razach rezultatem czynnej interwencji jakichś nieodpowiedzialnych czynników. Rosyjska prasa zagraniczna, jak *Prawosławnaja Ruś*, wychodząca w Słowacji (nr. 7 z roku bież.), uderzyły nawet w wielki dzwon, głosząc światu o nowej fali prześladowań prawosławia. Że jednak nie chodziło tu o prawosławie, jako takie, dowodzi fakt, że presja wywierana jest także na greko-katolików (naprz. w parafii Grabowiec), aby przechodzili na obrządek łaciński. Trzeba też stanowczo odeprzeć powtarzające się wciąż w prasie rosyjskiej za granicą insynuacje jakoby zeszłoroczne i tegoroczne fakty na Chełmszczyźnie były aprobowane lub inspirowane przez wyższe władze duchowne, zwłaszcza przez Stolicę Apostolską. — Sprawa „zmuszania ludności prawosławnej do przyjmowania katolicyzmu“ w niektórych wsiach wojew. lubelskiego była przedmiotem interpelacji posłów ukraińskich Barana i Skrypnika w sejmie. Według najnowszych wiadomości z terenu prawosławni uspokoili się po bytności komisji ministerialnej z p. dyrektorem Dunin-Borkowskim na czele. — Powrotu do Kościoła katolickiego prawosławnych, potomków unitów, społeczeństwo katolickie pragnie całym sercem i powrót ten winno im ułatwiać; musi się jednak potępić metody „nawracania“, które chociażby z daleka przypominały sposoby, stosowane względem unitów niegdyś za rządów carskich.

*

W reportażu B. Oreła w *Nedili* z pobytu na Chełmszczyźnie podczas świąt Bożego Narodzenia, znajdujemy parę szczegółów, dotyczących unickiej parafii w Grabowcu i znajdującej się w jej zasięgu wsi Hostynne. W Hostynnem odrodzenie ukraińskie (tj. antyrosyjskie) sięga jeszcze r. 1915. W 1917 r. wieś wysyłała już delegata do Centralnej Rady. Około r. 1926 zalewa wieś fala komunizmu, która jednak po paru latach została odparta, tak że sami nawet prowodyrzy jego zostali dobrymi chrześcijanami. W Hostynnem w ostatnich czasach objawiła się reakcja przeciw najnowszym prądom, objawiającym się w cerkwi prawosławnej, wskutek czego przodująca część wsi zakłada filię grecko-katolickiej parafii w Grabowcu. Od dwóch lat czynione są starania o utworzenie parafii grecko-katolickiej. Ruch ten rozszerza się na wsie Dobromierzyce, Peresołowicze i in. — Od redakcji musimy dodać, że dotąd nawet grupa grecko-katolicka w samym Grabowcu nie posiada praw samodzielnej parafii, a pasterz jej jest urzędowo tylko wikariuszem parafii łacińskiej.

*

Pod kierownictwem Księży Pallotynów istnieje i działa „Pobożne Stowarzyszenie Apostolatu Powszechnego“, założone blisko przed stu latu w Rzymie przez Wiel. ks. Pallotti'ego. W obrębie tej organizacji powstał w Polsce w grudniu 1937 r. „Apostolat Pojednania“, zrzeszenie, mające za cel współpracę z misyjnymi poczynaniami Kościoła wśród odłączouego od Rzymu prawosławia. Do Zrzeszenia mogą należeć duchowni i świeccy, osoby fizyczne i organizacje. Cele swoje osiąga zrzeszenie modlitwą, pracą nad własnym wyrobieniem wewnętrznym, studiowaniem zagadnień kościelno-wschodnich, ofiarami materialnymi na poparcie idei zjednoczenia Kościołów. Bliższych szczegółów o „Apostolacie Pojednania“ można żądać u jego prezesa, ks. Stanisława Szulmińskiego: Seminarium Duchowne Księży Pallotynów w Ołtarzewie, p. Ożarów Warszawski.

NOWE KSIĄŻKI

Pierre Pascal: Avvakum et les Débuts du Raskol. La Crise religieuse au XVII siècle en Russie. — Centre d'Études russes „Istina“, Paris 1938, p. XXV+618.

Należy wprost podziwiać naukową bezinteresowność francuskiego profesora w szkole żywych języków wschodnich, z jaką zabrał się do tematu tak naszemu zachodniemu światu odległego, jak kryzys religijny w prawosławiu moskiewskim w XVII wieku. Temat ten pociągnął dr Pascala, czyniącego naukowe poszukiwania w moskiewskich archiwach, gdy natrafił na materiały, dotyczące protopopa Awwakuma, duchowego możnaby powiedzieć ojca „raskołu“, tj. rozłamu, jakido konał się wtedy w cerkwi moskiewskiej, a którego skutki trwają dotąd w postaci różnych sekt „staroobrzędowych“. Uczonego francuskiego zaciekawiła niezmiernie postać Awwakuma, po którym pozostał rodzaj autobiografii i mnóstwo listów i orędzi. Podziwiać mógł dr Pascal siłę ducha tego niewykształconego popa, który całe życie oddał w usługi idei, jaką uważał za świętą i słuszną, obrony starych obrzędów i starego surowego stylu życia religijnego przed nowatorskimi reformami patriarchy Nikona. Za tę swoją ideę cierpiał srogie prześladowanie, więzienia, bicia, zsyłki na daleki syberyjski wschód, a potem nad Morze Lodowate, gdzie kilkanaście lat do samej śmierci wytrzymano go w jamie, wykopanej w ziemi, w głodzie, w zimnie, prawie nagiego, a mimo wszystko twardego w swych przekonaniach i w tych przekonaniach utwierdza-

jącego innych za pomocą pism, z pod ziemi w świat wysyłanych.

Ale, żeby zrozumieć duszę takiego Awwakuma, musiał autor francuski wystudiować całe tło zarówno religijne, jak kulturalne i polityczne w ówczesnej Rusi moskiewskiej, tło, na którym zrodziły się nieco postępowsze i reformatorskie tendencje w cerkwi i jako reakcja przeciw nim — obrona starych tradycyj i form, a stąd i schizma w cerkwi. I tło to doskonale dr Pascal zrozumiał i w swojej pokaźnej rozmiarami książce dał — można powiedzieć — przekrój ówczesnej Moskwy we wszystkich kierunkach. Stąd, obok materiału biograficznego, dotyczącego osoby słynnego protopopa, wciągnął masę materiału, obrazującego życie polityczne, stan cerkwi, moralność, obyczaje, kulturę duchową, nawet gospodarstwo państwa moskiewskiego za pierwszych carów z rodu Romanowych. Prześladowanemu protopopowi czytelnik towarzyszy do najdalszych zakątków carstwa, przygląda się kolonizatorskim poczynaniom, zderzeniom zaborczego żywiołu rosyjskiego z tubylcami, itd. Najciekawsze, to strona obyczajowa i religijna ówczesnego życia moskiewskiego: ślepe przywiązanie do litery i najmniejszego gestu liturgicznego, a obok tego pijaństwo, zabobonność, kradzieże, okrucieństwa. „Staroobrzędowość“ jednak na ogół nie ograniczała się do bronienia obrzędów, ale przedstawiała surowszy typ moralności i duchowego życia, coś w rodzaju moskiewskiego „jansenizmu“. Skończyło się to potem rozpadem na mnóstwo sekt, fanatyzmem, posuwającym się do masowych autokremacyj. Ciekawe są pewne echa ówczesnych walk w dzisiejszej walce religii z bezbożnością.

Autor swoją książkę pojął jako dzieło naukowe i jest ono takim rzeczywiście; równocześnie umiał materiał ten ubrać w barwność stylu, żywość opowiadania.

Kto interesuje się historią prawosławia rosyjskiego, ten niechaj nie żałuje czasu na przeczytanie książki dra Pascala. Zastąpi mu ona wiele innych książek.

J. U.

Dom Ildefonse Dirks: Les saintes Icones. 2 éd. Prieuré d'Amay-sur-Meuse, 1939. Str. 86 i 2 plansze, in 4^0 mai.

Klasztor oo. Benedyktynów obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Amay, w Belgii, z szczególną predylekcją zajmuje się w swych studiach śpiewem liturgicznym wschodnim i ikonografią bizantyjską. W celu upowszechnienia znajomości tej ikonografii na Zachodzie wydaje serie mniejszych i większych obrazków, reprodukujących bardziej charakterystyczne ikony greckie i rosyjskie. Jest tych obrazków już przeszło 260. Zrozumieniu zaś tej bizantyjskiej sztuki ikonograficznej ma służyć książka o. Dirksa, która już wyszła w drugim, bardzo artystycznym wydaniu. Omawia ona historię ikon, różne szkoły i technikę wykonania i znaczenie ikon w liturgii wschodniej. Cena tej pięknej książki 25 fr. belg. Z zamówieniami na nią, jak również po obrazki zwracać się należy pod adresem: Prieuré benédictin, Amay-sur-Meuse, Belgia.

J. U.

Nadesłane:

Julian Tarnowycz: Za sribnołentym Sianom. Lwów 1938. Nakł. Sw. Tyktora.

O. St. Demko: Sektanty. II wyd. Żółkiew 1939.

Jeronim Anonim: Szybenycznyj Werch. Lwów 1938. Nakł. „Nasz Łemko“.

Iwan Szewczyk Łukawyczenko i Julian Tarnowycz: Pisnia Beskidu. Lwów 1938. Nakł. „Nasz Łemko“.

Julian Tarnowycz: Mowa stolit', Lwów 1938. Nakł. „Nasz Łemko“.

Mgr Wołodymir Klisz. Tworim sylni osnowy. Lwów 1938. Nakł. „Nasz Łemko“.

O. Teodozij Łeżohubśkyj: Propowidy ta promowy. Wydanie pośmiertne, tom II, zesz. I. Drukarnia i Wydawnictwo oo. Bazylianów w Żółkwi, 1938, str. 228.

Jewhen Maceluch: Ternistyj szlach. Powist' z pereśliduwańnia cerkwy w Meksyku. OO. Bazylianie, Żółkiew, str. 88.

Czomu ja znowu staw katołykom? OO. Bazylianie, Zółkiew, str. 16.

O. Mychajło Krawczuk: Hołosinnia proroka Jeremii. OO. Bazylianie, str. 24.

N. Belina-Podgaetsky: L'Ouragan rouge. Wyd. 2. Bonne Presse, Averbode, Belgique, str. 215.

Tenże: Petrouchka, wyd. tamże, str. 57.

Tenże: Le Tourbillon de neige, tamże str. 59.

O. Josif Schrejwers: Chrystowe Posłannia do swoho światszczenyka. (Asketyczna biblioteka gr. kat. duch. sem. u Lwowi). Str. 151.

O. dr Josif Slipyj: Bohosłowśke naukowe Towarystwo i joho statuty. Lwów 1924, str. 19.

Józef Widajewicz: Południowo-wschodnie kresy Polski w X i XI wieku. Poznań, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, str. 80.

Osyp Nazaruk: Z Wołyni. Lwów, „Nowa Zoria“ 1938, str. 116.

Redaktor: Ks. Jan Urban T. J.

Drukarnia Wydawnictwa Księży Jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61 — Telefon, nr 4-37-87

W PRACY APOSTOLSKIEJ WŚRÓD ROSJAN
MOGĄ ODDAĆ WIELKIE USŁUGI
NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI I BROSZURY:

Gospodu pomolimsia (książka do nabożeństwa dla obrz. łac.) (opr.)	zł	2·—
Molitwosłow (książka do naboż. dla obrz. wsch.) (opr.)	„	2·50
Wł. Sołowiow: Rossija i Wsielenskaja Cerkow	„	2·50
I. Zabużnyj: Prawosławie i katoliczestwo	„	2·50
Tondini: Rimskij papa i papy prawosławnoj wostocznoj cerkwi	„	3·—
Św. Ignacy: Duchownyja uprażnienja	„	2·—
S. Tyszkiewicz: Katoliczeskij Katechizis	„	3·—
„ Kratkij Katoliczeskij Katechizis	„	1·—
„ Uczenje o cerkwi	“	6·—
Kitież, czasopismo r 1927—1931	„	4·—
J. Gagarin: Sokrowiszcze Christianina	„	—·40
A. Około-Kułak: Kratkoje izłożenje istin christ. wiery	„	—·25
A. Zwiezdin: Niepokładnyje ludi (powieść)	„	2·—
Carstwo Bożje w mirie (7 zesztów)	“	4·—
Dr Fr. Dvornik: Żyźń św. Wiaczesława	„	1·80
A. Dąbrowskij: Pij XI i uniatskoje dwiżenje	„	—·20
B. Usow: Obszczestwo Jezuitow	„	—·25
J. Jurak: Ordien Dominikancew	„	—·25
G. Bennigsen: Katoliczeskaja Cerkow i raboczij wopros	„	—·20
„ Biesieda w wagonie	„	—·20
„ K woprostu o diejstwitelnosti anglikanskawo świaszczenstwa	„	2·—
Złučeńnie, pismo białoruskie, r. 1938	„	1·50
W. Morawskij: Sowremiennoje położenje russkoj Cerkwi	„	—·20
„ O cerkownom jedinstwie	„	—·20
Feliks Cozel: Kakoj dołżna byt' ispowied'	„	—·40
W. Własow v. Waldenberg: K swietu i wiecznoj lubwi	„	—·30
Wsiew. Iwanow: Fiłosofja Władimira Sołowiowa	„	—·20
Spectator: Niepogriszimost' papy i jewo pierwoświaszczenstwo	„	—·50
„ Christianskij brak i nierastorżimost' jewo	„	—·30
„ Masonstwo, wsiemirnaja rewolucja i katoliczestwo	„	—·40
„ Katoliczestwo ili rewolucja	„	—·20
A. Etingen: Pietrusza	„	—·20
N. Pawlusiuk: Awtoritet i swoboda	„	—·20
Swiataja Teresa Młodenca Isusa	„	—·15

Ceny podane są bez oprawy, o ile nie jest inaczej zaznaczone.

Wszystkie te książki i broszury można nabyć
W ADMINISTRACJI „ORIENSU“
WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 61

Nabywający książek najmniej za 5·— zł. nie ponoszą kosztów przesyłki

Konto P. K. O. 15.293, Ks. J. Urban

Oriens

DWUMIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU

LIPIEC-SIERPIEŃ 1939

TREŚĆ ZESZYTU:

WYDAJE MISJA WSCHODNIA O. O. JEZUITÓW W POLSCE
REDAGUJE KS. JAN URBAN T. J.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 61
KONTO P. K. O. NR. 15.293

ORIENS

DWUMIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM WSCHODU
WYDAWANY PRZEZ MISJĘ WSCHODNIĄ OO. JEZUITÓW W POLSCE

Rocznik 7 — Warszawa 15 lipca 1939 r. — Zeszyt 4

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 8.— CENA POJEDYŃCZEGO ZESZYTU ZŁ 1.50

OJCIEC ŚW. NA JUBILEUSZ CHRZTU RUSI

Umiłowanemu Synowi Naszemu Eugeniuszowi Tisserant, Św. Rzym. Kościoła kardynałowi presbyterowi, tytułu Świętych Wita, Modesta i Krescencji, Sekretarzowi Świętej Kongregacji dla Kościoła Wschodniego.

PIUS XII, PAPIEŻ

Umiłowany Synu Nasz,
Pozdrowienie i błogosławieństwo Apostolskie.

Ze szczególnym zadowoleniem dowiedzieliśmy się od Ciebie, Umiłowany Synu Nasz, który w kierowaniu sprawami Kościoła Wschodniego w Kurii Rzymskiej pilną Nam okazujesz pomoc, że dwa kolegia papieskie, Ruskie im. św. Józafata i Rosyjskie im. św. Teresy od Dzieciątka Jezus, powzięły zamiar uroczystego uczczenia, tutaj w Rzymie, 950-lecia owej chwili, kiedy Święty Włodzimierz i jego lud zostali obmyci wodą chrztu świętego. Otrzymawszy tę wiadomość, nie tylko pochwaliliśmy zamiar urządzenia trzydniowych modłów w świątyni Najśw. Imienia Jezus, ale nadto uznaliśmy za właściwe, by w niedzielę 21-go tego miesiąca zostało odprawione w patriarchalnej bazylice watykańskiej nabożeństwo pontyfikalne, abyśmy tym sposobem wzięli bliższy i jakby pełniejszy udział w tym zdarzeniu, które ma być chwałą wybranej cząstki owczarni Chrystusowej.

Zaiste, pamiątka prawie tysiącletnia chrztu św. Włodzimierza i narodu jego budzi w nas żywe uczucia wdzięczności względem Boga miłosiernego, od którego taki dar pochodzi i pobożnej czci dla owych dusz szlachetnych, które ten dar wyprosiły. Ileż bowiem dowodów wiary objawiło się w szczęśliwej owej chwili! Jak gorące płomienie miłości zapałały w ów dzień, który szczęśliwie zaświecił dla zbawienia wielu! Od owego przecież dnia stało się widocznym, że gdzie ludzie poznają naukę Chrystusa i poczynają rządzić się nią w swym życiu, tam doczesne także warunki ludzkiego pożycia układają się w dziwny porządek, a poszczególni ludzie głębiej poznają swą godność dzieci Bożych i lepiej poczynają rozumieć drogi i sposoby, wiodące do sprawiedliwości i pokoju.

Wspominać tedy św. Włodzimierza, przesławnego księcia jego ludu, to znaczy wspominać przede wszystkim ów żar łaski nadprzyrodzonej, jakim zapałała jego dusza w chwili odrodzenia z wody i Ducha Świętego. Wtedy przecież rozkwitł w nim płodny

posiew życia, jaki niegdyś w dziecinną jego duszę wrzuciła roztropnie święta jego babka Olga; wtedy mąż, przedtem tak dziki i prostaczy, by nie powiedzieć surowy i okrutny, stał się ludzkim, i zamiast szukać znikomej chwały u poddanych, jeszcze w cieniu śmierci siedzących, począł pracować nad szerzeniem wśród nich Królestwa Chrystusowego. Stąd zaś taka chwała opromieniła jego naród, który przez wieki pozostał wiernym Jezusowi Chrystusowi, dając głośne świadectwo jego słowom żywota.

Jak zaś nie możemy zapomnieć, Umiłowany Synu Nasz, o tem, że św. Włodzimierz utrzymywał częste stosunki z tą Stolicą Apostolską, dając wiele dowodów synowskiej czci i wiernej przyjaźni, tak również nie możemy pominąć owej wierności dla katedry Piotra, jaką okazywali i przelaniem krwi stwierdzali katolicy obrządku bizantyjskiego, których zwarte zastępy w Europie Wschodniej i w obu Amerykach stanowią znaczną część Kościoła Chrystusowego.

To wszystko z wdzięcznością przywodząc na pamięć, niniejszym pismem bierzemy udział w bliskim obchodzie radosnego zdarzenia. Lecz, kiedy patrzymy na obecny stan chrześcijaństwa u Rosjan, musimy ze smutkiem i troską opłakiwać, że wierny naród, szczycący się pochodzeniem od św. Włodzimierza, tak długo cierpi niesprawiedliwe podeptanie wiary katolickiej, haniebną wojnę, wydaną Najświętszemu Imieniowi Bożemu, i przemoc nierzadko krwawą, narzuconą tym, którzy wyznają Chrystusa jednorodzonym Synem Bożym. Dlatego pokornie i ustawicznie wznosimy modły Nasze do Najsłodszej Bogarodzicy, którą ten naród tak czci i miłuje, aby raczyła łaskawie natchnąć rządzców narodów uczuciami prawdziwej sprawiedliwości, bo próżną będzie i bezskuteczną sprawiedliwość, jeżeli nie będzie rządzoną przez Boga, któremu wszystko poddane; tudzież, by wyjednała dla opuszczonych synów, aby jak najrychlej znowu mogli się cieszyć cudnym darem Najwyższego — wolnością wiary chrześcijańskiej.

Sam zaś Nasz Poprzednik, śp. Pius XI, przemawiając 21 sierpnia roku ubiegłego w Castelgandolfo do alumnów kolegium ruskiego im. św. Józafata, raczył już wspomnieć o radosnej rocznicy; jego słowa biorąc za Nasze, polecamy Ci, Umiłowany Synu Nasz, abyś wraz z życzeniami i ojcowską zachętą przesłał szczodre błogosławieństwo Apostolskie tym wszystkim wyznawcom obrządku bizantyjsko-słowiańskiego lub innych obrządków, którzy połączą się z Tobą, aby w zgodnej modlitwie i we wzajemnej miłości, która jest związką doskonałości, obchodzić 950 rocznicę zbawiennego odrodzenia przez chrzest św. Włodzimierza i jego narodu.

Dan w Rzymie u św. Piotra, dnia 12 maja roku 1939, pontyfikatu naszego roku pierwszego.

Pius XII, papież

OBCHÓD WŁODZIMIERZOWSKI W RZYMIE

Rzym papieży jest sercem całego chrześcijaństwa. Z niego idą życiowe impulsy do najdalszych zakątków organizmu kościelnego, w nim nawzajem żywe oddźwięki wywołują wszystkie radości i boleści, jakie są przeżywane w którejkolwiek cząstce rodziny katolickiej.

Taki objaw oddźwięku peryferycznych przeżyć w sercu organizmu kościelnego stanowił niedawny obchód „włodzimierzowski“ w Rzymie.

Kościoły, które bezpośrednio lub pośrednio zawdzięczają swój początek wielkiemu księciu kijowskiemu, św. Włodzimierzowi, odświętowały w roku ubiegłym i w po-

czątkach bieżącego 950 rocznicę chrztu Rusi. Świętowali ten jubileusz zarówno zjednoczeni z Rzymem ukraińscy grekokatolicy, jak i pozostający poza katolicką jednością prawosławni, wszędzie, gdzie warunki egzystencji religijnej na to pozwoliły, a więc poza Rosją bolszewicką, w Polsce i w rozproszeniu rosyjskim i ukraińskim. Parokrotnie w naszym piśmie były notowane te uroczystości i z nich wyprowadzane należne refleksje i wnioski.[1]) Uwieńczeniem wszystkich tych jubileuszowych uroczystości stał się obchód w Rzymie w maju br.

Inicjatywa obchodu wyszła od rektorów dwóch rzymskich papieskich kolegiów, reprezentujących narody, nawiązujące swą historię do św. Włodzimierza. Są to kolegia: ruskie *(Ruthenum)* i rosyjskie *(Russicum)*, pozostające pod zarządem: pierwsze oo. Bazylianów, drugie — oo. Jezuitów. Według ułożonego programu miało się odbyć jubileuszowe triduum w świątyni Imienia Jezus *(al Gesú)*, celebrowane kolejnie przez purpuratów i uświetniane kazaniami wybitnych mowców. Kiedy jednak program ten przedstawiono Ojcu św., został on z inicjatywy Piusa XII rozszerzony. Zaznacza to sam Ojciec św. w swoim liście do kard. Tisseranta, który umieściliśmy na czele tego zeszytu. Pius XII zarządził, by oprócz nabożeństw w *al Gesú* jubileusz był obchodzony i w bazylice św. Piotra pontyfikalną liturgią w obrządku wschodnim, aby tym sposobem i Najwyższy Pasterz mógł mieć w nim bliższy udział choćby tylko przez bliskość miejsca. Jak odniósł się do tego jubileuszu Pius XII, świadczy przytoczone powyżej orędzie, w którym Ojciec św. uwydatnia znaczenie chrztu św. Włodzimierza dla historii i kultury ludów, spadkobierców starego państwa kijowskiego.

W kościele *al Gesú* 19 maja, po mszy generała Redemptorystów o. Murray'a, mszę potyfikalną odprawił arcybiskup Gorycji Mgre Margotti w asyście alumnów kolegium polskiego, przyczym chór pod batutą Antonelliego wykonał po raz pierwszy nową mszę łacińską rosyjskiego kompozytora Greczaninowa. Wieczorem tegoż dnia wspaniałe kazanie do licznego zastępu słuchaczy wygłosił po włosku asystent generała oo. Jezuitów, o. Magni, poczem kardynał sekretarz Kongregacji Wschodniej E. Tisserant udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Drugiego dnia, po mszy generała Dominikanów o. Gillet'a, nastąpiła celebra pontyfikalna arcybiskupa Pisani w asyście kleryków seminarium lombardzkiego; wieczorem tegoż dnia kazanie wypowiedział biskup Rosjanin A. Jewreinow, błogosławieństwa zaś Najśw. Sakramentem udzielił kardynał Pizzardo w otoczeniu alumnów kolegium południowo-amerykańskiego.

W ostatnim dniu *triduum*, którym była niedziela 21 maja, mszę w *al Gesú* odprawił generał oo. Jezuitów Włodz. Ledóchowski, poczem uroczystość przeniosła się do bazyliki watykańskiej, gdzie była wyznaczona pontyfikalna liturgia wschodnia. W tym celu w nawie tylnej poza konfesją, przed ołtarzem katedry św. Piotra, zostały przeprowadzone pewne adaptacje; mianowicie ustawiono kwadratową mensę ołtarzową, którą można było obchodzić na około, jak tego wymagają przepisy obrządku, a opodal przed mensą przy balustradzie umieszczono na pulpitach obrazy Zbawiciela i Najśw. Bogarodzicy, mające zastępować ikonostas. Z boków ustawiono siedzenia i trybuny dla wybitnych gości. O godz. 11 nawa napełniła się duchowieństwem i wiernymi, a miejsca honorowe zajęli przełożeni różnych zakonów, kolegiów, przedstawiciele kongregacji rzymskich, wybitni prałaci i biskupi różnych obrządków. Byli obecni kardynałowie Tedeschini i Tappuni (obrz. syr.). Liturgię celebrował ks. biskup Jewreinow wspólnie *(sobornie)* z następującymi kapłanami: rektorem akademii teologicznej we Lwowie, ks. dr J. Ślipym, protoigumenem Studytów o. Klemensem Szeptyckim, rektorem kolegium ruskiego o. J. Łabajem, rektorem kolegium rosyjskiego o. F. de Regis, o. Cyrylem Korolewskim i o. Wiktorem Nowikowym T. J. Śpiewał pod batutą p. Butkiewicza chór, złożony z alumnów kolegiów ruskiego i rosyjskiego; cała celebra była nadana przez radio watykańskie i transmitowana przez niektóre stacje włoskie. Zakończenie uroczystości odbyło się znowu w kościele *al Gesú* wieczorem przemówieniem kardynała Pellegrinetti'ego i błogosławieństwem, udzielonym przez kard. Marmaggi'ego, obu purpuratów związanych bliżej z Polską, w której pierwszy był audytorem nuncjatury a drugi nuncjuszem apostolskim.

---

[1]) Por. art. „Jubileusz chrztu Rusi", *Oriens* wrzesień-październik 1938.

Całe znaczenie obchodu jubileuszu włodzimierzowskiego w stolicy chrześcijaństwa zostało uwydatnione w wymienionych trzech konferencjach, mianych w kościele Imienia Jezus. Ks. biskup Jewreinow, pierwszy biskup katolicki wielkorosyjskiego pochodzenia, były dyplomata rosyjski, przedstawił nieszczęsny stan materialny i duchowy swojej ojczyzny, oderwanej od ośrodka jedności katolickiej i opanowanej przez tyranię komunistyczną; w przemówieniu o. Magni z wielką oratorską swadą łączyło się ciepłe uczucie dla nieszczęśliwego kraju; najgłębsze atoli wrażenie wywarła przeszło godzinna konferencja kard. Pellegrinetti'ego, który na historycznym tle przedstawił charakter tego chrześcijaństwa, jakie na Rusi zaszczepił św. Włodzimierz, chrześcijaństwa wschodniego, w szacie słowiańskiej, ale wolnego od późniejszego bizantyjskiego i moskiewskiego ekskluzywizmu i odosobnienia się. Dostojny mówca zakończył swe przemówienie wyliczeniem tych trosk Stolicy św., z jakimi odnosi się stale do ujarzmionego przez bolszewizm narodu, do jego głodnych dzieci, do jego rozbitków na emigracji. We wszystkich tych przemówieniach mowcy zwracali swój wzrok nie tyle do tej części dziedzictwa św. Włodzimierza, która trwa wiernie przy Kościele katolickim (to silnie podkreślił Ojciec św. w swoim orędziu), jak raczej do owiec rozproszonych, błąkających się, szarpanych przez wilków.

Uroczystości włodzimierzowskie w Rzymie nasuwają nam parę refleksyj.

Najpierw tę, że w stolicy katolicyzmu, pod okiem wspólnego Ojca, łagodzą się i zacierają przeciwieństwa, dzielące narody i kłócące jedne z drugimi. Okazało się to w zgodnym współdziałaniu dwóch kolegiów, od których wyszła myśl obchodu, i dwóch kolonij, które w nim udział wzięły. Ruskie, *de facto* ukraińskie, kolegium im. św. Józafata i rosyjskie im. św. Teresy — toć to dwa światy, dwie odrębne atmosfery, które reprezentują grupy narodowe, jednakowo wprawdzie powołujące się na św. Włodzimierza, ale w swych politycznych poglądach i dążnościach sobie przeciwstawne. Jednak wspólny kult Oświeciciela Rusi i neutralny grunt rzymskiej kosmopolis pozwoliły tym grupom zebrać się u tego samego ołtarza, ukraińskim kapłanom otoczyć rosyjskiego celebransa, „greko-katolickim" klerykom wraz z „bizantyjsko-słowiańskimi" złożyć jeden zgodny chór śpiewaczy. A temu zbliżeniu sekundował udział w uroczystościach przedstawicieli innych narodów katolickich: Włochów, Francuzów, południowych Amerykanów; duży udział wzięli Polacy, nie mówiąc już o tym, że polskimi obywatelami byli i Ukraińcy, a przyjaciółmi Polski dwaj purpuraci i wielu innych uczestników obchodu.

Druga refleksja dotyczy oddania przez Ojca św. bazyliki św. Piotra na liturgię wschodnią. Obrządki wschodnie posiadają w Rzymie swoje własne świątynie; w bazylikach łacińskich obrządkowa powszechność Kościoła zaznacza się symbolicznie tym, że ewangelia przy celebrach papieskich bywa śpiewana w językach łacińskim i greckim. Natomiast uroczysta celebra w obrządku greckim należy w tych świątyniach do niezwykłych rzadkości. O ile mi wiadomo, u św. Piotra miała ona miejsce dopiero trzy razy: po raz pierwszy w r. 1908 — i to nie w samej bazylice, lecz w sali konsystorialnej — na 1500-lecie od śmierci św. Jana Chryzostoma, kiedy to w liturgii wschodniej wziął udział papież Pius X; drugi raz w r. 1925 podczas 1600-letniego jubileuszu soboru nicejskiego z udziałem Piusa XI; trzeci raz obecnie z okazji jubileuszu chrztu Rusi. Można się tu dopatrzyć dowodu na to, jak wielkie znaczenie w dziejach Kościoła, w mniemaniu obecnego Papieża Piusa XII, miało wprowadzenie Rusi do rodziny narodów chrześcijańskich.

Nie możemy niniejszego sprawozdania zakończyć nie wspomniawszy jeszcze o audiencji, jakiej Ojciec św. udzielił 6 czerwca br. grupom rosyjskiej i ukraińskiej wciąż w związku z obchodem jubileuszowym. Audiencja odbyła się w sali Konsystorza bardzo uroczyście. Przyjętym na audiencji przewodził J. E. Ks. Biskup Jewreinow, udział zaś brali w niej znajdujący się w Rzymie oo. Bazylianie z generalnym archimandrytą swoim o. Tkaczukiem, Jezuici i Redemptoryści wschodni, całe kolegium ruskie św. Józafata, kolegium rosyjskie św. Teresy, Siostry służebniczki ukraińskie, pracujące w Rzymie, liczne jednostki kolonii ukraińskiej, a jeszcze więcej Rosjan emigrantów, wreszcie panie z konferencji św. Wincentego a Paulo, niosące pomoc potrzebującym uchodźcom rosyjskim. Wśród Rosjan zauważyć było można

przedstawicieli arystokracji rosyjskiej, jak Tatjanę Suchotinę (najstarsza córka Lwa Tołstoja), księżniczkę Marię Wołkońską i ks. Włodzimierza Wołkońskiego, księżnę Andronikowę z hr. Szeremietiewych, poetę Wacława Iwanowa i innych adeptów katolicyzmu rosyjskiego.

Do zebranych przemówił Ojciec św., nawiązując do świeżo odświętowanego jubileuszu i wyrażając swą radość z oglądania tej „cząstki wybranej" narodu, który swą wiarę zawdzięcza wielkiemu świętemu księciu. Papież podkreślił wierność narodu ruskiego Stolicy świętej, zaświadczoną krwią św. Józafata i trudami metropolity Rutskiego, zaznaczył ważność zadań kolegiów ruskiego i najmłodszego rosyjskiego w dziele wychowania apostołów jedności i wielkie nadzieje w nich pokładane, z szczególnie ciepłymi słowami zwrócił się do przebywających w Rzymie Rosjan, wreszcie dziękował paniom miłosierdzia św. Wincentego a Paulo za ich poświęcenie w dziele łagodzenia niedoli wygnańców rosyjskich. Błogosławieństwem apostolskim zakończyło się to przyjęcie, i wszyscy opuszczali pałac watykański w przeświadczeniu, że w Piusie XII mają szczerze kochającego ich Pasterza i Ojca.

Romanus.

KONFERENCJA UNIJNA W WILNIE

Na VI Konferencji unijnej w Pińsku, we wrześniu 1937 r., przyjęto rezolucję, by do tego miasta zwoływać podobne zjazdy tylko co czwarty rok, w międzyczasie zaś, tj. po dwóch latach, zgromadzać się w którymś innym mieście. Wtedy też następną konferencję przewidziano na rok 1939 w związku z 500-leciem Soboru Florenckiego.

Ten ostatni punkt zamiarów pińskich został szczęśliwie urzeczywistniony dzięki życzliwej inicjatywie J. E. ks. arcybiskupa-metropolity wileńskiego, Romualda Jałbrzykowskiego, który konferencję zaprosił do Wilna.

Wybór Wilna na obchód jubileuszowy Soboru Florenckiego był trafnym z wielu względów. Wilno było stolicą państwa, które obejmowało ogromne połacie kraju z ludnością należącą do Kościoła wschodniego i w której imieniu Unię Florencką podpisywał metropolita Izydor; tutaj później u św. Trójcy znajdowało się ognisko duchowe umocnienia odnowionej w Brześciu unii; tutaj wreszcie, przed stu laty, osadzono sztab główny burzycieli tejże unii z Siemaszką na czele. Nigdzie może w takim stopniu, jak w Wilnie, losy unii nie zaznaczyły się w sprzyjających jej lub wrogich posunięciach. Tutaj o jej historii i walkach mówią liczne martwe pomniki. Wybór Wilna na obchód jubileuszu unii Florenckiej można także poczytać za rodzaj zadosyćuczynienia za błędy i grzechy historyczne, tutaj bowiem brakiem poparcia aktu florenckiego, politycznym jego niedocenieniem przez państwo i przez Kościół łaciński, przyczyniono się w swoim czasie do osłabienia i upadku zawartej unii.

Obchód jubileuszowy Unii Florenckiej i konferencja unijna zostały połączone z Kongresem Krajowego Związku Misyjnego duchowieństwa w Polsce, co zapewniało liczniejszy udział kleru w konferencji. Jakoż istotnie po zakończeniu kongresu, który się odbył 25 i 26 czerwca, wielu kapłanów pozostało na konferencji unijnej od 27—29 czerwca. Konferencja, podobnie jak jej poprzedniczki pińskie, była właściwie konferencją samych kapłanów; z katolików świeckich znalazł się jeden tylko gość z Warszawy, prezes tamtejszego Towarzystwa unijnego ludzi świeckich. Kapłanów brało udział od 150 do 180; z episkopatu, oprócz miejscowych pasterzy: ks. metropolity R. Jałbrzykowskiego i ks. biskupa sufragana K. Michalkiewicza, wzięli udział obaj ks. biskupi z Pińska, K. Bukraba i K. Niemira, chwilowo także ks. biskup sufragan z Płocka L. Wetmański, wreszcie wizytator apostolski kościołów wschodniego obrządku M. Czarnecki. Nadto na samo zakończenie konferencji przybył z Litwy ks. biskup T. Matulonis, niegdyś więzień Wysp Sołowieckich. Wśród uczestników pokaźnie przedstawiała się liczba, przeszło trzydziestu, księży obrządku wschodniego z protojerejem mitratem Gapanowiczem na czele. Pod tym względem jednak tegoroczna konferencja, w od-

różnieniu od poprzednich, musi być uważana za prowincjonalną, przybyli na nią bowiem kapłani wschodni tylko z terenów akcji neo-unijnej, z Małopolski zaś widzieliśmy tylko dwóch młodych Redemptorystów wschodnich ze Lwowa. Nadeszło wszakże na konferencję pismo ks. metropolity Szeptyckiego z powitaniem zjazdu i życzeniami owocnych obrad.

Dwudniowym zajęciom, na które sali udzielił łaskawie Uniwersytet S. B. (sala im. Śniadeckich), przewodniczył sam J. E. ks. metropolita Jałbrzykowski, w otoczeniu prezydium honorowego, do którego zaproszono wszystkich obecnych księży biskupów, nadto księży o. Urbana z Warszawy, prof. M. Niechaja z Lublina, prof. I. Świrskiego z Wilna i o. Cyryla Kapucyna z Lublina; sekretarzowali ks. profesorowie J. Marcinowski z Wilna i M. Leszczyński z Łucka. Pierwszy z nich był właściwie *spiritus movens* prac przygotowawczych do konferencji.

Program zajęć na konferencji został ułożony logicznie i praktycznie. Pierwszy dzień, 27 czerwca, przeznaczony był na odczyty naukowe o historii Soboru Florenckiego i Unii Florenckiej. Mianowicie „Losy Unii Florenckiej w Polsce i Litwie“ przedstawił w dłuższym referacie radaktor *Oriensu* ks. J. Urban, ks. dr B. Radomski ze Lwowa mówił o głównych „Twórcach Unii Florenckiej“, ks. doc. M. Morawski z Włocławka przedstawił historię „Porozumienia na Soborze w sprawie *Filioque*“, wreszcie ks. dr. M. Niechaj z Lublina omówił dyskusję na Soborze w sprawie „dogmatu czyśćca“. Oczywiście, te czysto naukowe i teoretyczne wykłady nie wiele nastręczyły sposobności do dyskusji, która też ograniczyła się do krótkich przemówień paru uczestników.

Część praktyczną konferencji zapoczątkował tegoż dnia pod wieczór „referat iuformacyjny“, w którym ks. red. Urban scharakteryzował religijne i polityczne warunki, w jakich musi u nas pracować idea zjednoczenia kościelnego. Nazajutrz, 28 czerwca, po odczycie posła na sejm, ks. dra Wł. Padacza, o „Obecnym stanie prawnym cerkwi prawosławnej w Polsce“, ks. dziekan A. Zienkiewicz z Głębokiego omówił „Perspektywy jedności religijnej na terenach mieszanych“, a o. rektor A. Dąbrowski T. J. z Albertyna wysnuł „Wskazania Soboru Florenckiego dla czasów obecnych“. Referatu ks. Zienkiewicza, nacechowanego gruntowną znajomością duszy kresowego ludu i jego zainteresowań, trosk, stanu religijnego i moralnego, wysłuchano z szczególnym zaciekawieniem.

Ta praktyczna część konferencji mogła z natury rzeczy wywołać ożywioną dyskusję. Stało się jednak inaczej. Poza żywszą wymianą słów między paru uczestnikami zjazdu na temat miłości i zrozumienia, z jakimi kapłani łacińskiego pochodzenia winni się zbliżać do wyznawców obrządku wschodniego, dyskusja ograniczyła się do rzucenia paru dodatkowych myśli. Miało się wrażenie, iż wszyscy chyba uczestnicy konferencji dobrze rozumieją i ważność idei zjednoczenia Kościołów i metody pracy, jaka w tym kierunku winna być podjęta i prowadzona, lecz są świadomi także istnienia przeróżnych trudności, których nie usuną żadne biadania i krytyki. Nie wysunięto też żadnych nowych rezolucyj, które zastąpiło końcowe przemówienie J. E. Przewodniczącego, przemówienie, którego treść możnaby ująć w znane słowa W. Pola: „Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży...“

Ważnymi momentami konferencji były nabożeństwa. W dniu rozpoczęcia obrad mszę świętą odprawił w bazylice wileńskiej sam ks. arcybiskup. Drugiego dnia w kościele wschodniego obrządku (niegdyś oo. Augustianów) odbyła się uroczysta liturgia, celebrowana przez ks. biskupa Czarneckiego wespół *(sobornie)* z o. mitratem Gapanowiczem i pięciu innymi kapłanami, przy śpiewie miejscowego chóru. Nawę wypełniła reszta księży wschodnich i kilkudziesięciu łacińskich, siostry zakonne i świeccy pobożni. Trzeba żałować, że za mało włożono starań, by sprowadzić do świątyni większą ilość katolików, którzy mieliby sposobność widzenia i poznania wschodniej liturgii pontyfikalnej w całej jej krasie i bogactwie.

Na zakończenie całego obchodu, w uroczystość św. Piotra i Pawła Apostołów, odprawiona została suma pontyfikalna, celebrowana przez ks. metropolitę. W stallach zasiedli księża biskupi, kapituła, w chórze kler obu obrządków. Kazanie według pierwotnego programu miał wygłosić gorliwy promotor akcji unijnej w Polsce, ks. biskup podlaski H. Przeździecki; niestety, nie doczekał tej chwili, niespodziewana śmierć skreśliła jego nazwisko z programu, a wygłoszenie oko-

licznościowego kazania przypadło ks. prałatowi L. Żebrowskiemu, który szczęśliwie połączył uczczenie Św. Apostołów z wspomnieniem Unii Florenckiej i wysunął narzucające się katolikom obowiązki względem odłączonego Wschodu; są nimi przede wszystkim miłość, modlitwa i przykład świętego życia.

Kulminacyjnym punktem uroczystości stała się procesja, jaka po sumie wyruszyła z bazyliki do Ostrej Bramy. Szły długim sznurem bractwa parafij wileńskich ze swymi sztandarami i feretronami, za nimi siostry różnych zgromadzeń zakonnych, zakonnicy w swych habitach, kler świecki w komżach, wreszcie kapituła w togach, ks. biskupi i celebrans w kapach i mitrach z pastorałami w ręku. W środku między tymi szeregami postępowali kapłani obrządku wschodniego w swoich „fełonach“ lub „epitrachilach“, bezpośrednio zaś przed episkopatem łacińskim — kroczyli ks. biskup Czarnecki i ks. Gapanowicz w mitrach. Pochód posuwał się wolno pod górę przy ciągłym śpiewie polskich pieśni pobożnych; wielka szkoda, że program nie przewidział także śpiewów liturgicznych wschodnich na przemian z polskimi, bez nich bowiem liczny kler wschodni został jakby ograniczony do roli niemych statystów. Niewątpliwie stało się tak przez przeoczenie i brak doświadczenia.

Ale i taka, jaką była, procesja była zapewne zarówno dla widzów prawosławnych jak i dla wielu katolików lekcją poglądową nauki o powszechności Kościoła katolickiego i świadectwem braterstwa w wierze różnych narodowości i obrządków.

Kroczącym zaś w procesji mogły nasuwać się różne wspomnienia historyczne. Oto mijamy kościół św. Jana, gdzie niegdyś złotousty ks. Piotr Skarga głosił między innymi i te kazania, które złożyły się na książkę „O jedności Kościoła Bożego i o greckim od tej jedności odstąpieniu“ i zapoczątkowały w końcu XVI stulecia ruch unijny. Oto spotykamy po drodze dwie starożytne cerkiewki, które były świadkami zmiennych losów unii i prawosławia. Znowu dalej kościół św. Kazimierza, z którego grabarz unii Siemaszko uczynił swoją katedrę. Miał ten zabór symbolizować ostateczny triumf prawosławia nad katolicyzmem w tym mieście i kraju, a jednak Opatrzność przekreśliła zaborcze rachuby i świątynia powróciła do tych, dla których była budowana. Przechodzimy jeszcze obok bramy, poprzez którą widać mury cerkwi św. Trójcy, miejsce uświęcania się św. Józafata, kolebkę katolickich Bazylianów, ognisko, z którego promieniowała wierność unii na kraj cały. Dziś cerkiew stoi opieczętowana i niema, symbolizując sobą stan zniszczonej w kraju unii, lecz milczeniem swym zdaje się wołać o to, by ją uczyniono z powrotem tym, czym dawniej była. A niejeden Polak w procesji przypomniał sobie i to jeszcze, że w tych bazyliańskich murach więziony był niegdyś Mickiewicz i cele tego klasztoru posłużyły mu do umiejscowienia najpatetyczniejszych części „Dziadów“. Jeszcze kilkanaście kroków dalej, po przeciwnej stronie ulicy, mijamy klasztor św. Ducha, twierdzę dyzunii, źródło natchnień do wojny z unią, do zwalczania Józafata Kuncewicza. Jeśli walczono w przekonaniu słuszności swej sprawy, Bóg będzie miłościwy i my wstrzymajmy się od potępień, módlmy się natomiast, aby i w tej pięknej prawosławnej ale rokokowej świątyni zabrzmiało kiedyś *Te Deum* na podziękowanie za przywrócenie jedności wiary.

Wreszcie docieramy do kościoła św. Teresy, przy którym witają nas powróceni do swej świątyni oo. Karmelici — i oto znaleźliśmy się przed owym sanktuarium Wilna, Ostrą Bramą, na ulicy, będącej także dziwną świątynią, zamkniętą kamienicami, ścianą kościoła, nakrytą zaś tylko stropem niebieskim. Nie przechodzi tędy ani przejeżdża nikt bez modlitwy, a przynajmniej bez obnażenia głowy. Obecnie ulicę napełniła procesja, wszyscy poklękali na jezdni, tylko episkopat wstąpił po schodach do wnętrza sanktuarium; na klęczący tłum patrzy Matka Najśw. z cudownego obrazu przez rozsunięte okno.

Najśw. Dziewicę w tym obrazie czczą zarówno prawosławni, jak i katolicy; czy więc można było lepiej zakończyć konferencję unijną, jak składając przez Jej ręce Boskiemu Jej Synowi skromne owoce obrad i Ją prosząc o błogosławieństwo? Tutaj też Celebrans zaintonował *Te Deum* i *Pod Twoją obronę,* podchwycone przez tysiączne głosy.

Tu się rozwiązała cała uroczystość jubileuszu Florenckiego.

Jeden z uczestników.

LOSY UNII FLORENCKIEJ NA RUSI

Pragnienia unijne królowej Jadwigi, króla Władysława Jagiełły i w. księcia litewskiego Witolda nie urzeczywistniły się za ich życia. Ostatnią próbą Jagiełły w tym kierunku było poselstwo w r. 1418 od Cerkwi ruskiej na sobór w Konstancji, które jednak pożądanego celu nie osiągnęło. [1]) Unię kościelną, która miała ogarnąć także Ruś, miano ogłosić dopiero w dwadzieścia lat później na Soborze Florenckim 1439 r., którego 500-letnią pamiątkę właśnie teraz obchodzimy.

Unia Florencka dokonała się w skali szerszej, wychodzącej po za ramy zainteresowań samej tylko Polski i Litwy. We Florencji powracał do jedności z Kościołem Katolickim patriarchat „Nowego Rzymu“, zajmujący wśród odłączonych Kościołów wschodnich stanowisko naczelne i od którego zależał jurysdykcyjnie Kościół ruski, zarówno znajdujący się w granicach Polski i Litwy, jak i poddany politycznej władzy w. książąt moskiewskich. Co za Jagiełły okazało się trudnym do osiągnięcia cząstkowo, to przychodziło całkowicie i z góry, jako objęte szerszym osiągnięciem.

Unia przychodziła teraz bez zabiegów politycznych ze strony państw Jagiełłowych. Wprawdzie Świdrygiełło myślał także o unii i wysunął na stolec metropolitalny przychylnego dla niej Herasyma i nawet w sprawie unii z soborem w Bazylei znosił się, ale sam zniszczył swe dzieło, gdy podejrzanego o zdradę metropolitę na stosie spalił (1436 r.). Inicjatywa do unii, uwieńczona pomyślnym skutkiem we Florencji, wyszła z samego Carogrodu. Nie można o niej powiedzieć, by wypłynęła z pobudek wyłącznie religijnych i bezinteresownych, ale czyż Opatrzność nie posługuje się także rachubami ludzkimi do urzeczywistnienia swych zamiarów?

Właśnie, kiedy u nas zamykał oczy Władysław Jagiełło (1434), cesarstwo bizantyjskie stało już nad skrajem przepaści. Okrawane coraz bardziej i ze wszystkich stron przez zwycięskich Turków, drżało już o swoją stolicę, a rozumiało, że jej upadek będzie grobem chrześcijańskiego panowania w dawnym wschodnio-rzymskim cesarstwie. W tej śmiertelnej trosce szukało jeszcze ostatecznego ratunku na katolickim Zachodzie, który mógł jeszcze podać rękę pomocną, ale Zachód, jako warunek udzielenia pomocy, stawiał zawsze odnowienie przez Wschód jedności kościelnej, którą już parokrotnie nawiązywano i znowu zrywano. Widoki unii tym razem powiększała ta okoliczność, że berło następców Justyniana trzymał w swym ręku Jan Paleolog, w którego rodzie tradycyjnie przechowywały się pewne sympatie do świata zachodniego i do papiestwa, z drugiej strony na stolicy Piotrowej zasiadał (od r. 1431) papież, którego wzrok od młodości przywykł się zwracać ku Wschodowi, a serce gorzało pragnieniem ziszczenia się Chrystusowej modlitwy „aby wszyscy byli jedno“. Był nim Eugeniusz IV, wenecjanin, a zatem syn tej republiki adriatyckiej, której polityka zwracała się stale ku Wschodowi. W tych warunkach już od roku 1433 nawiązano z Konstantynopola przedwstępne rokowania z Kościołem katolickim o sobór, który by dzieło pojednania doprowadził do końca.

Atoli sprawę komplikowały wewnętrzne niesnaski w łonie Kościoła zachodniego. W Bazylei obradował sobór, pretendujący do charakteru soboru powszechnego, a pozostający w naprężonym stosunku do nowego papieża. Hołdując zasadzie wyższości soboru nad papieżem, „bazylejczycy“ usiłowali przywłaszczyć sobie decydujący głos we wszystkich ważnych sprawach kościelnych choćby wbrew woli Eugeniusza IV; w szczególności zmierzali do tego, by i sprawa unii Greków została załatwiona w Bazylei. Papież, dla wielu powodów, wyznaczał na ten cel miasto włoskie Ferrarę, tam chciał zwołać sobór powszechny i do przybycia tam wzywał bazylejczyków. Oni zaś tę koncepcję odrzucali. W takiej sytuacji Grecy, szukający porozumienia z Kościołem katolickim, mogli się namyślać z kim mają rokować: z Eugeniuszem czy z Bazyleją? Faktycznie cesarz już w r. 1434 wysłał poselstwo do Bazylei, złożone z trzech posłów, wśród których znajdował się opat Izydor, z którym się jeszcze spotkamy. Grecy kilka lat chwiali się, nie wiedząc do której strony ostatecznie się przyłączą, i dopiero w ostatniej chwili przyjęli propozycje Eugeniusza IV i wsiedli na przysłane przez papieża galery, by podążyć na sobór w Ferrarze, który się rozpoczął w styczniu 1438; w kwietniu byli na nim już i Grecy: cesarz Jan Paleolog, patriarcha carogrodzki Józef z dość licznym zastępem bi-

[1]) Por. nasz art. „Jagiellonowie wobec prawosławia i unii“, *Przegląd Powszechny*, styczeń 1939, str. 3.

skupów i teologów z uczonym humanistą Bessarionem na czele.

A Ruś czy nie miała brać udziału w tym soborze? Musimy z słonecznej Italii przenieść się myślą w mgliste kraje Północy i cofnąć się kilka lat wstecz.

Kiedy między Bizancjum a papieżem i Bazyleją szły rokowania o sobór unijny, Polska i Litwa przechodziły kryzys swej jedności. Na tronie Piastów, po zamknięciu oczu przez Jagiełłę, osadzono jego syna, dziesięcioletnie chłopię, Władysława III. W jego imieniu rządziła oligarchia panów, w której rolę naczelną odgrywał biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki. Na Litwie toczyły się boje między dwoma pretendentami do stolca witoldowego, Zygmuntem Kiejstutowiczem, legalnym w. księciem, a Świdrygiełłą. Sprawy kościelne, chociażby takie, jak zagadnienie unii, schodziły na dalszy plan. Po tragedii z Herasymem zaprzestano zajmować się dążeniami do unii. Zresztą w sporze między Eugeniuszem IV a bazylejczykami Polska zarówno, jak Litwa, chwiała się i Soboru Florenckiego nie obesłała. Ogólnie mówiąc, biskupi polscy, a zwłaszcza Zbigniew, skłaniali się swymi sympatiami raczej ku Bazylei, uniwersytet krakowski był jednym z siedlisk teorii o wyższości soboru nad papieżem. Ruś polska i litewska, po spaleniu Herasyma, straciła też możność zajęcia samodzielnego stanowiska w sprawie unii. Trzeba się przenieść myślą do Moskwy.

Po tragicznym końcu Herasyma w Litwie, moskiewski jego antagonista Jonasz podążył nad Bosfor po potwierdzenie na metropolitę „wszech Rusi". Lecz w Carogrodzie mają inne zamiary; tam prowadzą z Zachodem rokowania o unię i dlatego na czele ruskiej metropolii chcieliby widzieć osobistość, oddaną tej akcji. Kiedy Jonasz stanął w cesarskim mieście, dowiedział się, że stolica, o którą zabiegał z woli swego księcia Wasyla, już została oddana komu innemu. Mianowicie patriarcha Józef i cesarz wyznaczyli na nią Izydora, z którym przelotnie spotkaliśmy się przed trzema laty w Bazylei. Jonasza — według jego późniejszych zapewnień — miano pocieszyć obietnicą, że metropolię ruską otrzyma po Izydorze, jeżeli go przeżyje. Zapewnienie mocno podejrzane; faktem było, że niefortunny kandydat powracał do Moskwy w roli towarzysza swego zwycięskiego rywala Izydora.

W Moskwie, dokąd Izydor przybył na Wielkanoc 1437 r., przyjęto z kwaśną miną tego narzuconego jej metropolitę. Zwłaszcza w. książe Wasyl był niezadowolony z powtórnego już odrzucenia w Carogrodzie jego kandydata. Niezadowolenie moskwicinów wszakże łagodziła ta okoliczność, że w osobie Izydora otrzymywali metropolitę o sławie uczonego, bywalca w świecie, mówiącego różnymi językami, przytem prawdziwie pobożnego i gorliwego pasterza. Dlatego się z nim pogodzono. Lecz niebawem przyszło zaniepokojenie, gdy Izydor oświadczył Wasylowi, że wybiera się na sobór wspólny łacinników i greków, mający się odbyć na Zachodzie i na którym ma być roztrząsana sprawa zjednoczenia Kościołów. Metropolita prosił w. księcia o wyznaczenie mu pocztu, który by towarzyszył mu w podróży i godnie reprezentował Ruś w obcych krajach. Wasyl był zaskoczony tą wiadomością. Taka myśl, jak zjednoczenie z „przeklętymi łacinnikami" przechodziła pojemność jego głowy, tym bardziej, że oznaczało to zjednoczenie się z Polską i Litwą, z Zakonem Kawalerów Mieczowych, ze Szwecją, słowem z wszystkimi sąsiadami od Zachodu, z którymi Moskwa prowadziła ustawiczne wojny. Nie śmiał jednak sprzeciwić się żądaniu swego metropolity, skoro za nim stał i najwyższy zwierzchnik cerkwi — patriarcha i cesarz, którzy także wybierali się na sobór. Udzielił więc swego przyzwolenia, które późniejsza legenda moskiewska upiększyła twierdzeniem, jakoby Izydor pod przysięgą zobowiązał się księciu, iż nie odstąpi od prawosławnej wiary. A może nawet żywił Wasyl nadzieję, że na soborze Grecy zdołają nawrócić łacinników na prawosławie.

Z pomiędzy biskupów Rusi moskiewskiej miał towarzyszyć Izydorowi tylko jeden, biskup suzdalski Awraamij. Teologów także trudno było brać, bo ich w Moskwie nie było, a jeśli byli jacy, nie na wiele by się przydali z powodu braku znajomości języków. Stąd liczba duchownych w towarzystwie Izydora była nie wielka; imiennie wiemy o mnichu Symeonie, również z Suzdala. Natomiast honor Moskwy wymagał, by wyprawa była przynajmniej liczna, przeto wybrało się kilku bojarów, diaków, służby, tak iż cała kawalkada dochodziła do stu osób i dwustu koni. Trzeba było bowiem nabrać wiele towarów, których sprzedawanie po drodze miało dostarczać środków utrzymania delegacji.

Z Moskwy wyruszono we wrześniu 1437 r. Najprościej było jechać przez Litwę i Polskę, co było wskazane zresztą i z tego powodu, że jurysdykcja Izydora rozciągała

się i na te kraje i stąd mógł metropolita zabrać ze sobą któregoś z biskupów na sobór. Nie obrano jednak tej drogi; na Litwie bowiem toczyła się jeszcze wojna domowa między Zygmuntem a Świdrygiełłą, co nie ułatwiało przejazdu, a jak nowsze badania donoszą, także z powodu trudności otrzymania od Zygmunta Kiejstutowicza glejtu bezpieczeństwa dla tej wyprawy. [1]) Wybrano się tedy rzemiennym dyszlem na Twer, Nowogród, Psków, Dorpat i Rygę. Izydor po drodze zatrzymywał się dłużej dla urządzenia spraw cerkiewnych. Wszędzie przyjmowany z entuzjazmem, nawet w Inflantach przez katolików, jako zwolennik unii kościelnej. Z Rygi prowadził jeszcze pertraktacje z Zygmuntem o glejt na przejazd przez Żmudź do Prus krzyżackich, lecz gdy nawet uzyskał takowy, wysłał drogą lądową tylko część towarzystwa swego z końmi, sam zaś wolał wsiąść na okręt, idący do Lubeki, gdzie się wyprawa połączyła. Tam też dopiero Izydor dowiedział się, dokąd właściwie ma dalej podążyć. Dotąd był przekonany, że udaje się do Bazylei, w Lubece doszła go wieść, że cesarz, patriarcha i reszta Greków udali się już do Ferrary. Więc przez miasta niemieckie i poprzez Alpy skierowała się tam wyprawa Izydora, docierając na miejsce, po jedenastu miesiącach podróżowania, w sierpniu 1438 r., kiedy prace soborowe były już w pełnym toku.

Przebieg obrad soborowych nie należy do naszego tematu. Wspomnimy tylko, że w styczniu 1439 r., z powodu zarazy grasującej w Ferrarze i niespokojnych ruchów kondottierskich, papież zarządził przeniesienie soboru do Florencji, gdzie i sam przebywał i dokąd zapraszali soborujących ojców mecenasi humanizmu Medyceusze. Odtąd sobór będziemy nazywali florenckim. Pracowite były dyskusje między łacinnikami, rzadko rozumiejącymi po grecku, a Grekami jeszcze mniej rozumiejącymi łacinę. Spotkały się ze sobą dwa światy, które długo rozdzielone, szły każdy swoją drogą. Każda strona zaopatrzyła się w góry tekstów Ojców świętych i teologów, usiłując nimi dowieść słuszności swojej nauki i prawowitości swoich obrządków. Debaty przeciągały się z miesiąca na miesiąc, a do porozumienia nie dochodziło. Umarł tymczasem patriarcha Józef, wyraziwszy przed śmiercią wyraźną wolę zawarcia unii. Strona grecka zbierała się nawet przerwać sobór i odjechać, ale jak i z czym odjechać, co powiedzieć tym, którzy z Zachodu wyglądają pomocy przeciw Turkom? Izydor, jako metropolita kijowski i wszech Rusi, reprezentował Cerkiew wschodnią zarówno krajów polskich i litewskich, jak i Ruś moskiewską. Rusi nie zagrażało jeszcze bezpośrednio niebezpieczeństwo tureckie, ale Izydor w dążeniu do unii powodował się niechybnie pobudkami religijnymi, a jako Grek stanął obok tych swoich ziomków, którzy także szczerze dążyli do jedności kościelnej. Obok Bessariona należał on do najczynniejszych uczestników soboru, w najkrytyczniejszych chwilach pośredniczył między papieżem a cesarzem, między Grekami a stroną łacińską, godził także swoich Greków, którzy między sobą często się nie zgadzali.

Nareszcie w pierwszych dniach lipca 1439 r. wszystkie punkty sporne zostały uzgodnione i akt unii w postaci bulli papieskiej, ale za podpisami członków soboru, łacinników i Greków, został odczytany 6 lipca podczas papieskiego nabożeństwa w katedrze florenckiej. Akt ten, rozpoczynający się od słów *Laetentur coeli et exultet terra* — Niech się radują niebiosa i cieszy się ziemia, stwierdzał zgodę obu stron na naukę o pochodzeniu Ducha Św., o losie zmarłych po śmierci, a głównie przyznawał władzę papieża nad całym Kościołem: biskup rzymski został nazwany ojcem i nauczycielem wszystkich wiernych. Co się tyczy obrządków, każda strona miała pozostać przy swoim; w szczególności określono, że ofiara Mszy św. może być sprawowana zarówno na chlebie kwaszonym, jak przaśnym. Bulla została sporządzona w językach łacińskim i greckim w wielu egzemplarzach; we Florencji (Biblioteca Laurenziana) przechowuje się także egzemplarz słowiański tego aktu, co było zapewne dziełem inicjatywy Izydora. W imieniu Rusi podpisali akt unii Izydor metropolita i Awraamij biskup suzdalski. Od podpisu powstrzymała się pewna ilość Greków opozycjonistów z Markiem, biskupem Efezu, na czele, którzy powróciwszy do domu rozwiną zawziętą akcję przeciwko przyjęciu unii.

Dzieło florenckie było największym sukcesem pontyfikatu Eugeniusza IV, ale też wprawiło w szał opozycjonistów bazylejskich. Na dziesięć dni przed bullą unijną we Florencji sobór bazylejski ogłosił detronizację Eugeniusza, a w jesieni tegoż roku wybrał nawet nowego antypapieża w osobie księcia Amadeusza Sabaudzkiego, który nazwał się Feliksem V. Kiedy została szczęśliwie doko-

---

[1]) Por. art. O. Haleckiego „W drodze na sobór florencki", *Oriens* maj-czerwiec 1939.

nana unia z Grekami, wybuchła nowa schizma zachodnia — na szczęście ostatnia w historii — i przez lat jeszcze kilka kraje europejskie będą dzieliły się według obediencji Eugeniusza i Feliksa, lub też ogłaszały swoją neutralność. Zwycięży wreszcie Rzym Bazyleję, a dekret florencki o najwyższym nauczycielstwie papieża, będący potępieniem teorii o wyższości soboru, dekret, do którego przyłożyli rękę i Grecy i Izydor w imieniu Rusi, pozostał jako bezsporne dogmatyczne określenie dla Kościoła katolickiego.

Greccy ojcowie soboru powracali do ojczyzny na to, by toczyć walkę z domowymi przeciwnikami unii, dowodzonymi przez Marka i wyglądać pomocy z Zachodu. Pomoc będzie szła po kilku latach z północy pod wodzą króla polskiego i węgierskiego, ale klęska pod Warną przypieczętuje los stolicy Bizancjum. Walka o unię będzie jednak dalej trwała, dopóki nie padnie Nowy Rzym i nad św. Zofią nie zabłyśnie półksiężyc fałszywego proroka.

Ale nie wybiegajmy naprzód. Nas obchodzą losy unii na Rusi. Są one złożone w ręku Izydora. Papież Eugeniusz IV, pragnąc podnieść powagę i władzę tego zasłużonego dla unii hierarchy, mianuje go 17 sierpnia 1439 r. swoim *legatem a latere* do wszystkich krajów, na które rozciągała się jego metropolia, tj. na Polskę, Litwę, Inflanty, Ruś moskiewską i inne ruskie kraje. Otrzymał on tym sposobem obszerne pełnomocnictwa do przeprowadzenia wszelkich zamierzeń, jakie uzna za potrzebne dla utrwalenia unii. Jakiś czas zabawił Izydor jeszcze we Włoszech, gdy tymczasem większa część jego świty z Awraamijem i Symeonem wyruszyła wcześniej do swojej ojczyzny. Zresztą wielu z owego licznego pocztu, z jakim Izydor wyruszył z Moskwy, już wymarło w Ferrarze na zarazę. Symeon suzdalec, powróciwszy na Ruś, rozpocznie agitację przeciwko unii i swemu metropolicie, a potem będzie autorem pamiętnika, w którym popisze niestworzone rzeczy o przebiegu soboru florenckiego.[1]) 17 grudnia 1439 spłynęła na Izydora nowa łaska papieska, bo wśród 17 nowo kreowanych przez Eugeniusza kardynałów znalazł się i on razem z Bessarionem; wtedy też papież mianował kardynałem biskupa krakowskiego Zbigniewa, zapewne chcąc go tym sposobem odciągnąć od bazylejczyków.

W pięć dni po swojej promocji Izydor odpływał z Wenecji, by przez Chorwację i Węgry dosięgnąć polskiej części swej metropolii. Wczesną wiosną 1440 r. Izydor przybył do Budy, skąd wysłał przed sobą do podległych sobie kościołów orędzie, datowane 5 marca, zwiastując błogą nowinę zawarcia unii kościelnej i wzywając kler i wiernych do przyjęcia jej. Ponieważ w Moskwie nie uznawano ważności chrztu łacińskiego, a katoliccy teologowie, zwłaszcza krakowscy, stosowali to samo do chrztu schizmatyków, przeto metropolita poucza z szczególnym naciskiem, że chrzest jest ważny w obu Kościołach. Odtąd też Grecy będą mogli uczęszczać do świątyń łacińskich, a łacinnicy do greckich (ruskich) i przyjmować sakramenta święte. Ma to być widomym symbolem jedności wiary przy różności obrządków.

Nie bawiąc długo na Węgrzech, puścił się Izydor w dalszą drogę ku Polsce. Właśnie Węgrzy na osierocony tron królewski powołali króla polskiego Władysława i ten młodociany monarcha gotował się już w Krakowie do odjazdu do swego nowego królestwa. Izydor chciał go jeszcze zastać w Polsce, by uzyskać poparcie królewskie dla swojej działalności unijnej. Na spotkanie legata papieskiego a swego kolegi w gronie kardynalskim wyruszył Zbigniew Oleśnicki do Nowego Sącza, dokąd Izydor przybył w wielki piątek i gdzie celebrował w kościele łacińskim swoją grecką liturgię — zdarzenie pierwsze tego rodzaju na ziemiach polskich. Po świętach wielkanocnych kardynał legat był już na Wawelu, gdzie przyjęty z honorami należytymi przez króla, także celebrował w katedrze, stwierdzając naocznie jedność wiary w dwóch obrządkach. Znowu chyba jedyny w dziejach Polski widok: spotkanie się w jednej świątyni dwóch kardynałów: Polaka i Greka, ale metropolity Rusi.

U króla zarówno, jak u Zbigniewa, znalazł Izydor pełne zrozumienie dla swojej misji. Oleśnicki już w styczniu, pisząc do kardynała Cesarini, cieszy się z zawartej unii i wiele sobie po niej obiecuje. Uzbrojony w poparcie królewskie wyruszył Izydor najpierw na Ruś Czerwoną. Przez Tarnów, gdzie wziął udział w poświęceniu łacińskiego kościoła, następnie przez Przemyśl dotarł do Lwowa, gdzie znowu celebrował w katedrze łacińskiej; jakiś czas przebył w Haliczu. Wszędzie ogłasza unię i porządkuje sprawy kościelne, chociaż tu i owdzie, np. we Lwowie, spotyka się z niechęcią ludu ruskiego, gorszącego się tym, że metropolita odwiedza

---

[1]) Por. art. B. Waczyńskiego „Opisy moskiewsko-ruskie soboru florenckiego“, *Oriens*, maj-czerwiec 1939.

kościoły i modli się razem z łacinnikami. Snać wykształcony Grek nie doceniał siły zakorzenionych w prostackich duszach uprzedzeń i nienawiści do Kościoła katolickiego. Następnie kieruje Izydor swe kroki ku północy. Przechowane dokumenty ukazują go nam w Chełmie, gdzie wobec władz świeckich bierze w obronę pokrzywdzonego proboszcza Wawiłę.

(Dokończenie nastąpi)

Ks. J. Urban.

SPUŚCIZNA PISARSKA HIPACEGO POCIEJA

Hipacy Pociej słusznie uważany być może za twórcę unii brzeskiej, nie tylko dlatego, że jako biskup włodzimierski najgorliwiej o nią zabiegał i w przygotowaniach do niej najczynniejszy brał udział, wobec niezdecydowania ówczesnego metropolity Rahozy, lecz także dlatego, że po zawarciu i ogłoszeniu unii na synodzie w Brześciu w r. 1596 najodważniej jej bronił i najskuteczniej nad jej ugruntowaniem i nad wniesieniem do niej prawdziwie katolickiego ducha pracował, zwłaszcza gdy po śmierci Rahozy sam został metropolitą kijowskim.

Jednym z głównych odcinków jego walki o unię i w jej obronie była twórczość pisarska. Polemika była orężem ulubionym w w. XVI, tym wieku namiętnych sporów religijnych. Pociej chwycił za ten oręż wcześnie, bo jeszcze przed zawarciem unii. Z pod jego pióra wyszła w r. 1595 w Wilnie po rusku drukowana *Unia albo wykład prednejszych artykłuow ku zodnoczeniu Hrekow s kostełom Rymskim należaszczych.* [1]) Pismo to wyszło wprawdzie anonimowo. Ale że autorem jego jest Pociej, nie ulega żadnej wątpliwości. Autor mówi bowiem o sobie jako o biskupie ruskim i powołuje się na swą bliską znajomość z Teodorem Skuminem Tyszkiewiczem, wojewodą nowogródzkim, któremu dedykuje swą książkę. Spośród ówczesnych biskupów ruskich tylko jeden Pociej mógł się zdobyć na tak gorliwe zachęcanie do unii, jak to widzimy w tej książce; o nim jednym też wiadomo, że był w bliskich stosunkach z Tyszkiewiczem. [2])

Ale Pociejowi przypisuje się autorstwo wielu innych anonimowych lub pseudonimowych pism polemicznych z lat 1595—1609. Historyk literatury ukraińskiej, M. Wozniak, [3]) idąc w tym zresztą za innymi autorami, zalicza do dzieł Pocieja aż 15 pism polemicznych. Wśród nich są takie, o których prócz tytułu i najwyżej pewnych fragmentów nic nie wiemy, gdyż znamy je tylko ze wzmianek w innych pismach polemicznych.

Podstawą do przypisywania aż tylu pism Pociejowi są często tylko przypuszczenia niczym nie uzasadnione, czasem podobieństwa idei, argumentów itp., czasem pewne wzmianki i alluzje, które można jednak inaczej rozumieć.

Dlatego liczbę tę należy uważać za przesadzoną, a za miarodajny w ustaleniu liczby dzieł Pocieja należy uważać jeden tekst, z którym się dotychczas w tej sprawie w ogóle nie liczono, znajdujący się w książce *Sowita wina* [4]) z r. 1621. Jest ona jednym z pism polemicznych, wywołanych potajemnym bez zgody króla wyświęceniem pięciu biskupów prawosławnych przez patriarchę Teofana w r. 1620. W *Sowitej winie* czytamy następujące słowa:

> Przytym niezbożnie świętey pamięci oyca Pocieia Metropolitę (Pociej umarł w r. 1613) pomawiasz, iakoby on miał ganić sobie, że do iedności z kościołem Rzymskim przystąpili. A iż ten św. hierarcha na tak ciężką kalumnią odpowiedzieć sam przez się nie może, ia — wiadomość wziąwszy od godnych a wiadomszych, niż kto z waszych iest abo był, od tych, którzy przez dziesiątek lat z nim y przy nim będąc, nie tylko spraw y słow publicznych, ale taiemnic iego wszystkich wiadomi są, — odpowiadam, że to iest wielkie kłamstwo, nie przewiey (pierwej?) on bowiem przystąpił do iedności, aż o wszytkich artykułach, ktore roz-

[1]) „Unia“ została przedrukowana w Pamiatnikach Polemiczeskoj Literatury w Zapadnoj Rusi t. II (Russkaja Istor. Biblioteka t. VII), 111—168.

[2]) Por. C. Studziński: Pierwszy występ literacki Hipacyusza Pocieja. Lwów 1902.

[3]) Michajło Wozniak: Istorija Ukraińskoj Literatury, t. II, Lwów 1921, str. 356—362, gdzie podaje synchronistyczny przegląd literatury polemicznej katolickiej i prawosławnej.

[4]) Pełny tytuł: Sowita wina, to iest odpis na script, Maiestat Krola Iego Mości, honor y reputatią ludzi zacnych, duchownych i świeckich obrażający, nazwany Verificatią niewinności... W druk podany w Wilnie roku Pańskiego 1621. — Przedrukowana w Archiwie Jugo-Zapadnoj Rossii, ser. I, t. VII, 443—510.

ność między cerkwią Rzymską a Grecką czyniły, doskonałą wziął wiadomość, co poświadczaią księgi rękopisania iego, na ktore wpisywał mieysca z Oycow śś. ku temu końcowi służące, zaczym nie miał żadney przyczyny tęsknić sobie z iednością. Wyświadcza pięcioro książek, od niego w druk podanych; wyświadczaią kazania, których kilka ksiąg, ręką swą własną pisanych, zostawił, y dzisiay są, każdy ie widzieć może. Wyświadczaią mowy iego publiczne, ktore w świeżey ieszcze pamięci ludzkiey. Więc pospolite wszytkich ludzi o nim rozumienie, że hamulca raczey, niż pobudki w odprawowaniu tey świętey sprawy potrzebował, świadkiem ostatnia mowa, ktorą miał do successora swego a dzisieyszego pasterza naszego w Brześciu, trzema miesięcy przed śmiercią swoią... Na koniec testament iego nieomylnym tego wszytkiego świadkiem iest, w ktorym oświadcza się, idąc przed maiestat Boży, że z kościołem Rzymskim zchodzi z tego świata. [5])

W słowach tych chodzi o obronę czci Pocieja przed oszczerstwem, jakoby żałował swego przejścia na unię. Na dowód, że Pociej niezachwianie trwał przy unii, wymienia obrońca Pocieja „pięcioro książek od niego w druk podanych“. Z całego kontekstu widać, że chodzi mu o to, by wyliczyć wszystko, co mogłoby służyć za dowód przywiązania Pocieja do unii. Powołuje się bowiem i na testament Pocieja, i na kazania jego w rękopisach zostawione, [6]) i na własnoręczne wypiski z dzieł Ojców Kościoła w kwestiach spornych między Kościołem katolickim i Cerkwią grecką. Dlatego należy uważać, że wspominając o pięciu książkach przez Pocieja drukiem wydanych, chciał wszystkie jego książki wyliczyć. A ponieważ chodzi o autora prawie współczesnego Pociejowi, powołującego się w dodatku na osoby zasługujące na wiarę, które „przez dziesiątek lat z nim y przy nim będąc, nie tylko spraw y słow publicznych, ale y taiemnic iego wszytkich wiadomi byli“, więc liczbę książek podaną przez niego należy uważać też za całkiem dokładną i pewną. Tylko jasne i niezbite dowody na to, że inne jeszcze pisma anonimowe są dziełami Pocieja, mogłyby nas upoważnić do uznania tej liczby za nieścisłą. Wszelkie przypuszczenia tylko, że autorem wielu anonimowych pism nie mógł być kto inny, jak Pociej, muszą wobec tego oczywistego i kategorycznego świadectwa współczesnego ustąpić.

Należy więc spośród 15 przypisywanych Pociejowi utworów wybrać tylko pięć takich, które z całą pewnością można za jego dzieła uznać. Znamy już pierwsze pismo polemiczne Pocieja pt. „Unia“. Do tego dzieła na pierwszym miejscu dodać należy trzy inne książki z nazwiskiem Pocieja drukowane: 1) *Antirresis,* drukowana wprawdzie anonimowo po rusku w r. 1599 i po polsku w r. 1600, ale z dołączeniem dwóch pism Pocieja: a) listu do księcia Ostrogskiego z 3 czerwca 1598, b) repliki napisanej przez Pocieja na odpowiedź, jaką na powyższy prywatny list Pocieja wydrukował z polecenia Ostrogskiego jakiś anonimowy „Kleryk Ostrogski“. [7]) Chociaż sprawa autorstwa „Antirresis“ nie jest jeszcze uważana za ostatecznie rozstrzygniętą [8]) i choćbyśmy za jej autora uważali nie Pocieja, lecz Piotra Arkudiusza, to jednak ze względu na dołączone do niej dwa pisma Pocieja można słusznie przypuszczać, że autor „Sowitej winy“ miał ją na myśli, jako jedną z pięciu książek, podanych do druku przez Pocieja. 2) Drugą książką drukowaną przez Pocieja z podaniem nazwiska jest *Poselstwo do Papieża Rzymskiego Sykstusa IV od duchowieństwa i od Książąt i Panów Ruskich w r. 1476.* Z rękopisu, którego starożytność potwierdziła Pociejowi osobnym dokumentem rada miejska Wilna, wydał Pociej ten dokument, cenny dla dziejów unii Florenckiej na Rusi, w r. 1605 najpierw po rusku, [9]) potem po polsku z dedykacją przez siebie podpisaną do biskupa lwowskiego Jana Zamojskiego. 3) Trzecią wreszcie książką drukowaną z nazwiskiem Pocieja jest *O przywileiach nadanych od Naiaśnieyszych Krolow Polskich y przednieyszych niektorych dowodach, ktore świętą Unią wielce zalecaią y potwierdzaią. Przez Iaśnie Oświeconego y Naywielebnieyszego Hypatiego z Bożey y Apostolskiey stolice łaski Iego Mości X. Metropolitę Kiiowskiego, Halickiego i wszytkiey Rusi.* Jest to zbiór różnych dokumentów, mających służyć za dowód, że po soborze Florenckim Ruś była przez długi czas w jedności z Rzymem.

---

[5]) „Sowita wina“, str. 93. Archiw. Jugo-Zap. Ross. VII, 508—509.

[6]) Kazania te zostały wydane dopiero w r. 1714 wraz z listem patriarchy Melecjusza Pigasa i odpowiedzią Pocieja, która jednak za życia jego nigdy nie była publikowana.

[7]) „Antirresis“ wraz z dwoma pismami Pocieja została przedrukowana w Pam. Polem. Liter. w Zap. Rusi t. III (Russk. Istor. Bibl. t. XIX), 477—982, 983—1040 i 1041—1122.

[8]) K. Chodynicki, Arkudius Piotr, artyk. w Polskim Słowniku Biograficznym, t. I, Kraków 1935, 158—159.

[9]) Wydanie ruskie przedrukowano w Archiwie Jugo-Zap. Ross. VII, 193—231.

O tych czterech książkach nie można mieć żadnej wątpliwości, że należą do pięciu książek przez Pocieja do druku podanych. Co do piątej, którą należałoby jeszcze wskazać spośród pozostałych jedenastu przypisywanych Pociejowi, to możnaby ją oznaczyć drogą kolejnej eleminacji tych, na które nie ma dostatecznych dowodów. Żeby jednak zbytnio nie przedłużać wywodów, wskażę od razu tę, którą na pewno za dzieło Pocieja uważać można. Jest to *Harmonia,* wydana w Wilnie w r. 1608 razem po rusku i po polsku. [10])

Pozostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć o pozostałych pismach polemicznych, przypisywanych Pociejowi.

W r. 1597 wyszło drukiem tłumaczenie ruskie dziełka Skargi o Synodzie Brzeskim, pt. *Opisanie i oborona sboru ruskoho Berestejskoho.* [11]) Za tłumacza uważa się Pocieja. [12]) Przypuszczam jednak, że autor „Sowitej winy", choćby także Pocieja uważał za tłumacza tego dzieła, nie miał zamiaru zaliczać je do pięciu książek wydanych przez Pocieja, gdyż wiadomo było wówczas, że właściwym autorem jest Skarga. Toteż uznanie Pocieja za tłumacza dziełka Skargi nie czyni wyłomu w podanej przez autora „Sowitej winy" liczbie dzieł Pocieja.

W „Antirresis" [13]) jest wzmianka o innej jeszcze książce, dotyczącej synodu Brzeskiego, napisanej po rusku, a różnej od ruskiego wydania dziełka Skargi; tytuł jej *Sprawedliwoje opisanie postupku i sprawy synodu Berestejskoho.* Książki tej jednak nie znamy. O niej, jak i o kilku innych pismach polemicznych, które znamy też zaledwie z tytułu, trudno coś powiedzieć. Jedno z nich, którego tytuł *Zmartwychwstały Nalewayko* podaje Smotrzyski w swej „Apologii", [14]) uważa się dlatego za dzieło Pocieja, bo on nazywał Cerkiew prawosławną Cerkwią Nalewajkowską. Jest to podstawa zbyt wąska do wysnuwania jakichkolwiek wniosków o autorstwie tego nieznanego pisma. O innym piśmie, którego nie tylko tytuł znamy („Heresiae, Ignorantiae y Politika popow y mieszczan bractwa Wileńskiego"), lecz także pewne fragmenty, domyśla się autor „Antigraphe", polemizujący z pismem, że wyszła „z tegoż podobno warstatu", co i „Harmonia". [15]) Trudno i na tej podstawie budować twierdzenie, że jest ono dziełem Pocieja tak, jak „Harmonia", bo najpierw autor „Antigraphe" snuje tylko domysł, powtóre „tenże warstat" może oznaczać nie tę samą osobę autora, lecz tę samą grupę osób, np. bractwo unickie św. Trójcy w Wilnie, podobnie jak i bractwo prawosławne św. Ducha, z którego wyszła sama „Antigraphe" i wiele innych pism polemicznych, można również określić mianem jednego warsztatu.

W r. 1603 wyszło w Wilnie następujące dziełko: *Obrona S. Synodu Florenskiego powszechnego. Dla prawowierney Rusi. Napisana przez Piotra Fiedorowicza, w Wilnie Collegium Ruskiego J. M. X. Metropolity Kiiowskiego Rectora. Wydana od Gelasiusa Rusowskiego Archimandrity Wilenskiego. W Wilnie Roku Pańskiego 1603.*

Wydawca tej książki, Gelazy Rusowski, w przedmowie do czytelnika taką podaje wiadomość o autorze tej książki:

> Iakom skoro do Wilna w tym roku przyiechał, na sprawowanie Monastyrza S. Troice, y na kaznodzieiski vrząd, od Iego M. X. Metropolity posłany, przysły mi do rąk xiążeczki nieboszczyka Piotra Phiedorowicza, Rectora naszego tutecznego po śmierci iego pozostałe, Obrona S. Soboru Florenskiego. O ktorych iuż przedtym dobrze słychałem, i rozumiałem, że dawno między ludźmi były. Lecz iako mi sprawę dano, Nieboszczykowi naprzod Drukarnia, robotami inszemi zabawiona, a potym tesz śmierć niespodziana do tego przyjść nie dopuściła. Zaś po śmierci iego prędkie nawiedzenie Pańskie Morowym powietrzem nastąpiło. Dla ktorego drukowania tych xiążek zaniechać musiano. Przetosz za pomocą Bożą teraz gdy wszyskie przeszkody vstąpiły, odłogiem leżeć dłużei im nie dopuściłem, ale iako naprędzei, praca tak pożyteczna y wielkiei pochwały godna, vczonego y cnotliwego onego człowieka, aby ludziom, osobliwie narodu naszego Ruskiego służyła, starałem się.

Otóż mimo tego tak wyraźnego świadectwa, uważa się i tę książkę za dzieło Pocieja, a to na podstawie słów Pocieja w liście

[10]) Tytuł ruski: *Harmonija albo sogłasie wiery, sakramentow i ceremoniej swiatoje Wostocznoje cerkwi s kostełom Rymskim.* Tytuł polski: *Harmonia albo concordantia wiary, sakramentow y ceremoniey cerkwi ś. orientalney z kościołem ś. rzymskim.* — Autorstwo Pocieja uzasadnił Kyryło Studynśkyj, Połemyczne pyśmenstwo w r. 1608. Zapyśki Nauk. Tow. Szewczenka, t. 104, Lwów 1911. Harmonię przedrukowano w Pamiatnikach Polem. Liter. w Zap. Rusi t. II (Russk. Istor. Bibl. t. VII), 169—222.

[11]) Przedrukowana w Pam. Polem. Lit. w Zap. Rusi t. III (Russk. Istor. Bibl. t. XIX), 183—328, razem z polskim tekstem Skargi.

[12]) Uzasadnił to C. Studziński, Ze studyów nad literaturą polemiczną. Rozpr. Akad. Umiejętności t. XLIII, Kraków 1905.

[13]) W wyd. Russk. Istor. Bibl. XIX, 503—504.

[14]) Smotrzyski, Apologia peregrinatiey itd., str. 105.

[15]) „Antigraphe" w wyd. Russk. Istor. Bibl. t. XIX, 1163.

do Lwa Sapiehy: „Posełam Wmci sw. m. panu książki obrony synodu Florentskiego, które teraz wyszły z druku przeciw fałszywemu synodowi, którego scyzmatykowie wydali po rusku i po polsku, kazałem je przypisać wojewodzie nomine alieno, boby odemnie ich nie przyjął... byłoby niemało co do druku podawać, ale nie masz zaczem i seminarystom przyjdzie się podobno rozbieżeć.“ [16])

Z podkreślonych w tym ustępie słów Pocieja wnosi się, że to on napisał całą książkę, a ukrył się pod cudzym nazwiskiem, by mógł ją dedykować księciu Ostrogskiemu, wojewodzie kijowskiemu, który od niego by jej nie przyjął. Jednak wobec tak wyraźnego świadectwa o Piotrze Fiedorowiczu jako autorze, wniosek ze słów Pocieja jest za daleki. Wynika z nich tylko tyle, że od niego pochodzi dedykacja książki pod cudzym nazwiskiem (kazałem przypisać nomine alieno). Z dalszych słów Pocieja, gdzie się skarży na brak funduszów na dalsze wydawnictwa, wynika, że on pokrył koszta wydania tej książki. To też było pewnie powodem, dlaczego wydawca jej Rusowski zwrócił się do Pocieja, by napisał dedykację. Pociej ją napisał, ale kazał pod nią umieścić nazwisko nie swoje, lecz zmarłego autora samej książki. Tylko do takiego wniosku upoważniają nas słowa Pocieja.

M. Wozniak, który dawniej także uważał Pocieja za autora „Obrony Soboru Florenskiego“, [17]) później uznał dowód ze słów Pocieja za niedostateczny i wysunął nowe przypuszczenie, że autorem jest Lew Krewza, znany jako autor wydanej w r. 1617 „Obrony iedności cerkiewney“. [18]) Oprócz podobieństwa w tytule (oba zaczynają się od wyrazu „Obrona“) i kilku innych podobnych zbieżności, opiera się głównie na słowach Krewzy w „Obronie iedności cerkiewney“: „Na co (na pamflet o rozbójniczym soborze Florenckim, por. *Oriens* br., str. 73) chocia osobną książką, którą pilnie zalecamy każdemu, dostateczny odpor daliśmy, przedsię y tu krotko przypomnieć potrzebno być rozumiemy“. [19]) Z tego, że Krewza o „Obronie Soboru Flor.“ pisze w pierwszej osobie liczby mnogiej, wnosi Wozniak, że on jest autorem jej. Na to można zauważyć, co zresztą i sam Wozniak uznaje, że Krewza może to mówić w imieniu unitów. A zresztą i Pociej o tejże samej „Obronie“ w przedmowie do „Poselstwa“ wyraża się także w pierwszej osobie liczby mnogiej: „o czym szyrzey niech kto chce czyta książeczki, ktoreśmy niedawno wydali do obrony onego“ (fol. 3). Pociej mówi tu tylko o wydaniu „Obrony“, co jest zgodne z wyciągniętym poprzednio wnioskiem z jego słów w liście do Sapiehy. Ale wystarczy to do wykazania, że wniosek wysnuty przez Wozniaka ze słów Krewzy jest nieuzasadniony.

Uważam więc, że nie ma dostatecznych podstaw do tego, by nie dać wiary słowom Rusowskiego w przedmowie do „Obrony“. Dlatego za autora jej należy uważać nie Pocieja, lecz Fiedorowicza.

Ostatnie ze znanych nam anonimowych pism polemicznych, przypisywanych Pociejowi, to wydane w r. 1609 „Relacia i Vważenie Postępkow niektorych około Cerkwi Ruskich Wileńskich“. [20])

Twierdzenie swoje, że autorem tego pisma jest Pociej, uzasadnia Studziński najpierw tym, że w latach 1595—1610 nikt oprócz Skargi i Pocieja nie występował w obronie unii, a następnie podobieństwami stylu i wyrażeń. [21])

Co do pierwszej racji, to trzeba zauważyć, że właśnie o to chodzi, czy oprócz Pocieja i Skargi nikt inny nie chwytał wówczas za pióro w obronie unii. Co do podobieństwa pewnych zwrotów, to samo to kryterium należy uznać za niedostateczne do odstąpienia od powyższego świadectwa o pięciu tylko wydanych przez Pocieja książkach. Nadto z samej książki wynika argument przeciw autorstwu Pocieja, gdyż znajdujemy w niej nadzwyczajne pochwały Pocieja, co byłoby nie do pomyślenia, gdyby autorem był sam Pociej. Studziński widzi tę trudność i stara się ją osłabić, ale jej nie usuwa całkowicie.

Widzimy więc, że nie ma dostatecznych podstaw do tego, by Pociejowi przypisywać autorstwo więcej niż pięciu książek w obronie unii.

Ks. B. Waczyński T. J.

---

[16]) A. Prochaska, Archiwum Domu Sapiehów t. I, nr. 437, str. 568.

[17]) M. Wozniak, Istor. Ukr. Liter. II, 220.

[18]) M. Wozniak, Try stattejky z połemicznoho pyśmenstwa, Zap. Nauk. Tow. Szewcz. 1930, str. 39 nast.

[19]) W wyd. Russkoj Istor. Bibl. t. IV, 220—22.

[20]) Przedrukował Kyryło Studynśkyj w Pamiatkach połemicznoho Pyśmenstwa kincia XVI i pocz. XVII w. Lwów 1906, t. I, 230 nast.

[21]) Tamże we wstępie, str. LII—LV.

„POSNANIENSIS" EPISCOPUS NA AKCIE UNII FLORENCKIEJ?

O rzekomym udziale biskupa poznańskiego, Andrzeja Bnińskiego, w Soborze Florenckim i podpisie jego na słynnej bulli unijnej z dnia 6 lipca 1439 dowiedzieliśmy się przed kilku laty dzięki nowej publikacji tego dokumentu, sporządzonej na podstawie obu florenckich oryginałów przez o. Hofmanna T. J. w wydawnictwie Uniwersytetu Gregoriańskiego „Textus et documenta" (ser. teol. nr 18). Informuje nas o tym bliżej o. B. Waczyński T. J. na łamach *Oriens*'u (Źródła do dziejów Soboru Florenckiego", odb. z *Oriens*'u 1939, str. 16-17).

Między uczestnikami aktu unii, w rzędzie najmłodszych biskupów i elektów, figuruje według dawnych publikacyj (Harduin, Mansi) Andreas episcopus Roffensis (czyli z Rochester) albo Rossumensis albo Rossinenensis. Błędne te lekcje zastąpił o. Hofmann drogą konjektury nową: Andreas episcopus Posnaniensis. Za jej słusznością przemawiałyby dwa względy: biskup poznański Andrzej Bniński uzyskał zatwierdzenie swej elekcji 16. VII. 1438, a sakrę 15. II. 1439, zaliczał się więc do biskupów najmłodszych; nadto w okresie schizmy bazylejczyków był wiernym stronnikiem legalnego papieża Eugeniusza IV.

Przeciwko słuszności powyższej konjektury przemawia wszakże „alibi" biskupa Andrzeja Bnińskiego.

Wymienieni na dokumencie unijnym dostojnicy złożyli swe podpisy — w tym względzie nie ma żadnej wątpliwości — osobiście, przebywali więc w okresie zawarcia unii na terenie Soboru. Tymczasem biskup poznański bawił wtenczas w Wielkopolsce, a w ogóle w latach 1438, 1439 i następnych nie odbył żadnej podróży do Włoch. Stwierdzamy to na podstawie jego księgi urzędowej (Acta Episcopalia vol. I), [1]) w której zaprotokułowano wszelkie jego akty urzędowe podczas objazdów tak wielkopolskiej jak mazowieckiej części diecezji poznańskiej, oraz innych źródeł. Sprawy wszelkie załatwiał biskup osobiście, sporadycznie — lecz pod jego obecność, w miejscu jego pobytu również nadworny kanclerz jego lub audytor.

Dla ścisłości podajemy poniżej w dosłownym brzmieniu urywki kilku zapisków z okresu zawarcia unii (6 lipca 1439):

1) 1439, poniedziałek 29 czerwca, Poznań, pałac biskupi.

„Die lune penultima mensis Junii in Poznania et in domo supra fluvium Cibina sitta... *dominus)* (scil. episcopus) *decrevit* actoribus producere testes..." (Fragment II w Acta Consist. Posnan. 1439 karta 9).

2) j. w.

„Item die et loco prelibatis *in presencia* reverendi in Christo patris domini *Andree* Dei gracia *episcopi Poznaniensis* constituti personaliter nobiles..." (ibid. k. 9 v).

3) 1439, wtorek 30 czerwca, Poznań, pałac biskupi.

„Die Martis ultima mensis Junii in Poznaniensi curia constitutus personaliter nobilis Paris de Michrovicze se sponte obligavit pro kmethonibus suis in Syeczcza... satisfacere reverendo patri domino *episcopo* Poznaniensi, dum feliciter in Mazovia fuerit constitutus. Et *ibidem dominus* dictis suis kmethonibus ob spem eiusdem decime manipularis solvende dedit per quatuor annos libertatem..." (ibid. k. 9v).

4) 1439, środa 1 lipca, Poznań, pałac biskupi.

„Die Mercurii prima mensis Julii anno Domini etc tricesimo nono in sala superiori domus curie episcopalis Poznanie supra fluvium site... reverendus pater dominus *Andreas episcopus* cum dominis prefatis suam amicabilem et arbitralem sentenciam tulerunt in hunc modum..." (ibid. k. 10).

5) 1439, piątek 3 lipca, Poznań, pałac biskupi.

„Die Veneris tercia mensis Julii in curia Poznaniensi reverendus pater dominus *Andreas episcopus* Poznaniensis mandavit..." (ibid. k. 11).

6) 1439, czwartek 9 lipca, Bniń, pałac biskupi (rodzinny).

„Die Jovis nona mensis Julii in curia opidi Bnyn episcopali discretus Mathias plebanus in Quilcz... submisit se *coram* reverendo in Christo patre domino *Andrea* Dei gracia *episcopo* Poznaniensi..." (ibid. k. 11).

7) 1439, piątek 17 lipca, Solec (nad Wartą, dwór biskupi).

„In Solecz XVII Julii. Die Veneris XVII mensis Julii... dominus *episcopus Poznaniensis requisivit* prefatum Albricum, cuius diocesis esset..." (ibid. k. 11v-12).

8) 1439, piątek 24 lipca, Solec.

„Die Veneris vicesima quarta mensis Julii in Solecz reverendus in Christo Pater dominus *Andreas episcopus* Poznaniensis *pro tribunali sedens decrevit,* quod discretus Casper plebanus in Luthynia..." (ibid. k. 12v).

9) 1439, środa 12 sierpnia, Ciążeń, dwór biskupi.

„Die Mercurii XII mensis Augusti in curia Czanzinensi... *dominus decrevit...*" (ibid. k. 13).

---

[1]) Do księgi tej należą dwie osobne składki, z których jedną wszyto w XV w. mylnie do akt konsystorskich z r. 1439, drugą odnalazł podpisany w Gnieźnie.



KIJÓW. — Chrzest św. Włodzimierza. Obraz W. Waśniecowa w Soborze Włodzimierzowskim



RZYM. — Liturgia wschodnia w bazylice św. Piotra



RZYM. — Komunia św. wiernych podczas liturgii wschodniej



WILNO. — Po celebrze wschodniej w kościele obrz. bizant.-słow.



SZANGHAJ. — Kapłani i Siostry Zakonne wschodnie

Kapłani od lewej strony ku prawej: o. Wilcock, archim. Mikołaj, o. Jaworka, archim. Abrantowicz, scholastyk marianin, o. Hermanowicz, scholastyk



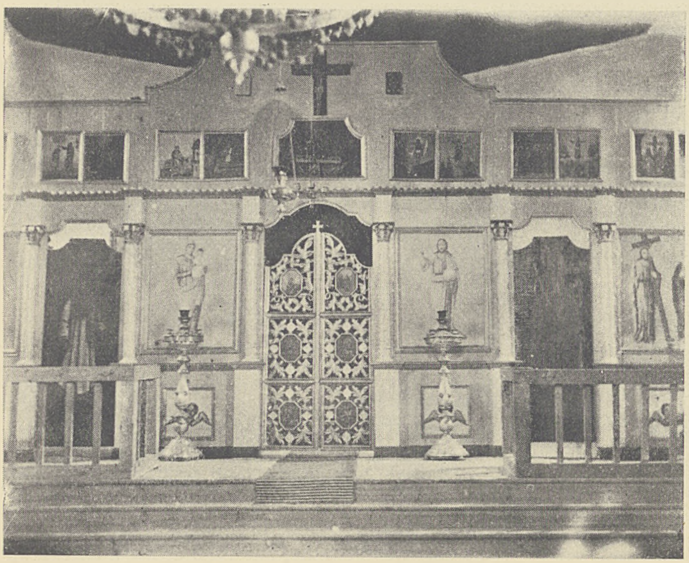
Cyryl IX Mogabgab, patriarcha Melchitów



OO. Dieszka i Olszr T. J. neopresbyterzy wschodni w Rzymie



Cerkiewka unicka w Horodle



Ikonostas w cerkwi w Horodle

10) 1439, czwartek 20 sierpnia, j. w.
„Die vero Jovis vicesima mensis Augusti in curia Czanzinensi et caminata domus magne alba superiori reverendo patre domino *Andrea* Dei gracia *episcopo Poznaniensi presente...*" (ibid. k. 14).

Zapiski z tego okresu są oczywiście liczne. Poprzestaliśmy na podaniu kilku z nich. W ogólności stwierdzamy, że itinerarium biskupa Andrzeja w r. 1439 nie wykazuje żadnej większej przerwy, która by pozwoliła przyjąć ewentualny wyjazd jego do Florencji. Objąwszy w lutym 1439 rządy diecezji, zajął się gorliwie tropieniem husytów w Wielkopolsce, z końcem kwietnia podążył na Mazowsze, od 10 czerwca do 29 sierpnia działał znów na terenie Wielkopolski, we wrześniu uczestniczył w zjeździe w Bieczu w Małopolsce (sprawa z husytą Abrahamem Zbąskim — por. autora „Biskup pozn. Andrzej Bniński w walce z husytami Zbąszynia", Pz. 1934, str. 9, 29), od października 1439 aż do końca kwietnia 1440 działał znów w Poznańskim, w maju na Mazowszu, od czerwca przez dłuższe miesiące na terenie wielkopolskiej części swej diecezji.

Jak już wspomnieliśmy, akt unii florenckiej podpisali uczestnicy Soboru osobiście. Odpada zatem ewentualna koncepcja udziału w nim biskupa Andrzeja Bnińskiego przez pełnomocnika. W poznańskich aktach biskupich, kapitulnych czy konsystorskich nie ma zresztą żadnej o tym wzmianki lub aluzji.

Episcopus Roffensis, Rossumensis, Rossinensis z pewnością nie dotyczy ordynariusza poznańskiego.

Ks. Józef Nowacki.

SZLACHTA ZAGRODOWA I POLACY GRECKIEGO OBRZĄDKU

(Dokończenie)

Równolegle do rewindykacji dusz wśród szlachty zagrodowej zaznacza się akcja inna: rewindykacji praw w cerkwi unickiej dla Polaków greko-katolików. Jeśli ośrodkiem pierwszej akcji jest Przemyśl z jego Związkiem Szlachty Zagrodowej i organem *Pobudką,* to ośrodkiem drugiej jest Lwów, gdzie wychodzi przeniesiona przed rokiem z Krakowa gazeta *Polak Greko-Katolik*[1]) i gdzie według informacji tego organu powstał całkiem niedawno Związek Polaków Greko-Katolików. Czy te dwa związki, t.j. Z. S. Z. i Z. P. G. K., względnie te dwie akcje pozostają w jakichś bliższych między sobą stosunkach, czy istnieje między nimi umówiony podział pracy, lub na odwrót czy są to zjawiska konkurencyjne, może po cichu się zwalczające, trudno coś pewnego powiedzieć.

W każdym razie pewne różnice tych dwóch poczynań łatwo poznać z ich prasowych organów. Naprzykład, *Polak Greko-Katolik* nie wyszukuje specjalnie szlachty, wogóle tego motywu rycersko-stanowego nie wysuwa, jak to czyni *Pobudka.* Nie zajmuje się także *P.G.K.* rewindykacją dusz, odruszczaniem kogokolwiek; wychodzi bowiem jakby z niewątpliwego założenia, że wśród greko-katolików Małopolski, oprócz Ukraińców i Starorusinów, istnieją w wielkiej liczbie świadomi i zdecydowani Polacy, pozbawieni wszakże obsługi w cerkwi w swoim języku, których zatem nie potrzeba dla polskości zdobywać, lecz trzeba zdobyć dla nich pewne prawa w ich rodzimej cerkwi.

Co do określenia ilości takich Polaków, to za miarodajny wskaźnik przyjmuje się dane spisu ludności z r. 1931, czyli liczy się tych Polaków na 460 tysięcy do pół miliona. Mają oni w większych ilościach znajdować się po większych miastach, jak Lwów (14 tysięcy), Tarnopol, Drohobycz i in., ale wielu ich ma należeć do ludności wiejskiej, może do szlachty drobnej. Lecz w każdym razie nie jest to żywioł, który dla polskości trzeba by dopiero pozyskiwać czy odzyskiwać, jest to raczej masa, która wyraz swemu poczuciu polskości dała już przy spisie z r. 1931.

Do tych tedy Polaków zwraca się ten organ często z wezwaniem, by swojej Cerkwi grecko-katolickiej nie porzucali na rzecz obrządku łacińskiego, lecz trwając w niej walczyli tylko o należne sobie w niej prawa. Tu zauważamy drugą różnicę między gazetką

[1]) Od nowego roku nastąpiła zmiana redakcji i odtąd gazetka dużo lepiej i rozumniej jest redagowana, niż w roku ubiegłym.

lwowską, a *Pobudką* przemyską. Ta ostatnia, chociaż suponuje istnienie wśród swoich czytelników wielu greko-katolików, bynajmniej nie akcentuje obowiązku trwania ich w obrządku greckim; obrządkiem tym prawie wcale się nie zajmuje z wyjątkiem tylko, gdy wysuwa różne zarzuty pod adresem księży, że ukrainizują Polaków, że ruszczą nazwiska, uprawiają w cerkwi politykę itd. Treść *Pobudki*, o ile daje coś religijnego, jest zupełnie w duchu łacińskim i polskim, bez jakichkolwiek uwzględnień potrzeb obrządku greckiego. Odnosi się wrażenie, że dla kierowników Z. S. Z. przejście szlachty zagrodowej obrządku greckiego na obrządek łaciński nie było by rzeczą źle widzianą. Inne stanowisko reprezentuje gazetka polsko-grecko-katolicka we Lwowie. Dowiadujemy się z niej naprz., że Związek P. G. K. założył we Lwowie bursę dla polskiej młodzieży grecko-katolickiej, obliczoną na 10 chłopców (skromniutko!), i czytamy, że „bursa winna wychowywać polską młodzież grecko-katolicką w przywiązaniu i umiłowaniu unickiego (gr. kat.) obrządku i wschodniej cerkwi św. Bazylego, Jana Chryzostoma, św. Cyryla i Metodego, słowiańskich apostołów na ziemiach polskich Podkarpacia“ *(sic!)*. Bursa ma być pepinierą kandydatów Polaków na księży grecko-katolickich. Myśli się o założeniu seminarium duchownego grecko-katolickiego dla Polaków, a tymczasem stawia się żądanie, by istniejące seminaria unickie dopuszczały także kandydatów Polaków, którzy dotąd jakoby z zasady nie byli dopuszczani[1]).

W czym się zgadzają *Pobudka* z *Polakiem Greko-Katolikiem*, to w atakowaniu księży ukraińskich i hierarchii grecko-katolickiej za to, że cerkiew unicką czynią areną ukraińskiej polityki i narzędziem wynaradawiania Polaków. Jednak w ostatnich paru miesiącach ataki te w lwowskim piśmie znacznie złagodniały, przynajmniej w stosunku do księży biskupów.

Strona ruska — i to zarówno odłam jej staroruski (właściwie rosyjski), jak i ukraiński — wobec akcji, reprezentowanej przez *Polaka Greko-Katolika*, zajmuje stanowisko całkowicie negatywne. Wprost zaprzecza istnieniu greko-katolików Polaków, całą zaś prasową akcję ze strony polskiej uważa za zjawisko sztucznie wywoływane przez jakieś wrogie czynniki w celu wprowadzenia zamętu i rozbicia w Cerkwi unickiej. Miało by komuś na tym zależeć, by w imieniu nie istniejących Polaków greckiego obrządku wymódz na Cerkwi wprowadzenie do kazań i dodatkowych modłów języka polskiego, by w ten sposób Kościół unicki uczynić narzędziem wynaradawiania Ukraińców. Przytaczane przez polską prasę cyfry ze spisu ludności 1931 r. mają być całkowicie wynikiem różnych „cudów“, jakie tego rodzaju spisom, jak i wyborom i plebiscytom towarzyszyć zwykły. Ukraińcy dodają, że naród polski zawsze należał do Kościoła łacińskiego i historia nie notuje wśród Polaków żadnego masowego ruchu w kierunku obrządku greckiego. Obrządek grecki, czy to w unii, czy przedtem w schiźmie, był synonimem i oznaką ruskości, jeśli zaś kto ulegał spolszczeniu, to dla zadokumentowania swej polskości przechodził też na obrządek łaciński. Słowem, Polacy greko-katolicy mają być zupełną fikcją. Przeciwko tej fikcji, jako kontrofensywę, prasa ukraińska wysunęła kwestię Ukraińców łacinników. Polaków greko-katolików nie ma, natomiast są jakoby setki tysięcy łacinników, używających potocznie języka ukraińskiego, a nawet czujących się Ukraińcami, którzy jednak w kościołach swoich są pozbawieni nauki i modlitw w swoim języku. Trzeba by więc raczej wprowadzić ukraińską mowę do kościołów, niż polską do cerkwi.

Takim jest stanowisko ruskie. Nam się jednak zdaje, że tak kategorycznie zaprzeczać istnieniu Polaków greckiego obrządku nie można. Chętnie przyznajemy, że grekounitów dawnego polskiego pochodzenia nie ma, ale to kwestii nie przesądza. W ciągu kilku wieków istnienia unii kościelnej, zwłaszcza w wieku XVIII i nawet XIX, wielu unitów, zwłaszcza po miastach i miasteczkach, po dworkach szlacheckich, a nawet plebaniach uległo do tego stopnia spolszczeniu, że uważali się za *gente Rutheni, natione Poloni*, albo nawet pierwszą część tego określenia zupełnie zarzucali i czuli się po prostu Polakami. I nie ma podstawy do twierdzenia, że wszyscy tacy Polacy zmieniali w następstwie obrządek swój na łaciński; zwłaszcza nie czy-

[1]) Przed kilku miesiącami krakowski *I. K. C.* uderzył w radosny dzwon, że takie seminarium polsko-grecko-katolickie powstaje w Krakowie, organizowane przez unickiego kapłana, ks. Sasa. Ks. Sas ogłosił nawet wpisy do tego zakładu, ale zdaje się całkowicie bezskutecznie, nic bowiem więcej o istnieniu owego seminarium nie słychać. *I.K.C.* i dzienniki, które za nim wiadomość o inicjatywie ks. Sasa powtórzyły, nie zdawały sobie widocznie sprawy z tego, że zakładanie seminariów duchownych należy do Stolicy św. i do episkopatu, a nie do prywatnych przedsiębiorców, choćby „księży“. Zdaje się, że mamy tu do czynienia z jakimś nieudanym interesem.

nili tego wtedy, kiedy mieli tu i owdzie możność słyszenia w cerkwi języka polskiego, który już za swój język uważali. Trudno nam odmówić polskości tego rodzaju unitom, bez względu na ich odległe ruskie pochodzenie. Przypuszczamy, że w epoce zaostrzenia się antagonizmów narodowościowych jedni z takich spolszczonych unitów zerwali i z obrządkiem greckim, inni, przeciwnie, ulegli ponownemu zruszczeniu, ale jakaś ich ilość, zwłaszcza po miastach, wśród sfery rzemieślników, rozmaitej służby, urzędników itp., mogła pozostać przy obrządku greckim, nie zatracając poczucia przynależności do narodu polskiego, a przynajmniej zachowując nadal język polski. Na zachodnich krańcach zasiedlenia greko-katolików, nad Wisłokiem i Sanem, są nawet całe parafie wiejskie, złożone z takich Polaków.

Niezbitym dowodem, że Polacy obrządku grecko-katolickiego istnieli na początku naszego stulecia, jest List Pasterski, wydany w r. 1904 specjalnie do nich w języku polskim przez J. E. Ks. Metropolitę A. Szeptyckiego [1]), a musiała być ich spora ilość, jeżeli opłaciło się zwracać do nich ze specjalnym orędziem pasterskim.

Czy ta kategoria Polaków unitów znikła doszczętnie w ostatnich dziesięcioleciach? Chyba ryzykownym było by tak twierdzić. Ilu ich pozostało dotąd, o to można się spierać. Mogą ich być tysiące, albo i dziesiątki tysięcy, mogą oni być albo rozproszeni, albo stanowić jakieś skupienia. Do cyfr urzędowego spisu nie mamy specjalnego zaufania, nie uważamy też za zupełnie rzeczową akcji, która by się opierała jedynie na takich danych, sądzimy wszakże, że zagadnienia tego nie można zbyć samym zaprzeczeniem.

Jeżeli zaś istnieją greko-katolicy, przyznający się do polskiej narodowości w jakiej takiej liczbie, zwłaszcza jeżeli stanowią lub stanowić mogą skupienia takie, dla których opłaciło by się uwzględniać język polski w nauczaniu czy nabożeństwie, a oni sami domagali by się tego, [1]) to ze stanowiska czysto kościelnego tego rodzaju żądania należałoby uwzględnić. Nie ma bowiem żadnego kanonu kościelnego, któryby wykluczał język polski z Cerkwi unickiej, albo czynił tę Cerkiew wyłącznie ukraińską. Inna sprawa, że trudno uważać za takie domaganie się samego ludu — artykuliki lwowskiej gazetki.

Lecz tutaj, niestety, z względami kościelnymi krzyżują się często względy narodowościowo-politycznej natury. Nie piszemy tego z szczególnym wyrzutem pod adresem Cerkwi unickiej, wiedząc, że jeśli to jest grzech, to grzech ten przytrafia się i komu innemu. Nie gorszymy się specjalnie z tego, gdy Cerkiew unicką tytułuje ktoś ukraińską, bo ta nazwa jest usprawiedliwiona okolicznością, że większość wyznawców Cerkwi stanowią Ukraińcy. Wszak nie gorszymy się, gdy Kościół łaciński u nas nazywany bywa polskim, uważamy to bowiem za usprawiedliwione tym, że przytłaczającą większość wyznawców tego obrządku stanowią Polacy. Ale trudno było by nam zrozumieć, gdyby z ukraińskości Cerkwi unickiej czyniło się zasadę, wykluczającą dopuszczenie jakiegokolwiek innego języka i innej, niż ukraińska, narodowości. Jeżeli prawdziwym jest zarzut, że takie zapatrywanie jest pospolite w obozie

[1]) List ten został przypomniany przez T. Jagmina w *Polsce Zbrojnej*, potem w osobnej broszurce („Polacy greko-katolicy na Ziemi Czerwieńkiej“) i obleciał echem prawie całą prasę polską. W liście tym J. E. Metropolita stwierdzał prawo tych Polaków do zachowania wierności dla języka polskiego i narodowości polskiej przy równoczesnej wierności obrządkowi greckiemu. P. Jagmin, oprócz tego listu podał fotograficzne odbicie tytułów paru innych listów Ks. Metropolity Szeptyckiego w języku polskim, pisanych już to do ogółu duchowieństwa grecko katolickiego, już to do wiernych. Na podstawie tych odbitek formułuje się ogólne twierdzenie, że przed paru dziesiątkami lat metropolita pisywał swe orędzia pasterskie po polsku. Jest to jednak twierdzenie fałszywe, bo list z r. 1904 do Polaków greko-katolików jest unikatem, wszystkie zaś inne orędzia i broszury swoje Dostojny Autor pisał wyłącznie po rusku, odbitki zaś, podane przez Jagmina są odbitkami polskich tłumaczeń z oryginałów ruskich, tłumaczeń dokonywanych i wydawanych przez osoby prywatne i przez rodzinę hr. Szeptyckich, jak to zwykle zaznaczone jest na odwrocie karty tytułowej lub na końcu tych wydań. Wydania te prywatne przeznaczone były przede wszystkim dla rozpowszechnienia wśród polskiego społeczeństwa obrz. łacińskiego. Przypuszczamy, że p. Jagmin, nie zauważywszy tego, sam uległ pewnej iluzji i przyczynił się do wyprowadzania mylnych wniosków przez innych.

[1]) Piszemy warunkowo: „a oni sami domagaliby się“, bo nie jest wykluczony wypadek, że jakaś grupa, używająca jakiegoś języka w życiu potocznym, godzi się z językiem innym w świątyni i nie tylko zmiany żadnej nie pragnie, ale nawet przykro by ją odczuła, gdyby ją wprowadzono. Dużo tu znaczy konserwatyzm w rzeczach religijnych, przyzwyczajenie. Tym naprz. usprawiedliwia się wyłączne używanie języka polskiego w kościołach łacińskich nawet w tych ośrodkach, w których lud wiejski w życiu domowym posługuje się mową ukraińską. Suponuje się, że ten lud zmiany nie pragnie, owszem sprzeciwiałby się jej. Jeżeli to jest prawdą w odniesieniu do kościołów łacińskich, może być też prawdą w zastosowaniu do cerkwi unickich.

ukraińskim, to wypływać ono może tylko z motywów polityki narodowościowej.

Słyszałem Ukraińców mówiących, że jeśli naprawdę istnieją Polacy greko-katolicy, to raczej niechaj uczęszczają na kazania do kościołów łacińskich, albo nawet przejdą na obrządek łaciński, a nie wprowadzają swej polskości do Cerkwi. W tym zresztą zgodni są z ogółem polskiego społeczeństwa, któremu także dość trudno zrozumieć, by ktoś, czując się Polakiem, upierał się przy obrządku grecko-katolickim, co poniekąd zakrawa na dziwactwo. My wszakże sądzimy, że wolno być tego rodzaju „dziwakiem“ i kochać ten obrządek katolicki, który się po przodkach swoich odziedziczyło, a równocześnie w rzeczach narodowych poczuwać się do solidarności z narodem polskim i modlić się po polsku, spowiadać po polsku i słowa Bożego chcieć słuchać w tym języku.

Rozumiemy, że ze względów narodowych dla grupy, górującej ilością w danym Kościele czy obrządku, zawsze jest pożądane, by „jej“ Kościół był ostoją „jej“ narodowości, owszem pomagał w asymilowaniu mniejszości. Takiej pokusie ulegają zarówno Ukraińcy, jak i inne narodowości. Ale z drugiej strony i mniejszości narodowe posiadają prawo, i to naturalne, do opieki duchownej w swoim Kościele, połączonej z poszanowaniem dla ich języka i narodowego poczucia. Jeżeli zaś zachodzi tu kolizja między dwiema dążnościami i interesami dwóch grup, to z katolickiego stanowiska nie trudno rozstrzygnąć, jakiemu prawu należy się prymat.

*

Kończymy już te nasze dość długie wywody na tle zagadnienia „szlachty zagrodowej“ i „Polaków greckiego obrządku“. Jeżeli mamy zakończyć je jakąś konkluzją czy życzeniem, to chyba tylko tym jednym: oby nie wciągano Kościoła, ani jednego ani drugiego obrządku, do jakichkolwiek czysto politycznych akcyj i na czyjąkolwiek niekorzyść, a w obsłudze duchownej wiernych oby kierowano się wyłącznie chwałą Bożą i pożytkiem dusz. *Ne misceantur sacra profanis* i *Suum cuique!*

Ks. J. Urban

JASNOGÓRA PODLASIA

Kończył się las tuczniański, typowa knieja podlaska, licznymi mokradłami podszyta. Przez ostatnie gałęzie dojrzeliśmy na dalekim horyzoncie zarysy wielkiej budowli kościelnej. Witała nas sławna Bazylika Kodeńska, Jasnogóra Podlasia.

Dziwne sprawia wrażenie, gdy z dala od wielkich gościńców historii polskiej, gdzieś na dalekich kresach, spotyka się historyczną placówkę polską. Choćby to były zapadłe trzęsawiska, odczuwa się zaraz pod sobą grunt skały wawelskiej. A zwłaszcza Kodeń, założony przez Sapiehów i opierający się o nich poprzez stulecia, to odczucie daje. Tutaj z Kodeńskiego Kastelu szła zawsze wierna służba wawelskiemu tronowi, ten zamek był punktem i puklerzem ojczyzny przed wdzierającymi się hordami i jasną pochodnią idei polskiej na dalekie ziemie zabużańskie.

Dla tych ziem spełniał Kodeń nie tylko rolę wzgórza wawelskiego, ale również i jasnogórskiego. Cudowny obraz Bogarodzicy, jeden z najsłynniejszych obrazów chrześcijaństwa, uwieziony przez jednego z Sapiehów z Rzymu, z kaplicy papieskiej, gromadził przez stulecia tysiączne tłumy z obu brzegów Bugu. Prócz tego był Kodeń szczególniejszym szańcem obronnym katolicyzmu. Pięć kościołów, zbudowanych w nim przez Sapiehów, gorliwość Sahiehów i licznego zastępu dobranego duchowieństwa, sprawiały, że w wieku XVI i XVII szedł z Kodnia silny odpór przeciw różnowierczym zapędom, szerzącym się z pobliskiej Biały radziwiłłowskiej i z sąsiedniego Brześcia litewskiego a zarazem i przeciw dyzunii, poduszczanej przez Rosję.

Do tej historycznej glorii Kodnia dołączyła Rosja w XIX wieku męczeńską koronę cierniową. Wtłoczono ją nie tylko na skronie unitów, ale i na Kościół polski. Ażeby unitom usunąć z pod nóg ostatnią deskę ratunku, rosyjski rząd przeniósł parafię z Kodnia do Tucznej a cudowny obraz Bogarodzicy, zamknięty w pace, odesłał pod eskortą wojskową do Częstochowy, gdzie przez szereg lat wisiał na ścianie kościoła jasnogórskiego. W ten sposób, przy dodatkowej pomocy cebulastej kopuły zamieniona została Bazylika Kodeńska na cerkiew pra-

wosławną. Tak trwało do wojny światowej, podczas której całe prawosławie w popłochu opuściło Kodeń, wraz z ludnością Podlasia, pędzoną w głąb Rosji przez cofającą się przed Niemcami armią rosyjską.

W tym stanie rzeczy ujrzałem po raz pierwszy Podlasie z jego Jasnogórą. Opisywana podróż odbyła się w roku 1919, równo dwadzieścia lat temu. Biskup podlaski, ks. Henryk Przeździecki obejmował wówczas rządy diecezji podlaskiej i dokonywał pierwszej kanonicznej wizytacji diecezji. Wyznaczony biskupowi na kaznodzieję wizytacji, oddałem się chętnie do dyspozycji, by znaleźć się w kraju męczenników. Wspomnienie niniejsze wobec świeżej mogiły Ks. Biskupa niech będzie hołdem, złożonym jego zasługom dla Podlasia, Kodnia i obrządku wschodnio-słowiańskiego.

O kraju męczenników mówiło podczas podróży wszystko, bo była to ziemia świeżo wyrwana z paszczęki Rosji i z pożaru wojny światowej. Biegnące w nieskończoność szare równiny często rozorane były śladami wojny, rowami strzeleckimi i wyrwami po pociskach. Nierzadko widziało się gruzy po ludzkich siedzibach, sterczące zczerniałymi kominami ku niebu. Najsmutniejsze wrażenie sprawił szereg wsi pustych, w których ani śladu życia ludzkiego nie było, bo ludność popędzona w głąb Rosji nie wszędzie zdołała wrócić rychło do domów. W czterech wsiach uosabiał życie tylko jeden kot, chodzący po dachu chaty.

W takich odczuciach zbliżaliśmy się do Kodnia.

Pierwsze wrażenie w Kodniu było nad wyraz smutne: garść popiołów, przez które usiłuje przedostać się ku życiu wątła roślinka. Zamek w ruinie, z pięciu kościołów ocalały tylko dwa, z których jeden pusty, a drugi zniszczony przez schizmę. Dokoła tych relikwij kilkadziesiąt biednych domków. To cały Kodeń.

To, co z kwitnącego miasteczka pozostało, zaledwie osadą nazwać można. Kodeń padał wielokrotnie ofiarą pożarów i pożogi wojennej. Napady tatarskie, kozackie, szwedzkie, rosyjskie niszczyły i zubożały miasteczko. W ubiegłym stuleciu splądrowało je żołdactwo rosyjskie w roku 1812, a potem i to doszczętnie w roku 1863. Co usilnością i pracą mieszkańców jęło się dźwigać z upadku, unicestwiły znowu w roku 1874 okrucieństwa, towarzyszące walce religijnej, jaką wydano unitom podlaskim. Że wreszcie po obecnej wojnie światowej, zwłaszcza po żarłocznej okupacji pruskiej, pozostało w tym miejscu jakieś życie, to do dziwów zaliczyć należy. Ludność skrzętna ratuje się różnorakim przemysłem od śmierci głodowej — o biedzie kodeńskiej już od dawna istnieje na Podlasiu przysłowie, iż Kodeń na dwunastu szewcach stoi.

Ale na dzień dzisiejszy, na dzień przybycia biskupa podlaskiego, wydobył Kodeń ostatki zamożności z dna skrzyń. Świąteczne stroje, chorągwie na domach, kilimki w oknach, tryumfalne bramy, dzieci w bieli, strojne panny z kwiatami, wszystko, co z ubóstwa wydobyć się dało, wyszło w blasku na przyjęcie arcypasterza.

Z twarzy i rozmów przebija dzielność i tężyzna moralna mieszkańców. Po Sapiehach przejęli wielką miłość ojczyzny. W r. 1863 nie było już w Kodniu Sapiehów, tym silniej zajaśniał patriotyzm mieszczan kodeńskich, że z własnego poczucia wspierali, jak mogli i umieli, powstanie. Przypłacili to ciężkimi karami; spadły ciężkie rekwizycje wojskowe, wielu poszło do więzień, niejeden na wygnanie, w głąb Rosji. Silniej jeszcze stanął Kodeń w obronie katolickiej wiary. Pokazywano mi miejsce, w którym żołdactwo rosyjskie smagało opornych unitów aż do krwi, i to nie raz, ale wielokrotnie w ciągu trzech miesięcy. Forteczne więzienia pobliskiego Brześcia przepełnione były wówczas męczennikami kodeńskimi. Prześladowcy zamknęli cerkwie unickie, bazylikę katolicką zamienili na cerkiew prawosławną. W ten sposób opanowali mury i ściany świątyń, ale nie zapanowali nad żadną duszą. Do cerkwi nie uczęszczał nikt prócz żołnierzy i urzędników rosyjskich. Ruchliwy przedtem Kodeń, ściągający w dni uroczyste liczne pielgrzymki, opustoszał i ogłuchł całkowicie na długie lata.

Dopiero dzień przybycia biskupa napełnił miasteczko wrzawą i tłumami. W oczach mieszkańców czytało się zdziwienie, że w to miejsce zawitały znowu ruch i życie.

Brama tryumfalna, przy której witano biskupa, stała w miejscu, na którym smagali kozacy opornych unitów. Plac wielki, dość szeroki, tak że roztoczyć się może przed widzem fasada bazyliki. Budowla dziś zniszczona, jak świetnie musiała przedstawiać się dawniej! Wspaniały renesans z reminiscencjami rzymskiego świętego Piotra. Nad środkową połacią świątyni unosi się na czterech potężnych słupach kopuła, zdobna w galerię i liczne okna, z której z lekkością ptaka wzlatuje w górę druga kopuła mniejsza. Jakie to sprawiać musiało wrażenie, gdy z tej

szczytowej galerii spływała w dół kościoła muzyka, lub, gdy z galerii zewnętrznej, biegnącej górą fasady, roznosił się ponad równiny codziennie, rano i wieczór, hejnał.

Od bramy tryumfalnej obejmuje oko całą okolicę. Z nieznacznego podniesienia, jakim plac ten wychyla się ponad równinę kodeńską, widzi się i cały widnokrąg i biegnące w nieskończoność pola i łąki, przez które uroczyście toczy Bug swoje wody. Kiedyś po obu brzegach Bugu stały młyny i turkotały młyńskie koła, na falach bieliły się żagle i ciemniały szkuty ze zbożem i jarzyną do Gdańska. Dziś całą uwagę ciągną ku sobie tylko ruiny sapieżyńskiego zamku. Ruiny te, oddzielone od Kodnia rzeczką Kałamaczką, dopływającą w tym miejscu do Bugu, z tyłu objęte kolanem Bugu, z boku opierające się o jezioro, wywołują typowe wrażenie wojskowej stannicy. Dziwnym biegiem rzeczy pozostało w otoku ruin zamkowych w pierwotnej świeżości i świetności to, co odzwierciedla religijną duszę Sapiehów: kaplica zamkowa. Kaplica pod wezwaniem Ducha Świętego była świątynią grecko-katolicką, ale nie ma w niej stylu bizantyjskiego. Zbudowana jest w czystym gotyku. Nie wiele równie pięknych i równie dobrze zachowanych pomników architektury widzi się w Polsce. I ten fryz tynkowy, biegnący wzdłuż czerwonej cegły — i te harmonijne wnęki na frontonie i z tyłu świątyni — i szkarpy gotyckie i pilastry i kroksztynki i słupkowe wieżyczki — wszystko to odtwarza budowę i bardzo orginalną i bardzo piękną.

Po szczegółach wizytacji parafii, po nabożeństwach i kazaniach przyszedł moment, gdy Arcypasterz wstąpił na ambonę z ostatnim słowem. Układał je długo, każdy szczegół co do podniesienia Kodnia do dawnej godności Jasnogóry podlaskiej omówił z duchowieństwem i przedstawicielami ludności. W przemowie podniósł gorąco zasługi Kodnia w dobie męczeńskiej, wskazał na to, co poprawić by należało i przeszedł do planów na przyszłość. Głównym momentem planu było, by wprowadzić do kodeńskiej bazyliki z powrotem cudowny obraz Matki Boskiej, a wprowadzić z jak największą okazałością, ze współudziałem całego kraju, w pieszej pielgrzymce z Częstochowy do Kodnia. W ważniejszych miejscowościach zatrzyma się pielgrzymka z obrazem kilka dni, podczas których odbywać się będą misje. Od Częstochowy do Kodnia płynąć ma rzeka modlitw, dziękczynień i przebłagań i użyźnić Polskę całą skrzepieniem żywej i gorącej wiary.

Podczas przemowy biskupa grobowa panowała cisza. Przez cały ten czas pochłonięty byłem zjawiskiem, z jakim poza Podlasiem nie spotkałem się nigdy a na Podlasiu nie wiele razy w tym stopniu, co w Kodniu. Była to dusza Podlasia, wywołana obecną chwilą. Zjawisko to określić można tylko jako najwyższy stopień duchowego podniecenia, jako całkowite wyjście duszy na próg ciała i to nie u jednego człowieka, kilku, czy kilkunastu, ale u całego zbiorowiska ludzi. Nie widziałem nigdy na twarzach ludzkich takiego zbioru wyrazów duszy, przełożonych na najwyższy ton, ani w życiu, ani w sztuce. Obraz Wszystkich Świętych Dürera, Sądy Ostateczne różnych pędzli, pozostały bladą kopią. Same oczy ludu w tej chwili szeroko otwarte, — tu rozjaśnione promieniem rajskiej pogody, tam zatlone krwawym płomieniem proroczego jasnowidzenia, ówdzie świecące przenikliwym połyskiem stali, tu żarzący się węgiel, tam spływające łzy — przedstawiały taką skalę świateł, że nie miało się pojęcia, by śmiertelne źrenice objąć ją mogły. Samo podanie ciała naprzód całego tłumu sprawiało wrażenie, jakby tłum ten zastygnął w akcie konwulsji. Cóż mówić o wyrazie twarzy, tu pobladłych ze wzruszenia, tam ceglistym rumieńcem powleczonych, w którym stapiały się wszystkie wysokie tony podniosłej myśli i wielkiego uczucia?

Po kilku latach plan Księdza Biskupa wykonany był całkowicie. Pielgrzymka, zatrzymując się w ważniejszych miejscowościach na odprawienie misji, jednego dnia weszła trymfalnie z cudownym obrazem Bogarodzicy do Kodnia. Oddano obraz pod straż Oblatom, ojcom łacińskiego obrządku w bazylice a słowiańsko-wschodniego w cerkwi. Rozpoczęło się odrodzenie Kodnia i ruch tysięcy ludzi śpieszących z obu brzegów Bugu. W zeszłym roku obchodzono uroczyście dziesięciolecie powrotu Królowej Podlasia.

Jeszcze jedną piękną myśl starał się Ks. Biskup urzeczywistnić. Zaprosił do Janowa nuncjusza Ratti'ego, późniejszego Piusa XI. Nuncjusz czytał w młodości broszurę o męczeńskim Pratulinie, więc z radością zaproszenie przyjął. Chodziło o kanonizację męczenników podlaskich, sprawę utrudnioną przez Rosję do tego stopnia, że nie pozostał wyraźny ślad, gdzie są groby męczenników. Trzeba było kult stwarzać od początku. Nuncjusz wyraził zdanie, że wystarczy dowód, iż to było męczeństwo za wiarę.

Ks. Jan Pawelski T. J.

JUBILEUSZ KS. METROPOLITY SZEPTYCKIEGO

Przed laty czterdziestu, w r. 1889, młody, bo zaledwie 34 lata życia liczący, zakonnik świeżo zreformowanego zakonu Bazylianów, o. Andrzej Szeptycki, został powołany do grona episkopatu Cerkwi greckokatolickiej w austriackiej podówczas Galicji. Nominację na biskupa stanisławowskiego otrzymał z Wiednia już 2 lutego 1899, 17 czerwca odbyła się w Rzymie prekonizacja, 17 września otrzymał z rąk metropolity Kuiłowskiego sakrę biskupią, po czym w parę dni objął rządy powierzonej sobie diecezji. Nie długo w niej pasterzował, bo już w roku następnym został powołany na opróżnioną przez śmierć metropolity Kuiłowskiego stolicę metropolitalną we Lwowie.

Nie mamy tu miejsca na historię tego długiego pontyfikatu ruskiego metropolity, pontyfikatu wyjątkowo bogatego w zdarzenia, w prace, przedsięwzięcia apostolskie, wreszcie w cierpienia fizyczne i udręki moralne. Przyszły historyk Cerkwi unickiej wykaże jakim sposobem ten potomek świetnego rodu, niegdyś ruskiego, potem spolszczonego, stanął na czele ruskiego społeczeństwa i jak jego działalność pasterska i narodowa zaważyła na ewolucji tego narodu. Dosyć, że dzisiaj J. E. Metropolita Andrzej, uważany przez swoich i nie swoich za duchowego przywódcę swego narodu, cieszy się jego zaufaniem, wdzięcznością, miłością i oddaniem, okazywanymi przy każdej nadarzającej się sposobności.

Taką właśnie sposobnością było świeżo 40-lecie jego biskupstwa, jubileusz zaiste rzadko komu przypadający w udziale. Jubileusz ten wszakże, w obecnych naprężonych stosunkach, może przeszedłby niepostrzeżenie, gdyby nie uznanie, jakie Dostojnego Jubilata spotkało ze strony Rzymu. Mianowicie Ojciec św. Pius XII, z okazji 40-lecia rządów pasterskich ks. metropolity Szeptyckiego i w uznaniu jego zasług dla Kościoła, powołał go do liczby arcybiskupów-asystentów tronu papieskiego. Ojciec św. wystosował do Solenizanta odręczne pismo; ze swej strony także kardynał E. Tisserant, jako sekretarz Kongregacji dla Kościoła wschodniego, wysłał do Ks. Metropolity pod datą 27 kwietnia br. pismo, w którym winszując mu zaszczytnego odznaczenia, przypomina, że 40 lat jego biskupstwa bogate były w zdarzenia radosne i smutne, ale zawsze związane z życiem wiernych bizantyjsko-słowiańskiego obrządku, były nawoływaniem niezjednoczonych do jedności i świadectwem dawanym prawdzie aż w postaci wygnania i więzienia.

W liście swoim Ojciec św. upoważnił Jubilata do udzielenia podczas celebrowanej przez siebie liturgii św. błogosławieństwa apostolskiego wiernym wraz z odpustem zupełnym. Na tę celebrę właśnie obrano niedzielę, 18 czerwca, nazajutrz po 40 rocznicy prekonizacji na biskupa. Dzień ten zamienił się na niezwykłą manifestację na cześć Solenizanta. Na dziedzińcu między katedrą św. Jura, a pałacem arcybiskupim ustawiono ołtarz, a przed nim przygotowano miejsca dla episkopatu, duchowieństwa, rodziny Jubilata, przedstawicieli instytucyj ukraińskich. Ze wszystkich lwowskich i podmiejskich parafij unickich przybyły ze sztandarami kompanie, lud nie mogąc się pomieścić w dziedzińcu św. Jura zajął część placu zewnętrznego. Z episkopatu przybyli: ks. biskup Józafat Kocyłowski z Przemyśla wraz ze swym sufraganem Grzegorzem Łakotą, dwaj biskupi pomocnicy miejscowi, Iwan Buczko i Nikita Budka, wreszcie wizytator apostolski ks. biskup Mikołaj Czarnecki. Z innych przedstawicieli kleru — mitraci Ślipyj i Baziuk, o. Klemens Szeptycki Studyta, prowincjał Bazylianów Hradiuk, prowincjał Redemptorystów de Vocht, cała kapituła lwowska i przedstawiciele kapituły przemyskiej itd.

Gdy wyniesiono w krześle Jubilata, jak wiadomo nie mogącego chodzić, zerwały się okrzyki „Sława!“, burze oklasków, posypał się deszcz kwiatów. Ta spontaniczna owacja świadczyła najlepiej o uczuciach ludu dla swego arcypasterza. Zasiadłszy na tronie, Solenizant dokonał najpierw instalacji trzech nowych członków kapituły, poczem rozpoczęła się uroczysta liturgia, celebrowana przez samego Jubilata *sobornie* z wszystkimi obecnymi biskupami i mitratami. Śpiewy liturgiczne wykonał chór teologów z akademii duchownej. Pod koniec nabożeństwa, ks. biskup Buczko, odczytawszy listy Ojca św. i kard. Tisseranta, wygłosił kazanie, podkreślając szczególną życzliwość Ojca św. dla Cerkwi unickiej i stojącego na jej czele Solenizanta. Na zakończenie też wezwał wier-

nych do wdzięczności dla Stolicy Apostolskiej, a Jubilatowi życzył długich lat życia i służenia Kościołowi.

Po odśpiewaniu przez chór *mnohaja lita*, począł mówić głosem wzruszonym sam Jubilat. Zaznaczywszy, że dług wdzięczności względem swoich wiernych stara się spłacać swoimi kazaniami, rozwinął myśl o ważności słowa Bożego, które staje się potem w życiu ideą-siłą; podkreślał, że kaznodziejstwo jest „sztuką“, ale skuteczność tej sztuki zależy nie tyle od retorycznej budowy, ale od głębi przekonania i od ofiary krwi Chrystusowej, którą słowo Boże zwiastuje. Nawoływał młodych lewitów do „batalionu śmierci“, tj. do gotowości do wielkich ofiar przy spełnianiu urzędu kapłańskiego. Wreszcie imieniem Ojca św. udzielił Ks. Metropolita wszystkim zebranym i ich rodzinom błogosławieństwa. Hymnem „Bożewełykij, jedynyj“ zakończono nabożeństwo, lecz Jubilat, odniesiony do wnętrza pałacu, jeszcze raz ukazał się na balkonie i jeszcze raz swoją owczarnię pobłogosławił.

Kończąc ten krótki opis, nie podobna nie zanotować pewnych braków w opisanej uroczystości. Nie było na niej przedstawicielstwa drugiego katolickiego obrządku — łacińskiego. Stało temu na przeszkodzie zaognienie stosunków narodowościowych, które nie może się nie odbić i na stosunkach kościelnych.

Inna jeszcze nasuwa się do zanotowania absencja w tym uczczeniu metropolity. Oto nie było we Lwowie przedstawicielstwa diecezji stanisławowskiej, którego można się było specjalnie spodziewać, jako że był to obchód 40-lecia od objęcia przez ks. A. Szeptyckiego właśnie biskupstwa w Stanisławowie. Ale pewne wyjaśnienie może zawiera się w okoliczności, że równocześnie J. E. ks. biskup Grzegorz Chomyszyn obchodził 35 rocznicę objęcia katedry biskupiej w tym mieście, w trzy lata po opuszczeniu jej przez ks. Szeptyckiego. W dniu 19 czerwca ks. biskup sufragan Jan Latyszewski odprawił w katedrze z tego powodu dziękczynną liturgię, a popołudniu Jubilat stanisławowski odbierał w swym pałacu powinszowania kleru i przedstawicieli społeczeństwa.

J. U.

SPRAWY KOŚCIOŁÓW WSCHODNICH

a) Ukraiński Instytut Zjednoczenia kościelnego.

Dekretem z dnia 17 lutego br. J. E. ks. metropolita Szeptycki powołał do życia „Ukraiński Katolicki Instytut Zjednoczenia kościelnego“. Ma to być ogólno-krajowe stowarzyszenie dla materialnego i moralnego popierania akcji zjednoczenia Kościołów prawosławnego i katolickiego. Instytut ten wszakże jest dopiero w stanie organizacji, opracowywania statutów itp.

Właśnie 19 czerwca br. odbyło się we Lwowie, w domu oo. Studytów, zebranie konstytucyjne Instytutu pod przewodnictwem protoigumena Studytów, o. Klemensa Szeptyckiego, przeznaczonego przez ks. metropolitę na prezesa nowej organizacji.

Otwierając posiedzenie, o. Klemens wygłosił dłuższe przemówienie, wykazując potrzebę poznawania ducha i tradycji Kościoła wschodniego. „My — mówił o. protoigumen — stanowimy wschodnią gałąź Kościoła powszechnego, zupełnie równowartościową z gałęzią zachodnią, a ta wschodnia gałąź wyprzedziła o całe osiem stuleci Kościół zachodni, albowiem przez osiem wieków ona przewodniczyła w dziedzinie kultury religijnej, nauki i życia duchowego powszechnego Kościoła“. Poznawając wartości Kościoła wschodniego, ceniąc je i kochając, unici znajdą wspólny język z braćmi swymi, dotąd jeszcze niezjednoczonymi. Dlatego mowca skrytykował ten typ unity, który, jakby wstydząc się swej przynależności do Kościoła wschodniego, stara się odrzucać to, co wschodnie, a wprowadza do unii liczne pierwiastki łacińskie. Tacy unici przyczynili się do tego, że samo pojęcie „unity“ stało się wśród niezjednoczonych niepopularnym. „My — konkludował mowca — będziemy zapożyczali się u naszego sąsiada zachodniego tylko wtedy, kiedy nam zabraknie czegoś istotnego, lecz i wtedy zrobimy to tak, by nie stawać w przeciwieństwie do ducha Wschodu“. Zaznaczył także, że bliższe dyrektywy dla pracy unijnej nakreślił odbyty przed paru laty we Lwowie zjazd unijny.

Drugi referat, na temat metod pracy unijnej, wygłosił o. protojerej P. Tabiński. Do-

konano wyboru członków Zarządu Instytutu i określono wysokość wkładki członkowskiej na 50 gr. miesięcznie. Założenie Instytutu świadczy, że koła grecko-katolickie, w szczególności ukraińskie, w Małopolsce, usiłują wydostać się z przymusowej izolacji i inercji i w akcji unijnej wziąć czynniejszy udział.

b) List nieżonatych kapłanów do kard. Tisseranta.

W Cerkwi grecko-katolickiej w Małopolsce oddawna zaznaczają się dwie przeciwne tendencje: jedna, podkreślająca potrzebę wierności duchowi i praktykom Wschodu, druga — potrzebę większego zbliżenia się w liturgii i praktykach pobożnych do Kościoła łacińskiego. Pierwszej chodzi o ułatwienie sobie akcji zjednoczeniowej wśród prawosławnych, drugiej — o „ożywienie", jak mówią, Kościoła unickiego i zabezpieczenie unitów przed odpadnięciem do schizmy. Pierwszą, „bizantyjską" zwykle łączy się z konserwatywnym rusofilizmem politycznym, z partią „moskalofilską", rosyjską, czy staroruską, drugą — z partią ukraińską. Lecz owe tendencje kościelne nie całkowicie pokrywają się z politycznymi podziałami, wszak tylko co widzieliśmy jak Ukraiński Instytut, ustami swego prezesa, o. Klemensa Szeptyckiego, staje wyraźnie na platformie „bizantynizmu" a przeciw tendencji latynizatorskiej.

Ale oto *Nowa Zoria* (2 VII 1939) ogłasza ciekawy dokument, pochodzący z przeciwnego „latynizatorskiego" obozu. Jest nim list „Towarzystwa kapłanów bezżennych im. św. Józafata" (centrala w Stanisławowie) z dnia 9 maja br., wystosowany do kard. Tisseranta, jako sekretarza Św. Kongregacji dla Kościoła wschodniego. W liście tym, po obszernym historycznym wywodzie jakie to niebezpieczeństwa zagrażały unii ze strony prawosławia rosyjskiego i jak do schizmy przygotowywano unitów w Rosji przez coraz większe upodobnienie nabożeństw unickich do prawosławnych, a rugowanie wszelkich „latynizmów", petenci wypowiadają się wyraźnie przeciwko objawom owego puryzmu liturgicznego w prowincji halickiej, przeciwko zapuszczaniu brody przez niektórych kapłanów, przeciwko naśladowaniu prawosławnych w ubieraniu się, przeciwko wyrazowi „prawosławny" w liturgii, natomiast wysuwają cały szereg postulatów, jak zatrzymania ołtarzy bocznych, wprowadzenia wzgl. zatrzymania różnych nabożeństw, zapożyczonych z obrządku łacińskiego itd. Protestują także przeciwko upowszechnianiu nazywania obrządku „bizantyjsko-słowiańskim", a pragną zatrzymania nazwy „grecko-katolicki".[1]) Niektóre z tych postulatów godzą się zresztą i z tendencją „bizantyjską" i nie przez wszystkich jej zwolenników są zwalczane.

Losy memoriału „kapłanów bezżennych" są oczywiście w rękach Stolicy Apostolskiej. W Rzymie od dłuższego czasu pracuje specjalna komisja nad przygotowaniem „liturgikonu" (mszału) i innych ksiąg liturgicznych, które się staną obowiązkowymi dla całego obrządku bizantyjsko-słowiańskiego, czy, jak kto woli, grecko-katolickiego. Na razie panuje, istotnie, w wielu zagadnieniach liturgicznych wśród unitów małopolskich wielka rozbieżność. Tak naprz. używanie w liturgii wyrazu „prawosławny" jest w jednych częściach tejże prowincji kościelnej nakazane, w drugich zakazane, w trzecich pozostawione do woli. Przed kilku laty prawie równocześnie zabronił używania tego wyrazu w swej diecezji ks. biskup Chomyszyn, a administrator apostolski Łemkowszczyzny, śp. ks. Maściuch, zabronił usuwania tegoż wyrazu, a gdzie został usunięty, nakazał go przywrócić. I jedno i drugie zarządzenie motywowane było względami na dobro katolickiej wiary i wierność Stolicy Apostolskiej. Zapewne dopiero Rzym wypowie w tej sprawie ostateczne słowo.

c) Kościoły unickie na Węgrzech.

Po przyłączeniu do Węgier Rusi Zakarpackiej znajdują się w tym kraju dwie diecezje unickie (grecko-katolickie): diecezja mukaczewska, ruska, z rezydencją w Użhorodzie (Ungvar) i diecezja Hajdu-Dorog, zmadziaryzowana, z rezydencją biskupią w Nyiregyhaza.

Na opróżnioną katedrę biskupią w Hajdu-Dorog został wyświęcony 14 maja br. bazylianin, o. Mikołaj Dudasz, narodowości węgierskiej. Nowy biskup należy do nowego pokolenia Bazylianów reformowanych, studia odbywał w klasztorach bazyliańskich w Polsce, a ukończył w Rzymie. Diecezja Hajdu-Dorog była utworzona w roku 1912 przez papieża Piusa X z tych parafij, dawniej rumuńskich i ruskich, których ludność zmadziaryzowała się. Dlatego i głoszenie słowa Bożego i litur-

---

[1]) Nawiasem trzeba zauważyć, że nazwa „bizantyjsko-słowiański", mająca za sobą pewne racje naukowe, w odniesieniu do Kościoła unickiego nietylko na nowych terenach unijnych ale i w b. Galicji, jest coraz częściej używana w Rzymie, naprz. ostatnio w liście Ojca św. do kard. Tisseranta. Nazwa „greko-katolicki", nie znana za starej Rzeczpospolitej, wprowadzona została przez Marię Teresę po pierwszym rozbiorze Polski.

gia odbywają się w nich w języku węgierskim. Wiernych liczy około 150 tysięcy.

W diecezji mukaczewskiej pozostał biskupem ks. Aleksander Stojka, który po zajęciu Użhorodu przez Węgry w jesieni ub. roku oświadczył się z lojalnością względem nowego rządu. Obecnie, po usunięciu z diecezji zakonników i księży orientacji ukraińskiej, diecezja reorganizuje się, powracając do dawnej rusofilskiej orientacji, poddając się przytem częściowej madziaryzacji. Po blisko całorocznej przerwie ukazał się świeżo zeszyt urzędowego organu diecezji *Duszpastyr*, jako zeszyt 1—8 (styczeń-sierpień) 1939 r. Pisany jest zasadniczo w języku rosyjskim, ale zeszpeconym syntaksą i częściowo słownictwem karpato-ruskim. Kilka artykułów dał w języku węgierskim. W artykule wstępnym „Koleso istorii obernułosia“ wyraża radość z ponownego połączenia diecezji. Ale jeszcze 42 parafie, znajdujące się w granicach Słowacji, i kilka parafij w Marmaroszczyźnie pozostają oderwane od swego centrum. W Użhorodzie zreorganizowano kapitułę; w diecezji dokonano różnych przesunięć. Rząd węgierski dał Rusi Zakarpackiej pewną autonomię administracyjną, rozciągając jednak na kraj prawodawstwo węgierskie.

d) Kongres eucharystyczny w Beirucie.

Kościoły unickie bliższego Wschodu miały w tym roku niezwykłą uroczystość. W dniach 1—4 czerwca odbywał się w Beirucie (Syria) Kongres Eucharystyczny, przeznaczony dla katolików wschodnich obrządków z Syrii, Libanu, Palestyny, Iraku, Egiptu i Iranu. Oczywiście brali w nim udział także katolicy łacińscy, lecz przede wszystkim miał on zgromadzić u stóp Jezusa w Najśw. Eucharystii obrządki wschodnie, pozostające w jedności z Stolicą Apostolską. A tych obrządków w wymienionych krajach jest taka rozmaitość: Ormianie, Melchici, Maronici, Syryjczycy, Chaldejczycy i Koptowie!

Na kongres pojechał z Rzymu w charakterze legata papieskiego J. Em. kardynał E. Tisserant, sekretarz św. Kongregacji dla Kościoła wschodniego. Udał się on tam morzem, wstępując najpierw do Egiptu. Drogę tę przebywał nie po raz pierwszy, interesując się bowiem Wschodem od wczesnej młodości, jeździł tam już jako student teologii, potem jako kapłan dla badań naukowych, podczas wielkiej wojny — jako żołnierz armii francuskiej, później jako bibliotekarz watykański w poszukiwaniu rzadkich druków i rękopisów, to znowu jako członek misji papieskiej do Abisynii. Obecnie, jako purpurat św. Rzymskiego Kościoła i najbliższy pomocnik papieża w zarządzie Kościołami wschodnimi, miał reprezentować osobę Ojca św. Piusa XII w tym zebraniu wschodnich jego synów. Legata papieskiego witano po drodze i przyjmowano entuzjastycznie z udziałem przedstawicieli władz, nawet niechrześcijan. W Beirucie księcia Kościoła powitali ambasador francuski i prezydent republiki Libanu.

Przebieg czterodniowego kongresu był niezmiernie urozmaicony. Odbywały się adoracje nocne Najśw. Sakramentu, komunia generalna mężczyzn w katedrze Maronitów, niewiast w katedrze Melchitów, dzieci na hypodromie miejscowym, nabożeństwa w różnych obrządkach z przemówieniami przeważnie biskupów, posiedzenia z referatami na tematy eucharystyczne, odegranie sceniczne dwóch misteriów: „Misterium Chleba i Wina“, ułożonego przez P. Schoeffera i „Męka Pańska według św. Jana“, ułożonego przez o. Doncoeur'a T. J., wreszcie końcowe nabożeństwo niedzielne na hypodromie z procesją teoforyczną i przemówieniem kardynała-legata o miłości, należnej Chrystusowi Eucharystycznemu. Sprawozdawca *Osservatore Romano* szczególnie podkreśla wspaniałość widoku procesji, w której brali udział wielobarwni przedstawiciele różnych zgromadzeń zakonnych, męskich i żeńskich, duchowieństwo różnych obrządków w rozmaitych szatach liturgicznych, liczni biskupi, dwaj patriarchowie (inni dwaj: syryjski kard. Tappuni i melchicki Cyryl IX bawili w Europie), delegaci apostolscy z kilku krajów, wreszcie kardynał-legat, niosący N. Sakrament.

U stóp Zbawiciela, we wspólnym hołdzie, zjednoczyli się wierni o różnych historycznych tradycjach, rozmaicie chwalący Boga, i dali świadectwo wspólności swojej wiary i wierności temu Kościołowi, w którym, jak w domu Ojca niebieskiego, jest „mieszkań wiele“.

e) Nowi patriarchowie prawosławni.

Osierocone autokefaliczne kościoły prawosławne, mianowicie patriarchaty aleksandryjski i rumuński, otrzymały już nowych pasterzy.

W Aleksandrii obiór patriarchy odbył się 22 czerwca br. Na katedrę, wywodzącą swą historię od św. Marka Ewangelisty, wybrano dotychczasowego metropolitę Leonpolisu (z re-

zydencją w Zagazig) Chrystofora. Nowy „papież i patriarcha Aleksandrii“ ma lat 63, pochodzi z m. Madyt, nauki pobierał w Jerozolimie, gdzie też początkowo służył w zarządzie patriarchalnym, lecz już w pierwszych latach kapłaństwa przeniósł się do patriarchatu aleksandryjskiego, w którym posuwał się po stopniach „protosyngelosa“ patriarchy, potem metropolity w Aksum w Abisynii, następnie biskupa nubijskiego, wreszcie od r. 1914 metropolity leonpolitańskiego w Zagazig. Na tym stanowisku przetrwał lat 25. Te biskupstwa i metropolie prawosławne w Egipcie czy Abisynii posiadają bardzo mało wiernych, bo olbrzymia większość chrześcijan tych krajów należy do monofizyckiego Kościoła Koptów. Nie odznacza się też prawosławie tamtejsze żadną ekspansją ni prozelityzmem. Działalność pasterska zatem biskupów ogranicza się do konserwowania *status quo* religijnego i do bronienia głównie wpływów greckich w Kościele. W ostatnich jednak czasach zgłasza swe rewindykacje także mniejszość arabska w prawosławiu, żądając nawet przodującego stanowiska. Nowy patriarcha Chrystoforos interesuje się także życiem religijnym na Zachodzie, tudzież „ruchem ekumenicznym“, dlatego brał udział w r. 1930 w konferencji z Kościołem anglikańskim w Lambeth (Londyn).

Po zmarłym wiosną tego roku w Cannes Mironie został patriarchą rumuńskim Nikodem, dotychczasowy metropolita Mołdawii. Wybory dokonały się 30 czerwca br. Bliższe wiadomości o elekcie podamy później.

Obserwator.

CO I JAK PISZĄ?

W sprawie „kradzieży“ dusz polskich przez księży ruskich zabrał głos w *Ill. Kur. Codz.* Zygmunt Nowakowski w felietonie pod frapującym tytułem „Milion dusz“. W tekście pisał:

Według pobieżnych obliczeń w ciągu ostatnich 25 lat cerkiew grecko-katolicka ukradła nam około miliona dusz polskich na Ziemi Czerwieńskiej.

Stwierdzenie tej „cynicznej“ kradzieży posłużyło felietoniście do następnych wniosków: 1. odebrania księżom ruskim metryk i oddania ich urzędnikom cywilnym; 2. żalów do kurii rz. katolickiej we Lwowie, że wobec tej kradzieży dusz zachowuje postawę bierną, poczem zacytowany został czyjś projekt rozparcelowania za karę posiadłości ziemskich arcybiskupa.

Na felieton Nowakowskiego zareagowano z dwóch stron: Rusini zapytali go: „Skąd Pan wziął ów milion dusz?“. Polacy wzięli w obronę duchowieństwo łacińskie, rzekomo bierne, dające sobie wykradać dusze w takiej ilości. I Nowakowski w jednym z następnych felietonów, snać po lepszym zbadaniu sprawy, przyznał się, że padł ofiarą mylnych informacyj i nierealne twierdzenie o milionie skradzionych Polaków odwołał. Dla wytłumaczenia siebie wyjaśnił:

Cyfrę miliona dusz podało mi pewne poważne towarzystwo, czuwające nad sprawami kresów wschodnich, towarzystwo, które ma wielu wysokich protektorów, a najmniejszy z nich dźwiga z pewnością na swej szyi conajmniej półtora kg przeróżnych komandoryj.

I przyznanie się, że padł ofiarą łatwowierności, zakończył żalem do tych, którzy go źle informowali, a bałagan propagandowy nazwał wprost skandalem.

Świetny felietonista postąpił uczciwie, odwołując złą informację, lecz z odwołaniem jej upadają także budowane na niej wnioski. Sam zaś Nowakowski zapewne wyciągnie na przyszłość przestrogę dla siebie, by pochodzące nawet „z poważnych źródeł“ materiały przyjmować krytycznie, zestawiając je z innymi źródłami.

Cofnął się Z. Nowakowski, ale *Kurierowi* snać żal się zrobiło owego wygodnego w walce z Rusinami twierdzenia o milionie skradzionych przez ostatnie 25 lat polskich dusz. Więc w przypisku wprowadza jakiegoś Wschodnio-Małopolanina, który obstaje przy owym milionie, albo nie wielu mniej ukradzionych. Na jakiej podstawie? Oto

W Małopolsce Wschodniej jest około 8.000 wsi... mieszanych... Gdyby tak tylko z każdej wsi paroch uszczknął 4 duszyczki rocznie, to dałoby w ciągu 25 lat — 100 dusz na wieś. Suma ogólna 800 tysięcy dusz! A bywali i tacy co i po 200 w tym czasie zapisali na ukraińskie.

W rezultacie trzeba znowu oskarżyć duchowieństwo polskie o karygodne niedbalstwo w pilnowaniu swych owiec, a także machnąć ręką na patriotyzm tych małopolskich Polaków, którzy tak pozwalają się kraść... A kra-

dzież to nielada! Na całym terenie trzech województw południowo wschodnich „Mały Rocznik Statystyczny“ wykazuje nie wiele więcej ponad 2 miliony łacinników; te same mniej więcej cyfry można wydedukować z Szematyzmów diecezjalnych lwowskiego i przemyskiego. Przy takiej liczbie ukraść w ciągu ćwierćwiecza milion ludzi — toć to prawie na każdych trzech przynajmniej jednego! Lecz uspokójmy się i spędźmy zawstydzenie z oblicz naszych. Dane zarówno statystyki urzędowej, jak i diecezjalne bynajmiej nie wykazują takiego ubytku dusz po stronie łacińskiej, a przybytku po grecko-katolickiej, owszem wykazują, że ludność łacińska Wschodniej Małopolski stosunkowo szybciej wzrasta, niż grecko-katolicka. Wiadomo też, że Kościół łaciński robi wszystko, by kradzieży dusz zapobiec: buduje kościółki po wsiach z większością ruską, zakłada nowe parafie. Rząd także czuwa nad tym, by nie kurczył się polski stan posiadania, a nielegalnie zapisane do obrządku greckiego dzieci zwykle z małżeństw mieszanych „rewindykuje“. Upieranie się dalsze przy owym milionie byłoby objawem nieuczciwości publicystycznej czy też kompromitującego braku krytycyzmu.

*

Obawiamy się, że to, cośmy napisali, będzie nam przez kogoś wzięte za złe. Oto bowiem, co napisała *Gazeta Kościelna* z okazji naszych artykułów o szlachcie zagrodowej i o Rosjanach halickich:

> *Życzliwa neutralność.* Znamy to określenie z dyplomacji. Oznacza ono coś więcej niż bezstronność i coś mniej niż otwarte oświadczenie się po stronie jednego z partnerów.
>
> Wiemy też o tym, że w jakimś problemie spornym, gdy się chce być koniecznie bezstronnym, podawać „czystą prawdę“ niezabrudzoną własnym interesem, staje się bezwiednie po stronie przeciwnika.
>
> Takie oto myśli nasunęły nam się przy czytaniu dwu artykułów ks. J. Urbana („Szlachta Zagrodowa i Polacy greckiego obrządku“ i „Rosjanie haliccy a unia kościelna“) w ostatnim numerze „Oriensu“.
>
> W pierwszym z tych artykułów Autor krytycznie zapatruje się na słuszność polskiej rewindykacji, drugim przechyla swą sympatię na rzecz Ukraińców w sporze narodowościowym między „halickimi“ Rusinami.
>
> Ks. Urban — broń Boże! — nie występuje przeciw polskim interesom, przeciw nawet rewindykacji, on ma tylko pewne wątpliwości, zastrzeżenia, poszukuje bezwzględnej prawdy. A przytym jest mistrzem w niedopowiedzeniach. Niby nic nie mówi, a cel swój osiąga.

Z powyższych uwag zdaje się wynikać, że chcąc dotrzeć do czystej prawdy nie należy być bezstronnym. I że to przedewszystkim należy mieć na uwadze, by czasem, choćby bezwiednie, nie stanąć po stronie przeciwnika. Co na to odpowiedzieć? Wiemy, że w publicystyce, nawet „katolickiej“, stosowane są często w walce z przeciwnikami metody bardziej „moderne“, niżej podpisany jednak należy do tych dziwaków, którzy usiłują być bestronnymi i docierać do prawdy, pamiętając, że gdzieś jest powiedziane: *et veritas liberabit vos.* Tacy dziwacy nie uznają też istnienia innych przeciwników, jak tylko fałsz i zakłamanie, bez względu na to, przez jaki obóz i w jakim celu jest ono stosowane.

*

Od chwili odkrycia listu pasterskiego Ks. Metropolity Szeptyckiego z r. 1904 do Polaków grecko-katolickiego obrządku gazetka *Polak Greko-Katolik* jakoby zmieniła swój stosunek do Ks. Metropolity. Raz po raz wychwala go za ten list, powołuje się nań, żądając wprowadzenia języka polskiego do cerkwi grecko-katolickich, obchodzi nawet w tym roku 35-letni jubileusz tego listu. W artykule „jubileuszowym“ (zob. numer z dn. 15 maja r. b.) pisze między innymi:

> J. E. Ks. Metropolita Szeptycki, sam zresztą wówczas jako Polak greko-katolik, mogący najlepiej odczuwać życzenia i tendencje polskiej ludności grecko-katolickiej, uznając w zupełności ich prawa narodowe i językowe w Cerkwi, zwrócił się do gr. kat. inteligencji i mieszczan z zapewnieniem poszanowania polskich praw w Cerkwi. Społeczeństwo polskie było jednak zbyt krótkowzroczne. Nie stanęło przy Ks. Metropolicie i nie wyegzekwowało w zupełności możliwości udzielonych przez Ks. Metropolitę dla polskiej mowy w cerkwiach. Co gorsza — zraziwszy się do stosunków wprowadzonych ostatnio w Cerkwi, zaraz w następnem roku (1905) nie popierało akcji wskrzeszenia unii na Podlasiu, bojąc się zawleczenia przy pomocy unii niepożądanego fermentu separatystycznego z b. Galicji (wtedy nie była jeszcze „byłą“ *Uw. red.*) do zaboru rosyjskiego. Można powiedzieć, że dzięki ruchowi separatystycznemu grecko-katolicka inteligencja i mieszczaństwo odsunęły się od Cerkwi, a od r. 1908 zaczęły gromadnie występować z obrządku grecko-katolickiego, pozostawiając szeregi ludu polskiego tegoż obrządku bez przywódców z inteligencji“.

W przytoczonym ustępie ciekawe jest przyznanie, że od r. 1908 grecko-katolicka inteligencja i mieszczaństwo, które poczuwały się do polskości, zaczęły występować gromadnie z obrządku greckiego. Więc dokonywała się nie sama tylko „kradzież“ dusz polskich przez księży ruskich, ale istniał także proces odwrotny? Co się zaś tyczy Podlasia i roku 1905, to *Polak Greko-Katolik* zdradza zupełną nieznajomość stosunków, zarzucając polskiemu społeczeństwu, że nie poparło wtedy

„akcji wskrzeszenia unii na Podlasiu". Żadnej bowiem podobnej akcji tam po r. 1905 nie było i być nie mogło, gdyż nawet ukaz tolerancyjny Mikołaja II nie dawał możności wskrzeszenia unii w Rosji, wszyscy zaś b. unici, opierający się prawosławiu, przeszli do obrządku łacińskiego. Mógłby *Polak Greko-Katolik* wyrazić żal tylko z tego powodu, że polskie społeczeństwo nie poparło takiej akcji w r. 1924 i następnych, kiedy ona została zapoczątkowana przez ks. biskupa H. Przeździeckiego.

*

Wydawana w Słowacji *Prawosławnaja Ruś* nie opuszcza żadnej okazji, by za przykrości, jakie spotykają prawosławnych w Polsce, nie obarczyć odpowiedzialnością Kościoła katolickiego. Według niej, każde pociągnięcie władz rządowych względem prawosławia jest dyktowane przez Kościół, przez Rzym. Oto notuje naprz. świeże zwolnienie o. Terencjusza Teodorowicza ze stanowiska proboszcza cerkwi archikatedralnej w Warszawie i zaraz insynuuje, że władze administracyjne zażądały tego usunięcia wskutek jakiejś wrogiej akcji katolicyzmu. I taką reprymendą kończy swą insynuację:

> Związek z szatanem nikomu nie przyniósł korzyści. Nie przyniesie on korzyści także polskiemu klerykalizmowi, stosującemu środki przymusu dla osłabienia prawosławia w Polsce. Prześladowania tylko hartują ducha chrześcijan i potęgują wewnętrzny opór. Żeby nie wypadło katolikom gorzko żałować za swą politykę krótkowzroczną w stosunku do prawosławia! Przecież, siekiera już przyłożona do drzewa.

Oto do jakiego stopnia nie orientuje się w polskich stosunkach prawosławna gazeta, wydawana wprawdzie zagranicą, ale szeroko kolportowana w Polsce. Powodów zwolnienia ks. Teodorowicza z zajmowanego przezeń stanowiska, nie znamy i jako sprawa czysto wewnętrzna prawosławnej Cerkwi mniej one nas obchodzą, możemy wszakże zapewnić, że żaden przedstawiciel Kościoła do usuwania ks. Teodorowicza ręki nie przykładał. Tym bardziej możemy to twierdzić, że o. Terencjusz, pomimo swego wyznaniowego stanowiska, był dla swoich osobistych zalet i prawego charakteru szanowany przez tych księży katolickich, którzy mieli sposobność poznać go. Przed paru laty, gdy obchodził 40-letni jubileusz swego kapłaństwa, otrzymał życzenia od ówczesnego nuncjusza apostolskiego Marmaggi'ego. *Prawosławnaja Ruś* strzela więc na ślepo. Przytym kompletnie nie orientuje się w stosunkach, przypuszczając, że polskie władze państwowe, wkraczając w sprawy Kościoła prawosławnego, powodują się jakimiś specjalnymi względami konfesyjnymi i ulegają wpływom katolickich czynników kościelnych. Władze dla swego postępowania mają zupełnie inne, od Kościoła niezależne, czysto polityczne kryteria.

Ks. J. Urban.

WIADOMOŚCI I NOTATKI

Jest na Polesiu wieś U h r y n i c z e, w której przed kilku laty, pod wpływem oo. Kapucynów wsch. obrz. z Lubieszowa, zaznaczył się ruch prawosławnych w kierunku unii. Otwarto tymczasową kaplicę, miano budować stałą cerkiew. Ktoś jednak ruch ten uznał za niebezpieczny dla Polski i nie tylko nie doszło do założenia tam stałej placówki parafialnej i wybudowania cerkwi, ale i na podwojach kaplicy prowizorycznej zawisły pieczęcie... Tak się skończył akt pierwszy.

Akt drugi rozpoczął się osiedleniem się w Uhryniczach paru sióstr zakonnych, z polskiego zgromadzenia w Nowym Mieście nad Pilicą, ale które przyjęły wschodni obrządek, by ułatwić sobie pracę na Polesiu. Siostrzyczki zamieszkały w kilku izbach, z których w jednej urządziły sobie oratorium, oczywiście za wiedzą Kurii biskupiej w Pińsku. Lecz i na to oratorium zostały nałożone niedawno pieczęcie policyjne. W dodatku w chwili opieczętowania kaplicy nie było kapłana, któryby wyniósł z niej Najśw. Sakrament i Pan Jezus znalazł się w areszcie. Siostrzyczki adorują Go po przez opieczętowane drzwi. To koniec drugiego aktu.

Akt trzeci, zapoczątkowany interwencją Księdza Biskupa pińskiego u władz centralnych w Warszawie, jest dotąd nieukończony...

Ten wypadek opieczętowania świątyni katolickiej wraz z Najśw. Sakramentem, nie jest na Polesiu nowością. Podobne zdarzenie zaszło za rządów carskich w Niedźwiedzicy, gdzie uwięziony w taki sposób P. Jezus czekał na swe wyzwolenie kilkanaście lat. W Polsce może więzienie nie będzie tak długie.

*

W H o r o d n i e na Polesiu (diecezja pińska) gdzie istnieje placówka unicka, został 28 maja br. p o ś w i ę c o n y n o w y i k o n o s t a s w miejscowej cerkiewce. Poświęcenia dokonał o. Franciszek, kapucyn z Lubieszowa. Parafia unicka w Horodnie, licząca około 400 dusz, składa się przeważnie z kolonistów greko-katolików, pochodzących z Galicji, który w latach 1924 i 1925 pokupowali tutaj działki ziemi. Unitom tym groziło rozpłynięcie się w prawosławiu, gdyż w okolicy nigdzie nie było kościoła katolickiego. Przypadkiem zostali oni odkryci przez ks. Bakinowskiego ze Stolina, który też zwrócił się do śp. biskupa Łozińskiego z planem utworzenia w Horodnie parafii unickiej. Pierwszym proboszczem tej „parafii", nie posiadającej ani kościoła ani plebanii, został mianowany ks. Zenon Szymkiewicz, który jakiś czas odprawiał nabożeństwa w lesie. Na starania biskupa Łozin

skiego prawosławny biskup piński Aleksander odstąpił dla użytku unitów niepotrzebną prawosławnym starą cerkiewkę, niegdyś unicką, znajdującą się tuż przy nowej murowanej cerkwi prawosławnej. Pierwsze nabożeństwo unickie w tej odzyskanej świątyni odbyło się 5 I. 1928 r. Jest to cerkiewka drewniana, ubożuchna; obrazy z ikonostasów zabrali prawosławni, więc zastąpiono je papierowymi obrazkami. Proboszczowie tej cerkwi często byli zmieniani, wreszcie powrócił pierwszy jej proboszcz, ks. Szymkiewicz, który też częściowo własnym kosztem, częściowo zasiłkiem ks. biskupa Czarneckiego postarał się o kilka nowych obrazów i odnowienie całego ikonostasu. Ludność unicka w Horodnie jest biedna, a przytem jako należąca niegdyś do lewicowych partyj politycznych dość dla potrzeb swej cerkwi obojętna. Stąd i stanowisko duszpasterza, zwłaszcza przy zaogniających się stosunkach narodowościowych, jest tu podwójnie trudne. *(Zob. ilustracje.)*

*

OO. Bazylianom, pracującym na placówkach unickich w Horodle i Grabowcu, diecezji lubelskiej, J. E. ks. biskup Fulman podziękował za dotychczasową pracę, obsadzając te placówki kapłanami świeckimi wsch. obrz. Do Horodła został przeznaczony ks. Dymitr Filipowicz, po ukończeniu studiów teologicznych na uniwersytecie lubelskim, a do Grabowca — ks. Żydowo. OO. Bazylianie, Modest Dacyszyn i Dorofeusz Syroid, opuścili już dotychczasowe placówki pracy i powrócili do swoich klasztorów w Małopolsce Wsch. W piśmie swym do Prowincjała oo. Bazylianów wyraził ks. biskup Fulman wielkie uznanie dla dotychczasowej pracy tych zakonników na terenie diecezji i dał do zrozumienia, że tylko warunki zewnętrzne zniewalają go do zastąpienia ich księżmi świeckimi. W Lublinie obsługę grekokatolików w kościele św. Józafata przy ul. Zielonej pełni profesor seminarium duchownego, ksiądz dr Michał Niechaj.

*

W Zastawiu na Wołyniu (pow. kostopolski), gdzie parafia obrz. wschodniego została zorganizowana przed kilku laty, odbyło się 22 maja br. poświęcenie nowo zbudowanej cerkwi, którego dokonał J. E. ks. biskup Mikołaj Czarnecki w towarzystwie czterech kapłanów wsch. i diakona. Na uroczystość tę przybyli unici nawet z odleglejszych punktów Wołynia, jak Siedliszcz Małych, Żeleźnicy, Miatyna i in. Po obiedzie miejscowy chór urządził na plebanii koncert na cześć Władyki.

*

Ukraińscy posłowie na sejm, Baran i Skrypnik, wnieśli interpelację w sprawie zmuszania terorem i represjami prawosławnych mieszkańców niektórych wsi województwa lubelskiego do przejścia na wyznanie rzymsko-katolickie. Premier rządu gen. Sławoj Składkowski, nadesłał odpowiedź na rzeczoną intepelację tej osnowy:

„Wśród części ludności województwa lubelskiego powstał w ostatnich czasach ruch w kierunku powrotu prawosławnych do rzymsko-katolicyzmu. W związku z tym trafiły się nieporozumienia między miejscową ludnością prawosławną i katolicką. I z jednej i z drugiej strony popełniono czyny, które stały się przedmiotem dochodzeń. Co do zachowania się policji, to ani w jednym wypadku nie stwierdzono jej udziału w akcji rewindykacyjnej. Przeciwnie, nie zważając na brak zgłoszeń poszkodowanych i niechęć do oddawania spraw do sądu, policja interesowała się każdym wypadkiem zrobienia szkody prawosławnym, jaki doszedł do jej wiadomości. Po ukończeniu nakazanych dochodzeń, do każdego sprawcy, którego wina zostanie ustalona, będą z całą surowością zastosowane właściwe rygory karne".

Z powyższej odpowiedzi p. premiera, którą powtarzamy za ukraińską *Nową Zorią*, nie można sobie wytworzyć obrazu wypadków, które były przedmiotem interpelacji. Jeśli ruch wśród prawosławnych w kierunku katolicyzmu był dobrowolny, to jakim sposobem stał się źródłem karygodnych czynów, „z jednej i drugiej strony"? Chyba katolicy nie dopuszczali się żadnych gwałtów na tych współobywatelach prawosławnych, wśród których objawił się ów ruch. Więc kto, kogo i za co mógł napastować? Pocieszającą jest rzeczą, że policja nie jest winna ekscesów, jakie musiały się zdarzyć, skoro je stwierdza sam p. premier („popełniono czyny" etc.). Ale przykre jest stwierdzenie, że w państwie praworządnym zdarzają się ekscesy, którym policja nie umiała zapobiec. Prawdopodobnie policji jest za mało. Przyjemnie jest usłyszeć przynajmniej zapewnienie, że do winnych zostaną zastosowane właściwe rygory karne. Będą one miały przynajmniej znaczenie pedagogiczne.

*

Do Krechowa p. Żółkwią, gdzie się znajduje klasztor oo. Bazylianów z nowicjatem, ściągają co rocznie na święto przeniesienia relikwij św. Mikołaja (9 maja st. st.) liczne pielgrzymki. W tym roku liczba pątników wynosiła 30.000. Odpust trwał trzy dni (19—22 maja). Jak zwykle corocznie i w tym roku przybył J. E. ks. biskup Jozafat Kocyłowski z Przemyśla, do którego diecezji należy Krechów. Ks. biskup nie tylko celebrował uroczystą liturgię, ale kilkakrotnie przemawiał z ambony. Spowiedzi św. słuchało 68 kapłanów. Do Komunii św. przystąpiło 12.000 wiernych. Od przeszłego roku oo. Bazylianie rozpoczęli budowę monumentalnych i artystycznych stacyj Drogi Krzyżowej w pobliżu klasztoru, na wzór innych Kalwaryj, jak Zebrzydowska, Pacławska i inne.

*

Z ostatniego numeru pisemka *Druh*, wydawanego przez alumnów papieskiego Seminarium Wschodniego w Dubnie, dowiadujemy się, że zakład ten przez kilka lat swego istnienia wypuścił 23 kapłanów. Z nich pracują: w diecezji siedleckiej 7, łuckiej 6, wileńskiej 3, lubelskiej 1, na Łemkowszczyźnie 2, w Wschodniej Małopolsce 2 i w Kanadzie 2. Prawie wszyscy ci kapłani utrzymują serdeczne stosunki z zakładem, opisując swe prace i trudności.

*

Liczba kapłanów Jezuitów wschodniego obrządku powiększyła się także przez wyświęcenie w Rzymie trzech jezuickich słuchaczy teologii: 17 maja o. Józefa Olszra (Czecha), 18 maja o. Jana Dieszki (Słowaka) i 28 maja o. Piotra Leoni (Włocha). Wszystkim tym neoprezbyterom udzielał święceń kapłańskich ks. biskup Aleksander Jewreinow w kościele św. Antoniego przy *Collegium Russicum*. Wszyscy trzej

nowi kapłani jeszcze mają do ukończenia na Uniwersytecie Gregoriańskim czwarty rok teologii.

*

Według najnowszego Katalogu Zakonu oo. Bazylianów św. Jozafata prowincji halickiej, prowincja ta liczyła z dniem 1 stycznia 1939 r. 373 członków, w tym 133 kapłanów, 91 kleryków łącznie z nowicjuszami na kleryków i 149 braci łącznie z nowicjuszami. Z tej liczby 22 kapłanów i 7 braci pracowało poza terenem prowincji, tj. poza Polską. Wliczony jest tu dom główny Zakonu, znajdujący się w Rzymie. W Polsce ojcowie Bazylianie mają 19 klasztorów, wszystkie, z wyjątkiem warszawskiego, w województwach południowo wschodnich. Oprócz prowincji halickiej do zakonu należą także: prowincja św. Mikołaja (Węgry i Jugosławia) z członkami w 1938 roku 163 osób, prowincja amerykańsko - kanadyjska Serca Jez. z 92 członkami, wice - prowincja brazylijska św. Józefa z 14 członkami i wice-prowincja rumuńska z 39 członkami. W roku 1938 cały zakon liczył 652 członków, w tym 206 kapłanów.

*

Wśród zgromadzeń żeńskich grecko-katolickich najszybciej rozwija się Zgromadzenie Sióstr Służebnic Niepokalanie Poczętej Maryi Panny. Założone było w r. 1892 przez oo. Bazylianów na wzór łacińskich Służebniczek starowiejskich, pierwotne ustawy zatwierdził w tymże roku metropolita lwowski, kardynał Sylwester Sembratowicz. Nowe ustawy zgromadzenie otrzymało w r. 1907, potwierdzone przez wszystkich biskupów grecko-katolickich w Galicji. W r. 1932 uzyskało potwierdzenie na zawsze od Stolicy Apostolskiej. Zgromadzenie poświęca się głównie prowadzeniu przytułków dla sierot i starców, ochron dziennych dla dzieci, przedszkoli i szkółek, prowadzi gospodarstwo domowe w seminariach itd. Po 45 latach istnienia liczy około 700 sióstr po ślubach, nowicjat w Krystynopolu miewa do 100 nowicjuszek. W roku 1938 pracowały siostry w 124 domach, z której to liczby przypadało na samą Polskę 85 domów, reszta w różnych krajach Europy, nadto w Kanadzie, Stanach Zjedn. i Brazylii. Siostry Służebnice idą wszędzie, dokąd ich współziomków prowadzi poszukiwanie chleba i starają się być dla nich moralną opieką i podporą.

*

Przy kole misyjnym Alumnów Seminarium Duchownego w Łodzi istnieje także „Sekcja Unijna“. Członkowie sekcji ofiarują swe modły, komunie św. i praktyki różne w intencji zjednoczenia Kościołów, w celu zaś zaznajomienia się z zagadnieniami wschodnimi sekcja urządza zebrania z referatami. W ostatnim roku sprawozdawczym odbyło się takich zebrań cztery, a nadto 14 listopada 1938 r. obchód „dnia wschodniego“ urozmaicony paru odczytami i śpiewami liturgicznymi wschodnimi.

*

Z Szanghaju (Chiny pod okupacją japońską) otrzymujemy wiadomość, że pracujący tam jezuita wschodniego obrządku, o. Wendelin Jaworka, został przez swoich przełożonych odwołany do Rzymu. Pozostają tam, jako pasterze katolików rosyjskich wsch. obrz., o. archimandryta Mikołaj (który przeszedł na unię z prawosławia) i o. Teodor Wilcock Tow. Jez., obsługujący cerkiew Niepokalanej Bogarodzicy. O. Wilcock założył „klub“, w którym gromadzi chłopców rosyjskich, przychodzi ich około 40, zaś siostry zakonne, Irlandki, utrzymują szkołę z internatem dla dziewcząt rosyjskich, liczącą 130 uczenic. Niedawno odwiedził Szanghaj archimandryta Abrantowicz z Charbina, udający się do Rzymu. W kierunku odwrotnym przejeżdżali do Mandżurii o. marianin Józef Hermanowicz i wychowanek *Russicum* o. Paweł Szalej. Spotkanie się wszystkich tych misjonarzy w jednym miejscu zostało upamiętnione na wspólnej fotografii. *(Zob. dod. ilustr.)*

*

Z Charbina w Mandżurii donoszą, że przybyli tam nowi pracownicy w misji wschodniego obrządku: o. Józef Hermanowicz i o. Paweł Szalej. Pierwszy jest członkiem Zgromadzenia oo. Marianów, pracował już w Charbinie przed kilku laty na stanowisku dyrektora liceum św. Mikołaja. Powróciwszy do Europy został przełożonym domu oo. Marianów w Wilnie, skąd jednak, jako Białorusin, został usunięty na żądanie władz administracyjnych. Wola przełożonych powołała go znowu do Charbina, gdzie zapewne zajmie wybitne stanowisko w misji. O. Szalej jest kapłanem świeckim, b. wychowankiem Kolegium rosyjskiego w Rzymie, wyświęconym na kapłana 1938 r. Zarządzający eparchią bizantyńsko-słowiańską w Mandżurii, o. archimandryta Fabian Abrantowicz, wyjechał do Rzymu, by złożyć Ojcu św. sprawozdanie ze stanu misji i wziąć udział w kongregacji oo. Marianów, do której sam należy, mającej m. in. zająć się wyborem swego generała.

*

Najstarszym wśród unickich patriarchów na Wschodzie jest melchicki patriarcha Antiochii, Aleksandrii i Jerozolimy, Jego Błog. Cyryl IX Mogabgab, liczący obecnie 85 lat. Obrządek „melchicki“ jest właściwie obrządkiem bizantyjskim, posługującym się w liturgii językami greckim i arabskim. Patriarcha Cyryl posiada pod swoją jurysdykcją około 170 tysięcy wiernych, już to zamieszkujących w Syrii już to rozproszonych po innych krajach. Sędziwy patriarcha cieszy się dobrym zdrowiem i ostatnio odbywał podróż po Europie, m. in. przyjmowany w Paryżu z wielkimi honorami przez władze kościelne i nawet państwowe *(Zob. ilustr.)*.

*

W związku z 500-letnim jubileuszem Soboru Florenckiego miał się odbyć w tym roku w Welehradzie na Morawach VIII Kongres unijny. Już w ubiegłym roku opracowano program tego kongresu i spodziewano się uczestników z wielu krajów. Niestety, upadek Czechosłowacji i aneksja Moraw przez Niemcy uniemożliwiły zwołanie kongresu. Kiedy znowu u grobu św. Metodego, apostoła Słowian, będą mogli swobodnie się zbierać zwolennicy jego idei?

NOWE KSIĄŻKI

R. P. F. Mercennier et Chan. Franc. Paris: La Prière des Èglises de rite byzantin. Tome II, I partie. Prieuré d'Amay-sur Meuse, 1939, p. LXXI+360.

Przed dwoma laty wyszedł pierwszy tom tego dzieła, obejmujący tłumaczenie francuskie części ogólnej oficjum bizantyjskiego, liturgij bizantyjskich i formularzy sakramentów świętych. Tom II trzeba było podzielić na dwie części, z których właśnie pierwsza się ukazała, dając w języku francuskim oficja na uroczystości Pańskie i Najśw. Bogarodzicy. W części drugiej tomu zawarte będą oficja o Świętych Pańskich. Przekład jest kompletny wszystkich liturgicznych tekstów obrządku bizantyjskiego. W długim wstępie mamy pewne wprowadzenie w ducha tego obrządku, tudzież kalendarz całego roku. Każde święto poprzedzone jest także krótkim objaśniającym wstępem. Całe dzieło odda wielkie usługi tym miłośnikom wschodniego obrządku, którym posiłkowanie się tekstem greckim lub cerkiewno-słowiańskim sprawiało by jakieś trudności. *J. U.*

Władimirskij Sbornik. W pamiat' 950-letia kreszczczenia Rusi 988—1938. Beograd, str. XII+220 i liczne ilustr.

Pamiątkowa ta księga odbytego jubileuszu 950-lecia chrztu Rusi zawiera prace 18 rosyjskich autorów prawosławnych z rozmaitych ośrodków emigracji. Zmierzają one wszystkie do wykazania wielkiego znaczenia chrztu Rusi za św. Włodzimierza dla całej kultury kraju i narodu. Niektóre artykuły odnoszą się do czasów przed przyjętą datą chrztu 988 r. Ogólnie można powiedzieć, że prace te, acz krótkie, nie są pozbawione wartości naukowej i stanowią pożyteczny przyczynek do dziejów pierwszych czasów chrześcijaństwa na Rusi i osoby św. Włodzimierza. Jeden z autorów, A. W. Sołowiew, zaznajamia czytelników z przedstawieniem historii starej Rusi u polskiego kronikarza Stryjkowskiego. *J. U.*

Try Synody peremyśki i eparchialni postanowy walawśki w 17—19 st. Wygotowiw ep. Hryhorij Łakota. Przemyśl 1939, str. 178 z 6 portretami.

Diecezja ruska przemyska przyjęła unię w r. 1692. Natychmiast uznano potrzebę zwołania synodu, który miał unię utrwalić i różne nadużycia w życiu kościelnym usunąć. Synod ten odbył się w roku następnym 1693. Podobne synody odbyły się także w r. 1740 i 1818. Ponadto w 18 stuleciu odbywały się w klasztorze walawskim konferencje ogólne kleru unickiego, tudzież wydawane były parokrotnie konstytucje diecezjalne. Wszystkie te uchwały, z oryginałów w języku polskim (właściwie w makaronicznym) lub łacińskim, już to ogłoszonych drukiem, już to spoczywających w rękopisach w archiwum diecezjalnym, przełożył na język obecny ukraiński i historycznymi wstępami zaopatrzył ks. biskup Grzegorz Łakota, gr.-kat. sufragan przemyski. Te dokumenty, które nie były dotąd ogłoszone drukiem, zostały podane w dodatku także w orginalnym brzmieniu. Wydanie ozdobione jest portretami sześciu biskupów, przy których rzeczone synody lub konferencje miały miejsce, lub którzy ogłosili konstytucje. — Publikacja ta stanowi ciekawe źródło do historii unii w diecezji przemyskiej w przeciągu 126 lat, do r. 1818, dając obraz jej duchowych niedomagań, potrzeb i powziętych wysiłków w celu ich usunięcia. Ciekawe się znajdą szczegóły, dotyczące wzajemnego stosunku dwóch katolickich obrządków, który zawsze wiele pozostawiał do życzenia. *J. U.*

Pamiętnik VI Pińskiej Konferencji kapłańskiej w sprawie unii kościelnej. Pińsk. Drukarnia diecezjalna, str. 145.

Dopiero niedawno ukazał się Pamiętnik ostatniej konferencji pińskiej, odbytej przed dwoma laty (1, 2 i 3 września 1937). Jak pamiętniki poprzednich pięciu konferencyj, tak i ten szósty zawiera spis uczestników (85 biskupów i kapłanów i 26 alumnów różnych seminariów), następnie porządek obrad, listy z życzeniami, wygłoszone referaty i w streszczeniu dyskusje, jakie się rozwinęły z okazji referatów. Owe referaty w liczbie ośmiu posiadają wartość trwałą w zagadnieniu akcji unijnej na kresach i w ogóle w kwestiach kościelno-wschodnich. Rozpoczyna ich szereg referat o Unii florenckiej śp. nieodżałowanego ks. biskupa Przeździeckiego; dalszymi są: „Polszczenie Cerkwi prawosławnej" ks. J. Urbana, „Prawne położenie obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Polsce" ks. prałata St. Mystkowskiego, „Akcja katolicka w parafiach unickich na kresach" ks. D. Nowickiego, „Nasz stosunek do świętych Kościoła ruskiego" o. Jacka Woronieckiego, „Metropolita Józef Rutski" ks. St. Łaskiego, „Praca unijna za granicą" ks. A. Dąbrowskiego, wreszcie po ukraińsku „Dzieje unii w ciągu ostatniego półwieku" ks. rektora J. Ślipyja. Pamiętnik jest do nabycia w Kurii biskupiej w Pińsku po zł 2.50 za egzemplarz; można sprowadzać także za pośrednictwem naszej administracji. *J. U.*

Nadesłane:

I. Łozowiuk: Bibliografia artykułów naukowych, ogłoszonych w Wołyńskich Eparchialnych Wiadomościach. Osobne odbicie z „Rocznika Wołyńskiego" tom VII. Równe 1938, str. 71.

Catalogus Ordinis Basiliani Sancti Josaphat provinciae haliciensis ss. Salvatoris, ineunte anno 1939. Lwów wyd. oo. Bazylianów, str. 51.

Redaktor: Ks. Jan Urban T. J.

Drukarnia Wydawnictwa Księży Jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61 — Telefon, nr 4-37-87